JOHN

GRISHAM

Król odszkodowań

JOHN GRISHAM

Król odszkodowań

Z angielskiego przełożył
MAREK FEDYSZAK

Wydanie elektroniczne

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Komentarz autora

Rozdział 1

Strzały w głowę Dyni usłyszało co najmniej osiem osób. Trzy instynktownie zamknęły okna, sprawdziły zamki w drzwiach i wycofały się w bezpieczne lub przynajmniej zaciszne miejsce w swoich małych mieszkaniach. Dwie inne, każda doświadczona w takich sprawach, uciekły z okolic miejsca zdarzenia równie szybko, jeśli nie szybciej, jak sam uzbrojony bandyta. Kolejna, fanatyczny zwolennik recyklingu z sąsiedztwa, grzebała w śmieciach w poszukiwaniu aluminiowych puszek, gdy dotarły do niej bardzo bliskie odgłosy codziennej potyczki. Mężczyzna skoczył za stertę kartonowych pudeł i dopiero gdy skończył się ostrzał, ostrożnie wszedł w zaułek, gdzie zobaczył to, co zostało z Dyni.

Dwaj ludzie widzieli prawie wszystko. Siedzieli na plastikowych skrzynkach na mleko przed sklepem monopolowym na rogu Georgia Avenue i Lamont Street, częściowo zasłonięci przez zaparkowany samochód, tak że bandyta, który rozejrzał się, zanim wszedł w zaułek za Dynią, ich nie widział. Obaj zeznali, że ujrzeli, jak chłopak sięga do kieszeni i wyciąga broń. Widzieli ją na pewno, mały czarny pistolet. Sekundę później padły strzały, nie widzieli jednak właściwie, jak pociski trafiają Dynię w głowę. W następnej sekundzie chłopak wyleciał jak strzała z zaułka i nie wiadomo dlaczego skierował się wprost na nich. Biegł zgięty w pasie niczym spłoszony pies, z miną winowajcy. Na nogach miał czerwonożółte buty do gry w kosza, które wydawały się o pięć numerów za duże i plaskały o chodnik, gdy uciekał.

Mijając ich, wciąż trzymał w ręce broń, prawdopodobnie trzydziestkęósemkę. Zobaczywszy ich, wzdrygnął się nerwowo i zdał sobie sprawę, że za dużo widzieli. Przez jedną przerażającą chwilę wydawało się, że podnosi pistolet z zamiarem zlikwidowania świadków, którzy zdołali się poderwać z plastikowych skrzynek i uciec, przebierając szaleńczo nogami i machając rękami. Potem zniknął.

Jeden z nich otworzył drzwi sklepu i krzyknął, żeby ktoś wezwał policję, bo doszło do strzelaniny.

Pół godziny później policja otrzymała informację, że młodego mężczyznę pasującego do rysopisu chłopaka, który sprzątnął Dynię, widziano dwukrotnie na Dziewiątej Ulicy z bronią w ręce. Zachowywał się dziwniej niż większość otaczających go ludzi. Próbował zwabić co najmniej jednego człowieka na opuszczoną parcelę, lecz niedoszła ofiara uciekła i poinformowała o tym incydencie.

Policja znalazła sprawcę godzinę później. Nazywał się Tequila Watson, był dwudziestoletnim czarnoskórym mężczyzną, notowanym, co typowe, w policyjnych kartote-

kach za przestępstwa narkotykowe. Żadnej rodziny. Bez stałego miejsca zamieszkania. Ostatnio w ośrodku odwykowym przy W Street. Udało mu się pozbyć jakoś broni, a jeśli obrabował Dynię, to gotówkę, narkotyki lub jakieś inne łupy także zdążył już wyrzucić. Kieszenie, podobnie jak oczy, miał puste. Gliniarze byli pewni, że w chwili aresztowania Tequila nie był pod wpływem żadnych środków odurzających. Do szybkiego i szorstkiego przesłuchania doszło na ulicy, po czym zakuto go w kajdanki i wepchnięto na tylne siedzenie radiowozu stołecznej policji.

Zawieźli go z powrotem na Lamont Street, gdzie urządzili na poczekaniu spotkanie z dwoma świadkami. Tequila został wprowadzony w zaułek, gdzie zostawił martwego Dynię.

– Byłeś tu kiedyś? – zapytał policjant.

Tequila milczał i tylko gapił się na kałużę krwi na brudnym betonie. Dwóch świadków doprowadzono w milczeniu na miejsce koło czarnoskórego chłopaka.

– To on – powiedzieli obaj równocześnie.

– Nosi to samo ubranie, te same buty, wszystko oprócz broni.

– To on.

– Na pewno.

Tequila znowu został wepchnięty do radiowozu i zawieziony do aresztu. Aresztowano go pod zarzutem morderstwa i zamknięto bez szansy na wyjście za kaucją. Dzięki doświadczeniu lub po prostu ze strachu nie powiedział policjantom ani słowa, gdy ci próbowali wyciągnąć od niego informacje pochlebstwami, a nawet groźbą. Niczego, co mogło go obciążyć, niczego, co mogło im pomóc. Żadnej wskazówki, dlaczego zamordował Dynię. Żadnego śladu pozwalającego poznać historię ich znajomości, jeżeli w ogóle łączyła ich jakaś znajomość. Wytrawny śledczy zanotował krótko w aktach, że to zabójstwo wygląda na trochę bardziej przypadkowe, niż zazwyczaj bywało.

Sprawca nie domagał się możliwości skorzystania z telefonu. Nie wspomniał ani słowem o adwokacie ani o poręczycielu. Tequila sprawiał wrażenie oszołomionego, był jednak zadowolony, że może siedzieć w zatłoczonej celi i gapić się w podłogę.

* * *

Ojca Dyni nie dało się odnaleźć, ale jego matka pracowała w ochronie podziemi dużego biurowca przy New York Avenue. Ustalenie prawdziwych personaliów jej syna, Ramóna Pumphreya, oraz jego adresu, i znalezienie sąsiada skłonnego wyjawić, czy miał matkę, zajęło policji trzy godziny.

Adelfa Pumphrey siedziała za biurkiem tuż za wejściem do podziemi i patrzyła na rząd monitorów. Była dużą, grubą kobietą w obcisłym mundurze khaki, z bronią za pasem i wyrazem niezmiernego znużenia na twarzy. Policjanci, którzy do niej podeszli, robili to wcześniej setki razy. Przekazali jej wiadomość, po czym odnaleźli jej

zwierzchnika.

W mieście, gdzie młodzi ludzie zabijają się nawzajem codziennie, ta ciągła rzeź czyniła ludzi gruboskórnymi i nieczułymi, a każda matka znała wiele innych, które straciły dzieci. Kolejna taka strata przybliżała o krok do śmierci i wszystkie matki wiedziały, że nadchodzący dzień może być tym ostatnim. Obserwowały, jak inne przeżywają tę zgrozę. Gdy Adelfa Pumphrey siedziała przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach, myślała o swoim synu leżącym teraz gdzieś w mieście i badanym przez obcych ludzi.

Poprzysięgła zemstę temu, kto go zabił.

Przeklęła jego ojca za to, że porzucił syna.

Zapłakała za swoim dzieckiem.

I wiedziała, że przeżyje. Że jakoś przeżyje.

* * *

Adelfa poszła do sądu, żeby zobaczyć, jak stawiają sprawcy zarzuty. Dowiedziała się od policji, że łobuz, który zabił jej syna, ma po raz pierwszy pojawić się w sądzie na krótkim rutynowym posiedzeniu, na którym nie przyzna się do winy i poprosi o adwokata. Siedziała w tylnym rzędzie wraz z bratem po jednej ręce i sąsiadem po drugiej, ocierając łzy wilgotną chustką. Chciała zobaczyć tego chłopaka. Chciała również zapytać, dlaczego to zrobił, ale wiedziała, że nie będzie miała okazji.

Przestępców prowadzono przez salę rozpraw niczym bydło na aukcji. Wszyscy byli młodzi. Zmarnowani ludzie.

Ponieważ Tequila popełnił szczególnie brutalną zbrodnię, oprócz kajdanek miał na nadgarstkach i kostkach łańcuchy. Kiedy powłócząc nogami, trafił na salę wraz z kolejną falą winowajców, wyglądał na człowieka prawie nieszkodliwego. Szybko obrzucił wzrokiem tłum, żeby sprawdzić, czy jest ktoś znajomy, czy ktoś może przyszedł tam dla niego. Usiadł na krześle i wtedy, na dokładkę, jeden z urzędników sądowych pochylił się i rzekł:

– Ta kobieta tam, w niebieskiej sukience, to matka chłopaka, którego zabiłeś.

Tequila odwrócił się powoli z pochyloną głową i patrzył, ale tylko przez chwilę, prosto w załzawione i podpuchnięte oczy matki swojej ofiary. Adelfa wpatrywała się w chudzielca w za dużym kombinezonie i zastanawiała się, gdzie jest jego matka, jak go wychowała, czy chłopak ma ojca i co najważniejsze, dlaczego i jak napotkał na swojej drodze jej syna. Byli mniej więcej w tym samym wieku co reszta, zbliżali się do dwudziestki lub niedawno ją przekroczyli. Policjanci powiedzieli jej, że przynajmniej na razie wydaje się, iż to zabójstwo nie ma związku z narkotykami. Ona jednak wiedziała swoje. Narkotyki wiązały się nierozłącznie z życiem ulicy na wszystkich poziomach. Adelfa aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Dynia palił trawkę i crack i raz został aresztowany za posiadanie narkotyków, ale nigdy nie stosował przemocy. Policja twier-

dziła, że wygląda to na przypadkowe zabójstwo. Jej brat powiedział kiedyś, że wszystkie uliczne zabójstwa są dziełem przypadku, ale żadne nie jest popełniane bez powodu.

Po jednej stronie sali rozpraw stał stół, przy którym zgromadzili się przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości. Policjanci szeptali coś do prokuratorów przeglądających akta i raporty i próbowali dzielnie przygotować dokumenty przed pojawieniem się przestępców. Po drugiej stronie znajdował się stół, za którym w miarę mozolnego przesuwania się tej sądowej „linii montażowej" zasiadali kolejni obrońcy. Sędzia odklepywał oskarżenia o handel narkotykami, rabunek z bronią w ręku, jakąś niesprecyzowaną napaść seksualną, kolejne zarzuty dotyczące narkotyków i mnóstwo oskarżeń o naruszenie warunków zwolnienia. Gdy wywoływano ich nazwiska, oskarżeni byli doprowadzani do stołu sędziowskiego, gdzie stali w milczeniu. Przekładano papiery, po czym transportowano ich z powrotem do aresztu.

– Tequila Watson – oznajmił urzędnik sądowy.

Drugi urzędnik pomógł wstać Watsonowi, który potykając się i pobrzękując łańcuchami, wystąpił naprzód.

– Panie Watson, jest pan oskarżony o morderstwo – powiedział głośno sędzia. – Ile pan ma lat?

– Dwadzieścia – odparł Tequila ze spuszczonym wzrokiem.

Zarzut morderstwa odbił się echem w sali i sprawił, że na chwilę zapanował spokój. Inni przestępcy w pomarańczowych kombinezonach spojrzeli na niego z podziwem. Wśród prawników i policjantów wzbudził zainteresowanie.

– Stać pana na opłacenie adwokata?

– Nie.

– Tak też myślałem – mruknął sędzia i spojrzał na stół obrońców. Żyzne pola wydziału karnego tutejszej filii stołecznego sądu okręgowego były codziennie uprawiane przez Biuro Obrońcy Publicznego, stanowiące siatkę asekuracyjną dla wszystkich ubogich oskarżonych. Siedemdziesiąt procent rejestru spraw sądowych obsługiwał adwokat wyznaczony przez sąd i w sali kręciło się zwykle kilku obrońców z urzędu w tanich garniturach i zdartych mokasynach, z aktami sterczącymi z teczek. W tym akurat momencie obecny był tylko jeden obrońca z urzędu, pan mecenas Clay Carter II, który wstąpił do sądu, żeby dopilnować sprawy dwóch mniej poważnych przestępstw. Teraz chciał wyjść, ale zdał sobie sprawę, że jest zupełnie sam. Zerknął w lewo i w prawo i spostrzegł, że sędzia patrzy na niego. Gdzie się podziała cała reszta obrońców z urzędu?

Tydzień wcześniej Carter zakończył sprawę zabójstwa, która ciągnęła się przez prawie trzy lata i w końcu została zamknięta, a jego klient miał już nigdy nie wyjść z więzienia – przynajmniej oficjalnie. Clay Carter nie miał nic przeciwko temu, że jego klient jest pod kluczem, i czuł ulgę na myśl, iż w tym momencie nie ma na biurku żadnych akt sprawy o morderstwo.

To najwyraźniej miało się zaraz zmienić.

– Panie Carter? – odezwał się sędzia. Nie był to rozkaz, lecz zachęta, by wystąpił naprzód, i zrobił to, czego oczekiwano od wszystkich obrońców z urzędu: bronił ubogich bez względu na rodzaj sprawy. Mecenas Carter nie mógł okazać słabości, zwłaszcza na oczach obserwujących go policjantów i prokuratorów. Z trudem przełknął ślinę i spokojnie podszedł do stołu sędziowskiego, jakby od razu mógł zażądać procesu przed ławą przysięgłych. Wziął akta sprawy od sędziego, przejrzał szybko dość skąpą zawartość teczki, ignorując błagalne spojrzenie Tequili Watsona, po czym odparł:

– Oskarżony nie przyznaje się do winy, Wysoki Sądzie.

– Dziękuję panu, mecenasie. I wskażemy pana jako obrońcę z urzędu?

– Na razie tak. – Mecenas Carter już układał usprawiedliwienia, by obarczyć tą sprawą kogoś innego w Biurze Obrońcy Publicznego.

– Doskonale. Dziękuję panu – powiedział sędzia, sięgając po następne akta.

Adwokat i jego klient przez parę minut stali przy stole obrońców. Carter otrzymał tyle informacji, ile Tequila był skłonny przekazać, czyli bardzo niewiele. Obiecał wstąpić nazajutrz do aresztu na dłuższą rozmowę. Gdy tak szeptali, wokół stołu zrobiło się nagle tłoczno – to młodzi prawnicy z Biura Obrońcy Publicznego, koledzy Cartera, pojawili się nagle nie wiadomo skąd.

Czyżby zastawiono na mnie pułapkę? – zastanawiał się Carter. Czy zniknęli, wiedząc, że na sali znajduje się człowiek oskarżony o morderstwo? W ostatnich pięciu latach sam wykręcał takie numery. Uchylanie się od prowadzenia paskudnych spraw było w BOP-ie formą sztuki.

Wziął teczkę i ruszył szybko do wyjścia środkiem sali, obok szeregów zatroskanych krewnych, obok Adelfy Pumphrey i jej niewielkiej grupy wsparcia. Wyszedł na korytarz pełen kolejnych przestępców, ich matek, dziewczyn i adwokatów. W Biurze Obrońcy Publicznego byli tacy, którzy twierdzili, iż żyją chaosem panującym w gmachu Sądu im. H. Carla Moultriego – nawałem spraw, odrobiną zagrożenia spowodowanego tym, że dzielą przestrzeń z tyloma agresywnymi osobnikami, bolesnym konfliktem między ofiarami i napastnikami, beznadziejnie przepełnionymi rejestrami spraw, powołaniem do ochrony biedoty i zapewnienia jej uczciwego traktowania przez policjantów i system.

Jeżeli kariera w BOP-ie kiedykolwiek pociągała Claya Cartera, to teraz już nie pamiętał z jakiego powodu. Za tydzień miała minąć – bez świętowania i przy odrobinie szczęścia niepostrzeżenie dla kogokolwiek – piąta rocznica jego pracy w biurze. W wieku trzydziestu jeden lat czuł się wypalony, tkwił w gabinecie, który wstydził się pokazać znajomym, szukał wyjścia, nie mając dokąd pójść, a teraz został obarczony kolejną bezsensowną sprawą o morderstwo, która z każdą minutą coraz bardziej mu ciążyła.

W windzie przeklinał siebie za to, że dał się wrobić. Popełnił szkolny błąd, zbyt długo żył na tym świecie, by wpakować się w tę pułapkę, tym bardziej że zastawiono ją na tak dobrze mu znanym terenie. Odejdę, obiecał sobie. Przez ostatni rok prawie codzien-

nie składał takie samo przyrzeczenie.

Windą jechały dwie inne osoby. Pierwszą była jakaś kancelistka z naręczem akt. Drugą czterdziestoparoletni mężczyzna zgodnie z nakazami mody ubrany na czarno – w dżinsy, podkoszulek, marynarkę i buty z krokodylej skóry. Trzymał w ręku gazetę i wydawało się, że czyta ją przez małe okulary zsunięte na czubek dość długiego i kształtnego nosa. W rzeczywistości przyglądał się uważnie Clayowi, który nie był tego świadomy. Dlaczego ktoś miałby zwracać uwagę na kogokolwiek innego w tej windzie i w tym budynku?

Gdyby Clay Carter, zamiast rozmyślać, zachował czujność, zauważyłby, że mężczyzna jest zbyt porządnie ubrany, aby był obrońcą, ale zbyt sportowo, by być prawnikiem. Miał przy sobie tylko gazetę, co było trochę dziwne, ponieważ gmach Sądu im. H. Carla Moultriego nie słynął jako miejsce lektur. Mężczyzna nie wyglądał na sędziego, kancelistę, ofiarę przestępstwa ani na obrońcę, ale Clay nie zwrócił na niego uwagi.

Rozdział 2

W mieście siedemdziesięciu sześciu tysięcy prawników, często zgrupowanych w olbrzymich, usytuowanych w pobliżu Kapitolu kancelariach, bogatych i potężnych, gdzie najbardziej rozgarnięci współpracownicy otrzymywali nieprzyzwoicie wysokie premie za podpisanie umowy, najmniej inteligentni byli kongresmeni dostawali lukratywne umowy na lobbing, a najbardziej wzięci adwokaci mieli własnych pełnomocników procesowych, Biuro Obrońcy Publicznego znajdowało się w drugiej lidze. Na szarym końcu tabeli.

Niektórzy jego prawnicy byli głęboko zaangażowani w obronę biednych i uciśnionych i dla nich ta praca nie była tylko szczeblem w karierze. Bez względu na to, jak mało zarabiali i jak napięty był ich budżet, służyła im zawodowa niezależność i satysfakcja, że bronią najsłabszych.

Inni obrońcy z urzędu mówili sobie, że ta praca jest etapem przejściowym, podstawowym szkoleniem, które miało im otworzyć drogę do bardziej obiecującej kariery. Nauczyć się fachu na własnej skórze, pobrudzić sobie ręce, zobaczyć i robić rzeczy, do których żaden współpracownik dużej kancelarii prawniczej nigdy by się nie zbliżył, a pewnego dnia jakaś naprawdę dalekowzroczna firma wynagrodzi ten wysiłek. Bogate doświadczenie procesowe, doskonała znajomość sędziów, urzędników sądowych i policjantów, umiejętność radzenia sobie z nawałem obowiązków i zajmowania się najtrudniejszymi z klientów – to tylko nieliczne atuty, jakie mieli do zaoferowania obrońcy z urzędu po zaledwie kilku latach pracy.

Biuro Obrońcy Publicznego zatrudniało osiemdziesięciu prawników pracujących na dwóch ciasnych i dusznych piętrach gmachu służb publicznych Dystryktu Columbii, jasnej, prostopadłościennej budowli z betonu nazywanej Kostką, usytuowanej przy Massachusetts Avenue nieopodal Thomas Circle. W labiryncie biurowych klitek rozlokowano około czterdziestu marnie opłacanych sekretarek i trzydziestu kilku asystentów prawnych. Dyrektorem biura była kobieta imieniem Glenda, która większość czasu spędzała zamknięta w gabinecie, tam bowiem czuła się bezpiecznie.

Pensja początkującego prawnika BOP-u wynosiła trzydzieści sześć tysięcy dolarów. Podwyżki były śladowe i bardzo rzadkie. Prawnik z najdłuższym stażem, wykończony czterdziestotrzyletni starzec, zarabiał pięćdziesiąt siedem tysięcy sześćset i od dziewiętnastu lat groził, że odejdzie. Obciążenie pracą było olbrzymie, gdyż miasto przegrywało wojnę z przestępczością. Podaż ubogich kryminalistów była nieograniczona. Przez minionych osiem lat co roku Glenda przedkładała miastu budżet, żądając zatrudnienia ko-

lejnych dziesięciu prawników i tuzina asystentów. W każdym z ostatnich czterech budżetów otrzymywała mniej pieniędzy niż rok wcześniej. W tym momencie miała dylemat, których asystentów zwolnić, a których prawników zmusić do pracy w niepełnym wymiarze godzin.

Clay Carter, podobnie jak większość innych obrońców z urzędu, nie trafił na wydział prawa z planami kariery lub nawet krótkiej służby w charakterze obrońcy ubogich przestępców. W żadnym wypadku. W czasach gdy studiował w college'u, a potem na wydziale prawa na Uniwersytecie Georgetown, jego ojciec prowadził kancelarię w Dystrykcie Columbii. Clay od lat pracował tam w niepełnym wymiarze godzin i miał własny gabinet. Wtedy jeszcze nie ograniczał się w marzeniach o ojcu i synu wspólnie toczących spory sądowe i płynących szerokim strumieniem pieniądzach.

Lecz w ostatnim roku studiów Claya kancelaria upadła i Carter senior wyjechał z miasta. Sytuacja zmieniła się diametralnie. Clay został obrońcą publicznym, bo na rynku nie było innych ofert pracy.

Potrzebował trzech lat, by wywalczyć własny gabinet, zamiast dzielonego z innym prawnikiem lub asystentem. Pokój wielkości skromnej szafy wnękowej w domu na przedmieściach nie miał okien, a biurko zajmowało połowę jego powierzchni. Gabinet Claya w dawnej kancelarii ojca był cztery razy większy i z jego okien roztaczał się widok na obelisk Waszyngtona. Clay próbował wprawdzie o nim zapomnieć, ale nie potrafił wymazać go z pamięci. Pięć lat później wciąż czasem siedział przy biurku, gapił się w ściany, które z każdym miesiącem wydawały się bliższe, i zastanawiał się, jak to się stało, że upadł tak nisko.

Cisnął na czyste i uporządkowane biurko akta sprawy Tequili Watsona i zdjął marynarkę. W tak ponurym otoczeniu łatwo byłoby dać za wygraną, pozwolić, by na biurku rosła sterta akt i papierów, zagracić gabinet i zrzucić to na karb przepracowania i niedoboru personelu. Lecz jego ojciec uważał, że porządek na biurku świadczy o uporządkowanym umyśle. Mawiał, że jeżeli nie potrafisz czegoś znaleźć w ciągu trzydziestu sekund, tracisz pieniądze. Natychmiastowe odpowiadanie na telefony stanowiło kolejną zasadę, której Clay nauczył się przestrzegać.

Tak więc ku wielkiemu rozbawieniu swoich udręczonych kolegów pedantycznie dbał o porządek na swoim biurku i w gabinecie. Jego dyplom absolwenta wydziału prawa Uniwersytetu Georgetown wisiał w pięknej ramce na środku ściany. Przez pierwsze dwa lata pracy w BOP-ie nie chciał go pokazywać z obawy, że pozostali pracownicy będę się zastanawiali, dlaczego ktoś z Georgetown pracuje za tak marne grosze. Żeby zdobyć doświadczenie, często powtarzał w duchu, jestem tutaj, żeby zdobyć doświadczenie. Co miesiąc rozprawa – trudne starcia z bezwzględnymi prokuratorami przed bezwzględnymi przysięgłymi. Szkolenie w bezpardonowej walce na samym dnie, którego nie mogła zapewnić żadna duża kancelaria. Forsa przyjdzie później, gdy w bardzo młodym wieku będzie zahartowanym w boju adwokatem.

Patrzył na cienkie akta sprawy Watsona leżące na biurku i zastanawiał się, jak obarczyć nią kogoś innego. Był już zmęczony trudnymi sprawami, doskonałym szkoleniem i całym gównem, które znosił jako marnie opłacany obrońca z urzędu.

Na jego biurku leżało sześć różowych karteczek z wiadomościami – pięcioma związanymi z pracą, jedną od Rebeki, wieloletniej przyjaciółki. Najpierw zadzwonił do niej.

– Jestem bardzo zajęta – poinformowała po wymianie niezbędnych uprzejmości.

– Dzwoniłaś do mnie – zauważył Clay.

– Owszem, ale mogę rozmawiać tylko przez minutę. – Rebecca pracowała jako asystentka podrzędnego kongresmena, który był przewodniczącym jakiejś bezużytecznej podkomisji. Ponieważ jednak był przewodniczącym, miał dodatkowe biuro i musiał je obsadzić ludźmi takimi jak Rebecca, przez cały dzień gorączkowo przygotowująca następną rundę przesłuchań, na których i tak nikt się nie zjawi. Żeby załatwić jej tę pracę, ojciec Rebeki użył swoich wpływów.

– Ja też jestem trochę zawalony robotą – zastrzegł Clay. – Właśnie przyjąłem kolejną sprawę o morderstwo. – Zdołał powiedzieć to z pewną dumą, jakby czuł się zaszczycony rolą obrońcy Tequili Watsona.

Rywalizowali o to, kto jest bardziej zajęty. Kto jest ważniejszy. Kto ciężej pracuje. Kto jest pod większą presją.

– Jutro są urodziny mojej matki – powiedziała Rebecca z lekkim wahaniem, jakby Clay powinien o tym wiedzieć. Nie wiedział. Nie obchodziło go to. Nie przepadał za jej matką. – Zaprosili nas na kolację w klubie.

Zły dzień stał się jeszcze gorszy. Jedyną odpowiedzią, jakiej mógł udzielić, i to szybko, było:

– Oczywiście.

– Koło dziewiętnastej. W marynarce i krawacie.

– No jasne. – Wolałbym zjeść kolację z Watsonem w więzieniu, pomyślał.

– Muszę kończyć – powiedziała Rebecca. – Do zobaczenia. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Tak wyglądały ich rozmowy: kilka szybkich zdań i pospieszny powrót do zbawiania świata. Clay spojrzał na jej zdjęcie na biurku. Ich romansowi towarzyszyło wystarczająco dużo komplikacji, by rozbić dziesięć małżeństw. Jego ojciec pozwał kiedyś jej ojca i nie było jasne, kto wygrał, a kto przegrał. Jej rodzice twierdzili, że pochodzą ze starej aleksandryjskiej socjety, ojciec był synem oficera. Oni byli prawicowymi republikanami, on nie. Ojca Rebeki nazywano Bennettem Buldożerem z uwagi na nieustępliwe dążenie do zagospodarowania zalesionych terenów przedmieść Waszyngtonu. Clay nie znosił bezładnej zabudowy północnej Wirginii i dyskretnie opłacał dwie grupy ekologów walczących z deweloperami. Matka Rebeki była agresywną karierowiczką, pragnącą, by jej dwie córki wyszły bogato za mąż. Clay nie widział swojej matki od osiemnastu lat. Nie miał żadnych ambicji towarzyskich. Ani pieniędzy.

Przez prawie cztery lata ich romans trwał mimo comiesięcznych awantur, w większości sprowokowanych przez matkę Rebeki. Utrzymywał się przy życiu dzięki miłości, pożądaniu i determinacji w dążeniu do celu na przekór wszystkiemu. Lecz Clay wyczuwał u Rebeki zmęczenie, postępujące znużenie spowodowane wiekiem i presją rodziny. Miała dwadzieścia osiem lat. Nie chciała robić kariery. Pragnęła męża, rodziny i długich dni spędzanych w klubie za miastem na psuciu dzieci, grze w tenisa i lunchach z matką.

Paulette Tullos zaskoczyła go, zjawiając się nie wiadomo skąd.

– Dałeś się wrobić, co? – zagadnęła z drwiącym uśmieszkiem. – Nowa sprawa o morderstwo.

– Byłaś tam?

– Wszystko widziałam. Widziałam, co się święci, widziałam moment zdarzenia i nie mogłam cię ocalić, kolego.

– Dzięki. Jestem ci winien przysługę.

Chętnie zaproponowałby, żeby usiadła, ale w jego gabinecie nie było więcej krzeseł. Brakowało na nie miejsca, a poza tym nie były potrzebne, ponieważ wszyscy klienci Claya i tak siedzieli za kratkami. Pogaduszki na siedząco nie należały do rutynowych czynności w Biurze Obrońcy Publicznego.

– Jakie mam szanse się jej pozbyć? – zapytał.

– Bliskie zeru. Kogo zamierzasz nią obarczyć?

– Myślałem o tobie.

– Przykro mi. Już prowadzę dwie takie sprawy. Glenda nie pójdzie ci na rękę.

Paulette była najlepszą przyjaciółką Claya w biurze. Pochodziła z dzikiej części miasta, z trudem skończyła college oraz wieczorowe studia prawnicze i wydawało się, że jej przeznaczeniem jest środowisko klasy średniej, lecz poznała starszego pana z Grecji zdradzającego upodobanie do młodych czarnoskórych kobiet. Ożenił się z nią i pomógł jej urządzić się wygodnie w północno-zachodnim Waszyngtonie, po czym wrócił do Europy, gdzie wolał mieszkać na stałe. Paulette podejrzewała, że ma tam kilka żon, ale nieszczególnie się tym przejmowała. Żyła w dostatku i rzadko bywała sama. Po dziesięciu latach ten układ dobrze się sprawdzał.

– Słyszałam rozmowę prokuratorów – powiedziała. – Kolejne uliczne zabójstwo, ale motyw budzi wątpliwości.

– Nie pierwsze w dziejach BOP-u.

– Ale nie ma wyraźnego motywu.

– Zawsze jest jakiś motyw. gotówka, narkotyki, seks, nowe markowe buty.

– Ale chłopak był dość potulny, nie miał na koncie aktów przemocy.

– Pierwsze wrażenie często myli, przecież o tym wiesz.

– Jermaine dostał dwa dni temu bardzo podobną sprawę. Bez wyraźnego motywu.

– Pierwsze słyszę.

– Możesz spróbować z nim. Jest tu nowy i ambitny. Kto wie, może uda ci się zwalić

to na niego.

– Zaraz to zrobię.

Jermaine’a nie zastał. Lecz drzwi gabinetu Glendy były z jakiegoś powodu uchylone. Clay zastukał w nie, wchodząc do środka.

– Ma pani chwilę czasu? – zapytał, wiedząc, że Glenda nie znosi poświęcać go nikomu ze swoich podwładnych. Radziła sobie jako tako z kierowaniem biurem, przydzielaniem spraw, pilnowaniem budżetu i co najważniejsze, uprawianiem polityki w ratuszu. Ale ludzi nie lubiła. Wolała wykonywać swoją pracę za zamkniętymi drzwiami.

– Oczywiście – powiedziała opryskliwie i bez przekonania. Było oczywiste, że nie cieszy się z najścia, i właśnie takiego przyjęcia spodziewał się Clay.

– Dziś rano przypadkiem znalazłem się o niewłaściwej porze w wydziale karnym sądu i zostałem wrobiony w obronę podejrzanego o zabójstwo, którą wolałbym przekazać komuś innemu. Dopiero zakończyłem sprawę Traxela, która, jak pani wie, ciągnęła się prawie trzy lata. Muszę odpocząć od zabójstw. Może zajmie się tym jeden z młodszych obrońców?

– Wymiguje się pan? – zapytała, unosząc brwi.

– Oczywiście. Niech pani zwali na mnie na kilka miesięcy sprawy koksu i włamań. O nic innego nie proszę.

– A kto pana zdaniem powinien zająć się tym… co to za sprawa?

– Tequili Watsona.

– Tequila Watson. Kto powinien go bronić, panie Carter?

– To mnie nie obchodzi. Po prostu potrzebuję odpoczynku. Glenda rozsiadła się wygodnie w fotelu niczym mądry sędziwy prezes zarządu i zaczęła gryźć końcówkę długopisu.

– Tylko pan? Wszyscy bardzo chętnie byśmy odpoczęli, nieprawdaż?

– Tak czy nie?

– Zatrudniamy tu osiemdziesięciu prawników, mecenasie Carter, z czego blisko połowa ma kwalifikacje do prowadzenia spraw o morderstwo. Każdy z nich prowadzi co najmniej dwie. Jeżeli pan może, niech pan ją komuś przekaże, ale ja nie mam zamiaru przydzielać jej nikomu innemu.

Wychodząc, Clay rzucił:

– Z pewnością przydałaby mi się podwyżka.

– W przyszłym roku, mecenasie Carter. W przyszłym roku.

– I asystent.

– W przyszłym roku.

Akta sprawy Tequili Watsona pozostały więc w schludnym i uporządkowanym gabinecie adwokata Jarretta Claya Cartera II.

Rozdział 3

Ostatecznie ten budynek był tylko więzieniem. Chociaż powstał niedawno i zaraz po uroczystym otwarciu stał się powodem do wielkiej dumy dla garstki miejskich notabli, pozostał więzieniem. Zaprojektowany przez czołowych specjalistów od spraw obrony miejskiej i ozdobiony nowoczesnymi gadżetami zabezpieczającymi, pozostał więzieniem. Sprawnie działającym, bezpiecznym, humanitarnym i – choć zbudowano je z myślą o następnym stuleciu – z nadkompletem od dnia otwarcia. Z zewnątrz przypominało duży czerwony pustak spoczywający na jednym boku, pozbawiony okien, straszny, wypełniony przestępcami i niezliczoną liczbą ludzi, którzy ich pilnowali. Aby poprawić komuś samopoczucie, nazwano je Ośrodkiem Wymiaru Sprawiedliwości, współczesnym eufemizmem używanym powszechnie przez twórców takich projektów. Było to jednak więzienie.

I w dużej mierze stanowiło teren aktywności zawodowej Cartera. Tam spotykał niemal wszystkich swoich klientów po aresztowaniu i przed zwolnieniem za kaucją, o ile mogli ją wpłacić. Wielu nie mogło, a wielu aresztowano za przestępstwa bez użycia przemocy i bez względu na to, czy byli winni, czy nie, trzymano ich pod kluczem do ostatniej rozprawy. Tigger Banks spędził prawie osiem miesięcy w więzieniu za włamanie, którego nie dokonał. Stracił dwie posady. Stracił mieszkanie. Stracił godność. Jego ostatni telefon do Claya był wstrząsającym błaganiem o pieniądze. Chłopak znowu był na prochach, na ulicy, bliski wpakowania się w kłopoty.

Każdy waszyngtoński prawnik zajmujący się sprawami karnymi miał do opowiedzenia podobną historię, a wszystkie kończyły się źle i nic nie dało się z tym zrobić. Koszt utrzymania jednego więźnia wynosił czterdzieści jeden tysięcy dolarów rocznie. Dlaczego twórcom tego systemu tak bardzo zależało na trwonieniu pieniędzy?

Clay miał już dość tych pytań, miał dość zawodowych kontaktów z takimi klientami jak Tigger, miał dość tego więzienia i tych samych gburowatych strażników witających go przy wejściu w podziemiach, z którego korzystali prawie wszyscy prawnicy. Miał również dość zapachu tego miejsca i idiotycznych procedur wprowadzonych przez gryzipiórków, którzy przeczytali podręczniki traktujące o sposobach zapewnienia bezpieczeństwa w więzieniach. Była dziewiąta rano, środa, chociaż dla Claya wszystkie dni były takie same. Podszedł do okienka z tabliczką „Adwokaci” i gdy urzędniczka nabrała pewności, że odczekał swoje, odsunęła w milczeniu szybę. Słowa nie były potrzebne, ponieważ oboje od niemal pięciu lat patrzyli na siebie wilkiem. Podpisał się w rejestrze, oddał go, a ona zasunęła szybę – zapewne kuloodporną, dla ochrony przed szalejącymi

prawnikami.

Glenda poświęciła dwa lata na próby wdrożenia prostej metody, dzięki której prawnicy z BOP-u i wszyscy inni odwiedzający mogliby telefonować godzinę przed przybyciem, a ich klienci czekaliby na nich w pobliżu pokoju widzeń. Było to proste życzenie i bez wątpienia właśnie jego prostota sprawiła, że przepadło w piekielnej biurokratycznej otchłani.

Pod ścianą stały krzesła, na których prawnicy mieli czekać, aż ich prośba zostanie przesłana w żółwim tempie do kogoś na górze. O dziewiątej rano zawsze siedziało tam kilku prawników bawiących się aktami, szepczących do telefonów komórkowych i ignorujących siebie nawzajem. Na początku kariery zawodowej młody Clay przynosił grube prawnicze księgi, by studiować je z przejęciem, zaznaczać w nich na żółto fragmenty tekstu i w ten sposób robić wrażenie na kolegach prawnikach. Teraz wyciągnął „Posta" i czytał rubrykę sportową. I jak zawsze zerkał na zegarek, by sprawdzić, ile czasu zmarnuje, czekając na Watsona.

Dwadzieścia cztery minuty. Całkiem nieźle.

Strażnik poprowadził go korytarzem do długiego pokoju przedzielonego grubą taflą pleksiglasu. Wskazał na czwarty boks od końca i Clay zajął w nim miejsce. Druga połowa boksu była pusta. Kolejne minuty czekania. Wyjął z teczki papiery i zaczął się zastanawiać nad pytaniami, jakie zada Tequili. Boks z prawej strony był zajęty przez jakiegoś adwokata pochłoniętego nerwową, lecz cichą rozmową z niewidocznym dla Cartera klientem.

Strażnik wrócił i szeptem, jakby taka rozmowa była niezgodna z prawem, powiedział:

– Pański chłopak miał fatalną noc. – Przykucnął przy tym i spojrzał na kamery monitoringu.

– Rozumiem – odparł Clay.

– Około drugiej nad ranem rzucił się na jakiegoś dzieciaka i wszczął ostrą burdę. Trzeba było sześciu naszych ludzi, żeby ich rozdzielić. Jest w opłakanym stanie.

– Tequila?

– Watson, to on. Ten drugi wylądował w szpitalu. Może się pan spodziewać dodatkowych zarzutów.

– Jest pan pewny? – zapytał Carter, spoglądając przez ramię.

– Wszystko jest na wideo. – Koniec rozmowy.

Obaj podnieśli wzrok, gdy Tequila został doprowadzony do boksu przez dwóch strażników trzymających go pod łokcie. Był w kajdankach i nie rozkuto go, chociaż zazwyczaj więźniowie mogli rozmawiać z adwokatami niczym nieskrępowani. Watson usiadł. Strażnicy odsunęli się wprawdzie, ale pozostali w pobliżu.

Lewe oko miał zapuchnięte, w obu kącikach zakrzepła krew. Prawe było otwarte, a jego źrenica miała jasnoczerwony kolor. Na czole przyklejono mu plastrem gazowy

opatrunek, a na podbródku motylek. Wargi i szczęki Watsona były tak obrzmiałe, że Clay nie był pewny, czy to naprawdę jego klient. Ktoś po prostu sprał człowieka siedzącego o trzy stopy od niego za taflą pleksi na kwaśnie jabłko.

Clay podniósł czarną słuchawkę i ruchem ręki zachęcił Tequilę, by zrobił to samo. Watson wziął ją niezdarnie obiema rękami.

– Nazywasz się Tequila Watson? – zapytał Clay, próbując na tyle, na ile było to możliwe, patrzeć mu w oczy.

Watson bardzo powoli skinął głową, jakby w jego czaszce przemieszczały się wyrwane ze stawów kości.

– Byłeś u lekarza?

Skinienie głową.

– Czy to policjanci tak cię urządzili?

Bez wahania pokręcił głową. Nie.

– To sprawka współwięźniów?

I znowu skinienie głową.

– Policja twierdzi, że to ty wszczęłeś tę bójkę, pobiłeś jakiegoś dzieciaka tak, że wylądował w szpitalu. To prawda?

Skinienie głową.

Trudno było sobie wyobrazić, że Tequila Watson, siedemdziesiąt kilo żywej wagi, terroryzował ludzi w zatłoczonej celi waszyngtońskiego więzienia.

– Znałeś tego chłopaka?

Przeczący ruch głową.

Dotychczas słuchawka nie była potrzebna, ale Clay miał już dosyć tego języka migowego.

– Dlaczego właściwie go pobiłeś?

Wargi Watsona w końcu rozwarły się z wielkim trudem.

– Nie wiem – zdołał wymamrotać powoli i z wyraźnym bólem.

– Wspaniale. To mi daje jakiś punkt zaczepienia. Może działałeś w obronie własnej? Czy ten chłopak dobierał się do ciebie? Pierwszy zadał cios?

– Nie.

– Był naćpany lub pijany?

– Nie.

– Przekomarzał się z tobą, rzucał groźby albo coś podobnego?

– Spał.

– Spał?

– Tak.

– Chrapał za głośno? Nieważne.

Adwokat, który nagle musiał zapisać coś w notesie, spuścił wzrok. Nagryzmolił datę, godzinę, miejsce, nazwisko swojego klienta, po czym skończyły się ważne fakty

do odnotowania. W pamięci przechowywał sto pytań, a po nich sto kolejnych. W takich wstępnych rozmowach rzadko się zmieniały; po prostu zasadnicze wydarzenia z nędznego życia jego klienta i to, jak doszło do ich spotkania. Prawda była strzeżona niczym rzadkie klejnoty, które należało podawać przez pleksi tylko wtedy, gdy klientowi nic nie groziło. Na pytania o rodzinę, szkołę, pracę i przyjaciół zwykle padały dość szczere odpowiedzi. Lecz pytania związane z przestępstwem skłaniały do kręcenia. Wszyscy obrońcy w sprawach karnych wiedzieli, że podczas pierwszych rozmów nie mogą rozwodzić się zbytnio na temat przestępstwa. Że mają szukać szczegółów gdzie indziej. Prowadzić śledztwo bez wskazówek klienta. Prawda może pojawić się potem.

Jednak Tequila wydawał się zupełnie inny. Na razie nie bał się mówić prawdy. Clay postanowił zaoszczędzić mnóstwo cennego czasu. Pochylił się bliżej i spytał cicho:

– Zabiłeś ponoć jakiegoś chłopaka, wpakowałeś mu kilka kulek w głowę?

Watson skinął lekko głową.

– Ramóna Pumphreya, nazywanego również Dynią. Znałeś tego gościa?

Skinienie głową.

– Strzelałeś do niego? – Głos Claya przeszedł w szept. Strażnicy drzemali, ale to pytanie pozostawało pytaniem, którego prawnicy nie zadawali, w każdym razie nie w więzieniu.

– Tak – odparł cicho Tequila.

– Pięć razy?

– Wydawało mi się, że sześć.

Cóż, no to po procesie. Zamknę tę sprawę w ciągu sześćdziesięciu dni, pomyślał Clay. Szybka umowa z prokuraturą. Przyznanie się do winy w zamian za dożywocie.

– Chodziło o jakąś transakcję narkotykową? – zapytał.

– Nie.

– Obrabowałeś go?

– Nie.

– Pomóż mi. Miałeś chyba jakiś powód?

– Znałem go.

– To wszystko? Znałeś go? Nie masz lepszego usprawiedliwienia?

Watson skinął głową, ale milczał.

– Dziewczyna, prawda? Przyłapałeś go ze swoją dziewczyną?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

– Czy to miało coś wspólnego z seksem?

– Nie.

– Porozmawiaj ze mną. Jestem twoim adwokatem. Jestem jedyną osobą na tej planecie, która właśnie próbuje ci pomóc. Daj mi jakiś punkt zaczepienia.

– Kiedyś kupowałem od Dyni narkotyki.

– To rozumiem. Jak dawno temu?

– Parę lat.

– W porządku. Był ci winien pieniądze lub narkotyki? Ty byłeś mu coś winien?

– Nie.

Clay odetchnął głęboko i po raz pierwszy zwrócił uwagę na dłonie Tequili, pokryte drobnymi skaleczeniami i spuchnięte tak bardzo, że nie widać było knykci.

– Często się bijesz?

Może skinienie głową, może zaprzeczenie.

– Już nie.

– Kiedyś się biłeś?

– Dziecinne igraszki. Raz pobiłem się z Dynią.

Nareszcie. Clay znów odetchnął głęboko i uniósł długopis.

– Dziękuję za pomoc. Kiedy dokładnie?

– Dawno temu.

– Ile mieliście wtedy lat?

Wzruszenie ramion w odpowiedzi na głupie pytanie. Clay wiedział z doświadczenia, że jego klienci nie znają pojęcia czasu. Obrabowano ich wczoraj lub aresztowano w zeszłym miesiącu, ale sięgnij trzydzieści dni wstecz, a cała historia zlewa się w jedno. Uliczne życie było walką o przetrwanie dzisiaj, bez czasu na reminiscencje i bez tęsknoty za czymkolwiek z przeszłości. Przyszłość nie istniała, więc ten punkt odniesienia był podobną niewiadomą.

– Byliśmy dziećmi – odparł Tequila, najwyraźniej nawykły do zwięzłych odpowiedzi.

– Ile mieliście lat?

– Ze dwanaście.

– Pobiliście się w szkole?

– Grając w kosza.

– Czy ta bójka miała paskudne skutki, skaleczenia, połamane kości i podobne historie?

– Nie. Rozdzielili nas dorośli.

Clay odłożył na chwilę słuchawkę i streścił swoją mowę obrończą: „Panie i panowie przysięgli, mój klient strzelił z kradzionej broni pięć lub sześć razy do człowieka (który nie był uzbrojony) z bliskiej odległości w brudnym zaułku z dwóch powodów: po pierwsze, rozpoznał go, a po drugie, osiem lat temu pobili się na boisku. Może nie zabrzmi to przekonująco, panie i panowie, ale przecież wszyscy wiemy, że w Dystrykcie Columbii te dwa powody są nie gorsze od innych”.

– Często widywałeś Dynię?

– Nie.

– Kiedy widziałeś go przedostatnim razem?

Wzruszenie ramion. Znowu problem z poczuciem czasu.

– Widywałeś go raz na tydzień?
– Nie.
– Raz na miesiąc?
– Nie.
– Dwa razy do roku?
– Być może.
– Gdy widziałeś się z nim dwa dni temu, pokłóciliście się? Pomóż mi, próbuję poznać szczegóły.
– Nie pokłóciliśmy się.
– Dlaczego weszliście w ten zaułek?

Tequila odłożył słuchawkę i zaczął bardzo powoli poruszać głową w przód i w tył, żeby obmyślić jakieś dziwaczne wytłumaczenie. Było widać, że cierpi. Wydawało się, że kajdanki wrzynają mu się w skórę. Gdy znowu podniósł słuchawkę, rzekł:

– Powiem panu prawdę. Miałem broń i chciałem kogoś zabić. Kogokolwiek. Opuściłem Obóz i po prostu zacząłem łazić bez celu, szukając kogoś, kogo mógłbym zastrzelić.

O mało nie zabiłem jakiegoś Koreańczyka przed jego sklepem, ale w pobliżu było za dużo ludzi. Spostrzegłem Dynię. Znałem go. Spacerowaliśmy przez minutę. Powiedziałem, że jeśli chce działkę, to mam trochę koki. Weszliśmy w ten zaułek. I zastrzeliłem chłopaka. Nie wiem dlaczego. Po prostu chciałem kogoś zabić.

Gdy stało się jasne, że to już koniec opowieści, Clay zapytał:

– Co to jest Obóz?
– Ośrodek odwykowy. Tam właśnie byłem.
– Jak długo?

Znowu problem czasu. Ale odpowiedź okazała się wielką niespodzianką.

– Sto piętnaście dni.
– Przez sto piętnaście dni nic nie brałeś?
– Nie.
– Byłeś czysty, gdy strzelałeś do Dyni?
– Tak. I wciąż jestem. Od stu szesnastu dni.
– Czy zastrzeliłeś kogoś już wcześniej?
– Nie.
– Gdzie zdobyłeś broń?
– Ukradłem ją z domu kuzyna.
– Czy Obóz to ośrodek zamknięty?
– Tak.
– Uciekłeś?
– Dostawałem dwugodzinne przepustki. Po stu dniach odwyku można wyjść na dwie godziny, a potem wrócić.

– Więc wyszedłeś z Obozu, trafiłeś do domu kuzyna, ukradłeś broń, po czym zacząłeś spacerować po ulicach, szukając potencjalnej ofiary, i znalazłeś Dynię?

Przy końcu pytania Tequila zaczął kiwać głową.

– Tak się właśnie stało. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, bo sam nie wiem. Po prostu nie wiem.

W zaczerwienionym prawym oku Tequili chyba pojawiły się łzy, być może pod wpływem poczucia winy i wyrzutów sumienia, ale Carter nie był tego pewny. Wyjął z teczki jakieś dokumenty i wsunął je przez otwór w przegrodzie.

– Podpisz to przy tych czerwonych ptaszkach. Wrócę za parę dni.

Tequila zignorował dokumenty.

– Co się ze mną stanie? – zapytał.

– O tym porozmawiamy później.

– Kiedy będę mógł wyjść?

– Chyba nieprędko.

Rozdział 4

Ludzie prowadzący Obóz nie widzieli potrzeby stronienia od problemów. Nie próbowali uciec ze strefy działań wojennych, z której zabierali swoje ofiary. Żadnego zacisznego obiektu na wsi. Żadnej ustronnej kliniki w lepszej części miasta. Ich pensjonariusze przychodzili z ulicy i na ulicę wracali.

Obóz, widoczny z szeregu pozamykanych na głucho bliźniaków, z których czasem korzystali dealerzy narkotyków, wychodził na W Street w północnym Waszyngtonie. Nieopodal znajdował się cieszący się złą sławą pusty teren dawnej stacji benzynowej. To tutaj dealerzy spotykali się z hurtownikami i nie kryjąc się, dokonywali wymiany. Według nieoficjalnych danych policji na tej działce znajdowano więcej nafaszerowanych ołowiem zwłok niż w jakimkolwiek innym miejscu w Waszyngtonie.

Clay jechał powoli ulicą. Drzwi samochodu miał zablokowane, dłonie zaciśnięte na kierownicy, oczy strzelały na wszystkie strony, uszy nasłuchiwały nieuchronnego odgłosu wymiany ognia. W tym getcie biały stanowił oczywisty cel ataku niezależnie od pory dnia.

Budynek Obozu Wyzwolenia był kiedyś magazynem, dawno opuszczonym przez tych, którzy ostatnio używali go do składowania czegoś, przeznaczonym przez miasto do rozbiórki, a potem sprzedanym na licytacji za kilka dolarów organizacji *non profit*, która jakoś dostrzegła możliwość jego wykorzystania. Czerwone cegły tej zwalistej budowli były pomalowane rdzawoczerwoną farbą od chodnika aż po dach, a niższe partie ścian przemalowali okoliczni specjaliści od graffiti. Ciągnęły się wzdłuż ulicy przez cały kwartał. Wszystkie drzwi i okna zostały zabetonowane i zamalowane, tak że ogrodzenie i drut kolczasty nie były potrzebne. Każdy, kto chciał uciec z Obozu, musiałby mieć młot, dłuto i cały dzień na nieprzerwaną ciężką pracę.

Clay zaparkował hondę accord przed budynkiem i zastanawiał się, czy ma uciec, czy wysiąść. Nad grubymi dwuskrzydłowymi drzwiami wisiał mały szyld z napisem: „Obóz Wyzwolenia. Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. Jakby ktoś mógł wejść do środka lub mieć na to ochotę. W pobliżu kręcił się typowy zestaw ulicznych postaci: paru młodych oprychów, zapewne przewożących w samochodzie prochy i arsenał broni wystarczający, by powstrzymać atak policji, pijaczkowie słaniający się w tandemie, ludzie wyglądający na członków rodziny czekających na widzenie z krewnymi przebywającymi w Obozie. Dzięki swojej pracy Carter trafiał do większości nieodpowiednich miejsc w Waszyngtonie i nauczył się zachowywać tak, jakby nie czuł strachu. Jestem adwokatem. Przybyłem tutaj służbowo. Zejdźcie mi z drogi. Nie rozmawiajcie ze mną. W ciągu

pięciu lat pracy w biurze jeszcze nikt do niego nie strzelał.

Zostawił samochód przy krawężniku. Robiąc to, ze smutkiem przyznał, że jego niewielkie auto zwabiłoby niewielu z oprychów na tej ulicy, o ile w ogóle zwróciłoby ich uwagę. Miało dwanaście lat i prawie dwieście tysięcy mil przebiegu. Weźcie je sobie, myślał.

Wstrzymał oddech i zignorował zaciekawione spojrzenia chodnikowej szajki. W promieniu dwóch mil nie ma żadnej innej bladej twarzy, stwierdził. Przycisnął guzik przy drzwiach i z domofonu dobiegł trzeszczący głos:

– Kto tam?

– Nazywam się Clay Carter. Jestem adwokatem. Byłem umówiony na spotkanie z Talmadge'em X o jedenastej. – Wymówił to imię wyraźnie, wciąż przekonany, że to jakaś pomyłka. Przez telefon poprosił sekretarkę o przeliterowanie nazwiska pana X, a ona dość opryskliwie odparła, że to wcale nie jest nazwisko. A co to jest? X. Podoba się czy nie, tak już zostanie.

– Chwileczkę – odparł głos i Clay czekał. Gapił się na drzwi, próbując rozpaczliwie ignorować otoczenie. Na lewo od siebie wyczuł poruszenie, niedaleko.

– Słuchaj, człowieku, jesteś prawnikiem? – padło pytanie zadane piskliwym głosem przez młodego Murzyna, na tyle głośno, że wszyscy słyszeli.

Clay odwrócił się i spojrzał w modne okulary przeciwsłoneczne swojego prześladowcy.

– Tak – odparł spokojnie.

– Nie jesteś żadnym prawnikiem – stwierdził młody mężczyzna. Za nim zebrała się niewielka zgraja gapiów.

– Niestety jestem.

– Człowieku, to niemożliwe.

– Wykluczone – potwierdził jeden z nich.

– Na pewno jesteś prawnikiem?

– Tak – odparł Clay, godząc się na tę grę.

– Skoro jesteś prawnikiem, to dlaczego jeździsz takim gównianym autem?

Clay nie był pewny, co bardziej zabolało – ich śmiech czy prawdziwość tego stwierdzenia.

– Moja żona jeździ mercedesem – oświadczył, tą marną próbką poczucia humoru pogarszając tylko sytuację.

– Nie masz żony. Nie nosisz obrączki.

Co jeszcze zauważyli? – zastanawiał się Clay. Śmiali się jeszcze, gdy jedno skrzydło drzwi otworzyło się z trzaskiem. Zdołał przejść niedbale przez próg budynku, zamiast czmychnąć w bezpieczne miejsce. Recepcja Obozu wyglądała jak bunkier z betonową posadzką, ścianami z pustaków i metalowymi drzwiami. Okien nie było, sufit wisiał nisko, paliło się kilka lamp, brakowało tylko worków z piaskiem i broni. Za długim sto-

łem z demobilu siedziała recepcjonistka odbierająca dwa telefony.

– Będzie za chwilę – poinformowała, nie podnosząc wzroku.

Talmadge X był bardzo poważnym żylastym mężczyzną około pięćdziesiątki, bez grama tłuszczu na szczupłym ciele i bez cienia uśmiechu na pomarszczonej i postarzałej twarzy. Oczy miał duże i zranione, oszpecone dziesiątkami lat ulicznej egzystencji. Miał też bardzo czarną skórę i śnieżnobiałe ubranie – wykrochmaloną bawełnianą koszulę i ogrodniczki. A na nogach czarne żołnierskie buty wyglansowane do połysku. Jego zupełnie łysa głowa również połyskiwała.

Wskazał jedyne krzesło w swoim prowizorycznym gabinecie i zamknął drzwi.

– Przyniósł pan papiery? – zapytał nagle. Najwyraźniej nie miał talentu do pogaduszek.

Clay wręczył mu potrzebne dokumenty, każdy opatrzony nieczytelnym podpisem zakutego w kajdanki Tequili Watsona. Talmadge X przeczytał je wszystkie dokładnie. Carter zauważył, że nie nosi zegarka i nie lubi zegarów. Czas został za progiem budynku.

– Kiedy je podpisał?

– Są opatrzone dzisiejszą datą. Widziałem się z nim w więzieniu mniej więcej przed dwiema godzinami.

– I jest pan jego obrońcą z urzędu? Oficjalnie?

Ten człowiek niejeden raz miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości.

– Tak. Wyznaczonym przez sąd, przydzielonym przez Biuro Obrońcy Publicznego.

– Glenda wciąż tam pracuje?

– Owszem.

– Znamy się kopę lat. – Na tym miała się zakończyć luźna pogawędka.

– Wiedział pan o tej strzelaninie? – zapytał Clay, wyjmując z teczki notes.

– Dowiedziałem się przed godziną, gdy pan zadzwonił. Wiedzieliśmy, że wyszedł we wtorek i nie wrócił, wiedzieliśmy, że coś się stało, ale z drugiej strony takie sytuacje nie są dla nas zaskoczeniem. – Mówił powoli i precyzyjnie, często mrugał, ale ani razu nie odwrócił wzroku. – Niech pan mi powie, co się stało.

– Wszystkie te informacje są poufne, jasne? – upewnił się Clay.

– Jestem jego opiekunem. A także duszpasterzem. Pan jest jego adwokatem. Wszystko, co zostanie powiedziane w tym pokoju, nie wyjdzie poza jego ściany. Umowa stoi?

– Stoi.

Clay podał szczegóły, które dotychczas zebrał, z opisem wydarzeń w wersji Watsona włącznie. Z punktu widzenia przepisów i etyki nie powinien nikomu ujawniać zeznań swojego klienta, ale kto tak naprawdę by się tym przejmował? Talmadge X wiedział o Tequili Watsonie zdecydowanie więcej, niż Clay mógł się kiedykolwiek dowiedzieć.

W trakcie opowieści, w miarę poznawania przebiegu wydarzeń, Talmadge spuścił wzrok i zamknął oczy. Odchylił głowę, jakby chciał zapytać Boga, dlaczego do tego do-

szło. Odpłynął gdzieś, pogrążony w zadumie i bardzo zmartwiony.

Gdy Clay skończył, Talmadge X zapytał:

– W czym mogę pomóc?

– Chciałbym zobaczyć jego akta. Dał mi upoważnienie.

Teczka z aktami leżała na biurku przed Talmadge'em X.

– Później. Najpierw porozmawiajmy. Co chce pan wiedzieć?

– Zacznijmy od Tequili. Skąd pochodzi?

Talmadge, gotów pomóc, znowu spojrzał mu w oczy.

– Z ulicy, tak samo jak oni wszyscy. Został do nas skierowany przez opiekę społeczną jako beznadziejny przypadek. Żadnej bliższej rodziny. Ojca nie znał, matka zmarła na AIDS, gdy miał trzy lata. Wychowywany przez kilka ciotek, przekazywany kolejnym krewnym, w rodzinach zastępczych w różnych miejscach, wędrówki po sądach i domach dziecka. Rzucił szkołę. Przypadek w sam raz dla nas.

Wie pan coś o Obozie Wyzwolenia?

– Nie.

– Dostajemy trudne przypadki, nałogowych ćpunów. Zamykamy ich na wiele miesięcy, stwarzamy im warunki jak w obozie dla rekrutów. Pracuje nas tu ośmiu, ośmiu opiekunów. Wszyscy jesteśmy narkomanami, bo kto raz stał się narkomanem, zostaje nim na zawsze, ale pewnie pan o tym wie. Czterech z nas jest teraz duszpasterzami. Odsiedziałem trzynaście lat za narkotyki i rozbój, po czym odnalazłem Jezusa. Tak czy inaczej, specjalizujemy się w odwyku dla młodych kokainistów, którym nikt inny nie umie pomóc.

– Tylko kokainistów?

– Kokaina w krystalicznej postaci to narkotyk, człowieku. Tani, jest go pod dostatkiem, na kilka minut odrywa cię od codziennego życia. Gdy już zaczniesz, nie możesz rzucić.

– Niewiele potrafił mi powiedzieć o swej przestępczej przeszłości.

Talmadge X otworzył teczkę i przerzucił kartki.

– Pewnie dlatego, że niewiele pamięta. Przez lata chodził naćpany. Proszę: szereg drobnych przestępstw, gdy był nieletni, rabunek, kradzieże samochodów, to, co zwykle wszyscy robiliśmy, żeby móc kupować narkotyki. W wieku osiemnastu lat odsiedział cztery miesiące za kradzież w sklepie. W zeszłym roku wsadzili go na trzy miesiące za posiadanie. Niezła kartoteka jak na jednego z nas. Żadnych aktów przemocy.

– Ile ciężkich przestępstw?

– Niczego takiego tu nie widzę.

– To chyba pomoże – uznał Clay. – W pewnym sensie.

– Wygląda na to, że nic nie pomoże.

– Dowiedziałem się, że było co najmniej dwóch świadków.

Nie jestem optymistą.

– Przyznał się policjantom?

– Nie. Powiedzieli mi, że gdy go złapali, zamknął się w sobie i nic nie mówił.

– Rzadko tak bywa.

– To prawda – przyznał Clay.

– Zanosi się na dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego – orzekł Talmadge X, głos doświadczenia.

– Bez dwóch zdań.

– Dla nas to nie koniec świata, mecenasie. Życie w więzieniu pod wieloma względami jest lepsze od tego na ulicy. Mam wielu kumpli, którzy takie wolą. Smutne jest to, że Tequila był jednym z nielicznych, któremu mogło się udać.

– A to dlaczego?

– Chłopak ma olej w głowie. Gdy oczyściliśmy mu organizm i doszedł do siebie, bardzo dobrze czuł się w swojej skórze. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu był trzeźwy. Nie umiał czytać, więc go nauczyliśmy. Lubił rysować, więc zachęcaliśmy go do tego. Tutaj nigdy nie wpadamy w ekscytację, ale Tequila sprawił, że byliśmy dumni. Z oczywistych powodów myślał nawet o zmianie imienia.

– Nigdy nie wpadacie w ekscytację?

– Tracimy sześćdziesiąt sześć procent, mecenasie. Dwie trzecie. Przyjmujemy ich tutaj ledwo żywych, odurzonych, z ciałami i umysłami zatrutymi crackiem, niedożywionych, a nawet wygłodzonych, z wysypką, wypadającymi włosami, najbardziej chorych ćpunów, jakich potrafi stworzyć Waszyngton, i podtuczamy ich, odtruwamy, poddajemy podstawowemu szkoleniu. Wstają o szóstej rano, sprzątają pokoje i czekają na kontrolę, śniadanie o wpół do siódmej, po czym bezustanne pranie mózgu przez grupę bezlitosnych opiekunów, którzy kiedyś wszyscy byli dokładnie w tym samym miejscu, bez wciskania kitu… przepraszam za kolokwializm… nawet nie próbujcie nas oszukać, bo wszyscy sami oszukiwaliśmy. Po miesiącu są czyści i bardzo dumni. Nie tęsknią za światem zewnętrznym, bo nie czeka ich tam nic dobrego… ani praca, ani rodziny, nikt ich nie kocha. Łatwo wyprać im mózgi, a my jesteśmy nieustępliwi. Po trzech miesiącach możemy, w zależności od pacjenta, zaczynać wyprowadzać ich z powrotem na ulicę na parę godzin dziennie. Dziewięciu na dziesięciu wraca, pragnąc wrócić do swoich pokoików. Trzymamy ich przez rok, mecenasie. Dwanaście miesięcy, ani dnia krócej. Próbujemy ich trochę wyedukować, może podszkolić trochę w obsłudze komputerów. Usilnie staramy się znaleźć im pracę. Gdy kończą szkołę, wszyscy płaczemy z radości. Opuszczają Obóz i po niespełna roku dwie trzecie z nich znowu zażywa kokainę i zmierza do rynsztoka.

– Przyjmujecie ich z powrotem?

– Rzadko. Gdy wiedzą, że mogą wrócić, częściej dają ciała.

– Co się dzieje z resztą?

– Po to tu jesteśmy, panie mecenasie. Właśnie dlatego jestem opiekunem. Ci ludzie,

podobnie jak ja, przeżywają wśród ludzi i robią to z niezrozumiałą dla innych zawziętością. Wróciliśmy z piekła, a to paskudna droga. Wielu z ocalonych przez nas pracuje z innymi narkomanami.

– Ile osób możecie przyjąć?

– Mamy osiemdziesiąt łóżek, wszystkie zajęte. Miejsca jest na dwa razy tyle, ale nigdy nie ma wystarczająco dużo forsy.

– Kto daje wam fundusze?

– Osiemdziesiąt procent to subwencje od władz federalnych i nigdy nie ma gwarancji, że będą w następnym roku. Resztę wypraszamy od prywatnych fundacji. Jesteśmy zbyt zajęci pracą, by móc zebrać dużo pieniędzy.

Clay przewrócił kartkę i nadal notował.

– Nie ma ani jednego krewnego, z którym mógłbym porozmawiać?

Talmadge X przerzucił akta, kręcąc głową.

– Może jest gdzieś jakaś ciotka, ale proszę nie oczekiwać zbyt wiele. Nawet gdyby pan ją odszukał, jak mogłaby panu pomóc?

– Nie mogłaby. Ale warto mieć kontakt z kimś z rodziny.

Talmadge X nadal przeglądał zawartość teczki, jakby o czymś myślał. Clay podejrzewał, że szuka zapisów, które należy usunąć przed jej przekazaniem.

– Kiedy będę mógł je zobaczyć? – zapytał Carter.

– Może jutro? Chciałbym najpierw to przejrzeć.

Carter wzruszył ramionami. Skoro Talmadge X powiedział jutro, to zobaczy je jutro.

– No dobrze, panie mecenasie. Nie rozumiem, jaki miał motyw. Proszę mi wyjaśnić, dlaczego zabił.

– Nie potrafię. Niech pan mi wyjaśni. Zna go pan od prawie czterech miesięcy. Nigdy nie był karany za akty przemocy lub użycie broni. Nie wykazywał żadnej skłonności do bójek. Wygląda na to, że był wzorowym pacjentem. Pan widział już wszystko. Niech pan mi to wyjaśni.

– Widziałem różne rzeczy – przyznał Talmadge X z jeszcze większym smutkiem w oczach. – Ale takiego przypadku nigdy. Ten chłopak bał się przemocy. Tutaj nie tolerujemy bójek, ale mężczyźni są jak dzieci i zawsze zdarzają się przypadki rytualnego zastraszania. Tequila zaliczał się do słabeuszy. To niemożliwe, żeby wyszedł stąd, ukradł broń, wybrał przypadkową ofiarę i zabił. I żeby rzucił się na człowieka w więzieniu i posłał go do szpitala. Po prostu w to nie wierzę.

– Cóż więc mam powiedzieć przysięgłym?

– Jakim przysięgłym? Przecież pan wie, że on musi przyznać się do winy. Już go nie ma, resztę życia spędzi za kratkami. Jestem pewny, że ma tam sporo znajomych.

Nastąpiła długa przerwa w rozmowie, która Talmadge’owi X chyba w ogóle nie przeszkadzała. Zamknął teczkę i odsunął ją od siebie. Spotkanie dobiegało końca. Ale to Clay był gościem. Nadeszła pora, by wyjść.

– Wrócę jutro – rzekł. – O której?

– Po dziewiątej – odparł Talmadge X. – Odprowadzę pana.

– Nie ma potrzeby – powiedział Clay, zachwycony tą propozycją.

Szajka przed budynkiem powiększyła się i wyglądało na to, że czeka na powrót adwokata. Jej członkowie siedzieli na masce i opierali się o karoserię hondy, która wciąż stała przy krawężniku i wciąż nie była uszkodzona. Bez względu na to, jak zamierzali się zabawić, na widok Talmadge'a X szybko zapomnieli o swoich planach. Szybkim ruchem głowy rozproszył szajkę i Clay nietknięty i przerażony perspektywą powrotu nazajutrz szybko odjechał.

Minął osiem przecznic i trafił na Lamont Street, po czym odnalazł róg Georgia Avenue, gdzie zatrzymał na chwilę samochód, żeby się rozejrzeć. W okolicy nie brakowało zaułków, w których można było zginąć od pocisku, i Clay ani myślał szukać śmierci. Okolica była równie wymarła jak ta, którą właśnie opuścił. Wróci tu później z Rodneyem, czarnoskórym asystentem, który zna te ulice, i wtedy będą węszyli i zadawali pytania.

Rozdział 5

Potomac Country Club w McLean w stanie Wirginia założyli przed stu laty zamożni ludzie, którymi wzgardzono w innych klubach. Bogacze mogą tolerować niemal wszystko, ale nie odrzucenie. Banici wsadzili swoje pokaźne zasoby w Potomac i stworzyli najlepszy klub na obszarze Dystryktu Columbii. Wyciągnęli kilku senatorów z konkurencyjnych klubów, skusili inne znakomitości i niebawem Potomac zyskał powszechne poważanie. Gdy już miał wystarczająco dużo członków, by utrzymać się ze składek, zaczął stosować obowiązkową praktykę wykluczania innych. Chociaż nadal nazywano go nowym klubem, wyglądał i działał podobnie jak reszta.

Różnił się jednak od nich pod jednym istotnym względem: szefowie Potomacu nigdy nie negowali tego, że członkostwo w nim można kupić za gotówkę, jeżeli tylko kandydat ma wystarczająco dużo pieniędzy. Zapomnijcie o listach oczekujących, komisjach selekcyjnych i tajnych głosowaniach rady do spraw przyjęć.

Gdy ktoś niedawno sprowadził się do Dystryktu Columbii lub gdy nagle się wzbogacił, mógł z dnia na dzień uzyskać prestiż i wysoką pozycję, jeżeli tylko wypisał czek na dostatecznie wysoką sumę. W rezultacie Potomac miał najlepsze pole golfowe, korty tenisowe, baseny, lokale klubowe, jadalnię, wszystko, czego mógłby pragnąć ambitny zarząd country clubu.

Z tego, co Clay wiedział, Bennett Van Horn wystawił czek na dużą sumę. Bez względu na to, kogo udawał w tej chwili Clay, jego rodzice nie mieli pieniędzy i z pewnością nie zostaliby przyjęci do Potomacu. Jego ojciec pozwał Bennetta do sądu przed osiemnastu laty w sprawie niekorzystnej umowy sprzedaży nieruchomości w Alexandrii. Bennett był wówczas chełpliwym pośrednikiem w handlu nieruchomościami z masą długów i bardzo niewielką liczbą aktywów wolnych od obciążeń. Nie był jeszcze członkiem Potomac Country Clubu, chociaż teraz zachowywał się tak, jakby się tam urodził.

Bennett Buldożer trafił na żyłę złota pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy dokonał najazdu na faliste wzgórza wirginijskiej prowincji. Dokonano transakcji. Znaleziono wspólników. Nie on wynalazł metodę budowy osiedli na zgliszczach lasów, ale z pewnością ją udoskonalił. Na dziewiczych wzgórzach postawił centra handlowe. Koło świętego pola bitwy zbudował osiedle. Zrównał z ziemią całą wioskę pod jedno z planowanych osiedli: bloki mieszkalne, duże i małe domy, park w centrum z płytkim błotnistym stawem, dwa korty tenisowe, urocza mała dzielnica handlowa, która ładnie wyglądała w biurze architektonicznym, ale nigdy nie została zbudowana. Jak na ironię, chociaż

Bennett ironii nie wyczuwał, nazwał swoje szablonowe projekty od okolicy, którą niszczył: Faliste Łąki, Szepczące Dęby, Leśne Wzgórza i tym podobne. Dołączył do innych speców od zabudowy przedmieść i prowadził w legislaturze stanowej w Richmond kampanię na rzecz zwiększenia nakładów na nowe drogi, aby można było klecić naprędce nowe osiedla i zwiększać ruch. Czyniąc to, stał się figurą w politycznej grze i jego mniemanie o sobie bardzo wzrosło.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Grupa BVH dynamicznie się rozwijała, a wpływy rosły w nieco szybszym tempie niż raty spłacanych pożyczek. Bennett i jego żona Barb kupili dom w eleganckiej dzielnicy McLean. Wstąpili do Potomac Country Clubu i zadomowili się tam. I bardzo starali się sprawiać wrażenie, że zawsze mieli pieniądze.

W 1994 roku – zgodnie z aktami komisji papierów wartościowych, które Clay studiował pilnie i których kopie zachował – Bennett postanowił wprowadzić swoją firmę na giełdę i zebrać dwieście milionów dolarów. Zamierzał wykorzystać te pieniądze na spłatę części zadłużenia, ale, co ważniejsze, na „inwestycję we wspaniałą przyszłość północnej Wirginii". Innymi słowy, w kolejne buldożery, kolejne osiedla na zgliszczach lasów. Myśl o Bennetcie Van Hornie z taką gotówką bez wątpienia uradowała miejscowych przedstawicieli handlowych Caterpillara. Powinna też przerazić lokalne władze, ale te spały.

Dzięki bankierowi inwestującemu w papiery wartościowe niskiego ryzyka akcje firmy BVHG ruszyły z rykiem z bloków startowych po cenie dziesięć dolarów za akcję i osiągnęły wartość szesnaście i pół dolara. Niezły wynik, ale znacznie odbiegający od przewidywań twórcy i dyrektora spółki. Tydzień przed sprzedażą udziałów w ofercie publicznej Bennett chełpił się w „Daily Profit", lokalnym brukowcu biznesowym, że „chłopcy na Wall Street są pewni, iż cena osiągnie poziom czterdziestu dolarów za akcję". W obrocie wolnorynkowym ceny spłynęły z obłoków na ziemię i wylądowały z hukiem na poziomie sześciu dolarów. Bennett nie chciał pozbyć się części udziałów, jak robią to wszyscy rozsądni przedsiębiorcy. Zachował wszystkie ze swoich czterech milionów akcji i przyglądał się, jak wartość rynkowa jego firmy spada z sześćdziesięciu sześciu milionów niemal do zera.

Codziennie rano, dla czystej przyjemności, Clay sprawdzał notowania akcji jednej jedynej spółki. Udziałami BVHG handlowano obecnie po cenie osiemdziesięciu siedmiu centów za sztukę.

„Jak tam notowania pańskich akcji?". Tego upokarzającego pytania Clay nie miał odwagi zadać.

– Może dziś wieczorem – mruknął pod nosem, gdy przejeżdżał przez bramę Potomac Country Clubu. Ponieważ w niedalekiej przyszłości miał zostać mężem Rebeki, słabe strony Claya mogły stanowić przedmiot krytyki przy kolacyjnym stole. O niedostatkach pana Van Horna jednak nie można było mówić.

– Hej, gratulacje, Bennetcie, twoje akcje poszły w ostatnich dwóch miesiącach

w górę o dwanaście centów – wykrzyknął. – Ale dałeś czadu, stary! Pora sprawić sobie następnego mercedesa. – To wszystko, co chciał powiedzieć.

Żeby uniknąć konieczności dawania napiwku za odstawienie auta na parking, Clay ukrył hondę na odległym parkingu za kortami. Gdy wędrował do lokalu klubowego, poprawił węzeł krawata i nadal mamrotał. Nie znosił tego miejsca – za sprawą tych wszystkich dupków, którzy byli jego członkami, dlatego że sam nie mógł się zapisać, dlatego że to był teren Van Hornów, oni zaś chcieli, by czuł się tu jak intruz. Po raz setny tego dnia, jak co dzień, zapytał się w duchu, dlaczego kocha dziewczynę, której rodzice są tak nieznośni. Jeżeli miał jakiś plan, to zakładał on ucieczkę z Rebeccą i przeprowadzkę do Nowej Zelandii z dala od Biura Obrońcy Publicznego i jak najdalej od jej rodziny.

Lodowate spojrzenie hostessy mówiło: „Wiem, że nie jesteś członkiem, ale i tak zaprowadzę cię do twojego stolika".

– Proszę za mną – powiedziała z bladym cieniem sztucznego uśmiechu na ustach. Clay milczał. Z trudem przełknął ślinę, spojrzał prosto przed siebie i próbował nie zważać na bolesny skurcz żołądka. Jak w takim otoczeniu ma mu smakować posiłek? Oboje z Rebeccą jedli tam dwa razy: raz z państwem Van Horn, raz bez. Jedzenie było drogie i dość dobre, ale z drugiej strony Clay żywił się konserwowym indykiem, więc jego wymagania były niewielkie i zdawał sobie z tego sprawę.

Bennetta nie było. Clay objął delikatnie panią Van Horn w rytuale, którego żadne z nich nie lubiło, po czym złożył dość żałosne „życzenia urodzinowe". Rebeccę cmoknął w policzek. Stolik stał w dobrym miejscu, roztaczał się stamtąd rozległy widok na osiemnasty dołek pola, miejscu znakomitym, gdyż można było oglądać, jak stare pryki brodzą w piasku pułapek lub nie trafiają do dołka z odległości dwóch stóp.

– Gdzie jest pan Van Horn? – zapytał Clay, mając nadzieję, że jego przyszły teść utknął w mieście albo, co lepsze, wylądował w szpitalu z jakąś poważną dolegliwością.

– Jedzie – odparła Rebecca.

– Spędził dzień w Richmond na spotkaniu z gubernatorem – dodała pani Van Horn. Van Hornowie byli nieugięci. Carter miał ochotę powiedzieć: „Wygrałaś! Wygrałaś! Jesteście ważniejsi ode mnie!".

– Nad czym teraz pracuje? – zapytał grzecznie, jeszcze raz zdumiony swoją umiejętnością udawania szczerości. Wiedział doskonale, dlaczego Buldożer jest w Richmond. Stanowa kasa świeciła pustkami i władz Wirginii nie było stać na budowę dróg na północy stanu, gdzie domagali się ich Bennett i jemu podobni. Głosy były w północnej Wirginii. Zgromadzenie ustawodawcze rozważało przeprowadzenie lokalnego referendum w sprawie podatku obrotowego, tak aby miasta i okręgi w pobliżu Dystryktu Columbii mogły budować własne autostrady. Więcej dróg, więcej bloków z własnościowymi mieszkaniami, więcej centrów handlowych i więcej forsy dla niedomagającej BVHG.

– Nad wsparciem politycznym – odparła Barb. Tak naprawdę nie wiedziała, o czym jej mąż rozmawiał z gubernatorem. Clay wątpił, czy zna aktualną cenę akcji BVHG. Wiedziała, w które dni spotykają się członkowie jej klubu brydżowego i jak niskie są zarobki Claya, ale wszystkie pozostałe szczegóły zostawiała Bennettowi.

– Jak minął dzień? – zapytała Rebecca, delikatnie, lecz szybko kierując rozmowę z dala od polityki. Clay parę razy użył zwrotu „zabudowa przedmieść", gdy dyskutował z jej rodzicami, i sytuacja robiła się wtedy napięta.

– Jak zwykle – odparł. – A tobie?

– Jutro mamy przesłuchania, więc dzisiaj w biurze trwała krzątanina.

– Dowiedziałam się od Rebeki, że masz kolejną sprawę o morderstwo – wtrąciła Barb.

– Tak, to prawda – potwierdził Clay, zastanawiając się, o jakich innych aspektach jego pracy obrońcy z urzędu rozmawiały. Każda miała przed sobą kieliszek białego wina. Oba były już w połowie puste. Trafił na jakąś dyskusję, przypuszczalnie na jego temat. A może jest przewrażliwiony? Chyba tak.

– Kim jest twój klient? – zapytała Barb.

– Chłopak z ulicy.

– Kogo zabił?

– Ofiarą padł inny chłopak z ulicy.

Usłyszawszy to, odetchnęła z ulgą. Czarni zabijający czarnych. Kogo obchodzi, czy powybijają się nawzajem?

– Zrobił to?

– Na razie uznaje się, że jest niewinny.

– Innymi słowy, zrobił to.

– Na to wygląda.

– Jak możesz bronić takich ludzi? Skoro wiesz, że są winni, jak możesz tak ciężko pracować, żeby ich wyciągnąć? – dziwiła się pani Van Horn.

Rebecca upiła spory łyk wina i postanowiła nie brać w tym udziału. W ostatnich miesiącach coraz rzadziej przychodziła mu z odsieczą. Dręczyła go dokuczliwa myśl, że wprawdzie życie z nią byłoby magiczne, ale z nimi koszmarne. Koszmary brały górę.

– Nasza konstytucja gwarantuje wszystkim adwokata i uczciwy proces – wyjaśnił protekcjonalnie, jakby uważał, że powinien o tym wiedzieć każdy idiota. – Po prostu wypełniam obowiązek.

Barb przewróciła zoperowanymi oczami i spojrzała na murawę wokół osiemnastego dołka. Wiele z pań w klubie korzystało z usług tego samego chirurga plastycznego, którego specjalnością najwyraźniej były skośne oczy. Po drugim zabiegu oczy Barb wyciągnęły się w kącikach i choć pozbawione zmarszczek, wyglądały nienaturalnie. Stara Barb była operowana i faszerowana botoksem bez dalekosiężnego planu i zmiany po prostu nie były korzystne.

Rebecca upiła kolejny duży łyk wina. Kiedy po raz pierwszy jedli tam posiłek z jej rodzicami, zsunęła pod stołem but i wodziła stopą po jego nodze, jakby chciała powiedzieć: „Opuśćmy tę melinę i chodźmy do łóżka”. Ale nie tego wieczoru. Dzisiaj była lodowata i sprawiała wrażenie zatroskanej. Clay wiedział, że źródłem tej troski nie są bezsensowne przesłuchania, które będzie musiała znosić nazajutrz. Chodziło o ważne sprawy tlące się tuż pod powierzchnią, i zastanawiał się, czy ta kolacja może być ostateczną rozgrywką, naradą wojenną w sprawie przyszłości.

Bennett wreszcie przybył, przepraszając nieszczerze za spóźnienie. Poklepał Claya po plecach, jakby byli kumplami ze studenckiej korporacji, i pocałował swoje dziewczyny w policzki.

– Jak się miewa gubernator? – zapytała Barb na tyle głośno, by usłyszeli ją wszyscy goście.

– Doskonale. Przesyła serdeczne pozdrowienia. W przyszłym tygodniu wizytę w mieście składa prezydent Korei. Gubernator zaprosił nas na uroczystą galę w swojej rezydencji. – Ta informacja także została podana pełnym głosem.

– Naprawdę?! – wykrzyknęła Barb, a jej zoperowana twarz wykrzywiła się w paroksyzmie bólu.

Z Koreańczykami powinna się czuć jak wśród swoich, pomyślał Clay.

– Powinien być niezły ubaw – rzekł Bennett, wyciągając z kieszeni zestaw telefonów komórkowych i układając je na stole. Kilka sekund później przyszedł kelner z podwójną chivas regal z odrobiną lodu, jak zwykle.

Clay zamówił mrożoną herbatę.

– Jak się miewa mój kongresmen?! – wykrzyknął Bennett przez stół do córki, po czym spojrzał w prawą stronę, żeby się upewnić, czy słyszała go para siedząca przy sąsiednim stoliku. Mam swojego własnego kongresmena!

– Dobrze, tatusiu. Przesyła pozdrowienia. Jest bardzo zajęty.

– Wyglądasz na zmęczoną, kochanie, miałaś ciężki dzień?

– Nie najgorszy.

Troje Van Hornów umoczyło usta w alkoholu. Zmęczenie Rebeki stanowiło ulubiony temat rozmów jej rodziców. Uważali, że za ciężko pracuje. Uważali, że w ogóle nie powinna pracować. Zbliżała się do trzydziestki i nadszedł czas, by poślubiła jakiegoś pięknego młodzieńca z dobrze płatną pracą i świetlaną przyszłością, żeby urodzić im wnuki i spędzić resztę życia w Potomac Country Clubie.

Clay nie przejmowałby ich pragnieniami, gdyby nie to, że Rebecca marzyła o tym samym. Kiedyś mówiła o karierze w sektorze publicznym, ale po czterech latach na Kapitolu miała dość biurokracji. Chciała mieć męża, dzieci i duży dom na przedmieściach.

Rozdano karty dań. Ktoś zadzwonił do Bennetta i ten po grubiańsku przeprowadził rozmowę przy stole. Kłopoty z dopięciem jakiejś transakcji. Ważyły się losy wolności finansowej w Ameryce.

– Co powinnam włożyć? – zapytała Barb córkę, gdy Clay skrył się za kartą dań.

– Coś nowego – odparła Rebecca.

– Masz rację – zgodziła się chętnie Barb. – Wybierzmy się w sobotę na zakupy.

– Dobry pomysł.

Bennett uratował transakcję i złożyli zamówienie. Potem uraczył ich szczegółami rozmowy telefonicznej – bank działał nie dość szybko, musiał więc ich pogonić i tak dalej, i tak dalej. Gadał, aż podano sałatki.

– Gdy byłem w Richmond, zjadłem lunch z moim serdecznym przyjacielem Ianem Ludkinem, przewodniczącym stanowej Izby Reprezentantów. Polubiłbyś tego gościa, Clay, to naprawdę przesympatyczny człowiek. Prawdziwy dżentelmen – rzekł Bennett po kilku kęsach, jak zwykle z pełnymi ustami.

Clay przeżuwał i kiwał głową, jakby nie mógł się doczekać, kiedy pozna wszystkich starych znajomych Bennetta.

– Tak czy inaczej, Ian jest mi winien przysługę, większość z nich tam, w Richmond, ma wobec mnie zobowiązania, poruszyłem więc ten temat.

Clay dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że kobiety przestały jeść. Widelce spoczęły na talerzach, a one obserwowały ich i słuchały niecierpliwie.

– Jaki temat? – zapytał, miał bowiem wrażenie, że oczekują, by coś powiedział.

– Opowiedziałem mu o tobie. O inteligentnym prawniku, bystrym i pracowitym, po studiach prawniczych w Georgetown, młodym, przystojnym człowieku z charakterem, a on odparł, że stale szuka utalentowanych ludzi. Wiadomo, jak trudno ich znaleźć. Powiedział, że może zatrudnić prawnika. Zastrzegłem, że nie wiem, czy będziesz zainteresowany, ale bardzo chętnie przedstawię ci tę propozycję. Co myślisz?

Myślę, że wpadłem w zasadzkę, o mało nie powiedział Clay. Rebecca patrzyła na niego uważnie, wypatrując pierwszej reakcji.

Zgodnie z rozpisanym scenariuszem Barb powiedziała:

– Brzmi wspaniale.

Utalentowany, bystry, pracowity, dobrze wykształcony, a nawet przystojny. Carter był zdumiony szybkością, z jaką wzrosły jego notowania.

– To interesujące – odparł po części zgodnie z prawdą. Interesujące były wszystkie aspekty tej propozycji.

Bennett był gotów do akcji. On oczywiście miał przewagę wynikającą z zaskoczenia.

– To wspaniałe stanowisko. Fascynująca praca. Poznasz tam prawdziwych decydentów. Ani chwili nudy, chociaż dużo pracy, przynajmniej podczas sesji zgromadzenia. Powiedziałem jednak łanowi, że podołasz trudnym obowiązkom.

– Co dokładnie bym tam robił? – zdołał zapytać Clay.

– Och, nie wiem. Całą prawniczą robotę. Jeżeli jednak jesteś zainteresowany, to Ian powiedział, że chętnie umówi cię na rozmowę. Ale to łakomy kąsek. Podobno CV na-

pływają masowo. Trzeba działać szybko.

– Richmond wcale nie jest daleko – zauważyła Barb.

O wiele bliżej niż Nowa Zelandia, pomyślał Clay. Barb już planowała ślub. Clay nie mógł zrozumieć Rebeki. Narzekała, że jest kontrolowana przez rodziców, ale rzadko przejawiała chęć uwolnienia się od nich. Bennett używał swoich pieniędzy, jeżeli rzeczywiście zostały mu jakieś pieniądze, jako marchewki utrzymującej obie córki blisko domu.

– Cóż, hm, dzięki – rzekł Clay, załamując się pod ciężarem swoich nowo odkrytych zalet.

– Płaca wyjściowa to dziewięćdziesiąt cztery tysiące dolarów rocznie – dodał Bennett parę tonów ciszej, aby inni goście go nie usłyszeli.

Dziewięćdziesiąt cztery tysiące dolarów to ponaddwukrotnie więcej od obecnej pensji Claya i przypuszczalnie wszyscy przy stole zdawali sobie z tego sprawę. Van Hornowie wyznawali kult pieniądza i mieli obsesję na punkcie zarobków i wartości netto.

– No! No! – mruknęła Barb jak na zawołanie.

– Porządna pensja – przyznał Carter.

– Niezły start – zaznaczył Bennett. – Ian twierdzi, że poznasz liczących się w mieście prawników. Kontakty decydują o wszystkim. Po kilku latach takiej pracy będziesz mógł zaistnieć w świecie radców prawnych. Tam właśnie jest gruba forsa.

Świadomość, że Bennett Van Horn nagle zainteresował się planowaniem reszty życia Claya, nie poprawiła mu samopoczucia. To planowanie nie miało oczywiście nic wspólnego z Clayem, ale za to bardzo dużo wspólnego z Rebeccą.

– Chyba nie możesz odmówić? – powiedziała Barb, dopingując go niezdarnie.

– Nie naciskaj, mamo – syknęła Rebecca.

– To po prostu wspaniała okazja – powiedziała Barb, jakby Clay nie dostrzegał tej oczywistości.

– Przeanalizuj tę ofertę, prześpij się z tym – zaproponował Bennett. Prezent został dostarczony. Zobaczymy, czy chłopak jest na tyle bystry, by go przyjąć.

Clay pochłaniał sałatkę świadomy nowego celu. Pokiwał głową, jakby nie mógł mówić. Pojawienie się drugiej szkockiej zakończyło tę chwilę. Potem Bennett podzielił się z nimi najnowszą plotką z Richmond o możliwości nowej franszyzy na prowadzenie zawodowej drużyny koszykówki na terenie Dystryktu Kolumbii, co stanowiło jeden z jego ulubionych tematów. Należał do jednej z trzech grup inwestycyjnych ubiegających się o tę franszyzę, gdyby kiedyś wyrażono na nią zgodę, i obrót spraw był dla niego bardzo korzystny. Zgodnie z niedawnym artykułem w „Post” grupa Bennetta znajdowała się na trzecim miejscu i z miesiąca na miesiąc traciła na znaczeniu. Według pewnego anonimowego źródła jej finanse były niejasne i niepewne. W całym artykule nazwisko Van Horn nie padło. Clay wiedział, że jego przyszły teść ma ogromne długi. Budowa kilku osiedli utknęła w martwym punkcie za sprawą grup ekologów próbujących ochronić

resztki gruntów pozostałych jeszcze w północnej Wirginii. Sądził się z dawnymi wspólnikami. Akcje jego firmy były w praktyce bezwartościowe. A mimo to siedział, popijając szkocką i trajkocząc o nowym stadionie za czterysta milionów dolarów oraz opłacie za franszyzę wysokości dwustu milionów, a także o wypłatach z tytułu zarobków wysokości co najmniej stu milionów dolarów.

Gdy zjedli sałatki, na stół wjechały steki, co oszczędziło Clayowi kolejnej pełnej udręki chwili rozmowy, podczas której nie miał czym wypełnić ust. Rebecca ignorowała go, a on z pewnością ignorował ją. Starcie miało nastąpić już niebawem.

Bennett opowiadał o gubernatorze, bliskim przyjacielu, który przygotowywał machinę mającą wspomóc go w wyborach do senatu, i oczywiście w tej sytuacji potrzebował wsparcia Bennetta. Ujawnił parę swoich najnowszych transakcji. Rozmawiali też o nowym samolocie, ale ta dyskusja trwała już od pewnego czasu; po prostu nie mógł znaleźć takiego, który by mu odpowiadał. Clay miał wrażenie, że kolacja trwała dwie godziny, ale gdy zrezygnowali z deseru i zaczęli się zbierać, okazało się, iż minęło tylko dziewięćdziesiąt minut.

Podziękował Van Hornom za posiłek i jeszcze raz obiecał, że szybko zrobi coś w sprawie pracy w Richmond.

– To życiowa szansa – rzekł poważnie Bennett. – Nie zmarnuj jej.

Gdy Clay upewnił się, że sobie poszli, poprosił Rebeccę, by wstąpiła z nim na chwilę do baru. W milczeniu czekali na zamówione drinki. Sytuacja była napięta, każde spodziewało się werbalnego ataku drugiego.

– Nic nie wiedziałam o tej pracy w Richmond – zaczęła.

– Trudno mi w to uwierzyć. Mam wrażenie, że cała wasza rodzina się zmówiła. Twoja matka z pewnością była wtajemniczona.

– Ojciec po prostu troszczy się o ciebie, to wszystko.

– Nie, troszczy się o ciebie – odparł Clay, choć miał ochotę nazwać jej ojca idiotą. – Nie może pozwolić, żebyś poślubiła faceta bez przyszłości, więc po prostu pokieruje tą przyszłością za nas. Nie sądzisz, że uznanie, iż skoro nie podoba mu się moja praca, to znajdzie mi inną, to bezczelność z jego strony?

– Może on tylko stara się pomóc? Uwielbia grę we wzajemne wyświadczanie przysług.

– Ale dlaczego zakłada, że potrzebuję pomocy?

– Może tak jest?

– Rozumiem. Wreszcie usłyszałem prawdę.

– Przecież nie możesz tam pracować do śmierci. Jesteś dobry w tym, co robisz, i troszczysz się o swoich klientów, ale chyba już pora na zmiany. Pięć lat w BOP-ie to szmat czasu. Sam tak mówiłeś.

– A może ja nie chcę mieszkać w Richmond? Może nigdy nie zamierzałem wyjeżdżać z Waszyngtonu. A jeśli nie mam ochoty pracować dla jednego z kolesiów twojego

ojca? Może pomysł, bym pracował w gronie lokalnych polityków, mnie nie pociąga? Jestem prawnikiem, Rebecco, nie urzędasem.

– Dobrze. Nieważne.

– Czy propozycja tej pracy to ultimatum?

– W jakim sensie?

– W każdym. A jeśli odmówię?

– Myślę, że już odmówiłeś, a to, nawiasem mówiąc, jest dość typowe. Kolejna pochopna decyzja.

– Nietrudno je podejmować, gdy wybór jest oczywisty. Sam będę znajdował sobie posady, a już na pewno nie prosiłem twojego ojca o pomoc ludzi, którym kiedyś wyświadczył przysługę. A co się stanie, gdy odmówię?

– Och, jestem pewna, że słońce i tak wzejdzie.

– A twoi rodzice?

– Na pewno będą rozczarowani.

– A ty?

Rebecca wzruszyła tylko ramionami i sączyła drinka. Przy kilku okazjach rozmawiali o ślubie, ale nie doszli do porozumienia. Nie byli zaręczeni, nie ustalili żadnych terminów. Gdyby któreś z nich chciało odejść, droga wolna, choć sytuacja nie byłaby łatwa. Po czterech latach 1) niespotykania się z nikim innym, 2) ciągłych zapewnień o wzajemnej miłości i 3) kochania się co najmniej pięć razy na tydzień w ich związku nie zanosiło się na zmiany.

Rebecca nie chciała przyznać, że tak naprawdę chce odpocząć od pracy zawodowej, mieć męża i dzieci, a potem być może już nigdy nigdzie się nie zatrudniać. Wciąż rywalizowali ze sobą, wciąż grali w to, kto jest ważniejszy. Nie mogła przyznać, że pragnie być na utrzymaniu męża.

– Mnie jest wszystko jedno – odparła. – To tylko propozycja pracy, nie nominacja na ministra. Jeśli chcesz, powiedz „nie”.

– Dziękuję. – Clay nagle poczuł się jak cymbał. A jeśli Bennett po prostu próbował mu pomóc? Tak bardzo nie lubił rodziców Rebeki, że drażniło go wszystko, co robili. Ale to przecież jego problem. Oni mająprawo martwić się o przyszłego partnera swojej córki, ojca swoich wnuków.

Chcąc nie chcąc, przyznał, że chyba każdy martwiłby się o niego jako o zięcia.

– Chciałabym już iść – powiedziała Rebecca.

– Oczywiście.

Clay wychodził za nią z klubu i przyglądał jej się z tyłu skłonny zasugerować, że ma czas, by wpaść do niej na szybki numerek. Ale ona wyraźnie nie była w nastroju i zważywszy na atmosferę wieczoru, mogła stanowczo odmówić. Wtedy poczułby się jak głupiec, który nie potrafi nad sobą zapanować i którym rzeczywiście w takich momentach bywał. Zebrał się więc w sobie, zacisnął zęby i pozwolił, by to chwilowe pragnie-

nie minęło.

Gdy pomagał Rebecce wsiąść do bmw, szepnęła:

– Może byś wpadł na kilka minut?

Clay pobiegł sprintem do swojego samochodu.

Rozdział 6

Z Rodneyem czuł się trochę bezpieczniej, a w dodatku dziewiąta rano była zbyt wczesną porą dla groźnych bywalców Lamont Street. Dochodzili jeszcze do siebie po zażyciu trucizn, jakimi raczyli się poprzedniego wieczoru. Handlarze powoli odzyskiwali przytomność. Clay zaparkował w pobliżu zaułka.

Rodney był zawodowym asystentem prawnym w BOP-ie. Przez dekadę od czasu do czasu zapisywał się na wieczorowe studia prawnicze i wciąż mówił, że pewnego dnia zrobi dyplom i dostanie się do palestry. Ale jako ojciec czworga nastolatków nie miał na to ani czasu, ani pieniędzy. Ponieważ wychował się na waszyngtońskich ulicach, dobrze je znał. Część jego codziennych zajęć stanowiło spełnianie próśb prawników biura, zwykle białych, przestraszonych i niezbyt doświadczonych, by w ramach śledztwa w sprawie jakiejś ohydnej zbrodni towarzyszył im w wyprawie do stref działań wojennych. Był asystentem prawnym, nie prowadził śledztw, i odmawiał równie często, jak się zgadzał.

Nigdy jednak nie odmówił Clayowi. Współpracowali przy wielu sprawach. Znaleźli w zaułku miejsce, w którym upadł Ramón, i dokładnie obejrzeli otoczenie z pełną świadomością, że policja już kilka razy przeszukała to miejsce. Wypstrykali rolkę filmu, po czym poszli poszukać świadków.

Nie znaleźli żadnych i to nie było niespodzianką. Po piętnastu minutach ich bytności w zaułku rozeszła się wieść, że na miejscu są obcy, że węszą w sprawie ostatniego zabójstwa, więc należy zamknąć drzwi na klucz i milczeć. Świadkowie, którzy siedzieli przed sklepem na skrzynce po mleku, codziennie spędzający wiele godzin w tym samym miejscu, sącząc tanie wino i wszystko obserwując, już dawno zniknęli i nikt ich nie znał. Handlarze wydawali się zaskoczeni tym, że w ogóle była jakaś strzelanina.

– Tutaj? – zdziwił się jeden, jakby przestępczość nie dotarła jeszcze do getta, w którym mieszkał. Po godzinie udali się do Obozu Wyzwolenia. Gdy Clay prowadził samochód, Rodney popijał zimną kawę z wysokiego papierowego kubka. Sądząc po jego minie, nie była dobra.

– Kilka dni temu Jermaine dostał podobną sprawę – odezwał się. – Chłopak w ośrodku odwykowym, zamknięty na kilka miesięcy, wydostał się jakoś, nie wiem, czy uciekł, czy go wypuścili, ale w ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin kupił broń i strzelił do dwóch osób. Jedna z nich zmarła.

– Tak bez powodu?

– Tutaj zawsze znajdzie się powód. Dwaj goście w nieubezpieczonych samochodach

mają stłuczkę i zaczynają do siebie strzelać. Czy robią to bez powodu, czy są usprawiedliwieni?

– Chodziło o narkotyki, rozbój, obronę własną?

– Chyba strzelał bez powodu.

– Gdzie znajdował się ten ośrodek?

– To nie był Obóz Wyzwolenia. Chyba jakaś nora koło Howard Street. Nie widziałem akt. Wiesz, jak ślamazarny jest Jermaine.

– Więc nie pracowałeś przy tej sprawie?

– Nie. Dowiedziałem się o tym pocztą pantoflową.

Rodney sprawdzał takie pogłoski oraz plotki i wiedział o prawnikach BOP-u i ich klientach więcej niż Glenda, dyrektorka biura. Gdy skręcili w W Street, Clay zapytał:

– Byłeś już w Obozie?

– Parę razy. To ośrodek dla ciężkich przypadków, ostatni przystanek przed cmentarzem. Nieprzyjemne miejsce prowadzone przez nieprzyjemnych gości.

– Znasz człowieka imieniem Talmadge X?

– Nie.

Tym razem Clay nie musiał się przeciskać przez chodnikowy jarmark. Zaparkował przed budynkiem i weszli szybko do środka. Talmadge'a X nie było, jakiś nagły przypadek zmusił go do wyjazdu do szpitala. Jego kolega Noland przedstawił się w sympatyczny sposób i powiedział, że jest głównym opiekunem. W swoim gabinecie przy małym stole pokazał im akta Tequili Watsona i zachęcił ich, by je przejrzeli. Clay podziękował, pewny, że zostały wyczyszczone z myślą o nim.

– Zgodnie z naszą zasadą na czas przeglądania przez was akt zostanę w pokoju – wyjaśnił Noland. – Jeżeli potrzebujecie kopii, to każda strona kosztuje ćwierć dolara.

– Oczywiście – mruknął Clay. Ta zasada nie podlegała negocjacjom. A gdyby potrzebował całych akt, mógł je dostać na podstawie wezwania w celu okazania dokumentów. Noland zajął miejsce za biurkiem, gdzie czekał na niego imponujący stos papierów. Clay zaczął przeglądać akta. Rodney notował.

Przeszłość Tequili była smutna i łatwa do przewidzenia. Skierowany do Obozu przez opiekę społeczną po przedawkowaniu jakiegoś środka, został przyjęty w styczniu. Ważył wtedy sto dwadzieścia funtów i miał pięć stóp i dziesięć cali wzrostu. Badanie lekarskie przeprowadzono w Obozie. Watson miał lekką gorączkę, dreszcze i bóle głowy typowe dla ćpuna. Według lekarza poza niedożywieniem, grypą i wyniszczeniem organizmu przez narkotyki nie stwierdzono niczego niezwykłego. Podobnie jak wszyscy pacjenci został zamknięty na trzydzieści dni i był regularnie karmiony.

Zgodnie z zapisami TX Tequila zaczął się staczać w wieku ośmiu lat, gdy obaj z bratem ukradli skrzynkę piwa z furgonetki dostawczej. Połowę wypili, a resztę sprzedali, a za otrzymane pieniądze kupili galon taniego wina. Wylatywał z rozmaitych szkół i w wieku około dwunastu lat, mniej więcej wtedy, gdy odkrył kokainę, rzucił naukę.

Kradzieże stały się sposobem na przetrwanie.

Gdy zaczął zażywać crack, stracił pamięć, więc ostatnich kilku lat nie pamiętał. TX uzupełnił te szczegóły o dodatkowe informacje i w teczce znajdowały się listy i e-maile potwierdzające niektóre z oficjalnych przystanków na tym żałosnym szlaku. Gdy Watson miał czternaście lat, spędził miesiąc na oddziale dla nadużywających substancji odurzających w waszyngtońskiej izbie zatrzymań dla młodocianych. Po zwolnieniu udał się prosto do jakiegoś dealera i zaczął pertraktować w sprawie zakupu narkotyków. Dwa miesiące w Orchard House, sławetnym zakładzie zamkniętym dla naćpanych nastolatków niewiele dały. Tequila przyznał się TX, że w OH zażywał tak samo dużo narkotyków, jak na wolności. Gdy miał szesnaście lat, został przyjęty do Clean Streets, prowadzonego przez rozsądnych ludzi ośrodka bardzo przypominającego Obóz Wyzwolenia. Jego gościnne występy trwały pięćdziesiąt trzy dni, po czym odszedł stamtąd bez słowa. Zgodnie z notatką TX *niespełna dwie godziny później był porządnie naćpany*. Gdy miał lat siedemnaście, sąd dla nieletnich nakazał mu pobyt na obozie letnim dla nastolatków z zaburzeniami, ale ochrona była nieszczelna i Watson zarabiał pieniądze na sprzedaży narkotyków współobozowiczom. Ostatnią próbę otrzeźwienia przed pobytem w Obozie stanowił program w Grayson Church pod kierunkiem wielebnego Jolleya, znanego opiekuna narkomanów. Jolley wysłał do Talmadge'a X list, w którym wyraził przypuszczenie, że Tequila jest jednym z tych tragicznych „beznadziejnych" przypadków.

Choć ta opowieść była przygnębiająca, o dziwo nie pojawiły się w niej akty przemocy. Tequilę aresztowano i skazano pięć razy za włamanie, raz za kradzież w sklepie i dwa razy za posiadanie niewielkiej ilości narkotyków. Tequila nigdy nie używał broni do popełnienia przestępstw, przynajmniej nie tych, na których go przyłapano. Nie uszło to uwagi TX, który w zapisie z trzydziestego dziewiątego dnia pobytu stwierdził: *ma skłonność do unikania nawet najmniejszej groźby fizycznego konfliktu. Wydaje się, że naprawdę boi się roślejszych od siebie osób, a także większości drobniejszych.*

Czterdziestego piątego dnia został zbadany przez lekarza. Przybrał na wadze, ze skóry zniknęły „otarcia i rany". W aktach były zapiski o jego postępach w nauce czytania i zainteresowaniu sztuką. Z upływem kolejnych dni uwagi opiekunów stawały się krótsze. Życie w Obozie Wyzwolenia było zwyczajne i szare. Niektóre dni mijały bez żadnych wpisów.

Wpis w osiemdziesiątym dniu pobytu był inny: *Zdaje sobie sprawę, że aby nie brać, potrzebuje duchowej pomocy z góry. Nie potrafi się uporać z tym sam. Twierdzi, że chce na zawsze zostać w Obozie Wyzwolenia*.

Dzień 100: *Uczciliśmy setny dzień pobytu ciastkami czekoladowymi z orzechami i lodami. Tequila wygłosił krótkie przemówienie. Płakał. W nagrodę otrzymał dwugodzinną przepustkę*.

Dzień 104: *Dwugodzinna przepustka. Wyszedł i wrócił po dwudziestu minutach z lodami na patyku*.

Dzień 107: *Wysłany na pocztę wrócił po prawie godzinnej nieobecności*.

Dzień 110: *Dwugodzinna przepustka, powrót, żadnych problemów*.

Ostatni wpis pochodził z dnia sto piętnastego: *Dwugodzinna przepustka, bez powrotu*.

Noland przyglądał się, jak zbliżają się do końca akt.

– Jakieś pytania? – zapytał, jakby zmarnowali już dostatecznie dużo jego cennego czasu.

– To bardzo smutne – westchnął Clay, zamykając teczkę. Miał mnóstwo pytań, ale nie takich, na które Noland mógłby lub chciał odpowiedzieć.

– W świecie niedoli, panie Carter, to rzeczywiście jest jedna z najsmutniejszych historii. Rzadko wzruszam się do łez, ale Tequila sprawił, że płakałem. – Noland wstał z krzesła. – Chciałby pan coś skopiować? – Spotkanie dobiegło końca.

– Może później – odparł Clay. Podziękowali za poświęcony im czas i poszli za Nolandem do recepcji.

W samochodzie Rodney zapiął pas, rozejrzał się po okolicy i bardzo spokojnie powiedział:

– No, stary, mamy nowego znajomego.

Clay obserwował wskaźnik zużycia paliwa w nadziei, że benzyny wystarczy na powrót do biura.

– Jakiego znajomego?

– Widzisz tego bordowego jeepa pół kwartału dalej, po drugiej stronie ulicy?

Clay spojrzał i rzekł:

– I co z tego?

– Za kółkiem siedzi jakiś czarnoskóry goguś, rosły facet w czapce Washington Redskins, jak sądzę. Obserwuje nas.

Clay wytężył wzrok i z trudem dostrzegł sylwetkę kierowcy, którego rasy i czapki nie był w stanie określić.

– Skąd wiesz, że nas obserwuje?

– Był na Lamont Street, gdy się tam kręciliśmy. Widziałem go dwukrotnie, za każdym razem przejeżdżał powoli, patrząc na nas ukradkiem. Gdy zaparkowaliśmy tutaj, widziałem tego jeepa trzy kwartały dalej. Teraz stoi tam.

– Skąd wiesz, że to ten sam jeep?

– Bordowy to nietypowy kolor. Widzisz wgniecenie w przednim błotniku, z prawej strony?

– Chyba tak.

– To ten sam, z całą pewnością. Pojedźmy w tamtą stronę, przyjrzyjmy się dokładniej.

Clay przejechał obok bordowego jeepa. Przed twarz kierowcy powędrowała gazeta. Rodney zapisał szybko numer rejestracyjny.

– Po co ktoś miałby nas śledzić? – zdziwił się Clay.

– Narkotyki. Zawsze o nie chodzi. Może Tequila handlował prochami? Może chłopak, którego zabił, miał paskudnych przyjaciół?

– Chciałbym się tego dowiedzieć.

– Nie wchodźmy w to teraz zbyt głęboko. Prowadź, a ja będę obserwował sytuację na tyłach.

Przez pół godziny jechali Puerto Rico Avenue na południe, po czym zatrzymali się na stacji benzynowej przy brzegu Anacostii. Gdy Clay tankował, Rodney obserwował wszystkie samochody.

– Zgubiliśmy ogon – stwierdził, gdy ruszyli. – Jedźmy do biura.

– Dlaczego mieliby przestać nas śledzić? – zapytał Clay. Uwierzyłby w każde wyjaśnienie.

– Nie jestem pewny. – Rodney wciąż zerkał w boczne lusterko. – Być może ciekawiło ich tylko, czy pojechaliśmy do Obozu Wyzwolenia. A może wiedzą, że ich widzieliśmy. Po prostu obserwuj przez jakiś czas, czy nie jesteś śledzony.

– Niesamowite. Nigdy dotąd nikt mnie nie śledził.

– Módl się tylko, by nie postanowili cię złapać.

* * *

Jermaine Vance dzielił gabinet z innym niedoświadczonym prawnikiem, którego akurat nie było, więc zaproponował Clayowi wolne krzesło. Porównali notatki na temat swoich klientów oskarżonych ostatnio o morderstwa.

Klientem Jermaine'a był dwudziestoczteroletni zawodowy przestępca Washad Porter, który w odróżnieniu od Tequili miał za sobą długą i przerażającą serię aktów przemocy. Jako członek największego gangu w Dystrykcie Columbii Washad dwukrotnie odniósł poważne rany w strzelaninach, a raz został skazany za usiłowanie zabójstwa. Z dwudziestu czterech lat życia siedem spędził za kratkami. Oczyszczenie organizmu niezbyt go interesowało, jedyną próbę odwyku podjął w więzieniu i najwyraźniej zakończyła się ona niepowodzeniem. Cztery dni przed śmiercią Ramóna Pumphreya oskarżono go o zastrzelenie dwóch osób. Jedna z nich zmarła natychmiast, druga walczyła o życie.

Washad spędził w Clean Streets pół roku zamknięty i najwyraźniej poddany surowemu programowi. Jermaine pogadał z jego opiekunem i rozmowa bardzo przypominała tę, którą Clay odbył z Talmadge'em X. Washad przestał brać, był wzorowym pacjentem, cieszył się dobrym zdrowiem i codziennie nabierał szacunku do samego siebie. Jedynym wybojem na drodze naprawy był epizod z początku odwyku, gdy wymknął się z ośrodka i naćpał, ale wrócił i błagał o wybaczenie. Potem przez prawie cztery miesiące nie przysparzał żadnych problemów.

W kwietniu został wypuszczony z Cleen Streets i następnego dnia zastrzelił dwóch mężczyzn z kradzionej broni. Wyglądało na to, że jego ofiary zostały wybrane losowo. Pierwszą był dostawca produktów rolnych załatwiający swoje sprawy koło szpitala imienia Waltera Reeda. Najpierw były słowa, potem pchnięcia i szturchnięcia, a na końcu cztery strzały i ucieczka Washada. Dostawca nie wyszedł jeszcze ze śpiączki. Godzinę później i sześć przecznic dalej Washad wpakował dwie ostatnie kule w drobnego handlarza narkotyków, z którym miał kiedyś jakiś zatarg. Został obezwładniony przez znajomych handlarza, którzy zamiast go zabić, oddali w ręce policji.

Jermaine rozmawiał z Washadem raz, bardzo krótko, w sądzie podczas rozprawy wstępnej.

– Wypierał się – powiedział Jermaine. – Miał skonsternowaną minę i powtarzał, że nie może uwierzyć, iż kogoś zabił. Twierdził, że to sprawka dawnego Washada.

Rozdział 7

Clay pamiętał, że w ciągu ostatnich czterech lat dzwonił lub próbował się dodzwonić do Bennetta Buldożera tylko przy jednej okazji. Próba zakończyła się fiaskiem, nie był bowiem w stanie przebić się przez kordon otaczający tego wielkiego człowieka. Pan BVH chciał, żeby ludzie myśleli, iż spędza czas „w robocie", czyli w jego przypadku wśród maszyn do prac ziemnych, gdzie mógł kierować sprawami i czuć z bliska nieograniczone możliwości północnej Wirginii. W jego rodzinnym domu wisiały duże zdjęcia ukazujące go „w robocie", jak w zrobionym na miarę i opatrzonym monogramem kasku wskazuje ręką tu i tam podczas niwelowania terenu i budowy kolejnych centrów handlowych. Mówił, że nie ma czasu na czcze pogaduszki, twierdził, że nie znosi telefonów, a mimo to zawsze miał pod ręką zestaw aparatów do dzwonienia w interesach.

Prawda wyglądała tak, że Bennett dużo grał w golfa i – zdaniem ojca jednego z kolegów uniwersyteckich Claya – był kiepskim graczem. Rebecca wygadała się, że jej ojciec rozgrywa w Potomacu co najmniej cztery rundy tygodniowo i w skrytości ducha marzy o zdobyciu mistrzostwa klubu.

Van Horn był człowiekiem czynu, który nie miał cierpliwości do pracy za biurkiem. Twierdził, że spędza za nim niewiele czasu.

Jakaś agresywna jędza odebrała ze słowami:

– Grupa BVH. – Niechętnie zgodziła się przełączyć Claya do kolejnej sekretarki ulokowanej głębiej w strukturze firmy.

– Rozwój – oznajmiła opryskliwie druga dziewczyna, jakby firma Van Horna miała nieskończoną liczbę wydziałów. Połączenie z osobistą sekretarką Bennetta zajęło co najmniej pięć minut.

– Nie ma go w biurze – powiedziała.

– Jak mogę się z nim skontaktować?

– Jest w terenie.

– Domyśliłem się. Jak mogę się z nim skontaktować?

– Niech pan zostawi swój numer, a ja dołączę go do reszty wiadomości.

– Och, dziękuję – mruknął Clay i zostawił numer swojego biura.

Bennett oddzwonił po trzydziestu minutach. Wydawało się, że jest pod dachem, może w sali klubowej w Potomac Country Clubie – z podwójną szkocką w ręce i wielkim cygarem – gdzie właśnie rozgrywa z chłopakami partyjkę remika.

– Clay, jak się masz? – zapytał, jakby nie widzieli się od wielu miesięcy.

– Świetnie, panie Van Horn, a pan?

– Wspaniale. Wczorajsza kolacja była bardzo udana.

– Clay nie słyszał w tle warkoczących silników Diesla ani odgłosu robót strzelniczych.

– O tak, było bardzo miło. To zawsze przyjemność – skłamał Clay.

– W czym mogę ci pomóc, synu?

– Chcę, żeby pan zrozumiał, że naprawdę doceniam pana próby załatwienia mi tej pracy w Richmond. Nie spodziewałem się tego i to bardzo uprzejmie z pana strony, że pan interweniował. – Przerwa na przełknięcie śliny. – Ale prawdę mówiąc, panie Van Horn, nie wyobrażam sobie w bliskiej przyszłości przenosin do Richmond. Zawsze mieszkałem w Waszyngtonie i to jest mój dom.

Clay miał wiele powodów, by odrzucić tę propozycję. Pozostanie w Waszyngtonie było niezbyt istotne. Przeważającym argumentem była chęć uniknięcia sytuacji, w której Bennett Van Horn planuje mu życie, a on zaciąga u niego dług.

– Chyba nie mówisz poważnie – prychnął Van Horn.

– Owszem, mówię bardzo poważnie. Dzięki, ale nie skorzystam. – Ostatnią rzeczą, jaką zamierzał zrobić Clay, było wysłuchiwanie bredni z ust tego cymbała. W takich chwilach uwielbiał telefon: cudownie wyrównywał szanse.

– Popełniasz błąd, synu – rzekł Van Horn. – Ty po prostu nie ogarniasz sytuacji, prawda?

– Może i nie ogarniam. Ale pan chyba też ma z tym problemy.

– Podoba mi się, że jesteś taki dumny. Ale jesteś również bardzo naiwny. Musisz się nauczyć, że życie to gra w wyświadczanie sobie nawzajem przysług, i gdy ktoś próbuje ci pomóc, nie odmawiasz. Pewnego dnia może będziesz miał okazję się odwdzięczyć. Popełniasz błąd, który, jak się obawiam, może mieć poważne konsekwencje.

– Jakiego rodzaju?

– To może wpłynąć na twoją przyszłość.

– Cóż, to moja przyszłość, nie pańska. Podejmę następną pracę, a potem kolejną. W tej chwili jestem zadowolony z obecnej posady.

– Jak można być zadowolonym, broniąc przez cały dzień przestępców? Ja po prostu tego nie pojmuję.

Nie pierwszy raz prowadzili taką rozmowę i gdyby pobiegła zwykłym torem, sytuacja szybko by się zaogniła.

– Chyba już wcześniej zadawał mi pan to pytanie. Nie wdawajmy się w tę dyskusję.

– Chodzi o zdecydowanie większą pensję, Clay. Więcej pieniędzy, lepsza praca, będziesz spędzał czas z porządnymi ludźmi, a nie ze zgrają chuliganów. Obudź się, chłopcze! – W tle słychać było jakieś głosy. Gdziekolwiek Bennett się znajdował, zawsze grał dla jakiejś publiczności.

Carter zacisnął zęby i zignorował słowo „chłopcze”.

– Nie zamierzam się spierać, panie Van Horn. Zadzwoniłem, żeby odmówić.

– Powinieneś to przemyśleć jeszcze raz.

– Już to zrobiłem. Nie, dziękuję.

– Jesteś nieudacznikiem, Clay, i wiesz o tym. Ja też wiem o tym od pewnego czasu. Ta rozmowa tylko to potwierdza. Odrzucasz ofertę obiecującej pracy, żeby nadal kierować się rutyną i harować za minimalną płacę. Nie masz ambicji, odwagi ani wyobraźni.

– Wczoraj wieczorem byłem pracowitym człowiekiem, potrafiącym udźwignąć ciężar obowiązków, bardzo utalentowanym i bystrym.

– Cofam to. Jesteś nieudacznikiem.

– Byłem też dobrze wykształcony, a nawet przystojny.

– Kłamałem. Jesteś nieudacznikiem.

Clay pierwszy przerwał połączenie. Trzasnął słuchawką z uśmiechem, bardzo dumny z tego, że tak zirytował wielkiego Bennetta Van Horna. Nie dał się i pokazał, że nie będzie popychadłem tych ludzi.

Z Rebeccą rozmówi się później i nie będzie to przyjemna rozmowa.

* * *

Trzecia i ostatnia wizyta Cartera w Obozie Wyzwolenia miała bardziej dramatyczny przebieg niż dwie pierwsze. Wraz z Jaremaine'em na przednim siedzeniu i Rodneyem z tyłu Clay przyjechał za radiowozem waszyngtońskiej policji i znowu zaparkował przed budynkiem. Dwaj policjanci, obaj młodzi, czarnoskórzy i znudzeni rolą doręczycieli wezwań sądowych, pokonali trudności przy wejściu. Po paru minutach doszło do ostrej konfrontacji z Talmadge'em X, Nolandem i trzecim opiekunem, porywczym osobnikiem o imieniu Samuel.

Trzej opiekunowie skupili gniew na Clayu – po części dlatego, że był jedyną białą twarzą w tym gronie, głównie jednak dlatego, że to on załatwił wezwanie. Było mu to obojętne, bo wiedział, że już nigdy nie zobaczy tych ludzi.

– Przecież widziałeś akta, człowieku! – krzyczał Noland.

– Widziałem akta, które chcieliście mi pokazać – odparował Clay. – Teraz dostanę resztę.

– O czym pan mówi? – zapytał Talmadge X.

– Żądam wszystkiego, co dotyczy Tequili.

– Nie może pan tego żądać.

Clay odwrócił się do policjanta trzymającego dokumenty i powiedział:

– Zechce pan odczytać wezwanie?

Policjant uniósł je na tyle wysoko, by wszyscy widzieli, i przeczytał:

– *Wszystkie akta dotyczące przyjęcia, oceny medycznej, terapii, złagodzenia objawów nadużywania środków odurzających, zaleceń opiekunów, odwyku i zwolnienia Te-*

quili Watsona z ośrodka. Zgodnie z nakazem sędziego F. Floyda Sackmana z Wydziału Karnego Sądu Okręgowego Dystryktu Columbii.

– Kiedy to podpisał? – zapytał Samuel.

– Około trzech godzin temu.

– Pokazaliśmy wam wszystko – rzekł Noland do Claya.

– Wątpię. Widać, gdy akta nie są kompletne – upierał się Clay.

– Są zdecydowanie zbyt starannie prowadzone – pospieszył mu wreszcie z pomocą Jermaine.

– Nie będziemy o nie walczyli – oświadczył roślejszy z dwóch policjantów, nie pozostawiając wątpliwości, że porządna bójka byłaby mile widziana. – Gdzie mamy zacząć?

– Wyniki jego badań lekarskich są poufne – przypomniał Samuel. – Sądzę, że chroni je tajemnica lekarska.

Argument był dobry, ale trochę chybiony.

– Kartoteki medyczne są poufne – wyjaśnił Clay – ale nie akta pacjenta. Mam podpisane przez Watsona zezwolenie i akt zrzeczenia się prawa do poufności danych, umożliwiające mi obejrzenie wszystkich jego akt z medycznymi włącznie.

Zaczęli od pozbawionego okien pomieszczenia z niedobranymi szafami na dokumenty. Po kilku minutach Talmadge X i Samuel zniknęli i napięcie zaczęło opadać. Policjanci przyciągnęli sobie krzesła i przyjęli kawę przyniesioną przez recepcjonistkę, która nie zaproponowała jej żadnemu z dżentelmenów z Biura Obrońcy Publicznego.

Po godzinie poszukiwań nie znaleźli niczego użytecznego. Clay i Jermaine zostawili Rodneya, by szukał dalej. Musieli się spotkać z kolejnymi policjantami.

Nalot na Clean Streets wyglądał bardzo podobnie. Dwaj prawnicy wkroczyli do dyrekcji ośrodka z dwoma policjantami. Dyrektorka została wyciągnięta z jakiegoś zebrania. Gdy czytała wezwanie, mruknęła coś o znajomości z sędzią Sackmanem i zapowiedziała, że z nim rozprawi się później. Była bardzo zirytowana, ale dokument mówił sam za siebie: chodziło o wszystkie akta i dokumenty dotyczące Washada Portera.

– To nie było konieczne – powiedziała do Claya. – Zawsze współpracujemy z adwokatami.

– Ja słyszałem, że jest inaczej – odparł Jermaine. Co więcej, Clean Streets słynął z kwestionowania nawet najłagodniejszych próśb BOP-u.

Kiedy skończyła czytać wezwanie po raz drugi, jeden z policjantów uprzedził:

– Nie mamy zamiaru czekać cały dzień.

Zaprowadziła ich do dużego gabinetu i wezwała asystentkę, która zaczęła wyciągać akta.

– Kiedy dostaniemy je z powrotem? – zapytała.

– Gdy skończymy – odparł Jermaine.

– A kto będzie je przechowywał?

– Biuro Obrońcy Publicznego, pod kluczem.

* * *

Ich romans zaczął się w Abe’s Place. Rebecca siedziała w boksie z dwiema przyjaciółkami, gdy Clay przechodził obok w drodze do męskiej toalety. Ich spojrzenia się spotkały, a on przystanął nawet na chwilę niepewny, co dokładnie ma zrobić. Wkrótce przyjaciółki zniknęły, a Clay porzucił swoich kumpli od kieliszka. Siedzieli oboje przy barze przez dwie godziny i rozmawiali. Do pierwszej randki doszło nazajutrz wieczorem. Do seksu po niespełna tygodniu. Rodzicom przedstawiła go po dwóch miesiącach.

Teraz, cztery lata później, w ich związku panowała stagnacja i Rebecca musiała ruszyć z miejsca. Wydawało się właściwe, że zakończą wszystko w Abe’s Place.

Clay przyszedł pierwszy i stanął przy barze w tłumie szczurów z Kapitolu opróżniających szklanki, mówiących głośno, szybko i jednocześnie o zasadniczych sprawach, którymi zajmowali się przez wiele godzin. Carter uwielbiał Waszyngton i go nienawidził. Uwielbiał jego dzieje, energię i znaczenie. I gardził niezliczonymi sługusami, którzy ścigali się w szaleńczej grze w to, kto jest ważniejszy. Ci stojący najbliżej Claya toczyli gorący spór o ustawy dotyczące oczyszczenia ścieków na Wielkich Równinach.

Abe’s Place była po prostu knajpą przemyślnie ulokowaną koło Kapitolu, by zwabiać spragniony tłum zmierzający na przedmieścia. Doskonale prezentujące się, dobrze ubrane kobiety. Wiele z nich na łowach. Clay podchwycił kilka spojrzeń.

Rebecca była powściągliwa, zdecydowana i oziębła. Usiedli w boksie i na wszelki wypadek oboje zamówili mocne drinki.

Clay zadał parę niepotrzebnych pytań o przesłuchania podkomisji, które zaczęły się bez fanfar, przynajmniej według „Washington Post”. Przyniesiono drinki i wtedy oboje przeszli do rzeczy.

– Rozmawiałam z ojcem – zaczęła Rebecca.

– Ja też.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że nie przyjmiesz tej posady w Richmond?

– A dlaczego ty mi nie powiedziałaś, że twój ojciec używa swoich wpływów, żeby załatwić mi tam pracę?

– Powinieneś był mnie uprzedzić.

– Dałem ci to jasno do zrozumienia.

– Z tobą nic nie jest jasne.

Oboje sięgnęli po szklanki.

– Twój ojciec nazwał mnie nieudacznikiem. Czy to przeważająca opinia w waszej rodzinie?

– W tej chwili tak.

– Podzielasz ją?

– Mam wątpliwości. Któreś z nas musi być realistą.

W ich romansie była jedna poważna przerwa, którą w najlepszym razie można było uznać za zupełnie nieudaną. Mniej więcej przed rokiem postanowili ochłonąć, zostać przyjaciółmi, ale rozejrzeć się, może poskakać z kwiatka na kwiatek, upewnić się, czy znajdą kogoś innego. To Barb doprowadziła do tej separacji, ponieważ – jak Clay dowiedział się później – jakiś bardzo bogaty młodzieniec z Potomac Country Clubu właśnie stracił żonę, która zmarła na raka. Bennett był bliskim przyjacielem tej rodziny i tak dalej, i tak dalej. Oboje z Barb zastawili pułapkę, ale wdowiec wyczuł zagrożenie. Miesiąc kontaktów z Van Hornami wystarczył, by facet kupił dom w Wyoming.

To rozstanie jednak było znacznie poważniejsze. Niemal na pewno oznaczało koniec. Clay wypił kolejnego drinka i obiecał sobie, że bez względu na to, jakie słowa padną, on nie powie niczego, co ją zrani. Rebecca, gdy chciała, umiała uderzyć poniżej pasa. On nie chciał.

– Czego ty chcesz? – spytał.

– Nie wiem.

– Owszem, wiesz. Chcesz odejść?

– Chyba tak – odparła i do oczu natychmiast napłynęły jej łzy.

– Masz kogoś?

– Nie.

Jeszcze nie. Wystarczy jednak dać Barb i Bennettowi kilka dni.

– Chodzi po prostu o to, że zmierzasz donikąd – wyjaśniła. – Jesteś inteligentny i utalentowany, ale brak ci ambicji.

– Jezu, jak miło wiedzieć, że znowu jestem inteligentny i utalentowany. Jeszcze kilka godzin temu byłem nieudacznikiem.

– Próbujesz być zabawny?

– Czemuż by nie? Dlaczego się nie pośmiać? Spójrzmy prawdzie w oczy, to koniec. Kochamy się, ale jestem nieudacznikiem, który zmierza donikąd. Lecz to twój problem. Moim problemem są twoi rodzice. Oni dadzą wycisk biedaczynie, którego poślubisz.

– Biedaczynie?

– Zgadza się. Żal mi biedaczyny, za którego wyjdziesz, bo twoi rodzice są nie do zniesienia. A ty o tym wiesz.

– Biedaczyna, którego poślubię? – Zamiast łez, które obeschły, w jej oczach pojawiły się teraz gniewne błyski.

– Nie przejmuj się.

– Biedaczyną, którego poślubię?

– Słuchaj, złożę ci propozycję: pobierzmy się teraz. Rezygnujemy z pracy, zawieramy szybkie małżeństwo bez świadków, sprzedajemy wszystko, co mamy, i lecimy do Seattle lub Portlandu, daleko stąd, i przez jakiś czas żyjemy miłością.

– Nie wyjedziesz do Richmond, ale wybierzesz się do Seattle?

– Richmond jest zbyt blisko twoich rodziców, rozumiesz?

– A potem co?

– Potem znajdziemy pracę.

– Jaką pracę? Na zachodzie brakuje prawników?

– O czymś zapominasz. Pamiętaj, że jestem inteligentny, utalentowany, dobrze wykształcony, bystry, a nawet przystojny. Duże prawnicze kancelarie w całym regionie będą o mnie zabiegać. Za półtora roku zostanę wspólnikiem. Będziemy mieli dzieci.

– Wtedy przyjadą moi rodzice.

– Nie, bo nie powiemy im, gdzie jesteśmy. A jeśli nas znajdą, zmienimy nazwiska i przeprowadzimy się do Kanady.

Podano dwa kolejne drinki i oboje natychmiast odstawili opróżnione szklanki.

Ten pogodny moment minął, i to szybko. Przypomniał im jednak zarówno to, dlaczego się kochali, jak i to, że bardzo cieszyli się wspólnie spędzanym czasem. W ich związku było znacznie więcej śmiechu niż smutku, ale sytuacja się zmieniała: mniej śmiechu, więcej bezsensownych sprzeczek i coraz silniejszy wpływ rodziców.

– Nie podoba mi się Zachodnie Wybrzeże – powiedziała w końcu Rebecca.

– Więc wybierz inne miejsce – zaproponował Clay, kładąc kres tej fantazji. Jej miejsce zostało wybrane za nią i ma pozostać blisko mamusi i tatusia.

Z czymkolwiek przyszła na to spotkanie, musiała to w końcu powiedzieć. Upiła spory łyk alkoholu, po czym pochyliła się do przodu i spojrzała Clayowi prosto w oczy.

– Clay, ja naprawdę muszę zrobić sobie przerwę.

– Oszczędź sobie nerwów. Zrobimy, co tylko chcesz.

– Dziękuję.

– Na jak długo?

– Nie będę negocjowała.

– Na miesiąc?

– Dłużej.

– Na to się nie zgodzę. Umówmy się na trzydzieści dni bez telefonów, dobrze? Dzisiaj jest siódmy maja. Spotkamy się tutaj, przy tym samym stoliku, szóstego czerwca, i wtedy pogadamy o ewentualnej prolongacie.

– Prolongacie? – zdziwiła się Rebecca.

– Nazwij to, jak chcesz.

– Dziękuję. Nazwę to rozstaniem. Wielkim wybuchem. Końcem znajomości. Ty idziesz w swoją stronę, ja w swoją. Pogadamy za miesiąc, ale nie spodziewam się zmiany. W ostatnim roku sytuacja niewiele się zmieniła.

– Gdybym zgodził się na przyjęcie tej okropnej pracy w Richmond, też byśmy się rozstali?

– Chyba nie.

– Czy to oznacza coś innego niż zaprzeczenie?

– Nie.

– Więc to wszystko było pułapką, prawda? Ta praca to ultimatum? Wczoraj, tak jak podejrzewałem, po prostu urządziliście zasadzkę. Weź tę robotę, chłopcze, bo inaczej…

Zamiast zaprzeczać, Rebecca powiedziała:

– Mam już dość walki, rozumiesz? Nie dzwoń do mnie przez miesiąc.

Wzięła torebkę i wstała. Wychodząc z boksu, zdołała jakoś złożyć beznamiętny i nic nieznaczący pocałunek przy prawej skroni Claya, ale on nawet tego nie zauważył. Nie patrzył za nią.

Rebecca nawet się nie obejrzała.

Rozdział 8

Mieszkanie Claya znajdowało się w przestarzałym kompleksie w Arlington. Gdy wynajmował je cztery lata temu, nie słyszał jeszcze o Grupie BVH. Później dowiedział się, że firma zbudowała ten kompleks na początku lat osiemdziesiątych w ramach jednego z pierwszych przedsięwzięć Bennetta. Przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem, kompleks sprzedawano i kupowano kilka razy i żaden z czynszów płaconych przez Claya nie trafił do kieszeni Van Horna. Prawdę mówiąc, nikt z tej rodziny nie wiedział, że Clay mieszka w czymś, co zbudowali. Nawet Rebecca.

Carter dzielił trzypokojowe mieszkanie z Jonahem, dawnym kumplem z wydziału prawa, który egzamin adwokacki zdał dopiero za piątym razem i teraz sprzedawał komputery. Zajmował się tym w niepełnym wymiarze godzin, lecz i tak zarabiał więcej od niego, a ten fakt zawsze tkwił w podświadomości Claya.

Nazajutrz po rozstaniu się z Rebeccą Clay zabrał egzemplarz „Washington Post" sprzed drzwi i zasiadł przy kuchennym stole z pierwszą tego ranka filiżanką kawy. Jak zawsze przeszedł do strony z informacjami giełdowymi, żeby z satysfakcją odnotować fatalne notowania BVHG. Akcje ledwo się sprzedawały i nieliczni niezorientowani inwestorzy, którzy weszli w ich posiadanie, teraz byli skłonni pozbyć się ich za marne siedemdziesiąt centów za sztukę.

I kto tutaj jest nieudacznikiem?

O kluczowych przesłuchaniach podkomisji szefa Rebeki nie wspomniano ani słowem.

Kiedy skończył swoje krótkie polowanie na czarownice, przeszedł do działu sportowego i pomyślał, że nadeszła pora, by zapomnieć o Van Hornach. O wszystkich bez wyjątku.

Dwadzieścia po siódmej, gdy zwykle jadł płatki, zadzwonił telefon. Clay uśmiechnął się i pomyślał: To ona. Już wróciła.

Nikt inny nie dzwoniłby tak wcześnie. Nikt oprócz chłopaka lub męża kobiety, która mogła odsypiać na górze kaca z Jonahem. Przez lata Clay odebrał wiele takich telefonów. Jonah uwielbiał kobiety, zwłaszcza te związane z kimś innym. Twierdził, że stanowią większe wyzwanie.

Ale to nie była Rebecca, nie był to również czyjś chłopak lub mąż.

– Pan Clay Carter? – zapytał obcy męski głos.

– Przy telefonie.

– Panie Carter, nazywam się Max Pace. Prowadzę rekrutację pracowników dla kan-

celarii prawniczych w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Pańskie nazwisko zwróciło naszą uwagę i mam dwa bardzo atrakcyjne stanowiska, które mogą pana zainteresować. Moglibyśmy zjeść dzisiaj razem lunch?

Później, pod prysznicem, Clay wspominał, że myśl o smacznym posiłku była pierwszą rzeczą, która przyszła mu do głowy, gdy oniemiał.

– Oczywiście – zdołał wykrztusić. Łowcy głów stanowili część branży prawniczej, taką samą jak wszystkie inne profesje. Rzadko jednak poświęcali czas na leszczy z Biura Obrońcy Publicznego.

– Dobrze. Spotkajmy się wobec tego w holu hotelu Willard. Może w południe?

– Południe pasuje – odparł Clay, skupiając wzrok na stercie nieumytych talerzy w zlewie. Tak, to się dzieje naprawdę. To nie sen.

– Dzięki. A zatem do zobaczenia, panie Carter. Obiecuję, że nie pożałuje pan poświęconego mi czasu.

– Z pewnością.

Max Pace rozłączył się szybko i przez chwilę Clay trzymał słuchawkę, patrzył na brudne naczynia i zastanawiał się, który z kolegów ze studiów kryje się za tym żartem. A może to mała zemsta Bennetta Buldożera?

Nie miał numeru telefonu do Maxa. Nie miał nawet dość przytomności umysłu, by zdobyć nazwę jego firmy.

Nie miał również czystego garnituru. Miał dwa, popielate, jeden gruby, drugi cienki, oba bardzo stare i znoszone. Jego garderoba procesowa. Na szczęście w BOP-ie nie obowiązywał strój służbowy, więc Clay zazwyczaj nosił spodnie khaki i granatowy blezer. Jeżeli wybierał się do sądu, zakładał krawat i zdejmował go, gdy tylko wracał do biura.

Pod prysznicem uznał, że ubranie nie jest istotne. Max Pace wiedział, gdzie Clay pracuje, i miał ogólne wyobrażenie o tym, jak mało zarabia. Jeśli Clay zjawi się na rozmowie w postrzępionych spodniach khaki, będzie mógł zażądać więcej forsy.

Jadąc przez most Arlington Memorial, uznał, że to sprawka jego ojca. Stary został wygnany z Waszyngtonu, ale nadal miał kontakty. I wreszcie wcisnął właściwy guzik, poprosił o ostatnią przysługę, znalazł synowi porządną posadę. Gdy głośna kariera prawnicza Jarretta Cartera zakończyła się z hukiem, zachęcił syna do pracy w Biurze Obrońcy Publicznego. Teraz nauka zawodu dobiegała końca. Pięć lat w okopach, pora na prawdziwą pracę.

Jakiego rodzaju kancelarie się nim interesują? Intrygowało go to. Jego ojciec nie znosił dużych kancelarii specjalizujących się w obsłudze i lobbingu, które szczelnie wypełniały Connecticut i Massachusetts Avenue. Nie potrzebował też drugorzędnych kancelarii, ogłaszających się na autobusach i billboardach i zapychających system błahymi sprawami. Dawna kancelaria Jarretta zatrudniała dziesięciu prawników, dziesięciu sądowych krzykaczy, którzy uzyskiwali korzystne wyroki i cieszyli się dużym wzięciem.

– Do tego właśnie zmierzam – wymamrotał pod nosem Clay, zerkając na płynący poniżej Potomac.

* * *

Po najmniej produktywnym poranku w swojej karierze o wpół do dwunastej Clay wyszedł z biura i bez pośpiechu pojechał do Willarda, oficjalnie zwanego teraz hotelem Willard Inter-Continental. Natychmiast wyszedł mu naprzeciw muskularny młodzieniec, który wyglądał znajomo.

– Pan Pace jest na górze – poinformował. – I tam chciałby się z panem spotkać, jeżeli to panu nie przeszkadza.

– Szli w kierunku wind.

– Oczywiście – odparł Clay. Nie był pewny, jak rozpoznano go z taką łatwością.

W drodze na górę nie zwracali na siebie uwagi. Wyszli na korytarz na ósmym piętrze i człowiek towarzyszący Clayowi zapukał do drzwi apartamentu Theodore'a Roosevelta. Otworzyły się szybko i w progu powitał go z rzeczowym uśmiechem Max Pace. Miał czterdzieści kilka lat, ciemne falujące włosy i ciemne wąsy. Wszystko inne też miał ciemne. Czarne dżinsy, czarny podkoszulek, czarne buty o spiczastych noskach. Hollywood w hotelu Willard. Strój niezupełnie w stylu korporacyjnym, jakiego spodziewał się Clay. Gdy wymienili uścisk dłoni, zrozumiał, że sytuacja może być inna, niż się wydaje.

Ochroniarz został odprawiony szybkim spojrzeniem.

– Dziękuję, że pan przyszedł – rzekł Max, gdy weszli do owalnego pokoju wyłożonego aż po sufit marmurem.

– Nie ma sprawy. – Clay oglądał apartament; luksusowe skóry i tkaniny, pokoje rozchodzące się promieniście we wszystkich kierunkach. – Ładne miejsce.

– Przez kilka następnych dni będzie do mojej dyspozycji. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść tutaj, zamówić coś do pokoju. W ten sposób uda nam się spokojnie porozmawiać.

– Nie mam nic przeciwko temu. – Do głowy przyszło Clayowi pytanie, pierwsze z wielu: Co waszyngtoński łowca głów robi w wynajętym za koszmarne pieniądze hotelowym apartamencie? Dlaczego nie ma w pobliżu biura? Czy naprawdę potrzebuje ochroniarza?

– Zamówić panu coś konkretnego?

– Nie jestem wybredny.

– Przyrządzają tu wspaniały makaron z łososiem. Wczoraj jadłem. Wyborne.

– Chętnie spróbuję. – W tym momencie spróbowałby czegokolwiek: umierał z głodu.

Max podszedł do telefonu, a Clay zaczął podziwiać widok na biegnącą poniżej Penn-

sylvania Avenue. Gdy lunch został zamówiony, usiedli przy oknie i szybko omówili pogodę, złą passę drużyny Baltimore Orioles i kiepski stan gospodarki. Pace był wygadany i wydawało się, że potrafi swobodnie rozmawiać na dowolny temat tak długo, jak Clay sobie tego życzy. Dużo ćwiczył ze sztangą i chciał, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Podkoszulek opinał mu pierś i ramiona, z upodobaniem skubał wąs, a ilekroć to robił, jego biceps prężył się pod rękawem.

Wyglądał na kaskadera, nie na łowcę głów dla najlepszych kancelarii prawniczych.

Po dziesięciu minutach pogawędki Clay zaproponował:

– Może opowie mi pan trochę o tych dwóch kancelariach?

– One nie istnieją – odparł Max. – Przyznaję, że pana okłamałem. I obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

– Rozumiem, że nie jest pan łowcą głów?

– Nie.

– Kim w takim razie?

– Strażakiem.

– Dzięki, to naprawdę wszystko wyjaśnia.

– Niech mi pan pozwoli przez chwilę mówić. Muszę coś wytłumaczyć i obiecuję, że gdy skończę, będzie pan usatysfakcjonowany.

– Proponuję, żebyś mówił naprawdę szybko, Max, bo inaczej stąd wyjdę.

– Proszę się odprężyć, panie Carter. Mogę panu mówić Clay?

– Jeszcze nie.

– Świetnie. Jestem agentem, przedsiębiorcą, wolnym strzelcem wyspecjalizowanym w gaszeniu pożarów na zlecenie dużych firm. One dają ciała, uświadamiają sobie swoje błędy, zanim zrobią to prawnicy, więc wynajmują mnie, bym dyskretnie wkroczył do akcji, uprzątnął bałagan i, przy odrobinie szczęścia, oszczędził im wydatków. Na moje usługi jest ogromny popyt. Mogę się nazywać Max Pace, mogę też inaczej. To nieistotne. To, kim jestem i skąd pochodzę, nie ma nic do rzeczy. Ważne jest, że zostałem wynajęty przez dużą firmę do ugaszenia pożaru. Jakieś pytania?

– Zbyt dużo, by zadać je teraz.

– Proszę poczekać. Nie mogę panu wyjawić nazwy firmy będącej moim klientem, być może nigdy tego nie zrobię. Jeżeli dojdziemy do porozumienia, wtedy będę mógł panu powiedzieć znacznie więcej. Oto w czym rzecz: mój klient to międzynarodowa firma produkująca środki farmaceutyczne. Domyśli się pan która. Wypuszcza szeroką gamę produktów, od pospolitych domowych lekarstw, które znajdują się w pańskiej apteczce, po złożone leki na raka i otyłość. Stara, doskonała firma o ugruntowanej pozycji i bardzo dobrej renomie. Około dwóch lat temu wynalazła lek, który może leczyć z uzależnienia od narkotyków wytwarzanych na bazie opium i kokainy. Znacznie bardziej nowoczesny niż metadon, który pomaga wprawdzie wielu narkomanom, ale też uzależnia i jest powszechnie nadużywany. Nazwijmy ten cudowny lek tarvanem – przez pe-

wien czas tak się właśnie nazywał. Odkryto go przez przypadek i szybko wypróbowano na wszystkich dostępnych zwierzętach laboratoryjnych. Wyniki były znakomite, ale z drugiej strony trudno powielić uzależnienie od cracku u gromady szczurów.

– Potrzebowali ludzi – wtrącił Clay.

Pace skubnął wąs i rękaw podkoszulka zmarszczył się na jego napiętym bicepsie.

– Tak. Tarvan stwarzał dostatecznie duże możliwości, by szefowie firmy nie mogli zmrużyć oka. Niech pan sobie wyobrazi: jedna tabletka dziennie przez trzy miesiące i jesteś czysty. Znika głód narkotykowy. Pozbyłeś się kokainy, heroiny, cracku, tak po prostu. Gdy już oczyściłeś organizm, wystarczy zażywać tarvan co drugi dzień i do końca życia jesteś człowiekiem wolnym od nałogu. Niemal błyskawiczny ratunek dla milionów narkomanów. Proszę pomyśleć o zyskach, liczeniu za ten lek jak za zboże, bo ktoś gdzieś chętnie tyle zapłaci. Niech pan pomyśli o ludzkich istnieniach, które można będzie ocalić, przestępstwach, które nie zostaną popełnione, o rodzinach niezagrożonych rozpadem, miliardach niewydanych na próby resocjalizacji narkomanów. Im częściej szefowie firmy myśleli o tym, jak wspaniałym lekiem może być tarvan, tym szybciej chcieli wprowadzić go na rynek. Ale, jak pan zauważył, potrzebowali badań na ludziach.

Pauza, łyk kawy. Koszulka zadrżała na muskularnym ciele.

– Zaczęli więc popełniać błędy. Wybrali trzy miejsca: Meksyk, Singapur i Belgrad… daleko poza granicami jurysdykcji FDA. Pod przykrywką brygady międzynarodowej pomocy humanitarnej zbudowali kliniki odwykowe, naprawdę porządne ośrodki zamknięte, gdzie narkomani mogli być pod całkowitą kontrolą. Wybierali największych ćpunów, jakich mogli znaleźć, pakowali ich do ośrodka, odtruwali i zaczęli podawać im tarvan, chociaż narkomani nie mieli o tym pojęcia. Tak naprawdę było im to obojętne, bo za nic nie płacili.

– Ludzkie laboratoria – mruknął Clay. Jak dotąd opowieść była fascynująca, a Max strażak miał talent narratorski.

– Nic dodać, nic ująć. Z dala od amerykańskiego systemu egzekwowania odpowiedzialności deliktowej. I od amerykańskiej prasy. Oraz od amerykańskich instytucji nadzorujących. Plan był genialny, a lek dawał znakomite wyniki. Po trzydziestu dniach łagodził głód narkotykowy. Po sześćdziesięciu narkomani wydawali się bardzo zadowoleni z odtrucia organizmu, a po dziewięćdziesięciu nie bali się powrotu na ulicę. Wszystko było monitorowane… dieta, ćwiczenia, terapia, nawet rozmowy. Mój klient zatrudniał co najmniej jednego pracownika na jednego pacjenta, a w każdej z tych klinik było sto łóżek. Po trzech miesiącach pacjentów wypuszczano na wolność, uzgodniwszy, że co drugi dzień będą wracali do kliniki po dawkę tarvanu. Dziewięćdziesiąt procent z nich nadal zażywało ten lek i pozostali czyści. Dziewięćdziesiąt procent! Tylko dwa procent wpadło znowu w nałóg.

– A pozostałych osiem?

– Miało przysporzyć kłopotów, ale mój klient nie wiedział, jak będą poważne. W każdym razie kliniki miały pełne obłożenie i w ciągu osiemnastu miesięcy terapii tarvanem poddano około tysiąca narkomanów. Wyniki były niesamowite. Mój klient wyczuł miliardowe zyski. I nie miał konkurencji. Żadna inna firma nie prowadziła poważnych badań nad lekiem przeciwko uzależnieniu. Większość koncernów farmaceutycznych zrezygnowała z nich wiele lat temu.

– A następny błąd?

Max zawahał się przez chwilę, po czym odparł:

– Było ich tak dużo…

Zadźwięczał dzwonek, przyniesiono lunch. Kelner wtoczył go na wózku i przez pięć minut krzątał się przy stole. Clay stał przy oknie, spoglądając na szczyt obelisku Waszyngtona, lecz był zbyt pochłonięty myślami, by cokolwiek widzieć. Max dał napiwek kelnerowi i w końcu się go pozbył.

– Jest pan głodny? – zapytał.

– Nie. Proszę mówić dalej. – Clay zdjął marynarkę i usiadł na krześle. – Myślę, że zbliżamy się do najciekawszej części.

– Najciekawszej lub najmniej ciekawej, zależy, jak na to spojrzeć. Następny błąd polegał na sprowadzeniu przedstawienia tutaj. W tym właśnie momencie sprawa zaczyna wyglądać naprawdę paskudnie. Mój klient spojrzał na mapę świata i wcześniej rozmyślnie wybrał jedno miejsce dla ludzi rasy białej, jedno dla Latynosów i jedno dla Azjatów. Potrzebni byli Afrykanie.

– W Waszyngtonie jest ich cała masa.

– Podobnie uważał mój klient.

– Pan kłamie, prawda? Proszę przyznać, że pan kłamie.

– Raz pana okłamałem. I obiecałem, że więcej tego nie zrobię.

Clay wstał powoli i znowu stanął przy oknie. Max obserwował go z uwagą. Lunch stygł, ale wydawało się, że żaden z nich się tym nie przejmuje. Czas się zatrzymał.

Clay odwrócił się i zapytał:

– Tequila?

Max skinął głową i potwierdził:

– Tak.

– I Washad Porter?

– Tak.

Minęła minuta. Clay skrzyżował ręce na piersi i oparł się o ścianę, twarzą do Maxa, który przygładzał wąsy.

– Proszę bardzo, słucham.

– U około ośmiu procent pacjentów coś szwankuje – podjął Max. – Mój klient nie ma pojęcia co, jak, ani kto może być zagrożony. Tarvan czyni z nich zabójców. Po prostu. Po około stu dniach w ich mózgu coś zachodzi i czują nieodpartą żądzę krwi. I nie-

ważne, czy w przeszłości dokonywali aktów przemocy. Wiek, rasa, płeć… nic tych zabójców nie wyróżnia.

– To oznacza osiemdziesięciu zabitych?

– Co najmniej. Ale w slumsach Meksyku trudno zdobyć informacje.

– Ilu tutaj, w Dystrykcie Columbii?

Było to pierwsze pytanie, po którym zakłopotany Max uchylił się od odpowiedzi.

– Odpowiem za kilka minut. Proszę pozwolić, bym dokończył opowieść. Zechce pan usiąść? Nie lubię podnosić wzroku, gdy mówię.

Clay wrócił na swoje miejsce.

– Następnym błędem było obejście nadzoru FDA.

– Jakżeby inaczej.

– Mój klient ma w tym mieście wielu wpływowych przyjaciół. Zjadł zęby na kupowaniu polityków za pośrednictwem komitetów akcji politycznych i zatrudnianiu ich żon, przyjaciółek i dawnych sekretarek, na zwykłym bagnie, które tworzy tutaj gruba forsa. Zawarto brudną transakcję. Obejmowała ona szychy z Białego Domu,

Departamentu Stanu, DEA, FBI oraz parę innych agencji, a żadna z nich nie zobowiązała się do niczego na piśmie. Z rąk do rąk nie przeszły żadne pieniądze, nie wręczono żadnych łapówek. Mój klient dobrze się spisał, przekonując wystarczająco dużą liczbę ludzi, że tarvan może zbawić świat, jeżeli da się go sprawdzić w jeszcze jednym laboratorium. Ponieważ zatwierdzenie leku przez FDA zajęłoby dwa do trzech lat i ponieważ agencja i tak ma w Białym Domu niewielu przyjaciół, transakcja została zawarta. Ci wpływowi ludzie, których nazwiska na zawsze odeszły w niepamięć, znaleźli sposób na przeszmuglowanie tarvanu do kilku wybranych, zasilanych z funduszy federalnych klinik odwykowych w Dystrykcie Columbii. Gdyby lek sprawdził się tutaj, wtedy Biały Dom i grube ryby wywierałyby na FDA niesłabnącą presję w celu jego szybkiego zatwierdzenia.

– Czy kiedy zawierano tę transakcję, pański klient wiedział o tych ośmiu procentach?

– Nie wiem. Mój klient nie wyjawił i nigdy nie wyjawi mi wszystkiego. Ja też nie zadaję zbyt dużo pytań. Moje zadanie polega na czym innym. Podejrzewam jednak, że mój klient o tym nie wiedział. W przeciwnym razie eksperymentowanie tutaj wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. To wszystko stało się bardzo szybko, mecenasie Carter.

– Teraz możesz mi mówić Clay.

– Dzięki, Clay.

– Nie ma o czym mówić.

– Wspomniałem, że nie wręczono żadnych łapówek…

1 znowu jest to zapewnienie mojego klienta. Ale bądźmy realistami. Wstępne szacunki zysków ze sprzedaży tarvanu przez następne dziesięć lat opiewały na trzydzieści miliardów dolarów. Zysków, nie przychodów. Wstępne szacunki pieniędzy podatników

zaoszczędzonych dzięki tarvanowi opiewały na blisko sto miliardów w tym samym okresie. Oczywiście przy okazji jakieś pieniądze miały trafić z rąk do rąk.

– Ale to wszystko już nieaktualne?

– O tak. Sześć dni temu lek został wycofany. Te cudowne kliniki w Meksyku, Singapurze i Belgradzie zamknięto w środku nocy, a wszyscy opiekunowie zniknęli jak duchy. Zapomniano o wszystkich eksperymentach. Zniszczono całą dokumentację. Mój klient nigdy nie słyszał o tarvanie. I chcielibyśmy utrzymać ten stan.

– Mam wrażenie, że w tym momencie na scenie pojawiam się ja.

– Tylko jeśli zechcesz. Jeżeli odmówisz, jestem przygotowany na spotkanie z innym prawnikiem.

– Odmówię czego?

– Zawarcia transakcji, Clay, transakcji. Dotychczas w Waszyngtonie narkomani leczeni tarvanem zabili pięć osób. Jeden biedak leży w śpiączce i chyba z tego nie wyjdzie. Pierwsza ofiara Washada Portera. To łącznie sześć osób. Wiemy, kim są, jak zginęli, kto ich zabił, wszystko. Chcemy, żebyś reprezentował ich rodziny. Podpisujesz z nimi umowy, my wypłacamy pieniądze, wszystko kończy się szybko, po cichu, bez procesów sądowych, bez rozgłosu, bez jakichkolwiek śladów.

– Dlaczego mieliby mnie wynająć?

– Dlatego że nie mają pojęcia, iż mogą wygrać w sądzie.

O ile im wiadomo, ich bliscy padli ofiarą aktów ulicznej przemocy. Tutaj to sposób życia. Twój dzieciak dostaje kulkę od ulicznego chuligana, grzebiesz go, chuligan zostaje aresztowany, idziesz do sądu na rozprawę w nadziei, że na resztę życia trafi za kratki. Ale o procesie cywilnym nie myślisz. Pozwiesz tego chuligana? Nawet przymierający głodem prawnik nie wziąłby takiej sprawy. Oni wynajmą ciebie, bo pójdziesz do nich, powiesz im, że mają mocne argumenty i możesz uzyskać cztery miliony dolców w drodze bardzo szybkiej i bardzo poufnej ugody.

– Cztery miliony dolców – powtórzył Clay, nie mając pewności, czy to za dużo, czy za mało.

– Wyjaśnię ci, co ryzykujemy. Jeżeli jakiś prawnik dowie się o tarvanie, a szczerze mówiąc, jesteś pierwszym, który coś zwietrzył, wtedy może dojść do procesu. Powiedzmy, że ten prawnik jest starym wyjadaczem, który dobiera sobie w Waszyngtonie czarną ławę przysięgłych.

– To dość łatwe.

– Jasne, że łatwe. I powiedzmy, że ten prawnik jakoś zdobywa odpowiednie dowody. Może dokumenty, które nie zostały zniszczone. Lub raczej dociera do kogoś, kto pracuje dla mojego klienta, do jakiegoś informatora. Tak czy inaczej proces jest na rękę rodzinie zmarłego. Mógłby zapaść bardzo surowy wyrok. A co gorsza, przynajmniej dla mojego klienta, antyreklama miałaby potworne konsekwencje. Kurs akcji mógłby się załamać. Wyobraź sobie najgorsze, Clay, przypomnij sobie swój najgorszy koszmar

i wierz mi, ci goście też to dostrzegają. Zrobili coś złego. Wiedzą o tym i chcą to naprawić. Ale też próbują ograniczyć straty.

– Cztery miliony to dla nich pestka.

– Tak i nie. Weź Ramóna Pumphreya. Dwudziestodwulatek pracujący w niepełnym wymiarze godzin i zarabiający sześć tysięcy dolarów rocznie. Biorąc pod uwagę średnią długość życia, mógł jeszcze przeżyć pięćdziesiąt trzy lata, a zakładając jego roczne zarobki na poziomie dwukrotnie wyższym od minimalnych, wartość ekonomiczna jego egzystencji, liczona w dzisiejszych dolarach, wynosi około pół miliona. Tyle właśnie był wart.

– Wywalczenie odszkodowania z nawiązką nie byłoby trudne.

– To zależy. Zasadności oskarżenia byłoby bardzo trudno dowieść, ponieważ brak dokumentacji. Te akta, które wczoraj zabraliście, niczego nie ujawnią. Opiekunowie w Obozie Wyzwolenia i Clean Streets nie wiedzieli, jakie podają leki. W FDA nigdy nie słyszeli o tarvanie. Mój klient wydałby miliard na prawników, ekspertyzy i wszystkich innych, których potrzebuje do swojej ochrony. Z uwagi na ogrom winy mojego klienta proces przerodziłby się w prawdziwą wojnę.

– Sześć razy cztery równa się dwadzieścia cztery miliony.

– Dodaj dziesięć dla adwokata.

– Dziesięć?

– Owszem, takie są warunki umowy, Clay. Dziesięć milionów dla ciebie.

– Chyba żartujesz.

– Mówię śmiertelnie poważnie. W sumie trzydzieści cztery. Czeki mogę wypisać już teraz.

– Muszę się przejść.

– Nie zjesz lunchu?

– Nie, dziękuję.

Rozdział 9

Clay snuł się przed Białym Domem. Na moment zgubił się w grupie holenderskich turystów robiących zdjęcia i czekających, aż prezydent pomacha im sprzed swojej siedziby, po czym przespacerował się po parku Lafayette'a, z którego za dnia znikali bezdomni, a następnie przysiadł na ławce na placu Farragut, gdzie zjadł kanapkę, w ogóle nie czując jej smaku. Wszystkie jego zmysły były przytępione, wszystkie myśli spowolnione i chaotyczne. Nastał maj, ale niebo nie było bezchmurne. Wilgotne powietrze nie pomagało mu w myśleniu.

Wyobraził sobie dwanaście czarnych osób zasiadających w ławie przysięgłych, dwunastu gniewnych ludzi, którzy przez tydzień wysłuchiwali szokującej opowieści o tarvanie. Zwrócił się do nich w podsumowaniu: „Potrzebowali czarnoskórych szczurów laboratoryjnych, panie i panowie, najlepiej Amerykanów, bo to oni mają pieniądze. Sprowadzili więc ten cudowny lek do naszego miasta". Tych dwanaście osób chłonęło każde jego słowo i potakiwało, pragnąc natychmiast udać się na naradę i wymierzyć sprawiedliwość.

Ile wyniosła najwyższa suma zasądzona w dziejach świata? Czy autorzy *Księgi rekordów Guinnessa* prowadzą takie zestawienia? Bez względu na jej wysokość, otrzymałby ją, gdyby tylko poprosił. „Po prostu wypełnijcie puste miejsce, szanowni członkowie ławy przysięgłych".

Ta sprawa nigdy nie trafi do sądu, nie rozpatrzy jej żadna ława przysięgłych. Ktokolwiek wyprodukował tarvan, wydałby znacznie więcej niż trzydzieści cztery miliony, żeby pogrzebać prawdę. I wynająłby najrozmaitszych zbirów, aby łamali nogi, wykradali dokumenty, zakładali podsłuchy w telefonach i puszczali z dymem biura, robiąc wszystko, co trzeba, aby nie dopuścić tych dwunastu gniewnych ludzi do swojej tajemnicy.

Pomyślał o Rebecce. Jakże inną byłaby dziewczyną, otoczona luksusem zapewnionym przez jego pieniądze. Jak szybko przestałaby się zamartwiać sprawami Kapitolu i wycofała w domowe zacisze jako młoda matka. Poślubiłaby go za trzy miesiące lub wtedy, gdy Barb zdołałaby wszystko przygotować.

Pomyślał o Van Hornach, ale – rzecz dziwna – nie jako o ludziach, których nadal znał. Znaleźli się poza nawiasem jego życia, próbował o nich zapomnieć. Po czterech latach uwolnił się od tej pary. Już nigdy nie będą go zadręczali.

Był gotowy uwolnić się od wielu rzeczy.

Minęła godzina. Uświadomił sobie, że gapi się na wystawy sklepików przy DuPont

Circle wychodzące na Massachusetts Avenue; rzadko spotykane książki, rzadko spotykane naczynia, rzadko spotykane stroje, a wszędzie rzadko spotykani ludzie. W jednej witrynie sklepowej było lustro. Clay spojrzał sobie w oczy i głośno zapytał, czy Max strażak istnieje naprawdę, czy też jest oszustem bądź duchem. Szedł zniesmaczony myślą, iż szanowana firma potrafi żerować na najsłabszych, a chwilę później podniecony perspektywą otrzymania pieniędzy, o jakich mu się nie śniło. Potrzebował rady ojca. Jarrett Carter wiedziałby, co zrobić.

Minęła kolejna godzina. Miał być w biurze na jakimś cotygodniowym zebraniu pracowników.

– Wywalcie mnie – mruknął z uśmiechem.

Przez jakiś czas wertował książki w Kramerbooks, swojej ulubionej waszyngtońskiej księgarni. Może wkrótce będzie mógł przerzucić się z wydań w oprawie broszurowej na książki w twardych okładkach. Mógłby zapełnić ściany swojego nowego lokum rzędami tomów.

Punktualnie o trzeciej po południu zgodnie z umową wszedł do baru w głębi księgarni i zastał tam Maxa Pace’a, który siedział samotnie, popijał lemoniadę i czekał. Na widok Claya wyraźnie się ucieszył.

– Śledziłeś mnie? – zapytał Carter, siadając i wsuwając ręce do kieszeni spodni.

– Oczywiście. Chciałbyś się czegoś napić?

– Nie. A gdybym jutro złożył pozew w imieniu rodziny Ramóna Pumphreya? Ta jedna sprawa może być warta więcej, niż proponujesz mi za wszystkie sześć.

Wyglądało na to, że Max spodziewał się tego pytania i miał gotową odpowiedź.

– Miałbyś sporo problemów. Pozwól, że wymienię trzy najważniejsze. Po pierwsze, nie wiesz, kogo masz pozwać. Nie wiesz, kto wyprodukował tarvan, i jest szansa na to, że nikt nigdy się tego nie dowie. Po drugie, nie masz pieniędzy na walkę z moim klientem. Przeprowadzenie długotrwałego ataku wymagałoby co najmniej dziesięciu milionów dolarów. Po trzecie, straciłbyś możliwość reprezentowania wszystkich znanych powodów. Jeżeli się szybko nie zgodzisz, jestem gotów pójść z tą samą propozycją do następnego prawnika na mojej liście. Moim celem jest zakończenie tej sprawy w ciągu miesiąca.

– Mógłbym z tym pójść do dużej kancelarii wyspecjalizowanej w takich sprawach.

– Owszem, to zaś stworzyłoby kolejne problemy. Po pierwsze, oddałbyś co najmniej połowę swojego honorarium. Po drugie, dopięcie swego zajęłoby ci pięć lat, może więcej. Po trzecie, największa w kraju kancelaria wyspecjalizowana w roszczeniach odszkodowawczych z łatwością mogłaby przegrać tę sprawę. Prawda, przyjacielu, być może nigdy nie wyjdzie na jaw.

– A powinna.

– Być może, ale jest mi to obojętne. Moim zadaniem jest wyciszenie sprawy, wypłacenie należytego odszkodowania ofiarom, a potem ukrycie jej na zawsze. Nie bądź

głupcem, przyjacielu.

– Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– To prawda, ale jesteśmy na dobrej drodze.

– Masz listę prawników?

– Tak. Mam dwóch następnych kandydatów, obaj bardzo podobni do ciebie.

– Innymi słowy, wygłodniali.

– Owszem, jesteś wygłodniały. Ale i bystry.

– Tak słyszałem. I potrafię podołać trudnym obowiązkom. Ci dwaj mieszkają tutaj?

– Tak, ale nie przejmujmy się nimi. Dziś jest czwartek. Odpowiedź muszę mieć w poniedziałek do południa.

W przeciwnym razie zwrócę się do następnego kandydata.

– Czy tarvan stosowano w jakimś innym amerykańskim mieście?

– Nie, tylko w Waszyngtonie.

– Ile osób nim leczono?

– Mniej więcej sto.

Clay wypił wodę z lodem, której szklankę postawił przed nim kelner.

– A więc jest jeszcze kilku potencjalnych zabójców?

– Całkiem możliwe. Czekamy, rzecz jasna, i obserwujemy sytuację z wielkim niepokojem.

– Nie możecie ich powstrzymać?

– Powstrzymać uliczne zabójstwa w Waszyngtonie? Nikt nie mógł przewidzieć, że Tequila Watson wyjdzie z Obozu i po niespełna dwóch godzinach zabije człowieka. Ani że zrobi to Washad Porter. Nie ma żadnych wskazówek, kto może po tarvanie stracić nad sobą kontrolę i kiedy może do tego dojść. Pewne fakty świadczą o tym, że po dziesięciu dniach od odstawienia leku człowiek znowu staje się nieszkodliwy. Ale to wszystko tylko przypuszczenia.

– Więc już za kilka dni zabójstwa powinny ustać?

– Na to liczymy. Mam nadzieję, że zdołamy przeżyć ten weekend.

– Twój klient powinien trafić za kratki.

– Mój klient to korporacja.

– Korporacje też można pociągnąć do odpowiedzialności karnej.

– Nie spierajmy się o to, dobrze? To do niczego nie prowadzi. Musimy się skupić na tobie i tym, czy czujesz się na siłach podjąć to wyzwanie.

– Na pewno masz jakiś plan.

– Owszem. Bardzo szczegółowy.

– Rezygnuję z obecnej pracy. Co potem?

Pace odsunął szklankę z lemoniadą i pochylił się, jakby zaraz miał przekazać ważne informacje.

– Zakładasz własną kancelarię. Wynajmujesz biuro, wyposażasz je porządnie i tak

dalej. Musisz sprzedać ten pomysł, a jedyny sposób to wyglądać i zachowywać się jak wzięty adwokat. Twoi potencjalni klienci przyjdą do twojego biura. Muszą być pod wrażeniem. Będziesz potrzebował personelu i innych prawników pracujących dla ciebie. Najważniejsze, jak cię widzą. Zaufaj mi, sam byłem kiedyś prawnikiem. Klienci oczekują ładnych biur. Chcą widzieć oznaki sukcesu. Będziesz mówił tym ludziom, że w wyniku ugody możesz uzyskać cztery miliony dolarów.

– Cztery to zdecydowanie za mało.

– O tym później, dobrze? Musisz wyglądać na człowieka sukcesu, o to właśnie chodzi.

– Rozumiem. Dorastałem w bardzo dochodowej kancelarii prawniczej.

– Wiemy o tym. To jedna z rzeczy, które nam się w tobie podobają.

– Jak deficytowa jest teraz przestrzeń biurowa?

– Wynajęliśmy trochę pomieszczeń przy Connecticut Avenue. Chciałbyś je obejrzeć?

Opuścili Kramer’s tylnym wyjściem i szli powoli chodnikiem jak dwóch dobrych znajomych na spacerze.

– Nadal jestem śledzony? – zapytał Clay.

– Dlaczego pytasz?

– Sam nie wiem. Po prostu jestem ciekawy. To nie zdarza się co dzień. Chciałbym tylko wiedzieć, czy dostałbym kulkę, gdybym wyrwał się i uciekł.

Pace zareagował tłumionym śmiechem.

– To dość absurdalne przypuszczenie.

– Cholernie niemądre – mruknął Clay.

– Mój klient jest bardzo nerwowy.

– Nie bez powodu.

– Mają teraz w mieście dziesiątki ludzi obserwujących, czekających i modlących się, żeby nie było kolejnych zabójstw. I liczą na to, że wywiążesz się z umowy.

– A problemy etyczne?

– Jakie?

– Przychodzą mi na myśl dwa: konflikt interesów i nagabywanie potencjalnych klientów.

– Ten drugi to chyba żart. Spójrz tylko na te billboardy.

Zatrzymali się przed skrzyżowaniem.

– W tej chwili reprezentuję oskarżonego – rzekł Clay, gdy czekali. – Jak mam przejść na drugą stronę barykady i reprezentować jego ofiarę?

– Po prostu to zrób. Przeanalizowaliśmy kanony etyczne. To niezręczna sytuacja, ale ich nie narusza. Z chwilą rezygnacji z pracy w BOP-ie możesz otworzyć własną kancelarię i zacząć przyjmować sprawy.

– To nie nastręcza trudności. Ale co z Tequilą Watsonem? Przecież wiem, dlaczego

popełnił morderstwo. Nie mogę ukrywać tej wiedzy przed nim i przed jego adwokatem.

– Bycie pod wpływem alkoholu lub narkotyków nie chroni przed odpowiedzialnością za przestępstwo. On jest winny. Ramón Pumphrey nie żyje. Musisz zapomnieć o Tequili. – Znowu ruszyli.

– Nie podoba mi się ta odpowiedź – rzekł Clay.

– Lepszej nie mam. Jeżeli mi odmówisz i nadal będziesz reprezentował swojego klienta, raczej nie uda ci się dowieść, że kiedykolwiek zażywał lek o nazwie tarvan. Będziesz to wiedział, ale nie będziesz w stanie tego udowodnić. Używając tego argumentu w jego obronie, wyjdziesz na głupca.

– To może nie być argument, ale mogłoby stanowić okoliczność łagodzącą.

– Tylko jeżeli zdołasz tego dowieść, Clay. To tutaj.

– Znajdowali się na Connecticut Avenue, przed długim nowoczesnym budynkiem ze szkła i brązu.

Clay uniósł wzrok i zauważył:

– Droga dzielnica.

– Daj spokój. Masz biuro na trzecim piętrze, w rogu budynku, z fantastycznym widokiem.

W rozległym marmurowym holu w spisie najemców wymieniono najważniejsze kancelarie prawnicze Waszyngtonu.

– To niezupełnie moja liga – stwierdził Clay, czytając ich nazwy.

– Możesz w niej grać – odparł Max.

– A jeśli nie chcę tu być?

– To zależy od ciebie. Tak się składa, że mamy tu trochę miejsca. Podnajmiemy ci je na bardzo korzystnych warunkach.

– Kiedy je wynająłeś?

– Nie zadawaj za dużo pytań, Clay. Gramy w tej samej drużynie.

– Jeszcze nie.

W jego części trzeciego piętra właśnie malowano ściany i kładziono dywan. Stali przy oknie dużego pustego biura i przyglądali się pojazdom na Connecticut Avenue. Żeby otworzyć nową kancelarię, trzeba było zrobić tysiąc rzeczy, a on mógł sobie przypomnieć tylko sto. Miał przeczucie, że Max zna wszystkie odpowiedzi.

– I jak myślisz? – zapytał Pace.

– Teraz nie myślę zbyt trzeźwo. Wszystko jest zamazane.

– Nie zmarnuj tej szansy, Clay. Drugiej nie będzie. A czas płynie.

– To surrealistyczne.

– Możesz sporządzić statut swojej kancelarii w sieci, to trwa około godziny. Wybierz bank, otwórz rachunki. Papier firmowy i podobne rzeczy można zrobić z dnia na dzień. Biuro da się wyremontować i wyposażyć w ciągu kilku dni. W przyszłą środę możesz tu siedzieć za eleganckim biurkiem i prowadząc własny interes.

– Jak mam zakontraktować pozostałe sprawy?

– Przez swoich przyjaciół: Rodneya i Paulette. Znają to miasto i jego mieszkańców. Zatrudnij ich, potrój im pensje, daj ładne gabinety w głębi korytarza. Oni mogą porozmawiać z rodzinami ofiar. Z naszą pomocą.

– Pomyślałeś o wszystkim.

– Owszem. O wszystkim bez wyjątku. Kieruję bardzo sprawną machiną, machiną, która działa w trybie niemal alarmowym. Pracujemy na okrągło, Clay. Potrzebny nam tylko rzecznik.

W drodze na dół winda zatrzymała się na drugim piętrze. Wsiedli do niej trzej mężczyźni i kobieta, wszyscy ładnie ubrani i zadbani, mieli drogie teczki z grubej skóry oraz nieuleczalne miny ważniaków typowe dla prawników z dużych kancelarii. Max był tak pochłonięty rozmyślaniem o szczegółach swojego planu, że ich nie zauważył. Lecz Clay chłonął ich maniery, powściągliwą mowę, powagę i arogancję. Oczywiście w starych spodniach khaki i zdartych mokasynach nie sprawiał wrażenia, że jest ich kolegą z waszyngtońskiej palestry.

To się może zmienić z dnia na dzień, nieprawdaż?

Pożegnał się z Maxem i wybrał na kolejny długi spacer, tym razem mniej więcej w kierunku swojego biura. Kiedy w końcu przybył na miejsce, na jego biurku nie było żadnych pilnych wiadomości. Na zebranie, na które nie zdążył, najwyraźniej nie zdążyło wielu innych pracowników. Nikt nie pytał, gdzie był. Wydawało się, że nie zauważono jego popołudniowej nieobecności.

Gabinet nagle stał się znacznie mniejszy i bardziej obskurny, a wyposażenie nieznośnie przygnębiające. Na biurku leżała sterta akt, sprawy, o których nie potrafił teraz myśleć. I tak wszyscy jego klienci są kryminalistami.

Zasady panujące w BOP-ie wymagały złożenia przed odejściem z pracy trzydziestodniowego wypowiedzenia. Reguła ta nie była jednak przestrzegana, ponieważ nie dało się jej wyegzekwować. Ludzie cały czas składali nagłe rezygnacje lub odchodzili bez uprzedzenia. Glenda napisałaby list z pogróżkami. On odpowiedziałby grzecznym listem i na tym sprawa by się zakończyła.

Najlepszą sekretarką w biurze była panna Glick, zaprawiona w boju pracownica, która mogłaby skwapliwie skorzystać z szansy na podwojenie pensji i zostawienie monotonnej codzienności w BOP-ie. Clay już postanowił, że praca w jego kancelarii będzie przyjemnością. Dobre pensje, dodatkowe świadczenia i długie wakacje, może nawet udział w zyskach.

Ostatnią godzinę dnia pracy spędził za zamkniętymi na klucz drzwiami, knując, wykradając pracowników i zastanawiając się, którzy adwokaci i asystenci prawni mogliby się nadać.

* * *

Po raz trzeci tego dnia spotkał się z Maxem Pace’em na kolacji w Old Ebbitt Grille przy Piętnastej Ulicy, dwie przecznice za hotelem Willard. Ku jego zaskoczeniu Max rozpoczął od martini i po nim bardzo się rozluźnił. Gin zaczął rozładowywać napiętą sytuację i Max stał się prawdziwą osobą. Kiedyś, zanim jakieś niefortunne zdarzenie zakończyło jego karierę, był adwokatem. Dzięki kontaktom znalazł sobie miejsce na rynku procesowym jako strażak. Naprawiacz. Dobrze opłacany agent, który pojawiał się niepostrzeżenie, sprzątał bałagan i znikał bez śladu. Gdy jedli steki, po opróżnieniu pierwszej butelki bordo Max powiedział, że po sprawie tarvanu czeka na Claya kolejne zlecenie.

– Coś znacznie większego – dodał i rozejrzał się po restauracji, by sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Co? – zapytał Clay, odczekawszy długą chwilę.

Kolejne szybkie spojrzenie w poszukiwaniu szpiegów, po czym odpowiedź:

– Mój klient ma konkurenta, który wprowadził na rynek szkodliwy lek. Nikt jeszcze o tym nie wie. Ich lek daje w terapii lepsze wyniki niż nasz, lecz mój klient ma teraz wiarygodny dowód, że tamten powoduje guzy. I czeka na idealny moment do ataku.

– Do ataku?

– Tak, w pozwie zbiorowym wniesionym przez młodego agresywnego prawnika, który dysponuje odpowiednimi dowodami.

– Proponujesz mi jeszcze jedną sprawę?

– Owszem. Zawrzyj ugodę w sprawie tarvanu, załatw wszystko w miesiąc, a wtedy damy ci akta, które będą warte wiele milionów.

– Więcej niż tarvan?

– Znacznie więcej.

Clay zdołał dotąd przełknąć połowę filet mignon, zupełnie nie czując smaku. Druga połowa miała pozostać nietknięta. Umierał z głodu, ale nie miał apetytu.

– Dlaczego ja? – zapytał, mówiąc bardziej do siebie niż do nowego znajomego.

– To samo pytanie zadają ci, którzy wygrali na loterii. A ty właśnie wygrałeś. Na loterii prawniczej. Byłeś wystarczająco bystry, żeby wyczuć aferę, a my rozpaczliwie szukaliśmy młodego prawnika, któremu moglibyśmy zaufać. Znaleźliśmy siebie nawzajem i dotarliśmy do momentu, w którym podejmujesz decyzję mogącą zmienić bieg twojego życia. Zgódź się, a zaczniesz się liczyć jako prawnik. Odmów, przegrasz na loterii.

– Rozumiem. I potrzebuję trochę czasu, żeby wszystko przemyśleć.

– Masz cały weekend.

– Dzięki. Posłuchaj, wybieram się w krótką podróż, wyjeżdżam rano, wracam w niedzielę w nocy. Naprawdę nie musicie mnie śledzić.

– Mogę zapytać dokąd?

– Na Abaco, na Bahamy.

– Zobaczyć się z ojcem?

Clay był zaskoczony, ale z drugiej strony nie powinien się dziwić.
– Tak – potwierdził.
– W jakim celu?
– Nie twój interes. Łowić ryby.
– Przepraszam, ale jesteśmy pełni obaw. Mam nadzieję, że to rozumiesz.
– Niezupełnie. Podam ci godziny moich lotów, tylko mnie nie śledźcie, dobrze?
– Masz moje słowo.

Rozdział 10

Wyspa Wielkie Abaco to długi i wąski pas lądu na północnym skraju Bahamów, około stu mil na wschód od Florydy. Clay był tam raz, przed czterema laty, gdy uciułał pieniądze na bilet. Podczas tamtej podróży, w długi weekend, zamierzał omówić z ojcem ważne sprawy i zrzucić brzemię trosk. Nie doszło do tego. Jarrett Carter wciąż przeżywał swoją hańbę i od południa począwszy, zajmował się głównie piciem ponczu. Był skłonny rozmawiać o wszystkim oprócz prawa i prawników.

Ta wizyta miała być inna.

Clay przyleciał późno po południu zatłoczonym turbośmigłowcem linii Coconut Air. Celnik zerknął na jego paszport i machnięciem ręki kazał iść dalej. Jazda taksówką do Marsh Harbor po niewłaściwej stronie drogi trwała pięć minut. Kierowca lubił głośną muzykę gospel, a Clay nie był w nastroju do sporów. Ani do dawania napiwków. W porcie wysiadł z taksówki i poszedł szukać ojca.

Jarrett Carter złożył kiedyś pozew przeciwko prezydentowi Stanów Zjednoczonych i chociaż przegrał tę sprawę, dzięki wyniesionemu z niej doświadczeniu wiedział, że każdy następny pozwany stanowi łatwiejszy cel. W sądzie i poza salą rozpraw nikogo się nie bał. Jego sławę ugruntowała jedna wielka wygrana – wysoki wyrok skazujący za błąd w sztuce dla prezesa Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego, doskonałego lekarza, który pomylił się podczas operacji. Bezlitosna ława przysięgłych w konserwatywnym okręgu wydała werdykt i Jarrett Carter nagle stał się wziętym adwokatem. Wybierał najtrudniejsze sprawy, wygrywał większość z nich i w wieku czterdziestu lat był powszechnie znany. Otworzył kancelarię słynącą z bezkompromisowości na sali rozpraw. Clay nigdy nie wątpił, że pójdzie w ślady ojca i poświęci się karierze prawniczej.

Sprawy przybrały zły obrót, gdy Clay był w college'u. Paskudny rozwód drogo Jarretta kosztował. Jego kancelaria zaczęła się rozpadać, a wszyscy wspólnicy, co typowe, pozwali się nawzajem do sądu. Zestresowany Jarrett przez dwa lata nie wygrał żadnego procesu i jego reputacja bardzo na tym ucierpiała. Największy błąd popełnił wtedy, gdy wraz ze swoim księgowym zaczął fałszować księgi, ukrywając dochody i zawyżając koszty. Kiedy wpadli, księgowy popełnił samobójstwo, ale Jarrett nie. Był jednak zdruzgotany i zanosiło się na to, że pójdzie siedzieć. Na szczęście głównym oskarżycielem był jego dawny kumpel z wydziału prawa.

Szczegóły ich porozumienia na zawsze pozostały mrocznym sekretem. Nigdy nie sformułowano aktu oskarżenia, zawarto tylko nieoficjalną umowę, zgodnie z którą Jarrett zamknął po cichu kancelarię, zrezygnował z prawa wykonywania zawodu i wyje-

chał z kraju. Uciekł z niczym, chociaż ludzie lepiej zorientowani w sprawie uważali, że ukrył coś w raju podatkowym. Według Claya nic nie wskazywało na istnienie takiego łupu.

Tak więc wielki Jarrett Carter został kapitanem kutra rybackiego na Bahamach, co niektórym wydawałoby się cudownym życiem. Clay zastał go na łodzi, sześćdziesięciostopowym wavedancerze wciśniętym między pirsy w zatłoczonej marinie. Inne łodzie do wynajęcia wracały właśnie po długim dniu na morzu. Opaleni rybacy podziwiali swoje połowy. Błyskały flesze aparatów. Bahamscy marynarze pokładowi wyładowywali w pośpiechu pojemniki z obłożonymi lodem granikami i tuńczykami. Wynosili worki z pustymi butelkami i puszkami po piwie.

Jarrett stał na dziobie z wężem w jednej i gąbką w drugiej ręce. Clay przyglądał mu się przez chwilę, nie chcąc mu przerywać. Jego ojciec z pewnością wyglądał jak zbiegły ekspatriant – bosy, z ciemną szorstką skórą, siwą hemingwayowską brodą, srebrnymi łańcuszkami na szyi, rybacką czapką z długim daszkiem i starą białą, bawełnianą koszulą z podwiniętymi powyżej łokci rękawami. Gdyby nie lekko wystający brzuch piwosza, Jarrett wyglądałby na bardzo wysportowanego człowieka.

– Niech mnie diabli porwą! Clay! – wykrzyknął, gdy zauważył syna.

– Ładna łódź – rzucił Clay, wchodząc na pokład kutra. Wymienili mocny uścisk dłoni, ale nic więcej. Jarrett nie należał do ludzi okazujących czułość, przynajmniej wobec syna, bo kilka jego byłych sekretarek opowiadało co innego. Pachniał potem, słoną wodą i zwietrzałym piwem – długim dniem na morzu. Jego krótkie spodnie i biała koszula były brudne.

– Taak, należy do pewnego lekarza z Boca Raton. Dobrze wyglądasz.

– Ty też.

– Jestem zdrowy i tylko to się liczy. Weź sobie piwo. – Wskazał stojącą na pokładzie lodówkę.

Zerwali kapsle i siedzieli na brezentowych stołkach wędkarskich, pomostem szła chwiejnym krokiem grupa rybaków. Łódź lekko się kołysała.

– Pracowity dzień, co? – zagadnął Clay.

– Wypłynęliśmy o świcie, wiozłem ojca i jego dwóch synów, rosłych, mocnych chłopaków. Wszyscy ostro ćwiczą ze sztangami. Gdzieś z New Jersey. Nigdy jeszcze nie widziałem na łodzi pokazu takiej siły. Wyciągali z oceanu pięćdziesięciokilogramowe żaglice, jakby to były pstrągi.

Obok przeszły dwie czterdziestoparoletnie kobiety niosące małe plecaki i sprzęt wędkarski. Były tak samo znużone i opalone jak wszyscy pozostali rybacy. Jedna miała lekką nadwagę, druga nie, lecz Jarrett przyglądał im się z równym zainteresowaniem, aż zniknęły im z oczu. Jego zachowanie było niemal żenujące.

– Masz jeszcze to swoje mieszkanie? – zapytał Clay. Lokum, które widział przed czterema laty, tworzyły dwa zaniedbane pokoje na tyłach Marsh Harbor.

– Tak, ale teraz mieszkam na kutrze. Jego właściciel rzadko przyjeżdża, więc po prostu nocuję tutaj. W mesie jest dla ciebie kanapa.

– Mieszkasz na tej łodzi?

– No pewnie. Jest klimatyzowana, mam mnóstwo miejsca. Przeważnie jestem tu tylko ja.

Popijali piwo i przyglądali się, jak kolejna grupa rybaków przechodzi obok niepewnym krokiem.

– Jutro mam rejs czarterowy. Popłyniesz ze mną?

– A cóż innego miałbym tu robić?

– Mam zabrać jakichś błaznów z Wall Street, którzy chcą wypłynąć o siódmej rano.

– Zanosi się na niezłą zabawę.

– Jestem głodny. – Jarrett wstał gwałtownie i cisnął puszkę po piwie do śmieci. – Chodźmy.

Przeszli po pirsie obok dziesiątek łodzi różnych typów. Na jachtach jedzono skromne kolacje. Kapitanowie kutrów pili piwo i odpoczywali. Wszyscy krzyczeli coś do Jarretta, który dla każdego miał szybką ripostę. Był boso. Clay szedł krok za nim i myślał: to jest mój ojciec, kiedyś wielki Jarrett Carter, a teraz bosy tramp w wypłowiałych szortach i rozpiętej koszuli, król Marsh Harbor. I bardzo nieszczęśliwy człowiek.

W barze Blue Fin panował tłok i gwar. Wydawało się, że Jarrett zna wszystkich gości. Zanim zdążyli znaleźć wolne stołki, barman już przygotował im dwie wysokie szklanki z ponczem.

– Zdrówko – rzekł Carter senior, trącając szklanką szkło Claya, po czym opróżnił ją do połowy. Potem wdał się w poważną rozmowę o łowieniu ryb z innym kapitanem i przez pewien czas nie zwracał uwagi na syna, co Clayowi w ogóle nie przeszkadzało. Jarrett skończył pierwszą porcję ponczu i głośno zażądał następnej. A potem jeszcze jednej.

Przy dużym okrągłym stole w kącie baru szykowano jakąś ucztę. Na środek trafiły półmiski z homarami, krabami i krewetkami. Jarrett skinął na Claya, by ten poszedł za nim, i wraz z sześcioma innymi osobami zasiedli przy stole. Muzyka była głośna, rozmowa jeszcze głośniejsza. Wszyscy zebrani wokół stołu z Jarrettem na czele bardzo starali się upić. Żeglarz na prawo od Claya był podstarzałym hipisem, który twierdził, że wymigał się od służby w Wietnamie i spalił kartę powołania. Odrzucał wszystkie idee demokratycznego ustroju z zatrudnieniem i podatkiem dochodowym włącznie.

– Włóczę się po Karaibach od trzydziestu lat – chełpił się z ustami pełnymi krewetek. – Federalni nawet nie wiedzą, że istnieję.

Clay podejrzewał, że agentów federalnych niezbyt interesowało, czy ten człowiek istnieje, a to samo odnosiło się do reszty odmieńców, z którymi teraz biesiadował. Żeglarze, kapitanowie kutrów, zawodowi rybacy, wszyscy przed czymś uciekali: przed alimentami, podatkami, aktami oskarżenia, skutkami nieudanych transakcji. Uważali się za

buntowników, nonkonformistów, ludzi wolnych duchem, współczesnych piratów, zbyt niezależnych, by poddać się normalnym regułom społecznym ograniczającym ich swobodę.

Poprzedniego lata Abaco bardzo ucierpiała wskutek huraganu i od tamtego czasu kapitan Floyd, najgłośniej wypowiadający się przy stole, toczył wojnę z towarzystwem ubezpieczeniowym. To sprowokowało serię opowieści o huraganie, które oczywiście wymagały zamówienia jeszcze jednej kolejki ponczu. Clay przestał pić, jego ojciec nie. Jarrett stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej pijany, podobnie jak wszyscy przy stole.

Po dwóch godzinach jedzenie zniknęło z półmisków, ale poncz nadal lał się do szklanek. Kelner przynosił go teraz w dzbanach i Clay postanowił wyjść. Odszedł od stołu niepostrzeżenie i wymknął się z baru.

Tyle wyszło z planu spokojnej kolacji z tatą.

* * *

Obudziły go w ciemności odgłosy głośnego tupania w mesie poniżej. Ojciec gwizdał donośnie, a nawet śpiewał melodię, która przypominała trochę jakiś utwór Boba Marleya.

– Pobudka! – krzyknął. Łódź kołysała się nie tyle z powodu fal, ile za sprawą gwałtownych zmagań Cartera seniora z nadchodzącym dniem.

Clay leżał przez chwilę na krótkiej i wąskiej kanapie, próbując zorientować się w sytuacji. Przypomniał sobie opowieści o wyczynach Jarretta Cartera. Zawsze zjawiał się w biurze przed szóstą rano, często o piątej, czasem nawet o czwartej. Przez sześć, nieraz siedem dni w tygodniu. Nie obejrzał większości meczów baseballowych i futbolowych syna, bo był zbyt zajęty. Nigdy nie wracał do domu przed zmrokiem, a wiele razy nie wracał w ogóle. Gdy Clay był starszy i pracował w kancelarii, Jarrett słynął z tego, że zrzucał na młodych współpracowników mnóstwo roboty. Gdy jego małżeństwo zaczęło się rozpadać, sypiał w swoim biurze, czasem sam. Niezależnie od złych nawyków Jarrett zawsze odbierał telefon i zawsze robił to szybciej niż inni. Igrał z piciem, ale udało mu się przestać, gdy okazało się, że wóda przeszkadza mu w pracy.

W czasach świetności nie potrzebował snu i najwyraźniej trudno mu było wyzbyć się pewnych nawyków. Przeszedł obok kanapy, głośno śpiewając i pachnąc świeżością po kąpieli pod prysznicem i tanią wodą po goleniu.

– Chodźmy! – zawołał.

O śniadaniu nie było mowy. Clay zdołał ochlapać się szybko zimną wodą w maleńkiej kabinie zwanej prysznicem. Nigdy nie cierpiał na klaustrofobię, ale myśl o mieszkaniu w ciasnych wnętrzach łodzi przyprawiała go o zawroty głowy. Niebo zasnuła gruba warstwa chmur, a powietrze zdążyło się już nagrzać. Jarrett stał na mostku i słucha-

jąc radia, z marsową miną spoglądał w górę.

– O co chodzi?

– Nadciąga silny sztorm. Zapowiadają ulewny deszcz przez cały dzień.

– Która godzina?

– Szósta trzydzieści.

– O której wczoraj wróciłeś?

– Mówisz jak twoja matka. Tam masz kawę. – Clay nalał mocnej kawy do filiżanki i usiadł przy kole sterowym.

Jarrett ukrył twarz za grubymi okularami przeciwsłonecznymi, brodą i daszkiem czapki. Clay podejrzewał, że oczy zdradziłyby paskudnego kaca, ale nikomu nie było dane się o tym przekonać. W radiu mnożyły się prognozy pogody i ostrzeżenia przed sztormem nadawane z większych jednostek na morzu. Jarrett oraz inni kapitanowie łodzi czarterowych wykrzykiwali do siebie, przekazując sobie raporty, snując prognozy i kręcąc głowami na widok chmur. Minęło pół godziny. Nikt nie wypłynął z portu.

– Niech to szlag – zaklął w pewnym momencie Carter senior. – Zmarnowany dzień.

Przybyło czterech ważniaków z Wall Street, wszyscy w białych szortach, nowych butach do biegania i nowych rybackich kapeluszach. Jarrett zobaczył, jak nadchodzą, i wyszedł do nich na rufę. Zanim zdążyli wskoczyć na pokład, rzekł:

– Przykro mi, panowie, ale dzisiaj połowu nie będzie. Ostrzegają przed sztormem.

Głowy wszystkich czterech uniosły się gwałtownie ku niebu. Rzut oka na chmury doprowadził całą czwórkę do wniosku, że synoptycy są w błędzie.

– Żarty pan sobie stroi – prychnął jeden.

– Spadnie tylko trochę deszczu – orzekł drugi.

– Spróbujmy – zaproponował kolejny.

– Odpowiedź brzmi „nie” – odparł Jarrett. – Dzisiaj nikt nie będzie łowił.

– Przecież zapłaciliśmy za wynajęcie łodzi.

– I dostaniecie forsę z powrotem.

Znów przyjrzeli się chmurom, które z minuty na minutę coraz bardziej ciemniały. Nagle rozległ się grzmot przypominający strzały z odległych armat.

– Przykro mi, panowie – powtórzył Jarrett.

– Może jutro? – zapytał jeden z nich.

– Kuter jest zarezerwowany. Przykro mi.

Odeszli, powłócząc nogami, przekonani, że kapitan oszustwem pozbawił ich szansy na połów okazałych marlinów.

Gdy kwestia pracy została rozstrzygnięta, Jarrett podszedł do lodówki i wyjął jedno piwo.

– Chcesz? – zapytał Claya.

– Która godzina?

– Chyba odpowiednia, żeby strzelić sobie piwko.

– Nie dopiłem jeszcze kawy.

Siedzieli na stołkach wędkarskich na pokładzie i słuchali coraz głośniejszych grzmotów. Przystań jachtowa tętniła życiem, gdy kapitanowie z załogami zabezpieczali łodzie, a niezadowoleni wędkarze pospiesznie wracali pirsami, taszcząc lodówki oraz torby z olejkiem do opalania i aparatami fotograficznymi. Wiatr powoli przybierał na sile.

– Rozmawiałeś z matką?

– Nie.

Dzieje małżeństwa Carterów były koszmarem i obaj wiedzieli, że nie należy ich zgłębiać.

– Nadal pracujesz w BOP-ie?

– Tak i właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać.

– Jak się miewa Rebecca?

– Myślę, że to już przeszłość.

– To dobrze czy źle?

– W tej chwili po prostu boli.

– Ile ty masz lat?

– Dwadzieścia cztery lata mniej od ciebie. Trzydzieści jeden.

– Właśnie. Jesteś za młody na żeniaczkę.

– Dzięki, tato.

Pirsem nadbiegał kapitan Floyd i zatrzymał się przy ich kutrze.

– Przyszedł Gunter. Poker za dziesięć minut. Chodźmy!

Jarrett skoczył na równe nogi, nagle zmieniając się w podekscytowanego gwiazdkowymi prezentami chłopca.

– Masz ochotę? – zapytał syna.

– Na co?

– Na pokera.

– Nie grywam w pokera. Kim jest Gunter?

Jarrett przeciągnął się i wskazał ręką.

– Widzisz ten trzystustopowy jacht? Należy do Guntera.

To stary niemiecki pryk z miliardem dolców i łajbą pełną dziewczyn. Wierz mi, lepiej przeczekać sztorm na jej pokładzie.

– Ruchy! – krzyknął kapitan Floyd na odchodnym.

Jarrett wdrapywał się na pirs.

– Idziesz? – burknął do Claya.

– Zostaję tutaj.

– Nie bądź niemądry. To będzie o wiele przyjemniejsze niż sterczenie tu przez cały dzień. – Jarrett odchodził, podążając za kapitanem Floydem.

Clay pomachał ojcu na pożegnanie.

– Poczytam książkę.

– Jak chcesz.

Floyd i Jarrett wskoczyli do bączka razem z jeszcze jednym samotnikiem i chlapiąc wodą na wszystkie strony, płynęli przez basen portowy, aż zniknęli za jachtami.

Clay miał zobaczyć się z ojcem dopiero po kilku miesiącach. Tyle jeśli chodzi o ojcowskie rady.

Był skazany na siebie.

Rozdział 11

Ten apartament znajdował się w innym hotelu.

Pace wędrował po Waszyngtonie tak, jakby jego tropem podążali szpiedzy. Po krótkim powitaniu i propozycji poczęstunku kawą przystąpili do rzeczy. Widać było, jak na Maksie odbija się stres wywołany koniecznością zachowania tajemnicy. Wyglądał na zmęczonego. Jego ruchy były nerwowe. Szybciej mówił. Uśmiech zniknął z jego ust. Żadnych pytań o weekend i łowienie ryb na Bahamach. Pace gotowy był zawrzeć transakcję albo z Clayem Carterem, albo z kolejnym adwokatem na swojej liście. Usiedli przy stole, każdy z notesem i długopisem, przygotowani do ataku.

– Myślę, że pięć milionów za śmierć jednej ofiary to właściwsza suma – zaczął Clay. – Jasne, że to chłopcy z ulicy, których życie ma niewielką wartość ekonomiczną, ale to, co zrobił twój klient, warte jest wielomilionowego zadośćuczynienia. Tak więc łączymy rekompensatę za udowodnione szkody z nawiązką i wychodzi pięć milionów.

– Ten gość w śpiączce zmarł ubiegłej nocy – poinformował Pace.

– Więc mamy sześć ofiar.

– Siedem. W sobotę rano straciliśmy jeszcze jedną.

Clay mnożył pięć milionów przez sześć tyle razy, że z trudem przyjął do wiadomości nową sumę.

– Kto? Gdzie?

– Nieprzyjemne szczegóły podam ci później, dobrze? Powiedzmy, że był to bardzo długi weekend. Gdy ty łowiłeś ryby, my monitorowaliśmy zgłoszenia na policję, co w pracowity weekend w tym mieście wymaga małej armii ludzi.

– Jesteście pewni, że to przypadek spowodowany tarvanem?

– Jesteśmy pewni.

Clay nagryzmolił w notesie jakąś nieistotną uwagę i spróbował skorygować strategię.

– Umówmy się na pięć milionów za śmierć jednej ofiary.

– Zgoda.

Lecąc z Abaco do domu, Clay przekonał się, że to gra w zera. Nie myśl o tym jak o prawdziwych pieniądzach, a po prostu jak o ciągu zer po jakichś cyfrach. Na razie zapomnij, co można za te pieniądze kupić. Zapomnij o zmianach, które mają nastąpić. Zapomnij o tym, co przysięgli mogliby zrobić wiele lat później. Po prostu graj w zera. Nie zważaj na ostry nóż obracający się w żołądku. Udawaj, że masz wnętrzności wyłożone stalą. Twój przeciwnik jest słaby i wystraszony, bardzo bogaty i bardzo się myli.

Clay z trudem przełknął ślinę i spróbował mówić normalnym tonem.

– Honoraria adwokatów są zbyt niskie – zauważył.

– Doprawdy? – odparł Pace i nawet się uśmiechnął.

– Dziesięć milionów nie załatwi sprawy?

– Nie tej. Gdybyście zaangażowali dużą kancelarię, wydatki byłyby znacznie większe.

– Szybko kojarzysz, prawda?

– Połowa pójdzie na opłacenie podatków. Koszty ogólne, które zaplanowałeś, będą bardzo wysokie. W ciągu paru dni mam sklecić prawdziwą kancelarię, i to w dzielnicy, gdzie czynsze są wyśrubowane. A poza tym chcę zrobić coś dla Tequili oraz innych oskarżonych, którzy w tym wszystkim są traktowani najmniej uczciwie.

– Po prostu podaj sumę. – Pace już zapisywał coś w notesie.

– Piętnaście milionów ułatwi mi przejście na drugą stronę.

– Badasz grunt?

– Nie, po prostu negocjuję.

– A więc chcesz pięćdziesiąt milionów. trzydzieści pięć dla rodzin, piętnaście dla siebie? Zgadza się?

– To powinno wystarczyć.

– Zgoda. – Pace wyciągnął rękę: – Gratuluję.

Clay uścisnął mu dłoń.

– Dzięki – powiedział, bo nic innego nie potrafił wymyślić.

– Mam tutaj kontrakt z paroma szczegółami i zastrzeżeniami. – Max sięgnął do teczki.

– Jakiego rodzaju?

– Po pierwsze, nie możesz wspomnieć o tarvanie Watsonowi, jego nowemu adwokatowi ani żadnemu z innych oskarżonych wplątanych w tę sprawę. To by wszystko popsuło. Jak już wcześniej mówiłem, uzależnienie od narkotyków nie jest argumentem prawnym w obronie przed zarzutem popełnienia przestępstwa. Mogłoby być okolicznością łagodzącą podczas wydawania wyroku, ale Watson popełnił morderstwo i nie ma znaczenia, co wtedy zażywał.

– Rozumiem to lepiej niż ty.

– Więc zapomnij o tych mordercach. Teraz reprezentujesz rodziny ich ofiar. Jesteś po drugiej stronie barykady, Clay, więc się z tym pogódź. Zgodnie z naszą umową otrzymasz pięć milionów z góry, następne pięć za dziesięć dni, a pozostałe pięć po ostatecznym zawarciu ugody ze wszystkimi rodzinami. Wspomnisz komuś o tarvanie, i przestaje być ważna. Nadużyj naszego zaufania w kontaktach z oskarżonymi, a stracisz masę forsy.

Clay skinął głową i spojrzał na gruby kontrakt leżący teraz na stole.

– To zasadniczo umowa o zachowaniu poufności – ciągnął Max, stukając w doku-

ment. – Pełno w niej mrocznych tajemnic, z których większość będziesz musiał ukrywać przed swoją sekretarką. Na przykład nazwa mojego klienta nie jest tu wymieniona. Istnieje teraz utworzona na Bermudach spółka wydmuszka z nowym oddziałem na Antylach Holenderskich, która odpowiada przed szwajcarską firmą z centralą w Luksemburgu. Tam zaczyna się i kończy trop i podążając nim, każdy, nawet ja, musi się pogubić. Twoi nowi klienci dostaną pieniądze, nie powinni zadawać żadnych pytań. Sądzimy, że nie będzie z tym problemu. Ty zarabiasz fortunę, nie oczekujemy więc umoralniających pouczeń. Weź pieniądze, skończ robotę, a wszyscy będą szczęśliwsi.

– Po prostu sprzedaję swoją duszę?

– Jak mówiłem, daruj sobie kazania. Nie robisz nic nieetycznego. Uzyskujesz ogromną zapłatę dla klientów, którzy nie mają pojęcia, że cokolwiek im się należy. To niezupełnie sprzedawanie duszy. A jeśli się wzbogacisz? Nie będziesz pierwszym prawnikiem, któremu trafiła się taka gratka.

Clay myślał o pierwszych pięciu milionach. Płatnych natychmiast.

Max wypełnił wolne miejsca w dalszej części kontraktu i podsunął go Carterowi.

– To nasza wstępna umowa. Podpisz ją, a wtedy będę mógł ci powiedzieć więcej o moim kliencie. Zamówię kawę.

Clay wziął dokument, który coraz bardziej ciążył mu w dłoniach, po czym spróbował przeczytać pierwszy akapit. Max rozmawiał z obsługą hotelową.

Tego dnia, natychmiast, miał zrezygnować z pracy w Biurze Obrońcy Publicznego i z funkcji obrońcy z urzędu Tequili Watsona. Dokumenty zostały już sporządzone i dołączone do kontraktu. Kancelarię prawniczą miał zarejestrować niebawem, zatrudnić odpowiedni personel, otworzyć rachunki bankowe i tak dalej. Proponowany statut Kancelarii Prawniczej J. Claya Cartera II – typowy – także został dołączony. Gdy tylko będzie to możliwe, ma się skontaktować z siedmioma rodzinami i zacząć zabiegać o możliwość prowadzenia ich spraw.

Przyniesiono kawę, a Clay nadal czytał. Max rozmawiał ściszonym poważnym głosem przez telefon komórkowy na drugim końcu apartamentu – zapewne relacjonował najnowsze wydarzenia swojemu zwierzchnikowi. A może monitorował sieć informatorów, żeby sprawdzić, czy doszło do kolejnego wywołanego przez tarvan zabójstwa. Za swój podpis na stronie jedenastej Clay miał otrzymać przelewem elektronicznym pięć milionów dolarów, kwotę, która właśnie została starannie zapisana przez Maxa. Gdy się podpisywał, ręce drżały mu nie ze strachu ani wskutek wątpliwości etycznych, ale za sprawą szokującej liczby zer.

Kiedy pierwszy zestaw dokumentów był gotowy, wyszli z hotelu i wsiedli do SUV-a prowadzonego przez tego samego ochroniarza, który spotkał Claya w holu hotelu Willard.

– Proponuję, żebyśmy najpierw otworzyli konto – rzekł cicho, lecz stanowczo. Clay był Kopciuszkiem udającym się na bal tylko dla towarzystwa, bo to wszystko wydawało

się teraz snem.

– Oczywiście, to dobry pomysł – zdołał wymamrotać.

– W jakimś konkretnym banku? – spytał Pace.

W banku Claya byliby zaszokowani na widok operacji, którą mieli zaksięgować. Stan jego rachunku bieżącego tak długo ledwo przekraczał poziom minimalny, że każdy większy depozyt uruchomiłby dzwonki alarmowe. Jakiś niski rangą kierownik zatelefonował kiedyś, żeby przekazać wiadomość, iż zalega ze spłatą niewielkiej pożyczki. Clay słyszał niemal, jak jakaś gruba ryba na piętrze wydaje stłumiony okrzyk niedowierzania, gapiąc się na wydruk.

– Na pewno masz jakiś na myśli – odparł Clay.

– Jesteśmy blisko związani z Chase'em. Tam łatwiej będzie dokonywać przelewów.

W takim razie niech będzie Chase, pomyślał Clay z uśmiechem. Cokolwiek, byle przyspieszyć operację.

– Chase Bank przy Piętnastej – rzucił Max do kierowcy, który już jechał w tym kierunku. Max wyjął z teczki następne dokumenty.

– Oto umowa wynajmu i podnajmu twojego biura. Jak wiesz, to doskonałe miejsce i z pewnością nietanie. Mój klient wykorzystał fikcyjną spółkę, żeby wynajmować je przez dwa lata za osiemnaście tysięcy dolarów miesięcznie. Możemy je wynająć tobie za tę samą sumę.

– To mniej więcej czterysta tysięcy dolców.

Max uśmiechnął się i rzekł:

– Może pan sobie na to pozwolić, mecenasie. Zacznij myśleć jak adwokat z pieniędzmi na rozkurz.

Jakiś wiceprezes już czekał. Max poprosił o odpowiednią osobę i potraktowano go po królewsku. Clay zajął się swoimi sprawami i podpisał wszystkie dokumenty.

Według wiceprezesa przelew miał dotrzeć przed siedemnastą.

Znalazłszy się w samochodzie, Max skupił się na sprawach służbowych.

– Pozwoliliśmy sobie przygotować statut korporacyjny twojej kancelarii – powiedział, wręczając Clayowi kolejne dokumenty.

– Już go widziałem – odparł Clay, nie przestając myśleć o przelewie.

– Zawiera podstawowe zapisy… żadnych poufnych spraw. Załatw to przez internet. Zapłać dwieście dolarów kartą kredytową i możesz zaczynać. To zajmie niespełna godzinę. Możesz to zrobić ze swojego gabinetu w BOP-ie.

Clay trzymał dokumenty i patrzył przez okno. Starał się skupić na interesach, ale po prostu nie mógł. Obok nich na czerwonym świetle stał bordowy jaguar XJ.

– Skoro już mowa o BOP-ie – ciągnął Max – to jak chcesz sobie poradzić z tymi ludźmi?

– Zróbmy to teraz.

– M przy Osiemnastej – rzucił Max do kierowcy, którego uwagi nic nie uchodziło. –

Wracając do rozmowy z Clayem, zapytał: – Myślałeś o Rodneyu i Paulette?

– Tak. Dzisiaj z nimi porozmawiam.

– To dobrze.

– Cieszę się, że się zgadzasz.

– Mamy też ludzi, którzy dobrze znają miasto. Mogą pomóc. Będą pracowali dla nas, lecz twoi klienci nie będą o tym wiedzieli. – Mówiąc to, skinął na kierowcę. – Odpocząć możemy wtedy, gdy wszystkie siedem rodzin zostanie twoimi klientami.

– Wygląda na to, że będziemy musieli powiedzieć o wszystkim Rodneyowi i Paulette.

– O prawie wszystkim. Będą jedynymi osobami w twojej kancelarii wiedzącymi, co się stało. Ale nie możesz wspomnieć ani o tarvanie, ani o wytwórcy leku, oni zaś nie mogą zobaczyć warunków ugody. Te przygotowujemy dla ciebie.

– Muszą wiedzieć, co proponujemy.

– Oczywiście. Mogą przekonać rodziny, żeby wzięły te pieniądze. Nie mogą jednak wiedzieć, jakie jest ich źródło.

– To będzie spore wyzwanie.

– Najpierw ich zatrudnijmy.

Jeżeli komuś w biurze brakowało Claya, nie było tego widać. Nawet rzetelna panna Glick odbierała telefony i nie miała czasu na zwykłą minę z pytaniem: „Gdzie się podziewałeś?”. Na biurku leżał tuzin wiadomości, teraz bez wyjątku nieistotnych, ponieważ nic już nie było istotne. Glenda pojechała na konferencję do Nowego Jorku i jak zwykle jej nieobecność oznaczała dłuższe lunche i więcej zwolnień chorobowych w całym BOP-ie. Clay szybko wystukał pisemną rezygnację i przesłał ją pocztą elektroniczną. Zamknąwszy drzwi, wypełnił dwie teczki osobistymi biurowymi śmieciami. Stare książki oraz inne należące do niego rzeczy, które kiedyś, jak sądził, miały wartość sentymentalną, zostawił. Zawsze może po nie wrócić, chociaż wiedział, że tego nie zrobi.

Biurko Rodneya stało w maleńkim pomieszczeniu, które dzielił z dwoma innymi asystentami.

– Masz chwilę? – zapytał Clay.

– Nie bardzo – mruknął Rodney, ledwie unosząc wzrok znad stosu raportów.

– Nastąpił przełom w sprawie Tequili Watsona. To potrwa tylko chwilę.

Rodney niechętnie wetknął długopis za ucho i poszedł z Clayem do jego gabinetu.

– Odchodzę – zaczął Clay niemal szeptem, zamknąwszy drzwi na klucz.

Rozmawiali przez prawie godzinę, a w tym czasie Max Pace czekał niecierpliwie w samochodzie zaparkowanym wbrew zakazowi przy krawężniku. Kiedy Clay wyłonił się z budynku z dwiema pękatymi teczkami, towarzyszył mu Rodney, także z teczką i wypchaną papierową torbą na zakupy. Podszedł do swojego auta i zniknął w środku. Clay wsiadł do SUV-a.

– Wszedł w to – powiedział.

– Cóż za niespodzianka.

W biurze przy Connecticut Avenue spotkali się z projektantem, którego zaangażował Max. Zaproponował Clayowi zestaw dość drogich mebli, które przypadkiem znajdowały się w magazynie i dzięki temu można je było dostarczyć w ciągu doby. Clay wskazał różne projekty i próbki, wszystkie z górnego przedziału cenowego, i podpisał zlecenie zakupu.

Właśnie instalowano telefony. Po wyjściu malarza przybył spec od komputerów. W pewnym momencie Clay wydawał pieniądze w takim tempie, że zaczął się zastanawiać, czy na pewno wycisnął z Maxa wystarczająco dużą sumę.

Tuż przed siedemnastą Max wyszedł ze świeżo odmalowanego gabinetu i włożył do kieszeni telefon komórkowy.

– Pieniądze są na koncie – poinformował Claya.

– Pięć milionów?

– Zgadza się. Zostałeś multimilionerem.

– Wychodzę – rzekł Clay. – Do zobaczenia jutro.

– Dokąd się wybierasz?

– Nie zadawaj więcej tego pytania, dobrze? Nie jesteś moim szefem. I przestań mnie śledzić. Umówiliśmy się.

Przeszedł kilka kwartałów Connecticut Avenue, przepychając się w tłumie zaludniającym ją w godzinach przedwieczornego szczytu i uśmiechając głupkowato, z głową w chmurach. Potem ruszył Siedemnastą Ulicą, aż ujrzał Reflecting Pool i obelisk Waszyngtona, gdzie hordy licealistów pozowały do zdjęć. Skręcił w prawo, przeszedł przez park i obok pomnika weteranów wojny w Wietnamie. Za pomnikiem zatrzymał się przy kiosku i kupił dwa tanie cygara. Zapalił jedno i ruszył dalej do schodów mauzoleum Lincolna, na których siedział przez długi czas i spoglądał wzdłuż Mall na odległy Kapitol.

Nie był w stanie jasno myśleć. Każdą bystrą myśl natychmiast wypierała następna. Myślał o ojcu mieszkającym na pożyczonym kutrze rybackim, udającym, że to dobre życie, lecz z trudem wiążącym koniec z końcem – pięćdziesięcioparolatek bez przyszłości, pijący jak szewc, żeby zapomnieć o swojej niedoli. Clay pyknął cygaro i przez chwilę robił w myślach zakupy. Dla czystej przyjemności podliczył, ile by wydał, gdyby kupił wszystko, na co ma ochotę – nowe ubrania, naprawdę fajny samochód, aparaturę stereo, jakąś wycieczkę. Łączna kwota stanowiła tylko drobny ułamek jego fortuny. Wielkim dylematem było: jaki samochód? Chętnie kupowany, ale nie pretensjonalny.

I oczywiście będzie musiał zmienić adres. Rozejrzy się po Georgetown za jakąś uroczą, starą, miejską rezydencją. Słyszał, że niektóre osiągają cenę sześciu milionów, ale on nie musi wydać aż tyle. Był przekonany, że zdoła znaleźć coś w granicach miliona dolarów.

Milion tu. Milion tam.

Pomyślał o Rebecce, choć starał się nie rozpamiętywać ich znajomości. Przez ostatnie cztery lata była jedynym przyjacielem, z którym wszystko dzielił. Teraz nie miał nikogo, z kim mógłby pogadać. Właśnie mijał kolejny, piąty dzień od ich rozstania, lecz tyle się wydarzyło, że brakowało mu czasu, by o niej myśleć.

– Zapomnij o Van Hornach – powiedział na głos, wypuszczając kłąb dymu.

Ofiaruje poważną sumę na Piedmont Fund, przeznaczając ją na walkę o zachowanie naturalnego piękna północnej Wirginii. Zatrudni osobnego asystenta, żeby zajmował się wyłącznie śledzeniem najnowszych przypadków przejmowania ziemi oraz planowanych przez Grupe BVH inwestycji. Wszędzie gdzie to możliwe będzie wynajmował prawników drobnym właścicielom ziemskim nieświadomym, że mają się stać sąsiadami Benetta Buldożera. Z jaką przyjemnością wyruszy na front walki o środowisko!

Zapomnij o tych ludziach.

Zapalił drugie cygaro i zadzwonił do Jonaha, który siedział w sklepie komputerowym, odpracowując swoje kilka godzin.

– Zarezerwowałem stolik w Citronelle na ósmą – powiedział. Była to najpopularniejsza w tym momencie restauracja w Waszyngtonie.

– Rozumiem – mruknął Jonah.

– Mówię poważnie. Będziemy świętowali. Zmieniam pracę. Szczegóły wyjaśnię później. Tylko przyjdź.

– Mogę przyprowadzić przyjaciółkę?

– Wykluczone.

Jonah wszędzie chodził z dziewczyną tygodnia. Gdy Clay się przeprowadzi, nie będzie mu brakowało jego sypialnianych popisów. Zatelefonował do dwóch innych kumpli ze studiów, ale obaj mieli dzieci i obowiązki, a zaproszenie było dość nagłe.

Kolacja z Jonahem. Zawsze to jakaś przygoda.

Rozdział 12

W kieszeni koszuli miał nowiuteńkie wizytówki, na których dopiero wysechł tusz. Dostarczono je tego rana z realizującej pilne zamówienia drukarni. Informowały, że jest naczelnym asystentem w Kancelarii Prawniczej J. Claya Cartera II. Rodney Albritton, naczelny asystent, jakby w firmie Claya był cały dział asystentów pod jego zwierzchnictwem. Nie było, lecz kancelaria rozrastała się w imponującym tempie.

Gdyby miał czas, żeby kupić nowy garnitur, pewnie i tak nie nosiłby go podczas swojej pierwszej misji. Stary uniform – granatowy blezer, poluzowany krawat, sprane dżinsy i zdarte czarne glany – lepiej się sprawdzał. Rodney nadal pracował na ulicy i tak musiał wyglądać. Adelfę Pumphrey zastał na jej stanowisku, patrzącą niewidzącym wzrokiem w ścianę monitorów telewizji przemysłowej.

Jej syn nie żył od dziesięciu dni.

Spojrzała na Rodneya i wskazała podkładkę z wpiętą kartką, na której mieli się wpisywać wszyscy goście. Rodney wyjął jedną z wizytówek i się przedstawił.

– Pracuję dla pewnego prawnika ze śródmieścia – wyjaśnił.

– To fajnie – odparła cicho, nawet nie zerkając na wizytówkę.

– Chciałbym z panią porozmawiać.

– O czym?

– O pani synu Ramónie.

– O co chodzi?

– Wiem o jego śmierci rzeczy, które pani nie są wiadome.

– To nie jest mój ulubiony temat.

– Rozumiem i przepraszam, że o tym mówię. Ale to, co mam do powiedzenia, się pani spodoba. Będę się streszczał.

Adelfa zerknęła na boki. Daleko w głębi korytarza, na wpół śpiąc, stał przy drzwiach drugi umundurowany strażnik.

– Za dwadzieścia minut mogę zrobić sobie przerwę – powiedziała. – Spotkamy się w stołówce piętro wyżej. Gdy Rodney odchodził, pomyślał, że rzeczywiście jest wart każdego centa swojej pokaźnej nowej pensji. Biały, który zwróciłby się do Adelfy Pumphrey z tak delikatną sprawą, wciąż stałby przed nią roztrzęsiony i próbował znaleźć odpowiednie słowa, żeby skłonić ją do ustępstw. Nie ufałaby mu, nie uwierzyłaby ani jednemu jego słowu i przynajmniej w pierwszym kwadransie rozmowy nie zainteresowałoby jej nic z tego, co miał do powiedzenia.

Lecz Rodney był gładki, elegancki i czarnoskóry, ona zaś chciała z kimś porozmawiać.

* * *

Informacje o Ramónie Pumphreyu zebrane przez Maxa Pace'a okazały się skąpe, lecz dokładne, niewiele było do przekazania. Jego domniemany ojciec nigdy nie ożenił się z jego matką. Nazywał się Leon Tease i obecnie odsiadywał w Pensylwanii wyrok trzydziestu lat więzienia za rozbój z bronią w ręku i usiłowanie zabójstwa. On i Adelfa najwyraźniej mieszkali razem na tyle długo, by zmajstrować dwójkę dzieci – Ramóna i jego nieco młodszego brata Michaela. Kolejny brat został spłodzony później przez człowieka, za którego Adelfa wyszła za mąż i z którym później się rozwiodła. Obecnie była niezamężna i starała się wychować, poza pozostałymi przy życiu synami, dwie młode siostrzenice, których matkę posłano za kratki za sprzedaż cracku.

Adelfa zarabiała dwadzieścia jeden tysięcy dolarów, pracując dla prywatnej firmy wynajętej do ochrony nieszczególnie narażonych na włamania biurowców w Waszyngtonie. Ze swojego mieszkania na osiedlu na północnym wschodzie stolicy codziennie jechała metrem do śródmieścia. Nie miała samochodu, nigdy też nie nauczyła się prowadzić. Miała rachunek bieżący z bardzo niskim saldem i dwie karty kredytowe, które przysparzały jej kłopotów i niweczyły wszelkie szanse na uzyskanie zdolności kredytowej. Nie była notowana przez policję. Wydawało się, że poza pracą i rodziną interesuje ją jedynie Old Salem Gospel Center położone niedaleko miejsca, w którym mieszkała.

* * *

Ponieważ oboje dorastali w tym mieście, przez kilka minut grali we „wspólnych znajomych". Gdzie chodziła pani do szkoły? Skąd pochodzą pani rodzice? Odkryli parę luźnych powiązań. Adelfa popijała dietetyczną colę. Rodney wypił czarną kawę. Stołówka była w połowie wypełniona biurokratami niskiego szczebla, rozmawiającymi o wszystkim oprócz monotonnej pracy, którą wykonywali.

– Chciał pan rozmawiać o moim synu – powiedziała Adelfa po kilku minutach niezręcznej pogawędki. Jej głos był łagodny i niski, pełen napięcia i cierpienia.

Rodney zaczął się lekko wiercić i nachylił się do niej.

– Owszem – potwierdził i powtórzył: – Jest mi przykro, że o nim rozmawiamy. Też mam dzieci. Nie mogę sobie wyobrazić, przez co pani przechodzi.

– W tej kwestii ma pan rację.

– Pracuję dla tutejszego prawnika, bardzo bystrego młodego gościa, który wykrył coś, co może przynieść pani duże pieniądze.

Wyglądało na to, że myśl o dużych pieniądzach jej nie poruszyła.

Rodney mówił dalej:

– Chłopak, który zabił Ramóna, właśnie wyszedł z ośrodka terapii farmakologicznej, w którym zamknięto go na prawie cztery miesiące. Był ćpunem, chłopakiem z ulicy, bez większych szans w życiu. W ramach terapii dostawał leki. Sądzimy, że pod wpływem jednego z nich oszalał, wybrał przypadkową ofiarę i zaczął strzelać.

– Nie chodziło o nieudaną transakcję narkotykową?

– Nie, bynajmniej.

Oczy Adelfy powędrowały w bok, po czym błysnęły w nich łzy i przez chwilę Rodney widział w nich oznaki bliskiego załamania. Potem jednak kobieta spojrzała na niego i powiedziała:

– Duże pieniądze? Ile?

– Ponad milion dolarów – odparł z kamienną twarzą pokerzysty, którą przećwiczył wiele razy, miał bowiem poważne wątpliwości, czy zdoła wypowiedzieć tę puentę bez szaleństwa w oczach.

Żadnej reakcji, przynajmniej na początku. A potem jeszcze jedno spojrzenie błądzące po sali.

– Nabija się pan ze mnie?

– Dlaczego miałbym to robić? Nie znam pani. Po co miałbym tu wchodzić i panią oszukiwać? Na stole leży forsa, duża forsa. Forsa wielkiej korporacji farmaceutycznej, którą ktoś chce pani dać po cichu.

– Co to za korporacja?

– Powiedziałem już pani wszystko, co wiem. Moim zadaniem jest spotkać się z panią, powiedzieć pani, co jest grane, i zaprosić na spotkanie z mecenasem Carterem, prawnikiem, dla którego pracuję. On wszystko wyjaśni.

– Biały picuś-glancuś?

– Tak. Ale porządny człowiek. Pracuję z nim od pięciu lat. Spodoba się pani. To, co ma do powiedzenia, też przypadnie pani do gustu.

Teraz załzawione oczy kobiety stały się przejrzyste. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Dobrze.

– O której pani wychodzi?

– O wpół do piątej.

– Nasze biuro mieści się przy Connecticut, piętnaście minut stąd. Mecenas Carter będzie na panią czekał. Ma pani moją wizytówkę.

Kobieta jeszcze raz na nią spojrzała.

– I jedna bardzo ważna rzecz – dodał Rodney prawie szeptem. – To się uda tylko pod warunkiem, że zachowa pani dyskrecję. To tajemnica. Proszę się zastosować do rad mecenasa Cartera, a otrzyma pani więcej pieniędzy, niż się pani śniło. Ale jeżeli wieści o tym się rozejdą, nic pani nie dostanie.

Adelfa kiwała głową.

– Musi też pani pomyśleć o przeprowadzce.

– Przeprowadzce?

– Do nowego domu w nowym mieście, gdzie nikt pani nie zna i nikt nie wie, że dostała pani kupę forsy. Do ładnego domu przy bezpiecznej ulicy, gdzie dzieci mogą jeździć na rowerach po chodniku, gdzie nie ma handlarzy narkotyków, gangów, a w szkole wykrywaczy metali. Ani krewnych potrzebujących pani pieniędzy. Niech pani skorzysta z rady człowieka, który dorastał tak jak pani. Niech się pani wyprowadzi. Opuści to miejsce. Wróci pani z tymi pieniędzmi do Lincoln Towers, a zjedzą panią żywcem.

* * *

Z przeprowadzonej przez Claya łapanki w BOP-ie jak dotąd trafiły do niego panna Glick, bardzo sprawna sekretarka, wahająca się tylko trochę wobec perspektywy podwojenia swojej pensji, oraz dobra przyjaciółka Paulette Tullos, która mimo iż miała pieniądze od nieobecnego greckiego męża, skwapliwie skorzystała z okazji, by zarabiać dwieście tysięcy dolarów rocznie zamiast skromnych czterdziestu tysięcy, a także, oczywiście, Rodney. Łapanka sprowokowała dwa telefony od Glendy, na które Clay jak dotąd nie odpowiedział, oraz cały szereg niedwuznacznych e-maili, także – przynajmniej na razie – zignorowanych. Clay obiecał sobie, że spotka się z Glendą w najbliższej przyszłości i przedstawi jakieś mętne wytłumaczenie, dlaczego podebrał jej najlepszych pracowników.

Dla równowagi zatrudnił też swojego współlokatora Jonaha, który mimo że nigdy nie praktykował prawa – zdał egzamin na członka palestry przy piątej próbie – był jego przyjacielem i powiernikiem. Clay liczył, że facet może rozwinąć prawnicze umiejętności. Jonah za dużo gadał i lubił wypić, więc Clay podał mu tylko ogólne informacje o swojej nowej firmie. Zamierzał stopniowo wyjawiać mu coraz więcej, ale nie spieszył się z tym. Zwietrzywszy pieniądze z nieznanego źródła, Jonah wynegocjował pensję początkową wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów, czyli niższą od wynagrodzenia naczelnego asystenta. Nikt w firmie nie wiedział jednak, ile zarabiają inni, finansami i płacami zajmowała się bowiem nowa firma biegłych księgowych ulokowana na drugim piętrze budynku.

Clay udzielił Paulette i Jonahowi tych samych ostrożnych wyjaśnień co Rodneyowi, a mianowicie: natknął się przypadkiem na spisek z wykorzystaniem groźnego leku, jego nazwa oraz nazwa wytwórcy nigdy nie zostaną ujawnione ani im, ani komukolwiek innemu. Nawiązał kontakt z tą firmą. Zawarto szybką transakcję. Z rąk do rąk miały przejść spore sumy. I dlatego dyskrecja ma zasadnicze znaczenie. Po prostu róbcie swoje i nie zadawajcie zbyt dużo pytań. Stworzymy fajną małą kancelarię prawniczą, w której będziemy zarabiali kupę forsy, a przy okazji trochę się zabawimy.

Któż mógłby odrzucić taką propozycję?

Panna Glick powitała Adelfę Pumphrey tak, jakby miała do czynienia z pierwszą klientką, która kiedykolwiek trafiła do lśniących biur nowej kancelarii, bo tak też było. Wszystko tchnęło nowością: farby, wykładzina dywanowa, tapety i włoskie skórzane meble w recepcji. Panna Glick przyniosła Adelfie wodę w nieużywanej nigdy dotąd kryształowej szklance, po czym wróciła do układania rzeczy na swoim nowym biurku ze szkła i chromowanej stali. Następna była Paulette. Zaprowadziła Adelfę do swojego gabinetu na wstępną rozmowę, która była czymś więcej niż na wpół poważne babskie gadanie. Paulette sporządziła sporo notatek na temat rodziny Adelfy i jej pochodzenia, zebrawszy te same informacje, które już wcześniej przygotował Max Pace. Opłakującą śmierć syna matkę wsparła odpowiednimi słowami.

Do tej pory wszyscy rozmówcy Adelfy byli czarni i to ją uspokoiło.

– Mecenasa Cartera widziała pani zapewne już wcześniej – uprzedziła Paulette, działając według ogólnego scenariusza, który oboje z Clayem przygotowali. – Był w sądzie, gdy pani tam była. Został wyznaczony przez sędziego na adwokata Tequili Watsona, ale zrezygnował z tej sprawy. I tak właśnie zaangażował się w tę ugodę.

Adelfa wyglądała na tak zdezorientowaną, jak się spodziewali.

Paulette brnęła dalej:

– Oboje pracowaliśmy przez pięć lat w Biurze Obrońcy Publicznego. Kilka dni temu zrezygnowaliśmy i otworzyliśmy tę kancelarię. Mecenas Carter się pani spodoba. To bardzo miły człowiek i dobry prawnik. Uczciwy i lojalny wobec swoich klientów.

– Dopiero rozpoczęliście działalność?

– Tak. Clay od dłuższego czasu chciał mieć własną kancelarię. Poprosił, żebym do niego dołączyła. Jest pani w bardzo dobrych rękach, Adelfo.

Dezorientacja przerodziła się w zdumienie.

– Jakieś pytania?

– Mam tyle pytań, że nie wiem, od czego zacząć.

– Rozumiem. Oto moja rada: proszę nie zadawać zbyt wielu pytań. Mamy do czynienia z dużą firmą, która skłonna jest zapłacić sporo pieniędzy, żeby uniknąć procesu sądowego, do którego mogłoby dojść w wyniku śmierci pani syna. Jeżeli będzie się pani wahała i zadawała pytania, może pani zostać z pustymi rękami. Niech pani po prostu weźmie te pieniądze. Weźmie i stąd ucieka.

Kiedy wreszcie nadeszła pora spotkania z mecenasem Carterem, Paulette zaprowadziła Adelfę korytarzem do dużego gabinetu w rogu budynku. Clay od godziny chodził po nim nerwowo, ale powitał ją spokojnie i powiedział, że jest mu bardzo miło gościć ją w kancelarii. Węzeł jego krawata był rozluźniony, rękawy koszuli podwinięte, biurko pokryte aktami i dokumentami, jakby procesował się na wielu frontach. Paulette kręciła się po gabinecie, dopóki lody nie zostały przełamane, po czym – zgodnie z planem – przeprosiła i wyszła.

– Poznaję pana – powiedziała Adelfa.

– Tak, byłem w sądzie, gdy zabójcę pani syna postawiono w stan oskarżenia. Sędzia zwalił na mnie tę sprawę, ale się jej pozbyłem. Teraz pracuję po drugiej stronie barykady.

– Zamieniam się w słuch.

– Pewnie jest pani trochę zdezorientowana.

– Zgadza się.

– Właściwie to całkiem proste. – Clay przysiadł na brzegu biurka i spojrzał z góry na jej skonsternowaną twarz. Skrzyżował ręce na piersi i starał się sprawiać wrażenie, że prowadził takie rozmowy już przedtem. Zaczął wygłaszać swoją wersję opowieści o wielkiej firmie, producencie szkodliwego leku, i chociaż mówił dłużej i z większym ożywieniem niż Rodney, ujawnił niewiele nowych faktów. Adelfa siedziała w głębokim skórzanym fotelu z rękami złożonymi na kolanach spodni od munduru, obserwując go czujnie bez mrugnięcia okiem, niepewna, co o tym sądzić.

Na zakończenie opowieści Clay rzekł:

– Chcą pani natychmiast zapłacić masę pieniędzy.

– Kim dokładnie są ci „oni”?

– Firmą farmaceutyczną.

– Ta firma ma jakąś nazwę?

– Ma kilka nazw i kilka adresów i nigdy nie pozna pani jej prawdziwej tożsamości. To jest jeden z warunków umowy. My, pani i ja, prawnik i klient, musimy się zgodzić na utrzymanie wszystkiego w tajemnicy.

W końcu mrugnęła, po czym rozłączyła dłonie i przesunęła się w fotelu. Oczy jej się zaszkliły, gdy spojrzała na piękny nowy perski dywan, który pokrywał połowę podłogi w gabinecie.

– Ile? – zapytała cicho.

– Pięć milionów dolarów.

– Dobry Boże – zdołała powiedzieć, zanim się załamała. Zasłoniła oczy i wybuchnęła płaczem. I przez długi czas nie próbowała go powstrzymać. Clay wręczył jej wyjętą z pudełka chusteczkę higieniczną.

* * *

Pieniądze na pokrycie kosztów ugody leżały na koncie w banku obok pieniędzy Claya, czekając na rozdysponowanie.

Na biurku piętrzyły się dokumenty od Maxa. Carter przebrnął przez nie z Adelfą, wyjaśniając, że pieniądze zostaną przelane nazajutrz z samego rana, gdy tylko otworzą bank. Przerzucał kolejne strony dokumentów, wskazując na najważniejsze wymogi prawa i zbierając jej podpisy w niezbędnych miejscach. Adelfa była zbyt oszołomiona, by mówić.

– Proszę mi zaufać – powtarzał raz po raz. – Jeżeli chce pani otrzymać te pieniądze, niech pani tu podpisze.

– Mam wrażenie, że robię coś złego – powiedziała w pewnym momencie.

– Nie. Zło uczynił ktoś inny. Pani jest ofiarą, Adelfo, ofiarą, a teraz klientem.

– Muszę z kimś pogadać – powiedziała, gdy znowu złożyła podpis.

Jednak nikogo takiego nie było. Zgodnie z informacjami Maxa jakiś jej przyjaciel pojawiał się i znikał i nie należał do ludzi, do których można zwrócić się o radę. Miała rodzeństwo rozrzucone po Stanach od Waszyngtonu po Filadelfię, ale z pewnością jej bracia i siostry nie byli bardziej wyrobieni niż Adelfa. Oboje rodzice nie żyli.

– To byłby błąd – wyjaśnił delikatnie Clay. – Jeżeli zachowa pani dyskrecję, te pieniądze poprawią pani byt. A jeśli powie pani o nich, zniszczą panią.

– Nie jestem dobra w obracaniu pieniędzmi.

– Możemy w tym pomóc. Gdyby pani chciała, Paulette może wszystko sprawdzać i służyć radą.

– Chciałabym.

– Po to tu jesteśmy.

Paulette odwiozła ją do domu. Podróż w godzinach szczytu zabrała sporo czasu. Prawniczka powiedziała później Clayowi, że Adelfa mówiła bardzo mało, a gdy dotarli na osiedle, nie chciała wysiąść z samochodu. Siedziały więc w nim przez pół godziny, rozmawiając spokojnie o jej nowym życiu. Koniec z zasiłkami z opieki społecznej, koniec ze strzałami w środku nocy. Koniec z modlitwami do Boga, by chronił jej dzieci. Już nigdy nie będzie się martwiła o bezpieczeństwo swoich chłopców, tak jak martwiła się o Ramóna.

Koniec z gangami. Koniec z kiepskimi szkołami.

Kiedy wreszcie się pożegnała, miała łzy w oczach.

Rozdział 13

Czarne porsche carrera zatrzymało się pod drzewem przy Dumbarton Street. Clay wysiadł z auta i przez kilka sekund nie zwracał uwagi na swoją najnowszą zabawkę, ale rozejrzawszy się szybko, odwrócił się i znowu obrzucił porsche pełnym podziwu wzrokiem. Należało do niego od trzech dni, a wciąż nie mógł uwierzyć, że maje na własność. Przywyknij, powtarzał sobie, i udało mu się zachowywać tak, jakby ten sportowy wóz był zwykłym samochodem, niczym szczególnym. Lecz widok auta nawet po krótkiej przerwie wciąż powodował przyspieszone bicie serca.

– Prowadzę porsche – mówił do siebie na głos, przemykając wśród innych pojazdów niczym kierowca Formuły 1.

Znajdował się w odległości ośmiu przecznic od głównego kampusu Uniwersytetu Georgetown, gdzie spędził cztery lata, zanim przeniósł się na wydział prawa koło Kapitolu. Kamienice były tutaj zabytkowe i malownicze, małe trawniki zadbane, a ulice ocienione przez korony starych dębów i klonów. Licznie uczęszczane sklepy, bary i restauracje przy M Street mieściły się zaledwie dwa kwartały na południe, wystarczył krótki spacer. Przez cztery lata biegał po tych ulicach, spędził też z kolegami wiele długich nocy, wędrując po spelunkach i pubach przy Wisconsin Avenue i M Street.

Teraz miał tu zamieszkać.

Dom, który zwrócił jego uwagę, wystawiono na sprzedaż za milion trzysta tysięcy dolarów. Znalazł go, krążąc po Georgetown przed dwoma dniami. Był jeszcze drugi, przy N Street, i kolejny przy Volta Place, wszystkie o rzut kamieniem od siebie. Clay postanowił kupić jeden z nich przed końcem tygodnia.

Kamienicę przy Dumbarton Street, pierwszą na jego liście, zbudowano w latach pięćdziesiątych XIX wieku i starannie dbano o jej stan. Ceglana fasada była wielokrotnie malowana i obecnie miała spłowiały niebieskawy kolor. Cztery kondygnacje z suterenę włącznie. Pośrednik handlu nieruchomościami powiedział, że dom był nienagannie utrzymany przez parę emerytów, którzy kiedyś podejmowali Kennedych oraz Kissingerów i inne znane osoby. Waszyngtońscy pośrednicy potrafili rzucać nazwiskami szybciej niż ci w Beverly Hills, szczególnie gdy zachwalali nieruchomość w Georgetown.

Clay zjawił się kwadrans przed czasem. Dom był pusty, agent wyjaśnił, że jego właściciele przebywają teraz w domu opieki. Carter wszedł przez furtkę i podziwiał niewielki ogród na tyłach. Nie znalazł tam basenu ani miejsca na basen, ziemia w Georgetown była na to zbyt cenna. W ogrodzie znajdowało się patio z meblami z kutego żelaza i chwastami na klombach.

Clay znalazłby kilka wolnych godzin na pracę w ogrodzie, ale niezbyt intensywną.

Chyba po prostu wynajmie firmę od pielęgnacji zieleni.

Dom i sąsiadujące z nim posesje bardzo mu się spodobały. Do gustu przypadła mu też cała ulica, przyjemne sąsiedztwo, gdzie wszyscy żyli blisko siebie, ale szanowali swoją prywatność. Siedząc na schodach od frontu, postanowił, że zaproponuje równy milion, po czym będzie twardo negocjował, zablefuje i wyjdzie, a ogólnie rzecz biorąc, będzie się doskonale bawił, obserwując, jak pośrednik się gimnastykuje. W końcu jednak bardzo chętnie zapłaci żądaną cenę.

Wpatrując się w porsche, znowu odpłynął w świat fantazji, gdzie pieniądze rosły na drzewach i mógł kupić wszystko, czego zapragnął. Włoskie garnitury, niemieckie samochody sportowe, nieruchomość w Georgetown, biuro w śródmieściu, i co jeszcze? Myślał o łodzi dla ojca, oczywiście większej, by przynosiła większy dochód. Mógłby zarejestrować na Bahamach małą firmę czarterową, zamortyzować łódź, odpisać większość związanych z nią kosztów, dzięki czemu ojciec mógłby dobrze zarabiać. Jarrett Carter usychał tam, pił za dużo, sypiał, z kim tylko się dało, mieszkał na pożyczonej łodzi, walczył o napiwki. Clay postanowił uczynić jego życie łatwiejszym.

Trzasnęły drzwi, przerywając – chociaż na chwilę – strumień wydawanych przez niego pieniędzy. Przyjechał pośrednik handlu nieruchomościami.

* * *

Sporządzona przez Pace’a lista ofiar skończyła się na siedmiu. Siedmiu, o których wiedział. Siedmiu, które on i jego pracownicy zdołali namierzyć. Tarvan wycofano przed osiemnastoma dniami, a z doświadczeń firmy wynikało, że zabójcze skłonności, będące skutkiem odstawienia leku, mijały zazwyczaj po dziesięciu dniach. Lista Pace’a miała porządek chronologiczny, Ramón Pumphrey figurował na szóstej pozycji.

Numerem jeden był chłopak z college’u, student Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona, który wyszedł z kawiarni Starbucks przy Wisconsin Avenue w Bethesda w samą porę, by dostrzegł go mężczyzna z bronią. Student pochodził z Bluefield w Wirginii Zachodniej. Clay dojechał tam w rekordowym czasie pięciu godzin, nie spiesząc się, a tylko wcielając w rolę kierowcy wyścigowego pędzącego przez dolinę Shenandoah. Stosując się do precyzyjnych wskazówek Pace’a, znalazł dom rodziców chłopaka, dość ponuro wyglądający mały bungalow niedaleko śródmieścia. Zatrzymał się na podjeździe i powiedział głośno:

– Nie mogę uwierzyć, że to robię.

Dwie rzeczy skłoniły go do wyjścia z samochodu. Po pierwsze, nie miał wyboru. Po drugie, perspektywa otrzymania całych piętnastu milionów, nie tylko jednej trzeciej bądź dwóch trzecich tej sumy. Całości.

Ubrany był w stylu sportowym, teczkę zostawił w aucie. Matka chłopca była

w domu, ale ojciec nadal w pracy. Wpuściła go za próg niechętnie, ale potem zaproponowała herbatę i ciasteczka. Clay czekał na kanapie w małym pokoju, wszędzie stały zdjęcia zabitego syna. Zasłony były zaciągnięte. W domu panował bałagan.

Co ja tutaj robię?

Gospodyni mówiła długo o synu, a Clay chłonął każde jej słowo.

Ojciec chłopaka sprzedawał ubezpieczenia kilka przecznic dalej i zjawił się w domu, zanim w szklance z mrożoną herbatą roztopił się lód. Clay przedstawił im sprawę tak dokładnie, jak to było możliwe. Z początku padły nieśmiałe pytania: „Ile innych osób zginęło z tego powodu?". „Dlaczego nie możemy się zwrócić do władz?". „Czy nie należałoby tego ujawnić?". Clay odpowiadał na nie jak doświadczony gracz. Pace dobrze go przygotował.

Podobnie jak wszystkie ofiary, mieli wybór. Mogli wpaść w gniew, zadawać pytania, formułować żądania, chcieć sprawiedliwości albo spokojnie wziąć pieniądze. Informacja o pięciu milionach dolarów odszkodowania nie dotarła z początku do ich świadomości, a jeśli nawet, wspaniale ją z niej wyparli. Chcieli czuć gniew i zobojętnienie na pieniądze, przynajmniej na początku. Ale gdy zapadł zmrok, doznali olśnienia.

– Skoro nie może mi pan wyjawić prawdziwej nazwy tej firmy, nie przyjmę tych pieniędzy – powiedział w pewnym momencie ojciec chłopaka.

– Nie znam jej – odparł Clay.

Były płacz i groźby, miłość i nienawiść, przebaczenie i żądania kary, podczas tego popołudnia pojawiały się i znikały niemal wszystkie emocje. Oboje właśnie pochowali najmłodszego syna i spowodowany tym ból był paraliżujący. Czuli awersję do Claya, że się u nich zjawił, ale dziękowali mu wylewnie za troskę. Nie ufali mu jako prawnikowi z wielkiego miasta, który oczywiście okłamywał ich w sprawie tak szokującej ugody, lecz prosili, żeby został na kolacji, jakkolwiek mogła ona wyglądać.

Podano ją punktualnie o szóstej. Cztery panie z ich parafii przytargały tyle jedzenia, że wystarczyłoby na cały tydzień.

Clay został im przedstawiony jako znajomy z Waszyngtonu i natychmiast wzięty w krzyżowy ogień pytań całej czwórki. Trudno byłoby znaleźć ciekawszy obiekt zainteresowania niż bezwzględny adwokat.

Kobiety wreszcie wyszły. Po kolacji, w miarę jak mijał wieczór, Clay zaczął naciskać. Proponował jedyny korzystny dla nich układ. Tuż po dziesiątej zaczęli podpisywać dokumenty.

* * *

Numer trzy okazał się zdecydowanie najtrudniejszym przypadkiem. Ofiara była siedemnastoletnią prostytutką, która niemal od zawsze pracowała na ulicy. Policja sądziła, że z jej zabójcą łączyły ją kiedyś interesy, ale nie miała pojęcia, dlaczego ją zastrzelił.

Zrobił to przed barem, na oczach trojga świadków.

Mówiono na nią Bandy, znajomość nazwiska nie była potrzebna. Informacje zebrane przez Pace'a wskazywały, że nie miała męża, matki, ojca, rodzeństwa, dzieci, adresu ani szkół, nie należała do żadnego Kościoła i co najbardziej zdumiewające, nie była notowana przez policję. Pogrzebu nie było. Podobnie jak dwa tuziny innych ofiar co roku w Dystrykcie Columbii, Bandy miała pochówek dla biedoty. Gdy jeden z agentów Pace'a zapytał o nią w biurze miejskiego koronera, usłyszał:

– Została pochowana w grobie nieznanej prostytutki.

Jedynej wskazówki dostarczył zabójca dziewczyny. Powiedział policji, że Bandy ma ciotkę, która mieszka w Małym Bejrucie, najbardziej niebezpiecznym getcie w południowo-wschodnim Waszyngtonie. Ale po dwóch tygodniach poszukiwań ciotki nie znaleziono.

Z braku spadkobierców ugoda nie była możliwa.

Rozdział 14

Ostatnimi klientami, którzy mieli podpisać dokumenty, byli rodzice dwudziestojednoletniej studentki Uniwersytetu Howarda, która pewnego tygodnia rzuciła studia, a w następnym została zamordowana. Mieszkali w Warrenton w stanie Wirginia, czterdzieści mil na zachód od Waszyngtonu. Przez godzinę siedzieli w gabinecie Claya i trzymali się mocno za ręce, jakby żadne z nich nie mogło funkcjonować w pojedynkę. Chwilami płakali, wylewając swój niewymowny ból. Chwilami zachowywali stoicki spokój, tak sztywni, mocni i najwyraźniej niewzruszeni perspektywą otrzymania pieniędzy, że Carter wątpił, czy zaakceptują ugodę.

Zrobili to jednak, chociaż Clay był pewny, że spośród wszystkich klientów, wobec których wszczął kroki prawne, oni będą najmniej poruszeni proponowaną kwotą. Z czasem pewnie doceniliby te pieniądze, na razie chcieli tylko odzyskać córkę.

Paulette i panna Glick pomogły wyprowadzić ich z biura do wind, gdzie wszyscy wszystkich znowu uściskali. Gdy drzwi się zamykały, rodzice ofiary próbowali powstrzymać łzy.

Niewielki zespół współpracowników Claya zebrał się w sali konferencyjnej, gdzie przez chwilę w milczeniu dziękowali losowi, że przynajmniej w najbliższej przyszłości nie odwiedzą ich kolejne wdowy i zrozpaczeni rodzice. Na tę okazję schłodzono bardzo drogiego szampana i Clay zaczął rozlewać go do kieliszków. Panna Glick odmówiła, ponieważ w ogóle nie piła alkoholu, była jednak jedyną abstynentką w kancelarii. Paulette i Jonah sprawiali wrażenie szczególnie spragnionych. Rodney wolał budweisera, ale pił razem z resztą.

Gdy opróżniali drugą butelkę, Clay wstał, żeby przemówić.

– Mam do przekazania parę firmowych obwieszczeń – rzekł, stukając w kieliszek. – Po pierwsze, sprawy tylenolu są zakończone. Moje gratulacje i podziękowania dla was wszystkich. – Używał określenia „tylenol” jako zaszyfrowanej nazwy tarvanu, której nigdy nie usłyszą. Nigdy też nie poznają kwoty jego honorarium. Clayowi najwyraźniej płacono fortunę, ale nie mieli pojęcia jak dużo.

Zgotowali sobie owację.

– Po drugie, dziś wieczorem zaczynamy świętowanie od kolacji w Citronelle. Punktualnie o dwudziestej. To może być długi wieczór, bo jutro macie wolne. Biuro jest zamknięte.

Kolejne oklaski, kolejne kieliszki szampana.

– Po trzecie, za dwa tygodnie wylatujemy do Paryża. Każde z nas wraz z jedną oso-

bą towarzyszącą, najlepiej z małżonkiem bądź małżonką, jeżeli macie. Firma pokrywa wszystkie wydatki. Lot pierwszą klasą, luksusowy hotel, wszystko, co trzeba. Wyjedziemy na tydzień. Wszyscy bez wyjątku. Jestem szefem i każę wam wszystkim lecieć do Paryża.

Panna Glick zakryła usta obiema dłońmi. Wszyscy byli oszołomieni, pierwsza odezwała się Paulette:

– Nie chodzi o Paryż w stanie Tennessee?

– Nie, kochana, prawdziwy Paryż.

– A jeśli wpadnę tam na mojego męża? – zapytała z półuśmiechem i wokół stołu rozległ się głośny rechot.

– Gdybyś miała ochotę, możesz polecieć do Tennessee – zauważył Clay.

– Nie ma mowy, kotku.

– Muszę sobie wyrobić paszport – powiedziała panna Glick, gdy wreszcie odzyskała zdolność mówienia.

– Formularze są na moim biurku. Dopilnuję tego. To zajmie niecały tydzień. Coś jeszcze?

Rozmawiano o pogodzie, jedzeniu i ubraniach na wyjazd. Jonah natychmiast zaczął się zastanawiać, którą dziewczynę zabrać. Paulette była jedyną osobą znającą Paryż. Spędziła tam miesiąc miodowy, krótką schadzkę, która skończyła się źle, gdy jej Grek został wezwany w pilnej sprawie służbowej. Do domu wróciła sama, klasą turystyczną, chociaż w tamtą stronę leciała pierwszą.

– Kochani, w pierwszej klasie podają szampana – wyjaśniła reszcie. – A fotele są wielkie jak kanapy.

– Mogę zabrać kogokolwiek? – upewnił się Jonah, najwyraźniej nie mogąc się zdecydować.

– Ograniczmy wybór do osób stanu wolnego, dobrze? – zaproponował Clay.

– To zawęża pole manewru.

– A ty kogo zabierzesz? – zapytała Paulette.

– Chyba nikogo – odparł Clay i w sali na chwilę zapadła cisza. Wcześniej szeptali o Rebecce i ich rozstaniu, to Jonah dostarczał większość plotek. Chcieli, żeby ich szef był szczęśliwy, nie znali go jednak na tyle dobrze, by się wtrącać.

– Jak się nazywa ta wieża tam? – zapytał Rodney.

– Wieża Eiffla – wyjaśniła Paulette. – Można wjechać na samą górę.

– Beze mnie. Nie wygląda na bezpieczną.

– Widzę, że zostaniesz prawdziwym podróżnikiem.

– Na jak długo tam lecimy? – zapytała panna Glick.

– Na siedem nocy – odparł Clay. – Siedem nocy w Paryżu.

Wszyscy odpłynęli, porwani szampańskim nastrojem. Miesiąc wcześniej byli skazani na harówkę w BOP-ie. Wszyscy oprócz Jonaha, który sprzedawał komputery na nie-

pełnym etacie.

* * *

Max Pace chciał porozmawiać, a ponieważ kancelaria była nieczynna, Clay zaproponował, by spotkali się tam w południe, gdy już będzie mógł jaśniej myśleć.

Pozostał tylko ból głowy.

– Wyglądasz makabrycznie – zauważył uprzejmie Pace.

– Świętowaliśmy.

– Muszę omówić bardzo ważną sprawę. Jesteś do tego zdolny?

– Potrafię nadążyć. Wal.

Pace trzymał w ręce wysoki papierowy kubek z kawą i krążył po pokoju.

– Bałagan spowodowany przez tarvan uprzątnięto – oznajmił. Sprawa została zamknięta dopiero wtedy, gdy on to powiedział, nie wcześniej. – Zawarliśmy ugodę w sześciu sprawach. Jeżeli kiedyś pojawi się ktoś, kto stwierdzi, że jest spokrewniony z naszą Bandy, oczekujemy, że się tym zajmiesz. Jestem jednak przekonany, że ona nie ma rodziny.

– Ja także.

– Dobrze się spisałeś.

– Jestem za to sowicie wynagradzany.

– Dzisiaj przeleję ostatnią ratę. Na twoim koncie będzie całe piętnaście milionów. A raczej to, co z nich zostało.

– Czego ode mnie oczekujesz? Jazdy starym samochodem, sypiania w obskurnym mieszkaniu, noszenia tanich ubrań? Sam powiedziałeś, że muszę wydać trochę forsy, aby stworzyć odpowiednie wrażenie.

– Żartuję sobie. A ty znakomicie wcielasz się w rolę bogacza.

– Dziękuję za uznanie.

– Przechodzisz od biedy do bogactwa z niezwykłą łatwością.

– Mam talent.

– Tylko bądź ostrożny. Nie obnoś się z tym za bardzo.

– Porozmawiajmy o następnej sprawie.

Na te słowa Pace usiadł i podsunął Clayowi akta.

– Lek nazywa się dyloft, jest produkowany przez Ackerman Labs. To silny lek przeciwzapalny zażywany przez osoby cierpiące na ostre zapalenie stawów. Dyloft powstał niedawno i lekarze oszaleli na jego punkcie. Czyni cuda, pacjenci są zachwyceni. Mamy z nim jednak dwa problemy: po pierwsze, jest wytwarzany przez konkurentów mojego klienta, po drugie, odkryto związek między jego zażywaniem a powstawaniem niewielkich guzów w pęcherzu moczowym. Mój klient, ten sam co poprzednio, produkuje podobny lek, który cieszył się dużym wzięciem do czasu, gdy dwanaście miesięcy temu

do sprzedaży trafił dyloft. Rynek na ten lek jest wart około trzech miliardów rocznie, mniej więcej. Dyloft już jest numerem dwa i w tym roku przypuszczalnie przyniesie wpływy wysokości miliarda dolarów. Trudno to oszacować, bo jego sprzedaż szybko rośnie. Lek produkowany przez mojego klienta przynosi półtora miliarda i szybko traci przewagę. Dyloft jest ostatnim krzykiem mody i niebawem zmiażdży wszystkich rywali. Jest aż tak dobry. Kilka miesięcy temu mój klient kupił małą spółkę farmaceutyczną w Belgii. Firma ta miała kiedyś filię, którą potem wchłonęły Ackerman Labs. Przy okazji wyrzucono i wyrolowano kilku badaczy. Pewne opracowania laboratoryjne zniknęły, po czym pojawiły się w niewłaściwych miejscach. Mój klient ma świadków oraz dokumenty dowodzące, że w Ackerman Labs wiedzą o potencjalnych problemach od co najmniej sześciu miesięcy. Rozumiesz?

– Tak. Ile osób zażywało dyloft?

– Naprawdę trudno powiedzieć, bo ich liczba bardzo szybko rośnie. Przypuszczalnie milion.

– U jakiej części pojawiły się guzy?

– Badania wskazują, że u blisko pięciu procent, co wystarczy, żeby doprowadzić do wycofania leku.

– Skąd wiadomo, czy pacjent ma guzy?

– Z badania moczu.

– Chcesz, żebym pozwał Ackerman Labs?

– Poczekaj. Prawda o dylofcie wkrótce wyjdzie na jaw. Do tej pory nie było sporów prawnych, żadnych roszczeń, żadnych katastrofalnych dla firmy wyników badań publikowanych w czasopismach fachowych. Nasi szpiedzy donoszą, że księgowi Ackerman Labs zajmują się liczeniem pieniędzy i odkładaniem ich na opłacanie adwokatów, gdy rozpęta się burza. Ackerman Labs mogą również spróbować poprawić lek, ale to wymaga czasu i zgody FDA. Mają więc prawdziwy dylemat, ponieważ potrzebują gotówki. Bardzo się zapożyczyli, żeby kupić inne firmy, a większość tych transakcji okazała się nieopłacalna. Ich akcje są sprzedawane za około czterdzieści dwa dolary. Rok temu miały wartość osiemdziesięciu.

– Jak wieści o dylofcie wpłyną na tę firmę?

– Uderzą w notowania akcji, czego właśnie chce mój klient. Jeżeli spór prawny zostanie poprowadzony prawidłowo, a zakładam, że obaj potrafimy to zrobić, wiadomość o nim będzie zabójcza dla Ackerman Labs. A ponieważ mamy poufny dowód, że dyloft jest szkodliwy, nie pozostanie im nic innego, tylko zawrzeć ugodę. Nie mogą zaryzykować procesu, nie w sytuacji, gdy ich produkt jest tak niebezpieczny.

– Jaką wadę ma ten plan?

– Dziewięćdziesiąt pięć procent guzów ma łagodną postać i bardzo niewielkie rozmiary. Pęcherz nie zostaje w istocie uszkodzony.

– Więc spór prawny ma wstrząsnąć rynkiem?

– Owszem. No i oczywiście doprowadzić do wynagrodzenia szkód ofiarom. Nie chcą mieć guzów w pęcherzu, nawet łagodnych. Większość przysięgłych uważałaby tak samo. Oto scenariusz: zbierzesz grupę pięćdziesięciorga powodów i w imieniu wszystkich pacjentów zażywających dyloft wytoczysz dużą sprawę sądową. Dokładnie w tym samym czasie wyemitujesz w telewizji serię ogłoszeń przyciągających uwagę kolejnych ofiar. Uderzysz szybko i mocno i zdobędziesz tysiące klientów. Ogłoszenia… szybkie reklamy, które wystraszą ludzi i sprawią, że będą dzwonili pod bezpłatny numer w Waszyngtonie, gdzie masz halę magazynową pełną asystentów odbierających telefony i odwalających niewdzięczną robotę. To cię trochę uderzy po kieszeni, ale jeśli zdobędziesz, powiedzmy, pięć tysięcy klientów i zawrzesz z nimi ugodę na dwadzieścia tysięcy dolarów od łebka, to uzbiera się sto milionów dolarów. Z czego jedna trzecia dla ciebie.

– To oburzające!

– Nie, Clay, to spór prawny o grupowe roszczenia odszkodowawcze w najlepszym wydaniu. Tak właśnie obecnie działa ten system. A jeżeli ty tego nie zrobisz, to gwarantuję, że znajdzie się ktoś inny. I to bardzo szybko. Chodzi o tak duże sumy, że specjaliści od takich spraw czekają jak sępy na jakąkolwiek aluzję do szkodliwości jakiegoś leku. A wierz mi, szkodliwych leków jest cała masa.

– Dlaczego to ja jestem tym szczęściarzem?

– Dzięki wyczuciu czasu, przyjacielu. Jeżeli mój klient będzie dokładnie wiedział, kiedy wniesiesz pozew, będzie mógł zareagować na zmiany na rynku.

– Gdzie mam znaleźć pięćdziesięciu klientów?

Max z głuchym odgłosem położył na stole kolejne akta.

– Wiemy o co najmniej tysiącu przypadków. Nazwiska, adresy, wszystko masz tutaj.

– Wspomniałeś o hali magazynowej pełnej asystentów?

– Sześciu. Tylu będzie trzeba do odbierania telefonów i utrzymania porządku w aktach. W końcu mógłbyś zebrać pięć tysięcy klientów indywidualnych.

– A ogłoszenia w telewizji?

– Znam firmę, która potrafi zmontować reklamę w niecałe trzy dni. Żadnych ekstrawagancji… głos lektora, obrazy tabletek spadających na stół, potencjalnie szkodliwe skutki zażywania dyloftu, piętnaście sekund siania strachu, żeby skłonić ludzi do dzwonienia do Kancelarii Prawniczej Claya Cartera Drugiego. Te reklamy działają, wierz mi. Puść je na wszystkich głównych rynkach, a będziesz miał niezliczone rzesze klientów.

– Ile to będzie kosztować?

– Parę milionów, ale przecież stać cię na to.

Tym razem to Clay zaczął wędrować po pokoju, by uspokoić wzburzoną krew. Widział wcześniej trochę ogłoszeń w sprawie tabletek na odchudzanie, które okazały się szkodliwe: niewidoczni prawnicy starali się przerazić ludzi na tyle, by ci zatelefonowali pod bezpłatny numer. Z pewnością nie był gotowy upaść aż tak nisko.

Ale honorarium wysokości trzydziestu trzech milionów dolarów! Wciąż jeszcze był sparaliżowany myślą o fortunie, jaką zbił za pierwszym razem.

– Jak wygląda harmonogram?

Pace miał już listę rzeczy, które trzeba załatwić w pierwszej kolejności.

– Będziesz musiał podpisać umowy z klientami, co zajmie maksimum dwa tygodnie. Trzy dni na dopracowanie ogłoszenia. Kilka dni na wykupienie czasu na antenie. Będziesz musiał zatrudnić asystentów i ulokować ich w jakimś wynajętym pomieszczeniu na przedmieściach, bo tutaj wynajem jest zbyt drogi. Trzeba przygotować się do procesu. Powinieneś to załatwić w ciągu niespełna trzydziestu dni.

– Zabieram swoich pracowników na tydzień do Paryża, ale załatwimy to.

– Mój klient chce, żeby wnieść sprawę do sądu przed upływem miesiąca. A dokładnie przed drugim lipca.

Clay wrócił do stołu i spojrzał na Pace'a.

– Nigdy wcześniej nie zajmowałem się takim pozwem – powiedział.

Pace wyjął coś z teczki.

– Jesteś zajęty w ten weekend? – zapytał, zerkając do jakiegoś prospektu.

– Niezupełnie.

– Byłeś ostatnio w Nowym Orleanie?

– Jakieś dziesięć lat temu.

– Słyszałeś o Kole Adwokatów?

– Chyba tak.

– To nienowa, właśnie wskrzeszona grupa… grono adwokatów, którzy specjalizują się w zbiorowych roszczeniach odszkodowawczych za czyny niedozwolone. Zbierają się dwa razy w roku i rozmawiają o najnowszych trendach w sporach prawnych. To byłby owocny weekend. – Podsunął prospekt Carterowi, który wziął go ze stołu. Na okładce widniało kolorowe zdjęcie hotelu Royal Sonesta w Dzielnicy Francuskiej.

* * *

W Nowym Orleanie było jak zawsze ciepło i wilgotno, zwłaszcza w Dzielnicy Francuskiej.

Clay był sam i nie miał nic przeciwko temu. Gdyby nawet nie rozstał się z Rebeccą, ona i tak nie wybrałaby się w tę podróż. Byłaby zbyt zajęta pracą i weekendowymi zakupami z matką. Jak zwykle. Myślał o tym, by zaprosić Jonaha, ale ich relacje były obecnie napięte. Clay wyprowadził się z ich ciasnego mieszkania do komfortowego domu w Georgetown, nie proponując przyjacielowi przeprowadzki, co było afrontem. Przewidział jednak, że Jonah poczuje się dotknięty, i był na to przygotowany. Dziki współlokator przychodzący i wychodzący o dowolnej porze z jakąś bezdomną prostytutką, którą zdołał poderwać, był ostatnią rzeczą, jakiej Clay potrzebował w swoim no-

wym domu.

Pieniądze zaczęły być źródłem jego izolacji. Dobrych znajomych, do których kiedyś telefonował, teraz ignorował, nie chciał bowiem wysłuchiwać tych wszystkich pytań. Nie bywał już w starych lokalach, bo teraz stać go było na lepsze. W ciągu niespełna miesiąca zmienił pracę, mieszkanie, samochód, bank, garderobę, miejsca, gdzie jadał, i siłownię. Na pewno też przymierzał się do zmiany dziewczyny, chociaż na horyzoncie nie było widać żadnej kandydatki. Z Rebeccą nie rozmawiał od dwudziestu ośmiu dni. Wcześniej zakładał, że zadzwoni do niej po miesiącu, jak obiecał, ale od tamtego czasu sporo się zmieniło.

Gdy wchodził do holu Royal Sonesta, mokra koszula kleiła mu się do pleców. Wpisowe wynosiło pięć tysięcy dolarów, skandalicznie dużo, jak za kilka dni bratania się ze zgrają prawników. Opłata wskazywała światu palestry, że nie wszyscy są zaproszeni, a tylko bogaci, którzy naprawdę poważnie podchodzą do zbiorowych roszczeń odszkodowawczych za czyny niedozwolone. Jego pokój kosztował kolejne czterysta pięćdziesiąt dolarów za noc. Zapłacił za pobyt platynową kartą kredytową.

Podczas imprezy odbywały się rozmaite seminaria. Clay trafił na dyskusję na temat odpowiedzialności deliktowej za emisję toksyn, prowadzoną przez dwóch prawników, którzy pozwali firmę chemiczną za skażenie wody pitnej. Mogło ono być przyczyną zachorowań na raka bądź nie, lecz firma i tak wypłaciła pół miliarda, a oni stali się bogaci. W sąsiedniej sali jakiś prawnik, którego Carter widział wcześniej w telewizji, z wielkim zaangażowaniem opowiadał o tym, jak radzić sobie z mediami, ale słuchaczy miał niewielu. Tak naprawdę frekwencja na większości seminariów była znikoma. Było jednak piątkowe popołudnie i grube ryby miały przybyć dopiero w sobotę.

W końcu Clay trafił na tłum w małej sali wystawowej, gdzie jakaś firma lotnicza pokazywała film o wchodzącym do sprzedaży luksusowym odrzutowcu, najbardziej niesamowitym spośród modeli swojej generacji. Projekcja odbywała się w kącie sali na szerokim ekranie, a stłoczeni przed nim prawnicy w milczeniu gapili się na ten najnowszy cud awiacji. Zasięg cztery tysiące mil – „Z jednego końca Stanów na drugi lub z Nowego Jorku do Paryża, bez międzylądowania, rzecz jasna”. Spalał mniej paliwa niż inne cztery odrzutowce, o których Clay nigdy wcześniej nie słyszał, a w dodatku szybciej latał. Wnętrze samolotu było przestronne, wszędzie fotele i kanapy, a nawet bardzo urodziwa stewardesa w krótkiej spódniczce, trzymająca butelkę szampana i puchar z wisienkami. Skórzane obicia miały intensywny brązowy kolor. Samolot do relaksu lub do pracy, ponieważ galaxy 9000 był wyposażony w nowatorski system telefoniczny i odbiornik satelitarny, które pozwalały zapracowanemu prawnikowi dzwonić z pokładu w dowolne miejsce na świecie. A także w faksy oraz kopiarkę i, oczywiście, w błyskawiczny dostęp do internetu. Na filmie pokazano nawet grupę skupionych wokół małego stołu prawników. Mieli srogie oblicza i podwinięte rękawy koszul, jakby wypracowywali w pocie czoła jakąś ugodę, ignorując nadobną blondynkę w minispódniczce razem

z jej szampanem.

Clay wszedł głębiej w tłum, czując się jak intruz. Autorzy filmu przemyślnie nie podali ceny odrzutowca. Były lepsze propozycje obejmujące współwłasność i wymianę używanego samolotu na nowy oraz możliwość sprzedaży z zachowaniem prawa użytkowania, a wszystko to mogli objaśnić przedstawiciele handlowi producenta, którzy stali nieopodal, gotowi do robienia interesów. Gdy obraz zniknął z ekranu, wszyscy prawnicy zaczęli natychmiast rozmawiać – nie o szkodliwych lekach i pozwach zbiorowych, lecz o odrzutowcach i kosztach zatrudnienia pilotów. Chętni do kupna otoczyli przedstawicieli handlowych. W pewnym momencie Clay usłyszał, jak ktoś mówi:

– Nowy kosztuje w granicach trzydziestu pięciu.

Z pewnością nie chodziło o trzydzieści pięć milionów.

Inni wystawcy oferowali luksusowe towary wszelkiego rodzaju. Szkutnik miał grupę poważnych klientów zainteresowanych jachtami. Był też specjalista od nieruchomości na Karaibach. Inny sprzedawał rancza z hodowlą bydła w Montanie. Szczególnie oblegany był boks z najnowszymi absurdalnie drogimi gadżetami elektronicznymi.

No i samochody. Całą ścianę zajmowały wyszukane ekspozycje aut – kabriolet coupe marki Mercedes-Benz, corvette z limitowanej serii, rdzawoczerwony bentley, który każdy godny szacunku specjalista od pozwów zbiorowych musiał mieć. Firma Porsche prezentowała SUV-a i jeden sprzedawca przyjmował właśnie zamówienia. Największe grono zainteresowanych gapiło się na lśniące szafirowe lamborghini. Jego cena była niemal niewidoczna, jakby producent bał się ją pokazać. Tylko dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów i bardzo ograniczona podaż. Wydawało się, że kilku prawników gotowych jest stoczyć walkę o ten samochód.

W bardziej zacisznej części sali jakiś krawiec i jego asystent brali z dość rosłego prawnika miarę na włoski garnitur. Szyld informował, że są z Mediolanu, ale do uszu Claya dotarły słowa wypowiadane po angielsku z bardzo amerykańskim akcentem.

Na wydziale prawa uczestniczył kiedyś w dyskusji panelowej na temat wysokich odszkodowań i tego, co prawnicy powinni robić, żeby chronić swoich niewyrobionych klientów przed pokusami błyskawicznie zdobytego bogactwa. Kilku adwokatów opowiadało potworne historie rodzin robotniczych, którym otrzymane w wyniku ugody odszkodowania zniszczyły życie, i te historie stanowiły fascynujące przykłady ludzkich zachowań. W pewnym momencie jakiś prawnik z grona dyskutantów zażartował: „Nasi klienci wydają forsę niemal równie szybko jak my”.

Gdy Clay rozglądał się po sali wystawowej, widział prawników wydających pieniądze równie szybko, jak potrafili je zarabiać. Czy sam też był winowajcą?

Jasne, że nie. On trzymał się spraw zasadniczych, przynajmniej na razie. Któż by nie chciał mieć nowego samochodu i lepszego domu? Clay nie kupował jachtów, samolotów ani rancz. Nie chciał ich. I gdyby dyloft przyniósł mu pieniądze, w żadnym razie nie zmarnowałby ich na odrzutowce i kolejne domy. Złożyłby je w banku lub zakopał

w ogrodzie za domem.

Ta szalona orgia zakupów wzbudziła w nim odrazę. Opuścił hotel. Miał ochotę na ostrygi i lokalne piwo.

Rozdział 15

W sobotę jedyną poranną sesję poświęcono bieżącym informacjom na temat ustawodawstwa w sprawie pozwów zbiorowych, nad którym debatowano obecnie w Kongresie. Temat przyciągnął niewielką grupkę słuchaczy. Za pięć tysięcy dolarów Clay był zdecydowany wchłonąć jak najwięcej wiedzy. Wśród niewielu obecnych sprawiał wrażenie jedynego nieskacowanego. W sali balowej opróżniano kubki z dymiącą kawą.

Mówca był prawnikiem lobbystą z Waszyngtonu. Zaczął źle, opowiadając dwa sprośne dowcipy i obydwa niemiłosiernie kładąc. Na widowni znajdowali się sami biali mężczyźni, rzecz normalna w tej korporacji, tyle że nie byli w nastroju do niewybrednych żartów. Ich początkowy zły humor szybko przeszedł w znużenie. Jednak, przynajmniej dla Claya, prezentowane materiały były dość ciekawe i pouczające. Niewiele wiedział o pozwach zbiorowych, więc wszystko było nowością.

O dziesiątej musiał wybrać między dyskusją panelową na temat najnowszych wydarzeń w sprawie Chudego Bena a prezentacją prawnika, który specjalizował się w odszkodowaniach dla ofiar zatrucia ołowiem zawartym w farbach miniowych. Ten temat wydał się Clayowi raczej nieciekawy, więc zdecydował się na tę pierwszą. Sala była pełna.

Przydomek Chudy Ben nadano osławionej tabletce na otyłość, którą przepisano milionom pacjentów. Jej wytwórca zgarnął miliardy i szykował się do zawładnięcia światem, gdy u znaczącej liczby zażywających lek zaczęły pojawiać się problemy z sercem, które bez trudu można było powiązać z tym lekiem. Spór prawny wybuchł z dnia na dzień i firma nie miała ochoty iść do sądu. Miała spore fundusze i zaczęła przekupywać powodów olbrzymimi odszkodowaniami. Od trzech lat prawnicy z całych Stanów specjalizujący się w zbiorowych odszkodowaniach walczyli o to, by kontraktować sprawy ofiar Chudego Bena.

Za stołem, zwróceni twarzą do publiczności, siedzieli czterej prawnicy i moderator. Krzesło obok Claya było puste, aż jakiś zadziorny drobny prawnik wpadł w ostatnim momencie na salę i przepchał się między rzędami. Z teczki wyjął notesy, materiały seminaryjne, dwa telefony komórkowe i pager. Gdy jego stanowisko dowodzenia zostało już odpowiednio urządzone i Clay odsunął się jak najdalej, mężczyzna powiedział szeptem:

– Dzień dobry.

– Dobry – odszepnął Clay, niemający wcale ochoty na pogwarki. Patrzył na telefon

i zastanawiał się, kto konkretnie mógłby chcieć dzwonić w sobotę o dziesiątej rano.

– Ile spraw pan prowadzi? – znowu wyszeptał prawnik.

Ciekawe pytanie, na które Clay z pewnością nie zamierzał odpowiedzieć. Dopiero co zamknął sprawę tarvanu i przygotowywał atak na producenta dyloftu, ale w tej chwili nie prowadził żadnych spraw. Lecz taka odpowiedź była niewystarczająca w środowisku, gdzie wszystkie liczby były ogromne i wyolbrzymione.

– Kilkadziesiąt – skłamał.

Facet zmarszczył czoło, jakby ta wielkość była zupełnie nie do przyjęcia, i rozmowa urwała się przynajmniej na kilka minut. Jeden z dyskutantów zaczął mówić i sala ucichła. Tematem jego wystąpienia była analiza finansowa Healthy Living, producenta Chudego Bena. Firma miała kilka oddziałów, z których większość przynosiła zyski. Notowania akcji nie ucierpiały. Tak naprawdę po każdej dużej ugodzie kurs utrzymywał się na niezmienionym poziomie, co dowodziło, że inwestorzy zdawali sobie sprawę, iż spółka dysponuje masą gotówki.

– To Patton French – szepnął sąsiad Cartera.

– Kim on jest? – zapytał Clay.

– Najbardziej wziętym specjalistą od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych w kraju. W zeszłym roku otrzymał honoraria na sumę trzystu milionów dolarów.

– To on będzie przemawiał podczas uroczystego lunchu, prawda?

– Zgadza się, niech pan tego nie przegapi.

Mecenas French wyjaśnił w męczących szczegółach, że blisko trzysta tysięcy roszczeń w sprawie Chudego Bena zostało zaspokojonych kwotą około siedmiu i pół miliarda dolarów. On oraz inni eksperci szacowali, że można jeszcze wszcząć kolejne dwieście tysięcy spraw wartych od dwóch do trzech miliardów. Firma i jej ubezpieczyciele mieli mnóstwo gotówki na załatwienie tych pozwów, tak więc od zgromadzonych na tej sali zależało, czy zakrzątną się wokół tego i znajdą pozostałych poszkodowanych. Wśród publiczności przeszedł dreszcz podniecenia.

Clay nie miał ochoty się w to pakować. Nie mógł się nadziwić, skąd ten mały, pulchny, nadęty drań z mikrofonem, który zgarnął w ubiegłym roku trzysta milionów dolarów, czerpie motywację do dalszego zarabiania. Dyskusja zeszła na temat twórczych sposobów przyciągania nowych klientów. Jeden z dyskutantów zarobił tyle forsy, że zatrudniał w pełnym wymiarze czasu dwóch lekarzy, żeby jeździli z miasta do miasta i robili kompleksowe badania tym, którzy zażywali Chudego Bena. Inny zdał się wyłącznie na reklamę telewizyjną. Ten temat zainteresował Claya, ale już po chwili wywiązała się żenująca debata nad tym, czy prawnik powinien występować w telewizji osobiście, czy też wynająć jakiegoś aktora, którego kariera nie rozwija się najlepiej.

O dziwo, zabrakło jakiejkolwiek dyskusji o strategiach procesowych – ekspertach w roli świadków, informatorach, wyborze przysięgłych, dowodach medycznych – informacji, które prawnicy zwykle wymieniali na seminariach. Clay dowiadywał się, że takie

sprawy rzadko trafiają do sądu. Umiejętności przydatne na sali rozpraw nie były ważne. Cała dyskusja dotyczyła pozyskiwania klientów. I zgarniania dużych honorariów. W różnych momentach dyskusji panelowej wszyscy czterej jej uczestnicy oraz niektórzy z zadających trywialne pytania nie mogli oprzeć się chęci ujawnienia, że zarobili grube miliony w zawartych ostatnio ugodach.

Clay miał ochotę wziąć kolejny prysznic.

O jedenastej miejscowy dealer Porsche urządził przyjęcie dla miłośników Krwawej Mary, które cieszyło się szalonym powodzeniem. Surowe ostrygi, Krwawa Mary i bezustanne paplanie o tym, ile kto prowadzi spraw. I jak zdobyć więcej klientów. Tysiąc tu, dwa tysiące tam. Najwyraźniej powszechną taktyką było zgromadzenie jak największej liczby spraw, a następnie doszlusowanie do zespołu Pattona Frencha, który z radością włączyłby je do swojego pozwu zbiorowego na własnym podwórku w Missisipi, gdzie sędziowie i przysięgli zawsze wyrokowali po jego myśli, a producent leku bał się postawić stopę. French urabiał ich wszystkich niczym chicagowski mafioso.

Patton French przemówił znowu o trzynastej, po lunchu na stojąco złożonym z cajuńskich potraw i warzonego na Południu piwa. Policzki miał zarumienione, posługiwał się swobodnym i barwnym językiem. Bez notatek przedstawił krótkie dzieje amerykańskiego systemu zbiorowego dochodzenia roszczeń odszkodowawczych i jego zasadniczym znaczeniu w ochronie społeczeństwa przed chciwością i zepsuciem wielkich korporacji wytwarzających niebezpieczne produkty. A przy okazji okazało się, że nie darzy sympatią towarzystw ubezpieczeniowych, banków, firm międzynarodowych i republikanów. Nieokiełznany kapitalizm stwarzał zapotrzebowanie na ludzi takich jak śmiałkowie z Koła Adwokatów, wygi z okopów, którzy nie bali się atakować wielkiego biznesu w imieniu ludzi pracy, w imieniu szaraczków.

Zarabiającego trzysta milionów dolarów rocznie Pattona Frencha trudno było sobie wyobrazić w roli przegranego. Lecz on grał przed zgromadzonym tłumem. Clay rozglądał się i zastanawiał, nie po raz pierwszy, czy tylko on jest zdrowy na umyśle. Czy forsa tak zaślepiła tych ludzi, że naprawdę uwierzyli, iż są obrońcami biednych i chorych?

Większość z nich była właścicielami odrzutowców!

French sypał opowieściami z prawniczego frontu jak z rękawa. Ugoda na czterysta milionów w sprawie pozwu zbiorowego ofiar szkodliwego działania leku na obniżenie poziomu cholesterolu. Miliard za lek dla cukrzyków, który uśmiercił co najmniej stu pacjentów. Sto pięćdziesiąt milionów za wadliwą instalację elektryczną założoną w dwustu tysiącach domów, będącą przyczyną piętnastu tysięcy pożarów, w których zginęło siedemnaście osób, a czterdzieści doznało poparzeń. Prawnicy chłonęli każde jego słowo. Cała przemowa Frencha okraszona była wskazówkami, na co poszły te pieniądze. „To ich kosztowało nowego gulfstreama”, pochwalił się w pewnym momencie i tłum słuchaczy nagrodził go oklaskami. Po niespełna dobie pobytu w Royal Sonesta Clay wiedział już, że gulfstream jest najwspanialszym ze wszystkich prywatnych odrzutow-

ców, a nowe samoloty sprzedawane są za blisko czterdzieści pięć milionów dolarów.

Z Frenchem konkurował walczący z koncernami tytoniowymi prawnik z Missisipi, który kupił jacht długości stu osiemdziesięciu stóp. Stary jacht Frencha miał tylko sto czterdzieści stóp, zamienił go więc na dwustustopowca. Zebrani także i tę informację uznali za zabawną. Jego kancelaria zatrudniała teraz trzydziestu prawników i potrzebowała kolejnych trzydziestu. French był żonaty po raz czwarty. Poprzednia żona dostała mieszkanie w Londynie.

I tak dalej. Majątek zarobiony, majątek wydany. Nic dziwnego, że pracował siedem dni w tygodniu.

Normalni ludzie byliby zażenowani tak ordynarną dyskusją o bogactwie, lecz French znał swoich słuchaczy. Pobudzał ich wręcz do tego, by więcej zarabiali, składali więcej pozwów, zabiegali o więcej klientów. Przez godzinę zachowywał się jak bezwstydny prostak, ale nie nudził.

Pięć lat spędzonych w BOP-ie z pewnością uchroniło Claya przed kontaktem z wieloma aspektami współczesnego praktykowania prawa. Czytał wcześniej o pozwach zbiorowych o odszkodowanie, nie miał jednak pojęcia, że składający je prawnicy tworzą tak zorganizowaną i wyspecjalizowaną grupę. Nie wyglądali na ludzi szczególnie bystrych. Ich strategia polegała na zbieraniu spraw i zawieraniu ugód, a nie na prawdziwej pracy procesowej.

French mógłby gadać bez końca, lecz po godzinie opuścił mównicę nagrodzony owacją na stojąco, aczkolwiek pełną skrępowania. Miał wrócić o trzeciej na seminarium na temat wyboru miejsca procesu – o tym, jak znaleźć najlepszy sąd dla swojej sprawy. Zanosiło się na to, że popołudnie będzie powtórką ranka, i Clay miał dość.

Włóczył się po Dzielnicy Francuskiej, patrząc nie na bary i kluby ze striptizem, ale na sklepy z antykami i galerie. Nie kupił jednak niczego, ponieważ owładnęło nim pragnienie ciułania pieniędzy. Później siedział sam w ogródku baru na Jackson Square, obserwując pojawiających się i znikających ludzi. Popijał gorący napar z korzenia cykorii i próbował delektować się jego smakiem, ale to nie skutkowało. Chociaż nie zapisywał tych liczb na kartce, dokonał obliczeń w myślach. Z honorarium za sprawę tarvanu po odjęciu czterdziestu pięciu procent na zapłacenie podatków i wydatków służbowych oraz tego, co już wydał, zostało mu około sześciu i pół miliona dolarów. Mógł je złożyć w banku i zarobić trzysta tysięcy rocznie z odsetek, co blisko ośmiokrotnie przewyższało jego pensję w biurze. Trzysta tysięcy rocznie oznaczało dwadzieścia pięć tysięcy na miesiąc i siedząc w cieniu w ciepłe nowoorleańskie popołudnie, Clay nie potrafił sobie wyobrazić, jak zdoła wydać tyle pieniędzy.

To nie sen. To rzeczywistość. Te pieniądze już leżały na jego koncie. Przez resztę życia będzie bogaty i nie stanie się jednym z tych błaznów z hotelu Royal Sonesta narzekających na koszt zatrudniania pilotów lub kapitanów jachtów.

Jedyny problem nie był sprawą błahą. Clay zatrudnił ludzi i coś im obiecał. Rodney,

Paulette, Jonah i panna Glick odeszli ze stałych posad i ślepo mu zaufali. Nie może teraz po prostu wszystkiego zakończyć, zabrać forsy i uciec.

Zamówił piwo i podjął głęboko przemyślaną decyzję. Będzie ciężko pracował przez krótki okres nad sprawami dyloftu, da swoim pracownikom ogromne premie i zamknie kancelarię. Będzie wiódł spokojne życie w Georgetown, podróżując do woli po świecie, łowiąc ryby z ojcem, obserwując, jak przybywa pieniędzy, i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zbliży się do miejsca kolejnego spotkania Koła Adwokatów.

* * *

Właśnie zamówił śniadanie do pokoju, gdy zadźwięczał telefon. Dzwoniła Paulette, jedyna osoba, która wiedziała, gdzie Clay przebywa.

– Masz ładny pokój? – zapytała.

– Rzeczywiście mam.

– Jest w nim faks?

– Oczywiście.

– Podaj mi numer, to coś ci wyślę.

Była to kopia wycinka z niedzielnego wydania „Washington Post”. Ogłoszenie ślubne. Rebecca Allison Van Horn oraz Jason Shubert Myers IV. *Pani Barb i pan Bennett Van Hornowie z McLean w Wirginii zawiadamiają o zaręczynach swojej córki Rebeki z panem Jasonem Shubertem Myersem z Falls Church…* Zdjęcie, choć skopiowane i przefaksowane na odległość ponad tysiąca mil, było dość wyraźne – bardzo ładna dziewczyna wychodziła za innego.

D. Stephens Myers był synem Dallasa Myersa, doradcy prezydentów od Woodrowa Wilsona począwszy i na Dwighcie Eisenhowerze skończywszy. Zgodnie z tym zawiadomieniem Jason Myers studiował na Uniwersytecie Brown oraz na wydziale prawa Harvardu i był już wspólnikiem w Myers i O’Malley, chyba najstarszej, a z pewnością najbardziej zaskorupiałej kancelarii prawniczej w Dystrykcie Columbii. Stworzył oddział własności intelektualnej i został najmłodszym wspólnikiem w dziejach Myersa i O’Malleya. Wydawało się, że poza okrągłymi okularami nie ma w nim nic z intelektualisty, aczkolwiek Clay wiedział, że nie może być sprawiedliwy w ocenie, nawet gdyby chciał. Jason Myers nie był nieatrakcyjny, ale wyraźnie nie pasował do Rebeki.

Grudniowy ślub zaplanowano w kościele episkopalnym w McLean, a przyjęcie weselne w Potomac Country Clubie.

W ciągu niecałego miesiąca Rebecca znalazła kogoś, kogo pokochała na tyle, by go poślubić. Kogoś skłonnego spędzić życie w towarzystwie Bennetta i Barb. Kogoś, kto ma wystarczająco dużo pieniędzy, by zrobić wrażenie na wszystkich Van Hornach.

Znowu zadzwonił telefon i Clay znowu usłyszał głos Paulette:

– Nic ci nie jest?

– Czuję się znakomicie – odparł, bardzo starając się to okazać.

– Naprawdę mi przykro, Clay.

– Nasz związek nie miał przyszłości. Od roku było to coraz bardziej jasne. Dobrze się stało, bo teraz mogę o niej zapomnieć.

– Skoro tak mówisz.

– Nic mi nie jest, naprawdę. Dzięki za telefon.

– Kiedy wracasz do domu?

– Dzisiaj. Jutro rano będę w biurze.

Przywieźli śniadanie. Clay zapomniał, że je zamówił. Wypił trochę soku, ale reszty nie ruszył. Na romansik Rebeki zanosiło się od pewnego czasu. Musiała tylko pozbyć się Claya, co poszło dość łatwo. Skala jej zdrady rosła z każdą minutą. Widział i słyszał, jak matka Rebeki używa wpływów, jak doprowadza do rozpadu ich związku, zastawia pułapkę na Myersa, teraz zaś drobiazgowo planuje ślub.

– Krzyżyk na drogę – mruknął.

Po czym pomyślał o seksie i Myersie zajmującym jego miejsce i rozbił pustą szklankę o ścianę w drugim końcu pokoju. I sklął samego siebie za to, że zachowuje się jak idiota.

Ile osób spoglądało w tym momencie na zawiadomienie i myślało o Clayu, mówiąc: „Rzuciła go w pośpiechu, czyż nie?”. „O rany, szybko się uwinęła, nieprawdaż?”.

Czy Rebecca o nim myślała? Jak dużą satysfakcję czerpała z podziwiania zawiadomienia o swoim ślubie i z myśli o starym Clayu? Pewnie sporą. Może nie. Jakie to ma znaczenie? Państwo Van Hornowie bez wątpienia zapomnieli o nim z dnia na dzień. Dlaczego po prostu nie potrafi odpłacić pięknym za nadobne?

Rebecca działała w pośpiechu, to wiedział na pewno. Ich romans trwał zbyt długo i był zbyt intensywny, a do rozstania doszło zbyt niedawno, by po prostu rzucić Claya i wziąć sobie następnego. Clay sypiał z nią przez cztery lata, Myers – tylko miesiąc lub krócej, oby nie dłużej.

Poszedł na Jackson Square, gdzie już działali malarze, wróżący z kart do tarota, żonglerzy i liczni muzycy. Kupił loda i usiadł na ławce nieopodal posągu Andrew Jacksona. Postanowił, że zadzwoni do Rebeki i przynajmniej złoży życzenia. Potem zdecydował, że znajdzie jakąś jasnowłosą lalunię i popisze się nią przed Rebeccą. Może zabierze ją na ślub, oczywiście w krótkiej spódniczce odsłaniającej długie na milę nogi. Z jego majątkiem znalezienie takiej kobiety nie powinno być trudne. Jeżeli będzie musiał, psiakrew, to jakąś wynajmie.

– To koniec, stary – powtarzał sobie raz po raz. – Weź się w garść.

Pozwól jej odejść.

Rozdział 16

Przepisowy strój biurowy szybko przestał obowiązywać. Ton nadawał szef, który skłaniał się ku noszeniu dżinsów i drogich podkoszulków, ze sportową marynarką pod ręką, na wypadek gdyby trzeba było pójść z klientem na lunch. Na spotkania i wystąpienia w sądzie miał garnitury znanego domu mody, ale na razie jedne i drugie zdarzały się rzadko, ponieważ kancelaria nie miała klientów i nie prowadziła żadnych spraw. Ku wielkiemu zadowoleniu Claya garderobę odnowili wszyscy.

Spotkali się późnym rankiem w sali konferencyjnej – Paulette, Rodney i marnie wyglądający Jonah. Chociaż panna Glick w krótkim okresie istnienia firmy zdobyła znaczne wpływy, wciąż była tylko sekretarką i recepcjonistką.

– Moi drodzy, mamy robotę do wykonania – zagaił Clay. Zapoznał ich z dyloftem i polegając na zwięzłych opisach Pace'a, przedstawił właściwości i historię tego leku. Dokonał szybkiego i paskudnego w swej wymowie przeglądu Ackerman Labs – sprzedaży, zysków, zasobów gotówki, konkurentów oraz innych problemów prawnych. Potem przedstawił pozytywy: katastrofalne działanie uboczne dyloftu, guzy w pęcherzu i to, że firma wiedziała o swoich problemach.

– Do dnia dzisiejszego nie wniesiono żadnych spraw do sądu. Ale zamierzamy to zmienić. Drugiego lipca rozpoczynamy wojnę, składając pozew zbiorowy w Waszyngtonie w imieniu wszystkich pacjentów, którym ten lek zaszkodził. To wywoła zamieszanie, a my będziemy w samym jego centrum.

– Mamy kogoś z tych klientów? – spytała Paulette.

– Jeszcze nie. Ale znamy nazwiska i adresy. Dzisiaj zaczniemy wciągać ich na listę. Opracujemy plan zebrania klientów, a potem ty i Rodney będziecie kierowali jego realizacją. – Chociaż Clay miał zastrzeżenia co do reklamy telewizyjnej, lecąc z Nowego Orleanu, przekonał sam siebie, że nie ma innego realnego wyboru. Z chwilą wniesienia pozwu i ujawnienia nazwy leku całe stada sępów, które właśnie poznał w Kole Adwokatów, zaczęłyby wynajdywać klientów. Jedynym skutecznym sposobem szybkiego dotarcia do dużej liczby pacjentów, którzy zażywali dyloft, były ogłoszenia telewizyjne.

Clay wyjaśnił to pracownikom swojej kancelarii i dodał:

– To będzie kosztowało co najmniej dwa miliony dolców.

– Ta kancelaria ma dwa miliony dolców? – palnął Jonah, wyrażając myśli wszystkich pozostałych.

– Ma. Dzisiaj zaczynamy pracować nad treścią ogłoszeń.

– Chyba w nich nie wystąpisz, szefie? – zapytał niemal błagalnie Jonah. – Proszę. –

Waszyngton, podobnie jak wszystkie miasta, tonął w powodzi wczesnoporannych i późnowieczornych reklam z apelami do poszkodowanych, by dzwonili do takiego a takiego prawnika, który gotów był skopać tylko pozwanym i nie brał ani centa za wstępną konsultację. W ogłoszeniach często pojawiali się sami prawnicy, zazwyczaj z żenującym skutkiem.

Paulette także miała przerażoną minę i kręciła nieznacznie głową.

– Jasne, że nie. Zrobią to profesjonaliści.

– Ilu klientów możemy się spodziewać? – chciał wiedzieć Rodney.

– Tysięcy. Trudno przewidzieć.

Rodney wskazał każde z nich, licząc powoli do czterech.

– Z moich obliczeń wynika, że jest nas czworo.

– Zatrudnimy więcej ludzi. Jonah jest odpowiedzialny za rozwój kancelarii. Wynajmiemy jakiś lokal na przedmieściach i zapełnimy go asystentami prawnymi. Będą obsługiwali telefony i kompletowali akta.

– Gdzie się znajduje asystentów prawnych? – zapytał Jonah.

– W rubrykach zatrudnienia czasopism adwokackich. Zacznij pracować nad ogłoszeniami. Dziś po południu masz w Manassas spotkanie z pośrednikiem w handlu nieruchomościami. Będziemy potrzebowali około czterystu pięćdziesięciu metrów kwadratowych, nic wyszukanego, lecz z mnóstwem gniazdek telefonicznych i pełnym systemem komputerowym, a to już, jak wiemy, twoja specjalność. Wynajmij lokal, załóż instalację, obsadź personelem, a potem zorganizuj pracę. Im szybciej, tym lepiej.

– Tak jest, panie mecenasie.

– Ile warte jest jedno roszczenie? – zapytała Paulette.

– Tyle, ile zapłacą Ackerman Labs. Suma może sięgać od dziesięciu tysięcy do pięćdziesięciu, to zależy od kilku czynników. Jednym z istotniejszych jest stopień uszkodzeń pęcherza.

Paulette obliczała coś w notesie.

– A ilu klientów możemy zdobyć?

– Nie sposób powiedzieć.

– A tak na oko?

– Nie wiem. Kilka tysięcy.

– W porządku, powiedzmy, że są trzy tysiące roszczeń. Trzy tysiące roszczeń razy minimum dziesięć tysięcy dolarów daje trzydzieści milionów, zgadza się? – Powiedziała to powoli, cały czas bazgrząc w notesie.

– Tak.

– A ile wynoszą honoraria adwokatów? – chciała wiedzieć. Pozostała trójka bardzo uważnie przyglądała się Clayowi.

– Jedną trzecią – odparł.

– To dziesięć milionów – zauważyła Paulette. – Wszystko dla tej kancelarii?

– Tak. I podzielimy się nimi.

Echo słów „podzielimy się” rozbrzmiewało w sali przez kilka sekund. Jonah i Rodney zerknęli na Paulette, jakby chcieli powiedzieć: „Nie krępuj się, dokończ ten temat”.

– Podzielimy się? W jaki sposób? – zapytała bardzo powoli i wyraźnie.

– Dziesięć procent dla każdego z was.

– Więc hipotetycznie mój udział w honorariach wyniósłby milion?

– Zgadza się.

– I… tyle samo dla mnie? – upewnił się Rodney.

– Tyle samo dla ciebie. Oraz dla Jonaha. I, muszę to dodać, myślę, że tak będzie w najgorszym przypadku.

Najgorszy przypadek czy nie najgorszy, Jonah, Rodney i Paulette oswajali się z tymi sumami w głuchej ciszy przez, jak się wydawało, bardzo długą chwilę. I każde odruchowo wydawało już część tych pieniędzy. Dla Rodneya oznaczały one szanse na opłacenie czesnego w college’u. Dla Paulette rozwód z Grekiem, z którym w ostatnim roku widziała się tylko raz. Dla Jonaha życie na jachcie.

– Mówisz poważnie, prawda? – zapytał Jonah.

– Śmiertelnie poważnie. Jeżeli będziemy zapieprzali przez następny rok, jest spora szansa, że uda nam się przejść na wcześniejszą emeryturę.

– Kto ci powiedział o tym leku? – zapytał Rodney.

– Niestety nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu mi zaufaj. – Clay miał nadzieję, że jego ślepe zaufanie do Maxa Pace’a nie jest szaleństwem.

– O mało nie zapomniałam o Paryżu – zauważyła Paulette.

– Nie zapominaj. Będziemy tam w przyszłym tygodniu.

Jonah zerwał się na równe nogi, chwycił notes i zapytał:

– Jak się nazywa ten pośrednik?

* * *

Na drugim piętrze swojego domu Clay urządził małe biuro. Nie żeby zamierzał tam często pracować – potrzebował miejsca na swoje papiery. Za biurko posłużył mu stary stół rzeźniczy, który znalazł kiedyś w sklepie z antykami w Fredericksburgu, tuż przy drodze. Zajmował całą szerokość pokoju i był wystarczająco długi, by pomieścić telefon, faks i laptop.

Właśnie przy nim Clay po raz pierwszy nieśmiało wszedł do świata akwizycji chętnych do złożenia pozwów zbiorowych o odszkodowania. Zwlekał z tym telefonem niemal do dwudziestej pierwszej, pory, w której niektórzy, zwłaszcza ci starsi i cierpiący na artretyzm, kładli się spać. Mocny drink dla kurażu i zaczął wystukiwać numer.

Telefon odebrała jakaś kobieta, chyba żona Teda Worleya z Upper Marlboro w Marylandzie. Clay przedstawił się uprzejmie jako prawnik, jakby prawnicy dzwonili do

niej codziennie i nie było powodu do niepokoju, po czym poprosił do telefonu pana Worleya.

– Ogląda mecz Orioles – odparła. Najwyraźniej Ted nie prowadził rozmów telefonicznych, gdy grała jego drużyna.

– Rozumiem… czy mimo to mógłbym porozmawiać z nim przez chwilę?

– Mówi pan, że jest prawnikiem?

– Tak, proszę pani, prawnikiem z Waszyngtonu.

– Cóż on znowu przeskrobał?

– Ależ nic, zupełnie nic. Chciałbym porozmawiać z nim o jego artretyzmie. – Przez chwilę miał ochotę odłożyć słuchawkę i uciec. Dziękował Bogu, że nikt mu się nie przygląda ani nie przysłuchuje tej rozmowie. Myśl o forsie, powtarzał sobie. Myśl o honorarium.

– O jego artretyzmie? Myślałam, że jest pan prawnikiem, a nie lekarzem.

– Tak, proszę pani, jestem prawnikiem i mam powody sądzić, że pan Worley zażywa niebezpieczny dla zdrowia lek. Jeśli pani pozwoli, zajmę mu tylko chwilę.

Kobieta krzyknęła coś do Teda, a ten odkrzyknął coś w odpowiedzi. Wreszcie wziął słuchawkę.

– Kto mówi? – warknął i Clay szybko się przedstawił, po czym zapytał:

– Jaki jest wynik?

– Trzy jeden dla Red Soxów po czterech rundach. Czy my się znamy? – Pan Worley miał siedemdziesiąt lat.

– Nie, proszę pana. Jestem adwokatem z Waszyngtonu i specjalizuję się w sprawach dotyczących wadliwych leków. Pozywam firmy farmaceutyczne, gdy wytwarzają szkodliwe produkty.

– Dobra, czego pan chce?

– Dzięki naszym źródłom internetowym doszliśmy do wniosku, że prawdopodobnie zażywa pan lek na artretyzm o nazwie dyloft. Czy może pan to potwierdzić?

– Może nie mam ochoty mówić panu, jakie leki zażywam.

Całkiem słuszna uwaga, na którą Clay był przygotowany.

– Oczywiście nie musi pan tego robić, panie Worley. Ale żeby ustalić, czy ma pan prawo do odszkodowania na mocy ugody, muszę się dowiedzieć, czy zażywa pan ten lek.

– Ten przeklęty internet – wymamrotał pan Worley, po czym odbył krótką naradę z żoną, która najwyraźniej była w pobliżu aparatu. – Jakiego odszkodowania? – zapytał.

– O tym porozmawiam za chwilę. Teraz muszę wiedzieć, czy zażywa pan dyloft. Jeśli nie, to szczęściarz z pana.

– Cóż… to chyba nie jest tajemnica, prawda?

– Nie, proszę pana. – Jasne, że to była tajemnica. Dlaczego historia czyjejś choroby miałaby nie być tajemnicą? Te drobne kłamstwa są niezbędne, powtarzał sobie Clay.

Spójrz na to szerzej. Pan Worley i tysiące takich jak on mogliby się nigdy nie dowiedzieć, że stosują zły produkt, gdyby im tego nie powiedziano. Firma Ackerman Labs z pewnością nie ujawniła całej prawdy. To było zadaniem Claya.

– Taak, zażywam dyloft.

– Od jak dawna?

– Chyba od roku. Działa wspaniale.

– Zauważył pan jakieś skutki uboczne?

– Na przykład?

– Krew w moczu. Uczucie pieczenia, gdy pan go oddaje. – Clay pogodził się z tym, że w nadchodzących miesiącach będzie rozmawiał o pęcherzach i moczu z wieloma osobami. Po prostu nie dało się tego uniknąć.

Sytuacja, na którą nie przygotowują na studiach prawniczych.

– Nie. Dlaczego?

– Dysponujemy wynikami wstępnych badań, które Ackerman Labs, firma produkująca dyloft, próbuje zataić. Stwierdzono w nich, że lek ten powoduje guzy pęcherza moczowego u niektórych zażywających go osób.

I tak pan Ted Worley, który parę chwil wcześniej zajmował się własnymi sprawami i oglądał mecz swoich ukochanych Orioles, miał spędzić resztę wieczoru i większość następnego tygodnia, zamartwiając się guzami rosnącymi w jego pęcherzu. Clay czuł się podle i chciał go przeprosić, znowu jednak pomyślał, że spełnia obowiązek. Jakże inaczej pan Worley mógłby poznać prawdę? Czy ten biedak nie chciałby się dowiedzieć o guzach, gdyby naprawdę je miał?

– Wie pan, po zastanowieniu rzeczywiście pamiętam uczucie pieczenia przed paroma dniami.

Clay usłyszał w tle, jak pani Worley pyta:

– O czym ty mówisz?

– Jeśli pozwolisz – mruknął do żony pan Worley.

Clay zaatakował, zanim sprzeczka Worleyów wymknęła się spod kontroli.

– Moja kancelaria reprezentuje wiele osób zażywających ten lek. Myślę, że powinien pan rozważyć ewentualność poddania się badaniu.

– Jakiemu badaniu?

– Analizie moczu. Mamy lekarza, który może ją wykonać choćby jutro. To nie będzie pana nic kosztować.

– A jeśli coś znajdzie?

– Wtedy możemy omówić istniejące możliwości. Gdy za kilka dni wieść o dylofcie wyjdzie na jaw, złożonych zostanie wiele pozwów. Moja kancelaria będzie przewodzić w ataku na Ackerman Labs. Chciałbym, by został pan moim klientem.

– Chyba powinienem porozmawiać z lekarzem.

– Oczywiście mógłby pan to zrobić, panie Worley, ale pański lekarz też może pono-

sić pewną odpowiedzialność. Przecież to on przepisał panu ten lek. Chyba byłoby najlepiej, gdyby uzyskał pan bezstronną opinię.

– Proszę poczekać. – Pan Worley zakrył ręką słuchawkę i wdał się w sprzeczkę z żoną. Gdy wrócił do rozmowy, zastrzegł:

– Nie jestem zwolennikiem wytaczania spraw lekarzom.

– Ja też nie. Specjalizuję się w ściganiu wielkich korporacji, które szkodzą ludziom.

– Powinienem przestać zażywać ten lek?

– Zróbmy najpierw badanie. Dyloft prawdopodobnie zostanie wycofany ze sprzedaży latem tego roku.

– Gdzie mam je zrobić?

– Lekarz przyjmuje w Chevy Chase. Może pan pójść do niego jutro?

– Taak, oczywiście, dlaczego nie? Chyba nie ma na co czekać, prawda?

– Owszem. – Clay podał mu nazwisko i adres lekarza, którego namierzył Max Pace. Warte osiemdziesiąt dolarów badanie kosztowałoby Claya trzysta dolarów, ale taka była po prostu cena robienia interesów.

Gdy ustalili szczegóły, Clay przeprosił za to telefoniczne najście, podziękował Worleyowi, że poświęcił mu czas, i pozwolił cierpieć przez resztę meczu. Dopiero gdy się rozłączył, Clay poczuł kropelki potu tuż nad brwiami. Akwizycja spraw przez telefon? Jakim prawnikiem się stał?

Bogatym, powtarzał sobie.

To będzie wymagało grubej skóry, której Clay nie miał i nie był pewny, czy zdoła taką wykształcić.

* * *

Dwa dni później zatrzymał się na podjeździe domu Worleyów w Upper Marlboro i przywitał się z nimi przy drzwiach. Analiza moczu, która obejmowała cytologię, wykryła w nim nienormalne komórki, wyraźną oznakę – według Maxa Pace’a i wyników zdobytego w nieuczciwy sposób badania medycznego – obecności guzów w pęcherzu moczowym. Pan Worley dostał skierowanie do urologa, do którego miał pójść w następnym tygodniu. Badanie i usunięcie guzów miało nastąpić w wyniku zabiegu cystoskopii, polegającego na wprowadzeniu do pęcherza moczowego maleńkiego wziernika i noża w rurce. I choć był to ponoć rutynowy zabieg, pan Worley był chory ze zdenerwowania. Pani Worley powiedziała, że nie spał przez ostatnie dwie noce, podobnie jak ona.

Mimo najlepszych chęci Clay nie mógł im powiedzieć, że guzy są prawdopodobnie łagodne. Niech lepiej zrobią to lekarze po zabiegu.

Przy rozpuszczalnej kawie ze śmietanką w proszku objaśnił umowę na swoje usługi i odpowiedział na ich pytania o spór prawny. Gdy Ted Worley podpisał umowę, stał się

pierwszym skarżącym w sprawie dyloftu w kraju.

I przez jakiś czas wydawało się, że może być jedynym. Wisząc na telefonie, Clayowi udało się przekonać jedenaście osób, by stawiły się na badanie moczu. Wszystkie jedenaście badań dało wynik negatywny.

– Nie rezygnuj – zalecał Max Pace. Mniej więcej co trzeci rozmówca Claya odkładał słuchawkę lub nie chciał wierzyć, że Clay mówi poważnie.

Paulette, Rodney i on podzielili potencjalnych klientów na swoich listach na czarnych i białych. Najwyraźniej czarni byli mniej podejrzliwi, łatwiej bowiem było ich przekonać, by poszli do lekarza. A może chętniej korzystali z opieki medycznej. Albo też, jak nieraz sugerowała Paulette, ona miała lepsze gadane.

Pod koniec tygodnia Clay zakontraktował troje klientów, u których badanie wykryło nieprawidłowe komórki. Rodney i Paulette, pracujący jako zespół, podpisali umowy z kolejną siódemką.

Autorzy pozwu zbiorowego w sprawie dyloftu byli gotowi do walki.

Rozdział 17

Według obliczeń tak starannie prowadzonych przez Rexa Crittle'a, człowieka, który coraz lepiej poznawał wszystkie strony życia Claya, paryska wyprawa kosztowała go dziewięćdziesiąt pięć tysięcy trzysta dolarów. Crittle był biegłym księgowym z biura rachunkowego średniej wielkości usytuowanego bezpośrednio pod apartamentem Cartera. Jak można się było spodziewać, on też został polecony przez Maxa Pace'a.

Przynajmniej raz w tygodniu Clay schodził tylnymi schodami lub Crittle wchodził na górę i spędzali około godziny na rozmowie o pieniądzach Claya i o tym, jak nimi obracać. System księgowy dla kancelarii prawniczej był prosty i został zainstalowany bez trudu. Panna Glick wprowadzała wszystkie dane i po prostu przesyłała je do komputerów księgowego.

Zdaniem Crittle'a takie nagłe wzbogacenie się prawie na pewno doprowadzi do kontroli skarbowej. Mimo zapewnień Pace'a, że tak się nie stanie, Clay nalegał, by rejestry były prowadzone nienagannie, bez żadnych niejasności w kwestii odpisów i potrąceń. Właśnie zarobił sumy, o jakich nigdy nie marzył. Próby pozbawienia państwa części należnych podatków nie miały sensu. Zapłać je i śpij spokojnie.

– Co to za płatność dla East Media na sumę pół miliona dolarów? – zapytał Crittle.

– Kręcimy reklamy telewizyjne dla potrzeb sporu prawnego. To pierwsza rata.

– Rata? Ile ich jeszcze będzie? – Crittle zerknął znad szkieł okularów do czytania i posłał Clayowi spojrzenie, które ten już znał. Mówiło ono: „Chłopcze, czyś ty rozum stracił?".

– W sumie dwa miliony dolarów. Za parę dni wnosimy do sądu dużą sprawę. Składanie pozwu będzie skoordynowane z szeroko zakrojoną kampanią reklamową, którą poprowadzi East Media.

– W porządku – mruknął Crittle, najwyraźniej traktujący nieufnie tak duże wydatki. – Zakładam, że wpłyną jeszcze dodatkowe honoraria na pokrycie tego wszystkiego.

– Miejmy nadzieję – odparł Clay ze śmiechem.

– A to nowe biuro w Manassas? Zadatek za wynajem wysokości piętnastu tysięcy dolców?

– Owszem, rozszerzamy naszą działalność. Zatrudniam w tamtejszym biurze sześciu dodatkowych asystentów prawnych. W Manassas czynsz jest niższy.

– Miło zobaczyć, że martwisz się o wydatki. Sześciu asystentów?

– Tak, czterech już zatrudniono. Mam na biurku ich kontrakty i informacje o zarob-

kach.

Crittle przez chwilę studiował jakiś wydruk, jego rachmistrzowski umysł mnożył wątpliwości.

– Mogę spytać, po co wam sześciu kolejnych asystentów, skoro macie tak niewiele spraw?

– To interesujące pytanie – przyznał Clay i zabrał się do objaśniania istoty zbliżającego się pozwu zbiorowego, nie wspominając ani o leku, ani o producencie. Jeśli nawet jego szybkie podsumowanie rozwiało wątpliwości Crittle'a, nie było to oczywiste. Jako księgowy z natury podchodził sceptycznie do każdego pomysłu zachęcania większej liczby ludzi do składania pozwów.

– Jestem pewny, że wiesz, co robisz – rzekł, podejrzewając, że Clay tak naprawdę stracił rozum.

– Zaufaj mi, Rex. Forsa spłynie lada moment.

– Teraz z pewnością wypływa.

– Czasem trzeba wydać, żeby zarobić.

– Tak mówią.

* * *

Atak nastąpił pierwszego lipca tuż po zachodzie słońca. Wszyscy oprócz panny Glick zebrali się przed telewizorem w sali konferencyjnej i czekali aż do dwudziestej trzydzieści dwie, po czym zamilkli i zastygli w bezruchu. Pokazano piętnastosekundową reklamę, która zaczynała się od ujęcia przystojnego młodego aktora w białej marynarce, trzymającego grubą książkę i spoglądającego szczerze w obiektyw kamery.

„Uwaga cierpiący na artretyzm. Jeżeli zażywacie dyloft, możecie mieć roszczenie do wytwórcy leku. Odkryto związek między zażywaniem dyloftu i kilkoma działaniami ubocznymi z tworzeniem się guzów w pęcherzu moczowym włącznie". – U dołu ekranu widniały wytłuszczone słowa: **DYLOFT INFOLINIA – ZADZWOŃ POD NR 1-800-555-DYLO**.

Lekarz mówił dalej: „Zadzwoń bezzwłocznie pod ten numer. Obsługa infolinii może umówić cię na badanie lekarskie. Zadzwoń natychmiast!".

Na tych piętnaście sekund wszyscy wstrzymali oddech, a gdy reklama dobiegła końca, nikt się nie odzywał. Dla Claya był to szczególnie okropny moment, ponieważ właśnie przypuścił gwałtowny i potencjalnie rujnujący atak na gigantyczną korporację, która bez wątpienia zareaguje z całą zawziętością. A jeśli Max Pace pomylił się co do tego leku? A jeśli wykorzystywał Claya jako pionka w szachowej rozgrywce wielkich korporacji? A jeśli Clay nie zdoła dowieść przy pomocy specjalistów, że ten lek powoduje guzy? Zmagał się z tymi pytaniami od kilku tygodni i setki razy wypytywał Pace'a. Dwa razy się ścięli, a przy kilku okazjach doszło do ostrej wymiany zdań. W końcu

Max wręczył mu wykradzione, a w każdym razie nieuczciwie zdobyte wyniki badań nad skutkami zażywania dyloftu. Clay zlecił ich analizę koledze z korporacji studenckiej z Uniwersytetu Georgetown, który teraz był lekarzem w Baltimore. Wyniki badań wyglądały na rzetelne i złowieszcze.

Clay ostatecznie przekonał się, że ma rację, a producent leku się myli. Jednak oglądając ogłoszenie i wzdrygając się na myśl o sformułowanych w nim oskarżeniach, poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

– Dość paskudne – rzekł Rodney, który wcześniej widział je na wideo z dziesięć razy. W telewizji robiło jednak znacznie mocniejsze wrażenie. Ludzie z East Media zapewniali, że każde ogłoszenie obejrzy szesnaście procent widzów na lokalnych rynkach. Ogłoszenia miały być emitowane co drugą dobę przez dziesięć dni na dziewięćdziesięciu rynkach w całym kraju. Szacunkowa liczba potencjalnych widzów wynosiła osiemdziesiąt milionów.

– To zadziała – zapewnił Clay, jak zawsze grający pierwsze skrzypce.

Przez pierwszą godzinę ogłoszenie puszczano w stacjach telewizyjnych na trzydziestu rynkach Wschodniego Wybrzeża, po czym jego emisję rozszerzono na osiemnaście rynków w strefie czasu środkowoamerykańskiego. Po czterech godzinach od rozpoczęcia emisji ogłoszenia dotarły na Zachodnie Wybrzeże i trafiły na czterdzieści dwa rynki. Niewielka kancelaria Claya wydała pierwszego wieczoru ponad czterysta tysięcy dolarów na ogólnokrajową reklamę.

Bezpłatny numer telefonu kierował dzwoniących do Obozu Pracy, takim przydomkiem opatrzono polującą na klientów filię Kancelarii Prawniczej J. Claya Cartera II. Sześciu nowych asystentów odbierało tam telefony, wypełniało formularze, zadawało przygotowane wcześniej pytania, odsyłało dzwoniących do strony internetowej i obiecywało, że jeden z firmowych adwokatów odpowie na ich telefon. Po niespełna dwóch godzinach od emisji pierwszych ogłoszeń wszystkie linie były zajęte. Komputer rejestrował numery osób, które nie mogły się dodzwonić. Generowany komputerowo komunikat odsyłał ich do strony internetowej.

Nazajutrz rano do Claya zadzwonił adwokat z dużej kancelarii przy tej samej ulicy. Reprezentował Ackerman Labs i domagał się natychmiastowego zaprzestania emisji ogłoszeń. Był napuszony, mówił protekcjonalnym tonem i groził wszelkiego rodzaju działaniami prawnymi, jeżeli Clay natychmiast się nie ugnie. Padały coraz ostrzejsze słowa, po czym rozmówca Cartera trochę się uspokoił.

– Będzie pan w swoim biurze przez kilka najbliższych minut? – zapytał Clay.

– Tak, oczywiście. Dlaczego pan pyta?

– Mam dla pana przesyłkę. Poślę swojego gońca. Za pięć minut powinien być u pana.

Rodney, wspomniany goniec, pospiesznie ruszył ulicą z kopią dwudziestodwustronicowego pozwu. Clay wyszedł do sądu, by złożyć oryginał. Zgodnie ze wskazówkami

Pace'a kopie przesyłano również faksem do redakcji „Washington Post", „Wall Street Journal" i „New York Timesa".

Pace dał także do zrozumienia, że krótka sprzedaż akcji firmy Ackerman Labs byłaby sprytnym posunięciem. Na zamknięciu piątkowej sesji miały one wartość czterdziestu dwóch i pół dolara. Gdy w poniedziałek rano otwarto giełdę, Clay złożył zlecenie sprzedaży stu tysięcy akcji. Odkupiłby je za kilka dni, przy odrobinie szczęścia po trzydzieści dolarów za sztukę, i zgarnął kolejny milion dolców. Taki miał w każdym razie plan.

* * *

Gdy wrócił, w jego biurze trwała gorączkowa praca. Z Obozu Pracy w Manassas można było się połączyć pod sześcioma bezpłatnymi numerami. W godzinach urzędowania, gdy wszystkie sześć linii było zajętych, telefony przekierowywano do centrali przy Connecticut Avenue. Rodney, Paulette i Jonah rozmawiali z osobami zażywającymi dyloft w całej Ameryce Północnej.

– Powinien pan to obejrzeć – powiedziała panna Glick. Na różowym świstku papieru widniało nazwisko jakiegoś reportera z „Wall Street Journal". – A w pańskim gabinecie czeka pan Pace.

Max trzymał w ręku filiżankę kawy i stał przy oknie.

– Pozew wniesiony – oznajmił Clay. – Wsadziliśmy kij w mrowisko.

– Ciesz się tą chwilą.

– Dzwonili już ich prawnicy. Posłałem im kopię pozwu.

– Dobrze. Oni już konają. Właśnie wpadli w zasadzkę i wiedzą, że zostaną dorżnięci. To marzenie każdego prawnika, Clay, wykorzystaj to do maksimum.

– Usiądź. Mam pytanie.

Pace, jak zawsze ubrany na czarno, opadł na fotel i założył nogę na nogę. Wyglądało na to, że jego kowbojki zostały zrobione ze skóry grzechotnika.

– Gdyby Ackerman Labs zatrudniły cię teraz, co byś zrobił? – zapytał Carter.

– Decyduje socjotechnika informacyjna. Wypuściłbym komunikaty prasowe, wszystkiemu bym zaprzeczył i zrzucił winę na zachłannych adwokatów. Broniłbym swojego leku. Początkowy cel, gdy wybucha bomba i opada kurz, to obrona ceny akcji. Na otwarciu kosztowały czterdzieści dwa i pół dolara, czyli bardzo mało, już spadły do trzydziestu trzech. Ściągnąłbym dyrektora generalnego do telewizji, żeby powiedział wszystko, co trzeba. Załatwiłbym PR-owców do klecenia propagandy, prawników do przygotowania spójnej obrony i specjalistów od sprzedaży, żeby zapewnili medyków, że lek jest w porządku.

– Przecież nie jest.

– Tym martwiłbym się później. Przez pierwszych kilka dni chodzi o socjotechnikę,

przynajmniej na zewnątrz. Jeżeli inwestorzy uznają, że z tym lekiem coś jest nie tak, uciekną ze statku i notowania akcji nadal będą spadać. Z chwilą podjęcia błyskawicznych działań odbyłbym poważną rozmowę z grubymi rybami. Dowiedziawszy się, że z lekiem są problemy, sprowadziłbym księgowych i ustalił, ile będzie kosztowała ugoda. Z trefnym lekiem nie idzie się do sądu. Każda ława przysięgłych może sama określić wysokość odszkodowania, a wówczas nie sposób ograniczyć koszty. Przysięgli w jednym stanie dają powodowi milion dolców, a przysięgli w innym dostają szału i przyznają dwadzieścia milionów odszkodowania za straty moralne. To loteria, więc idziesz na ugodę. Jak już wiesz, specjaliści od pozwów zbiorowych zgarniają procent z całej sumy odszkodowania, łatwo więc zawrzeć z nimi ugodę.

– Na ile stać właścicieli Ackerman Labs?

– Są ubezpieczeni na co najmniej trzysta milionów. W dodatku mają blisko pół miliarda w gotówce, głównie ze sprzedaży dyloftu. W banku wykorzystali kredyt prawie do maksimum, ale gdybym toja dyktował warunki, zaplanowałbym wypłacenie jednego miliarda. I zrobiłbym to szybko.

– A czy Ackerman Labs zrobią to szybko?

– Ich szefowie mnie nie wynajęli, więc nie są zbyt rozgarnięci. Obserwuję tę firmę od dawna i muszę powiedzieć, że nie są szczególnie bystrzy. Podobnie jak wszystkich producentów leków, przeraża ich myśl o sporze sądowym. Zamiast posłużyć się strażakiem takim jak ja, robią to w tradycyjny sposób: zdają się na swoich prawników, którzy oczywiście nie mają interesu w szybkim zawarciu ugody. Główną kancelarią adwokacką na ich usługach jest nowojorska Walker-Stearns. Wkrótce się z tobą skontaktuje.

– Więc nie będzie szybkiej ugody?

– Złożyłeś pozew niespełna godzinę temu, wyluzuj.

– Wiem, ale właśnie przepuszczam forsę, którą dopiero co mi dałeś.

– Nie przejmuj się. Za niecały rok będziesz jeszcze bogatszy.

– Za rok?

– Tak sądzę. Najpierw muszą się dorobić ich prawnicy. Walker-Stearns przydzieli do tej sprawy pięćdziesięciu wspólników, a liczniki będą pracowały na pełnych obrotach. Pozew zbiorowy w sprawie Worleya jest wart dla prawników Ackerman Labs sto milionów dolców. Nie zapominaj o tym.

– Dlaczego po prostu nie zapłacą mi stu milionów, żebym sobie poszedł?

– Teraz myślisz jak prawdziwy spec od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych. Zapłacą ci jeszcze więcej, ale najpierw muszą zapłacić swoim prawnikom. Tak to działa.

– Ale ty zrobiłbyś to inaczej?

– Oczywiście. W przypadku tarvanu klient powiedział mi prawdę, co nie zdarza się często. Odrobiłem pracę domową, znalazłem ciebie i załatwiłem wszystko po cichu, szybko i tanio. Pięćdziesiąt milionów i ani centa dla prawników mojego zleceniodawcy.

W drzwiach stanęła panna Glick i powiedziała:

– Znowu dzwoni ten reporter z „Wall Street Journal”. – Clay spojrzał na Pace’a, który rzekł:

– Zbajeruj go. I pamiętaj, że druga strona ma cały zespół PR-owców preparujących informacje dla mediów.

* * *

Nazajutrz rano „Times” i „Post” zamieściły krótkie artykuły o pozwie zbiorowym w sprawie dyloftu na pierwszych stronach działów gospodarczych. W obu wymieniono nazwisko Claya. Wywołało to u niego dreszcz zadowolenia, którym skrycie się delektował. Więcej miejsca poświęcono reakcjom pozwanej firmy. Jej dyrektor generalny nazwał roszczenie „niepoważnym”, „kolejnym przykładem nadużywania sporu sądowego przez prawników”. Wiceprezes do spraw badań stwierdził, że „dyloft został gruntownie przetestowany i nic nie wskazywało na szkodliwe działania uboczne”. Obie gazety odnotowały, że akcje Ackerman Labs, których cena spadła w trzech wcześniejszych kwartałach o pięćdziesiąt procent, otrzymały kolejny cios w postaci niespodziewanego pozwu.

„Wall Street Journal” przedstawił sytuację właściwie, przynajmniej w opinii Claya. Na wstępie reporter zapytał go, ile ma lat. „Tylko trzydzieści jeden?” – zdziwił się, co doprowadziło do serii pytań o doświadczenie Cartera, jego kancelarię i tym podobne sprawy. Starcie Dawida z Goliatem to znacznie ciekawsza lektura niż suche dane finansowe lub raporty z laboratorium, i historia zaczęła żyć własnym życiem. Niezwłocznie przysłano fotografa i gdy Clay pozował do zdjęcia, personel jego kancelarii przyglądał się temu bardzo rozbawiony.

Na pierwszej stronie, w lewej kolumnie, nagłówek głosił: NOWICJUSZ STAJE DO WALKI Z POTĘŻNYMI ACKERMAN LABS. Obok widniała przetworzona komputerowo karykatura uśmiechniętego Claya Cartera. Pierwszy akapit brzmiał: *Niespełna dwa miesiące temu waszyngtoński prawnik Clay Carter borykał się z miejskim systemem sprawiedliwości jako nieznany i nisko opłacany obrońca z urzędu. Wczoraj, jako właściciel kancelarii prawniczej, złożył pozew o odszkodowanie wysokości miliarda dolarów dotyczące trzeciej pod względem wielkości spółki farmaceutycznej, twierdząc, że jej najnowszy cudowny lek dyloft nie tylko łagodzi ostry ból u osób cierpiących na artretyzm, ale wywołuje również guzy w ich pęcherzu moczowym*.

Artykuł był pełen pytań o to, jakim cudem Clay tak szybko dokonał tak radykalnej przemiany. A ponieważ Carter nie mógł wspomnieć o tarvanie ani o niczym, co się z nim wiązało, wspomniał ogólnikowo o szybkich ugodach w paru sprawach z udziałem osób, które poznał jako obrońca z urzędu. Ludziom z Ackerman Labs dostało się trochę za typowe pozerstwo w kwestii pieniactwa i adwokatów rujnujących gospodarkę, lecz

większa część artykułu dotyczyła Claya i jego niezwykłego awansu na pierwszą linię sporów prawnych o zbiorowe roszczenia odszkodowawcze. Napisano miłe rzeczy o jego ojcu, „legendarnym uczestniku waszyngtońskich procesów", który tymczasem „wycofał się" na Bahamy.

Glenda z BOP-u chwaliła Claya jako „żarliwego obrońcę biedoty" i ta pochlebna uwaga miała jej zapewnić darmowy lunch w drogiej restauracji. Prezes Krajowej Akademii Adwokatów przyznał, że nigdy nie słyszał o Clayu Carterze, ale i tak jest „pod wrażeniem jego pracy".

Profesor prawa z Yale ubolewał nad „jeszcze jednym przykładem nadużywania pozwów zbiorowych", podczas gdy jego kolega z Harvardu stwierdził, że to „doskonały przykład tego, jak pozwy zbiorowe powinny być wykorzystywane do ścigania korporacyjnych złoczyńców".

– Dopilnuj, żeby to trafiło na stronę internetową – powiedział Clay, wręczając artykuł Jonahowi. – Naszym klientom to się spodoba.

Rozdział 18

Teqiiila Watson przyznał się do zabicia Ramóna Pumphreya i dostał dożywocie. Za dwadzieścia lat ma prawo ubiegać się o zwolnienie warunkowe, choć o tym w artykule w „Post” nie wspomniano. Napisano natomiast, że jego ofiara była jedną z kilku osób zastrzelonych w serii zabójstw, które wydawały się przypadkowe nawet jak na miasto przywykłe do aktów bezsensownej przemocy. Policja nie zdołała tego wyjaśnić. Clay zanotował w pamięci, żeby zadzwonić do Adelfy i zapytać, jak jej się powodzi.

Był coś winien Tequili, ale nie miał pewności co. Nie wiedział też, jak wynagrodzić szkody swojemu eksklientowi. Wytłumaczył sobie, że Watson większość życia spędził na prochach i resztę prawdopodobnie i tak – z pomocą tarvanu czy bez – spędzi za kratkami. To jednak nie sprawiło, że Clay poczuł się prawym człowiekiem. Zwyczajnie się sprzedał. Wziął forsę i zataił prawdę.

Dwie strony dalej jego uwagę przykuł jeszcze jeden artykuł, i zapomniał o Tequili Watsonie. Na zdjęciu zrobionym na jakiejś budowie pod kaskiem z monogramem widniała pulchna twarz Bennetta Van Horna, który z innym mężczyzną, określonym mianem inżyniera projektu Grupy BVH, studiował plan budowy. Firma została wplątana w paskudną walkę o lokalizację osiedla w pobliżu pola bitwy pod Chancellorsville, blisko godzinę jazdy na południe od Waszyngtonu. Bennett, jak zawsze, proponował wzniesienie jednego ze swoich szkaradnych kompleksów domów wolno stojących, bloków z mieszkaniami własnościowymi, kamienic, sklepów, boisk, kortów tenisowych plus obowiązkowy staw – a wszystko to o niecałą milę od centrum pola bitwy i bardzo blisko miejsca, w którym generał Stonewall Jackson został zastrzelony przez konfederatów. Ekolodzy, prawnicy, historycy wojny oraz Stowarzyszenie Konfederatów dobyli mieczy i właśnie próbowali zniweczyć plany Bennetta Buldożera. Jak można się było spodziewać, „Post” chwalił te poczynania, nie pisząc dobrego słowa o Van Hornie. Jednak ziemia, o którą toczył się spór, była własnością podstarzałych farmerów i wyglądało na to, że przynajmniej na razie Bennett jest górą.

W artykule zabrakło opisów innych pól bitewnych w całej Wirginii, które zostały wybrukowane przez deweloperów. Na czele tego ruchu oporu stanął zespół o nazwie Civil War Trust. Jego prawnik został przedstawiony jako radykał, który nie bał się wszcząć sporu sądowego w celu ochrony historycznej spuścizny. „Jednak żeby się sądzić, potrzebujemy pieniędzy” – zacytowano jego wypowiedź.

Wystarczyły dwa telefony i Clay usłyszał jego głos w słuchawce aparatu. Rozma-

wiali pół godziny. Gdy Carter się rozłączył, wystawił czek na sto tysięcy dolarów dla Funduszu Procesowego Civil War Trust w Chancellorsville.

* * *

Gdy przechodził obok biurka panny Glick, wręczyła mu karteczkę z wiadomością telefoniczną. Clay spojrzał na zapisane na niej nazwisko dwa razy i nawet wystukując numer telefonu w sali konferencyjnej, odnosił się sceptycznie do treści wiadomości.

– Proszę z mecenasem Pattonem Frenchem – powiedział do słuchawki. Zgodnie z zapisem na karteczce sprawa była pilna.

– A kto dzwoni?

– Clay Carter z Waszyngtonu.

– A tak, pan French czeka na pański telefon.

Trudno było sobie wyobrazić, że tak wpływowy i zapracowany prawnik jak Patton French czeka na telefon Claya. Po kilku sekundach ten wielki człowiek powiedział do słuchawki:

– Dzień dobry, Clay, dzięki, że oddzwoniłeś. – Jego niedbały ton zaskoczył Claya. – Fajny artykuł opublikowali w „Journal”, co? Nieźle jak na nowicjusza. Posłuchaj, przepraszam, że nie przywitałem cię, gdy byłeś w Nowym Orleanie. – Był to ten sam głos, który Clay słyszał podczas prelekcji, ale bardziej swobodny.

– Nie ma sprawy – odparł Carter. W spotkaniu Koła Adwokatów uczestniczyło dwustu prawników. Nie było powodu, by Clay spotykał się z Pattonem Frenchem ani nawet by French wiedział o obecności Claya. Najwyraźniej zebrał niezbędne informacje.

– Chciałbym się z tobą spotkać. Sądzę, że możemy zrobić wspólnie interes. Dwa miesiące temu byłem na tropie dyloftu. Ubiegłeś mnie, ale ta sprawa to kopalnia złota.

Clay nie miał ochoty na bliższą współpracę z Pattonem Frenchem. Z drugiej strony, jego metody wyciągania ogromnych odszkodowań od firm farmaceutycznych były wręcz legendarne.

– Możemy porozmawiać – powiedział.

– Słuchaj, wybieram się teraz do Nowego Jorku. A gdybym tak przyleciał do Waszyngtonu i zabrał cię ze sobą? Kupiłem nowego gulfstreama piątkę, którym chciałbym się pochwalić. Zatrzymamy się na Manhattanie i dziś wieczorem zjemy pyszną kolację. Pogadamy o interesach. Jutro wieczorem będziesz z powrotem w domu. Co ty na to?

– Cóż, jestem bardzo zajęty. – Clay doskonale pamiętał, jaką odrazę czuł, gdy French bez przerwy mówił o swoich zabawkach: o nowym gulfstreamie, o jachcie, o zamku w Szkocji.

– W to nie wątpię. Słuchaj, ja też jestem zajęty. Wszyscy mamy co robić, psiakrew. Ale to może być najbardziej intratna podróż, jaką odbędziesz w życiu. Nie przyjmuję odmowy do wiadomości. Spotkamy się za trzy godziny na lotnisku Reagana. Umowa

stoi?

Poza kilkoma rozmowami telefonicznymi i wieczorną grą w racquetball Clay miał niewiele do roboty. Do biura bez przerwy dzwonili przerażeni ludzie zażywający dyloft, ale Clay nie obsługiwał telefonów. W Nowym Jorku nie był od kilku lat.

– Pewnie, dlaczego nie? – powiedział, równie spragniony obejrzenia gulfstreama 5, jak i jedzenia we wspaniałej restauracji.

– Rozsądne posunięcie, Clay. Bardzo rozsądne.

Prywatny terminal na lotnisku Reagana był zapełniony udręczonymi dyrektorami i spieszącymi się biurokratami, którzy pojawiali się i znikali. Stojąca koło lady recepcji śliczna brunetka w krótkiej spódniczce trzymała dużą kartkę z jego nazwiskiem. Clay przedstawił się jej. Miała na imię Julia, nazwisko nie padło.

– Proszę za mną – powiedziała z pięknym uśmiechem. Pozwolono im wyjść i zawieziono lotniskowym mikrobusem na drugi koniec płyty postojowej. Dziesiątki learów, falconów, hawkerów, challengerów i citationów albo stały, albo kołowały do i od terminalu. Obsługa lotniska ostrożnie kierowała ruchem odrzutowców, których skrzydła mijały się o cale. Wyły silniki i cała ta sytuacja była dla Claya stresująca.

– Skąd pani pochodzi? – zapytał.

– Siedzibę mamy w Biloxi – odparła Julia. – Tam właśnie mieści się główne biuro pana Frencha.

– Parę tygodni temu słuchałem jego wystąpienia w Nowym Orleanie.

– Tak, byliśmy tam. Rzadko bywamy w domu.

– Szef spędza w pracy wiele godzin, prawda?

– Około stu tygodniowo.

Zatrzymali się obok największego odrzutowca na płycie.

– To nasz – powiedziała Julia i wysiedli z mikrobusu. Pilot wziął torbę podróżną Claya i zniknął z nią w samolocie.

Patton French oczywiście już był na pokładzie. Przywołał Claya ruchem ręki, a Julia wzięła jego kurtkę i zapytała, czego chce się napić. Wody z cytryną. Wrażenia z jego pierwszej wizyty na pokładzie prywatnego odrzutowca nie mogły być bardziej oszałamiające. Filmy, które oglądał w Nowym Orleanie, nie oddawały rzeczywistości.

Pachniało skórą, bardzo drogą skórą. Fotele, kanapy, zagłówki, panele, a nawet stoły były obite skórą w różnych odcieniach błękitu i jasnego brązu. Oprawy lamp, pokrętła i przełączniki gadżetów były pozłacane, a drewniane, przypuszczalnie zrobione z mahoniu listwy, ciemne i wypolerowane. Był to luksusowy apartament w pięciogwiazdkowym hotelu, tyle że ze skrzydłami i silnikami.

Clay miał równo sześć stóp wzrostu, ale nad jego głową było jeszcze sporo miejsca. Na końcu długiej kabiny odrzutowca mieściło się coś w rodzaju gabinetu. French siedział tam, rozmawiając przez telefon. Bar i kuchnia znajdowały się tuż za kokpitem.

Z kuchni wyłoniła się Julia, niosąc wodę dla Claya.

– Niech pan lepiej usiądzie. Zaraz będziemy kołowali – uprzedziła.

Gdy samolot ruszył, French szybko zakończył rozmowę i zaatakował Claya gwałtownym uściskiem dłoni, uśmiechem od ucha do ucha i kolejnymi przeprosinami za brak kontaktu w Nowym Orleanie. Był nieco ociężały, z lekką siwizną na gęstych falujących włosach, prawdopodobnie miał pięćdziesiąt kilka lat, ale jeszcze nie sześćdziesiąt. Ze wszystkich porów jego skóry i każdego oddechu emanowała energia.

Usiedli naprzeciwko siebie przy jednym ze stołów.

– Ładna fura, co? – French wskazał wnętrze samolotu ruchem lewej ręki.

– Bardzo ładna.

– Masz już odrzutowiec?

– Nie – odparł Clay i poczuł się podle. Co z niego za prawnik?

– To nie potrwa długo, chłopcze. Bez niego nie da się żyć. Julio, przynieś mi kieliszek wódki. To już mój czwarty… odrzutowiec, nie kieliszek. Żeby cztery odrzutowce latały, potrzeba dwunastu pilotów. I pięciu Julii. Śliczna z niej dziewczyna, co?

– Owszem.

– Duże koszty ogólne, ale z drugiej strony mnóstwo kasy do zgarnięcia. Słyszałeś moje wystąpienie w Nowym Orleanie?

– Tak, było interesujące. – Clay trochę skłamał. Choć French zachowywał się na podium okropnie, jego przemówienie było zajmujące i pouczające.

– Nie znoszę się rozwodzić na temat pieniędzy, ale grałem pod publiczkę. Większość tych gości w końcu przyniesie mi dużą sprawę o odszkodowanie. Trzeba ich podkręcać. Stworzyłem najbardziej poszukiwaną kancelarię od spraw zbiorowych roszczeń odszkodowawczych w Ameryce i ścigamy tylko grube ryby. Gdy pozywa się firmy takie jak Ackerman Labs i dowolną z rankingu pięciuset największych firm z listy magazynu „Fortune”, trzeba mieć trochę amunicji, trochę siły. One mają niewyczerpane zasoby gotówki. Próbuję po prostu wyrównać szanse.

Julia przyniosła Frenchowi wódkę i zapięła pasy przed startem.

– Masz ochotę na lunch? – zapytał French. – Ona potrafi ugotować wszystko.

– Dziękuję. Nie jestem głodny.

French upił spory łyk wódki, po czym usiadł wygodnie, zamknął oczy i wyglądał, jakby się modlił, gdy gulfstream pędził po pasie startowym i odrywał się od ziemi. Clay wykorzystał przerwę w rozmowie, by podziwiać ten luksusowy i wykonany z taką dbałością o szczegóły samolot. Uznał, że to niemal nieprzyzwoite: czterdzieści, czterdzieści pięć milionów dolarów za prywatny odrzutowiec! Zgodnie z plotką rozpuszczoną wśród członków Koła Adwokatów firma Gulfstream nie mogła nadążyć z ich produkcją. Miała dwuletnie zaległości w realizacji zamówień!

Zanim wyrównali lot, minęło kilka minut i wtedy Julia zniknęła w kuchni. French ocknął się z zamyślenia i wypił łyk wódki.

– Czy wszystkie informacje w „Journal” są prawdziwe? – zapytał, teraz już znacznie

spokojniejszy. Clay odniósł wrażenie, że zmiany nastroju u Frencha są szybkie i radykalne.

– Fakty się zgadzają.

– Dwa razy pisali o mnie na pierwszej stronie, nigdy pozytywnie. Nic dziwnego, że nas, speców od zbiorowych roszczeń, nie darzy się sympatią. Nikt nas nie lubi, przekonasz się o tym. Jednak pieniądze łagodzą negatywny wizerunek. Przywykniesz. Wszyscy przywykamy. Kiedyś poznałem twojego ojca. – Mówiąc to, miał zmrużone i rozbiegane oczy, jakby myślał trzy zdania naprzód.

– Naprawdę? – Clay nie był pewny, czy French uwierzył w jego zdziwienie.

– Dwadzieścia lat temu pracowałem w Departamencie Sprawiedliwości. Toczyliśmy spór prawny o ziemie Indian. Indianie sprowadzili Jarretta Cartera z Waszyngtonu i wojna dobiegła końca. Był doskonały.

– Dziękuję – rzekł Clay dumny jak paw.

– Muszę przyznać, że ta twoja zasadzka na producenta dyloftu to piękny numer. I niezwykły. W większości przypadków wieść o szkodliwym leku rozchodzi się powoli, w miarę napływania kolejnych skarg pacjentów. Lekarze piekielnie wolno udzielają informacji. Są w zmowie z firmami farmaceutycznymi, nie mają więc motywacji, by wszczynać alarm. W dodatku w większości jurysdykcji pozywa się lekarzy, bo to oni przepisali lek. Powoli włączają się w to prawnicy. Gdy w moczu stryja Luke'a nagle bez powodu pojawi się krew, po mniej więcej miesiącu gapienia się w muszlę stryj pójdzie do swojego lekarza w Podunk w Luizjanie. I lekarz w końcu przestanie go leczyć cudownym lekiem, który sam przepisał. Stryj Luke może się zwrócić do rodzinnego prawnika, zazwyczaj przeciętnego zjadacza chleba, który prowadzi sprawy testamentowe, rozwodowe i w większości przypadków nie rozpoznałby porządnego deliktu, gdyby taka sprawa trafiła na jego biurko. Do wykrycia tych szkodliwych leków potrzeba czasu. To, co zrobiłeś, jest rzadkością.

Clay zadowalał się kiwaniem głową i słuchaniem, a French gadaniem. Wyraźnie do czegoś zmierzał.

– Z czego wnioskuję, że masz jakieś poufne informacje.

– Pauza, krótka przerwa, podczas której Clay miał szansę potwierdzić, iż rzeczywiście otrzymał poufne informacje. Nie pokazał jednak tego po sobie. – Mam rozległą sieć prawników i kontaktów w całym kraju. Do niedawna nikt, ani jeden z nich, nie słyszał o problemach z dyloftem. W mojej kancelarii pracuje dwóch prawników, którzy robią wstępne opracowania na temat tego leku, ale stąd do złożenia pozwu droga daleka. I nagle widzę na pierwszej stronie „Wall Street Journal" wiadomość o zastawionej przez ciebie pułapce i twoją uśmiechniętą twarz. Wiem, jak się prowadzi taką grę i wiem też, że masz dane z pierwszej ręki.

– Owszem. I nigdy nikomu nie powiem skąd.

– Dobrze. To mi poprawia samopoczucie. Widziałem twoje ogłoszenia. Monitoruje-

my takie rzeczy na wszystkich rynkach. Niezłe. Tak naprawdę metoda piętnastosekundowych ogłoszeń, którą stosujesz, okazała się najbardziej skuteczna. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Mocne uderzenie późnym wieczorem i wcześnie rano. Szybki komunikat, żeby ich postraszyć, a potem numer telefonu, pod którym mogą uzyskać pomoc. Robiłem to setki razy. Ile spraw wygenerowaliście?

– Trudno powiedzieć. Muszą zrobić wstępne badanie moczu. Telefony nie przestają dzwonić.

– Moje ogłoszenia ruszają jutro. Mam w firmie sześciu ludzi, którzy pracują wyłącznie nad ogłoszeniami, potrafisz uwierzyć? Sześciu zatrudnionych w pełnym wymiarze godzin ludzi od ogłoszeń. I wcale nie są tani.

Julia pojawiła się z dwoma tacami z jedzeniem: jedną z krewetkami, a drugą z serami i rozmaitymi mięsami – włoską szynką, salami i kilkoma innymi, których Clay nie umiał nazwać.

– Butelkę tego białego z Chile – rzekł Patton. – Powinno już być schłodzone. – Lubisz wino? – zapytał, chwytając krewetkę za ogon.

– Niektóre. Nie jestem znawcą.

– Ja uwielbiam. Trzymam tutaj sto butelek. – Kolejna krewetka. – W każdym razie sądzimy, że spraw dyloftu jest od pięćdziesięciu do stu tysięcy. Twoim zdaniem to dobre przybliżenie?

– Sto jest chyba górną granicą – odparł ostrożnie Clay.

– Obawiam się trochę działań Ackerman Labs. Wiesz, że pozwałem ich wcześniej dwa razy?

– Nie wiedziałem.

– Dziesięć lat temu, gdy mieli mnóstwo gotówki. Przeżyli rządy paru fatalnych dyrektorów generalnych, którzy dokonali nietrafionych przejęć. Teraz są zadłużeni na dziesięć miliardów. Skutki własnej głupoty. Typowej dla lat dziewięćdziesiątych. Banki wciskały forsę czołowym przedsiębiorstwom, które próbowały kupić za nią cały świat. Tak czy owak, Ackerman Labs nie są zagrożone bankructwem czy czymś podobnym. I są ubezpieczone. – French chciał wybadać Claya i ten postanowił chwycić przynętę.

– Są ubezpieczeni na co najmniej trzysta milionów – wyjaśnił. – I mają chyba pół miliona do wydania na dyloft.

French się uśmiechnął i niemal oblizał, usłyszawszy tę wiadomość. Nie potrafił i nie próbował ukryć podziwu.

– Wspaniale, chłopcze, cudownie. Ile warte są brudy, do których dotarłeś?

– Bezcenne. Mamy informatorów, którzy puszczą farbę, oraz raporty laboratoryjne, których nie powinniśmy mieć. Ackerman Labs nie mogą w tej sprawie pójść do sądu.

– Fantastycznie – sapnął French, zamykając oczy i chłonąc słowa Claya. Przymierający głodem prawnik, któremu trafiła się pierwsza porządna katastrofa samochodowa,

nie mógł być szczęśliwszy.

Julia wróciła z winem, którym napełniła dwa bardzo drogie kieliszki. French powąchał wino i ocenił bukiet, a gdy ocena wypadła zadowalająco, wypił łyk. Cmoknął i skinął głową, po czym pochylił się, by nadal plotkować.

– Przyłapanie dużej, bogatej i dumnej korporacji na robieniu świństw wywołuje dreszcz emocji silniejszy niż seks, Clay, silniejszy niż seks. To największe emocje, jakich doświadczyłem. Przyłapujesz chciwych drani wytwarzających produkty, które szkodzą niewinnym ludziom, i ty, prawnik, wymierzasz im karę. Po to właśnie żyję. Zarobek jest rewelacyjny, to oczywiste, ale od forsy ważniejsze jest, że ich dorwałem. I nigdy nie przestanę, niezależnie od tego, jak dużo zarabiam. Ludzie myślą, że jestem zachłanny, bo mógłbym rzucić pracę i przez resztę życia mieszkać na plaży. Nuda! Wolę pracować po sto godzin tygodniowo, próbując przyłapać wielkich oszustów. To moje życie.

W tym momencie zapał Frencha stał się zaraźliwy. Jego twarz promieniała fanatyzmem. Odetchnął ciężko, po czym zapytał:

– Smakuje ci to wino?

– Nie, ma smak nafty – odparł Clay.

– Masz rację. Julio! Wylej to do zlewu! I przynieś nam butelkę tego meursaulta, którego kupiliśmy wczoraj.

Najpierw jednak Julia przyniosła telefon.

– To Muriel.

French wziął słuchawkę i rzucił:

– Cześć.

Julia pochyliła się i niemal szeptem wyjaśniła:

– Muriel jest kierowniczką biura, matką przełożoną. Dodzwania się nawet wtedy, gdy żona nie może tego zrobić.

French zamknął z trzaskiem aparat i powiedział:

– Pozwól, że zaprezentuję ci pewien scenariusz. I zapewniam, że dzięki niemu zarobisz więcej pieniędzy w krótszym czasie. O wiele więcej.

– Zamieniam się w słuch.

– Zdobędę tylu klientów co ty. Teraz, gdy otworzyłeś drzwi, zabiegać o nich będą setki prawników. My, ty i ja, możemy kontrolować ten spór prawny, jeżeli przeniesiemy pozew z Waszyngtonu na moje podwórko w Missisipi. To wystraszy szefów Ackerman Labs bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Teraz się niepokoją, bo przyparłeś ich do muru w Waszyngtonie, ale myślą tak: Cóż, to tylko nowicjusz, nigdy nie prowadził sprawy zbiorowych roszczeń odszkodowawczych, to jego pierwszy taki pozew, i tak dalej. Jeżeli jednak połączymy twoich klientów z moimi, zrobimy ze wszystkiego jeden pozew zbiorowy i przeniesiemy go do Missisipi, wtedy Ackerman Labs dostaną wielkiego, rozległego zawału korporacyjnego.

Clayowi kręciło się w głowie od wątpliwości i pytań.

– Mów dalej – to wszystko, na co się zdobył w odpowiedzi.

– Ty zachowujesz swoich klientów, ja swoich. Grupujemy ich razem, a gdy podpisane zostaną umowy z innymi poszkodowanymi i dołączą do nas inni prawnicy, pójdę do sędziego i poproszę, by wyznaczył komisję nadzorującą. Zawsze tak robią. Będę jej przewodniczącym. Ty znajdziesz się w komisji, bo złożyłeś pierwszy pozew. Będziemy monitorowali sprawę, próbowali wszystko porządkować, chociaż ze zgrają aroganckich prawników jest to piekielnie trudne. Robiłem to dziesiątki razy. Komisja daje nam narzędzia kontroli. Wkrótce rozpoczniemy negocjacje z Ackerman Labs. Znam ich prawników. Jeżeli twoje poufne informacje są tak wartościowe, jak twierdzisz, przemy do szybkiej ugody.

– Jak szybkiej?

– To zależy od kilku czynników. Ilu tak naprawdę jest potencjalnych klientów? Jak szybko możemy podpisać z nimi umowy? Ilu innych prawników ruszy do boju? I, bardzo istotny: jak poważne są szkody poniesione przez naszych klientów?

– Niezbyt poważne. Praktycznie wszystkie guzy są łagodne.

French przyjął to do wiadomości, najpierw się krzywiąc, a potem szybko dostrzegając pozytywy.

– To nawet lepiej. Leczenie polega na cystoskopii?

– Zgadza się. Zabiegu laboratoryjnym, który można zrobić za mniej więcej tysiąc dolarów.

– A rokowania na dłuższą metę?

– Bardzo dobre. Odstawić dyloft, a życie wróci do normy, co dla niektórych artretyków nie jest przyjemną perspektywą.

French powąchał wino, zamieszał je w kieliszku i w końcu wypił łyk.

– Znacznie lepsze, nie sądzisz?

– Owszem.

– W zeszłym roku degustowałem wina podczas podróży po Burgundii. Spędziłem tydzień, wąchając je i wypluwając. Bardzo przyjemne zajęcie. – Kolejny łyk towarzyszący rozważaniu i hierarchizacji następnych myśli, bez wypluwania. – To nawet lepiej – stwierdził. – Lepiej dla naszych klientów, rzecz jasna, ponieważ są zdrowsi, niż mogliby być. Lepiej dla nas, ponieważ szybciej dojdzie do ugody. Kluczem jest zdobycie klientów. Im więcej ich pozyskamy, tym większą będziemy mieli kontrolę nad pozwem zbiorowym. Więcej klientów, większe honoraria.

– Rozumiem.

– Ile wydajesz na ogłoszenia?

– Parę milionów.

– Nieźle, całkiem nieźle. – French miał ochotę zapytać, skąd taki debiutant wytrzasnął dwa miliony dolarów na ogłoszenia, ale się powstrzymał.

Gdy dziób samolotu lekko opadł, nastąpiło dostrzegalne zmniejszenie ciągu.

– Jak długo trwa lot do Nowego Jorku? – zapytał Clay.

– Z Waszyngtonu około czterdziestu minut. Ta maszyna wyciąga sześćset mil na godzinę.

– Na które lotnisko?

– Teterboro, to w New Jersey. Lądują tam wszystkie prywatne odrzutowce.

– Więc dlatego o nim nie słyszałem.

– Twój odrzutowiec jest już w drodze, przygotuj się na to. Mógłbym stracić wszystkie zabawki, byle zostawiono mi odrzutowiec. Musisz sobie taki sprawić.

– Po prostu będę korzystał z twojego.

– Zacznij od małego leara. Można je kupić w każdej chwili za parę milionów. Potrzebujesz dwóch pilotów, każdy kosztuje siedemdziesiąt pięć tysięcy. To tylko część kosztów ogólnych. Musisz go mieć. Przekonasz się.

Clay po raz pierwszy w życiu słuchał rady w sprawie odrzutowca.

Julia zabrała tace zjedzeniem i uprzedziła, że za pięć minut będą lądowali. Claya zauroczył widok Manhattanu na tle nieba na wschodzie. French zasnął.

Wylądowali i kołowali obok rzędu terminali, gdzie parkowały lub były serwisowane dziesiątki pięknych odrzutowców.

– Zobaczysz tutaj więcej prywatnych odrzutowców niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie – wyjaśnił French, gdy wyglądali przez okna. – Tutaj parkują swoje samoloty wszystkie szychy z Manhattanu. Do miasta jedzie się stąd trzy kwadranse. Jeżeli naprawdę się spieszysz, to zawiezie cię własny helikopter. To trwa tylko dziesięć minut.

– Mamy helikopter? – zapytał Clay.

– Nie. Jednak gdybym tu mieszkał, tobym go miał.

Limuzyna zabrała ich z płyty postojowej, zaledwie kilka stóp od miejsca, w którym wysiedli z samolotu. Piloci i Julia zostali na pokładzie, żeby posprzątać i dopilnować, by wino było odpowiednio schłodzone przed następnym lotem.

– Do Peninsuli – polecił French.

– Tak jest, panie French – odparł szofer. Czy limuzyna została wynajęta, czy jest własnością Pattona? Największy na świecie specjalista od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych z pewnością nie korzystałby z usług wypożyczalni. Clay postanowił nie zwracać na to uwagi. Jakie to ma znaczenie?

– Interesują mnie ogłoszenia – rzekł French, gdy przemieszczali się w ulicznych korkach New Jersey. – Kiedy zaczęliście emisję?

– W niedzielę wieczorem, na dziewięćdziesięciu rynkach w całym kraju.

– Jak rozpatrujecie zgłoszenia?

– Dziewięć osób obsługuje telefony… siedmiu asystentów prawnych i dwoje prawników. W poniedziałek otrzymaliśmy dwa tysiące telefonów, wczoraj trzy. Nasza strona internetowa rejestruje codziennie osiem tysięcy wejść. Zakładając normalny współczyn-

nik trafień, mamy około tysiąca klientów.

– Jak duża jest pula?

– Według mojego źródła, którego przewidywania były dotychczas dość dokładne, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu tysięcy.

– Chciałbym się z nim spotkać.

– Wykluczone.

French zaczął wyłamywać sobie palce i starał się pogodzić z odmową.

– Musimy zdobyć tych klientów. Moje ogłoszenia ruszają od jutra. Może podzielimy kraj? Ty weź północ i wschód, mnie zostaw południe i zachód. Łatwiej będzie kierować je do mniejszych rynków i znacznie prościej obsługiwać klientów. W Miami jest gość, który za parę dni wystąpi w telewizji. I jeden w Kalifornii, który… zapewniam cię… kopiuje w tej chwili wasze ogłoszenia. Jesteśmy rekinami, zgoda, zwykłymi sępami. Trwa wyścig do sądu, Clay. Mamy ogromną przewagę na starcie, ale inni zaraz rzucą się w pogoń.

– Robię, co mogę.

– Jaki masz budżet? – zapytał French, jakby on i Clay od lat prowadzili razem interesy.

A niech tam, pomyślał Clay. Siedząc razem w limuzynie, z pewnością wyglądają na wspólników.

– Dwa miliony na ogłoszenia, kolejne dwa na badania moczu.

– Zrobimy tak – rzekł French bez najmniejszej pauzy w rozmowie – wydaj całą swoją forsę na ogłoszenia. Zdobądź tych cholernych klientów! Ja wyłożę kasę na wszystkie badania moczu, a gdy zawrzemy ugodę z Ackerman Labs, skłonimy ich do zwrotu kosztów. To normalna część każdej ugody, że pozwana firma zmuszona jest pokryć wydatki na wszystkie badania.

– Każdy test kosztuje trzysta dolarów.

– Dajecie się rolować. Zbiorę grupę laborantów i zrobimy to o wiele taniej. – To przypomniało Frenchowi pewną historię o początkowym etapie sporu prawnego o Chudego Bena. Przerobił cztery autobusy Greyhounda na ruchome kliniki i błyskawicznie przemierzył cały kraj, robiąc potencjalnym klientom badania przesiewowe. Gdy przejeżdżali mostem Jerzego Waszyngtona, Clay słuchał Pattona z coraz mniejszym zainteresowaniem. Potem rozpoczęła się następna opowieść.

Z apartamentu Claya w hotelu Peninsula roztaczał się widok na Piątą Aleję. Gdy zamknął się w nim na klucz z dala od Pattona Frencha, wziął telefon i zaczął szukać Maxa Pace’a.

Rozdział 19

Zastał go pod trzecim z wybieranych kolejno numerów telefonu komórkowego. W ostatnich tygodniach ten bezdomny człowiek coraz rzadziej bywał w Waszyngtonie. Z pewnością wyjechał gasić następny pożar, neutralizując groźbę kolejnego poważnego sporu prawnego, choć się do tego nie przyznał. Nie musiał. Clay znał go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że ma wzięcie jako strażak. Na rynku nie brakowało wadliwych produktów.

Carter był zaskoczony tym, jak pokrzepiająco wpłynął na niego głos Pace'a. Wyjaśnił mu, że jest w Nowym Jorku, z kim i dlaczego. Pierwsze słowa Pace'a przypieczętowały umowę z Frenchem:

– Znakomicie. Po prostu znakomicie.

– Znasz go?

– Wszyscy w tej branży znają Pattona Frencha – odparł Pace. – Nigdy nie musiałem z nim pertraktować, ale on jest legendą.

Clay przedstawił warunki zaproponowane przez Frencha. Pace szybko zorientował się w sytuacji, po czym zaczął wybiegać myślami w przyszłość.

– Jeżeli złożysz pozew w Biloxi, notowania akcji Ackerman Labs znowu ucierpią – tłumaczył. – Firma jest teraz pod ogromną presją… presją banków i akcjonariuszy. To znakomity pomysł, Clay. Zrób to!

– Dobra. Załatwione.

– I przeczytaj rano „New York Timesa". Będzie tam duży artykuł o dylofcie. Wyszedł na jaw pierwszy raport medyczny. Jest dla nich miażdżący.

– Świetnie.

Clay wyjął piwo z barku – za osiem dolarów, ale kto by się tym przejmował – i długo siedział przy oknie, obserwując gorączkowy ruch na Piątej Alei. Konieczność polegania na radach Maxa Pace'a nie poprawiała mu zbytnio samopoczucia, ale po prostu nie miał się do kogo zwrócić. Nikt, nawet jego ojciec, nigdy nie stanął przed takim wyborem.

– Weźmy twoich pięć tysięcy klientów i dołączmy ich do moich pięciu tysięcy – zaproponował French. – Wniesiemy nie dwa, lecz jeden pozew zbiorowy, a ja wyłożę około miliona na badania przesiewowe, gdy ty podwoisz liczbę planowanych ogłoszeń. Zgarniemy czterdzieści procent z góry, potem zwrot za wydatki i zbijemy majątek. Co ty na to, Clay?

W ubiegłym miesiącu Clay zarobił więcej pieniędzy, niż mu się kiedykolwiek śniło.

Teraz, gdy sytuacja wymykała się spod kontroli, miał wrażenie, że jeszcze szybciej je wydaje. Bądź odważny, powtarzał sobie, to wyjątkowa okazja. Bądź odważny, uderzaj szybko, ryzykuj, rzucaj kostką, a być może staniesz się nieprzyzwoicie bogaty. Drugi głos stale nalegał, żeby zwolnił, nie trwonił pieniędzy, by mieć na później.

Wcześniej przetransferował milion dolarów na konto za granicą, nie żeby je ukryć, ale żeby ochronić. Nie tknie ich w żadnych okolicznościach. Jeśli dokona złych wyborów i wszystko przepuści, nadal będzie miał forsę na życie na plaży. Wymknie się z miasta jak ojciec i nigdy nie wróci.

Ten milion na tajnym koncie stanowił ustępstwo z jego strony.

Próbował dodzwonić się do swojego biura, ale wszystkie linie były zajęte – dobry znak. Zadzwonił do Jonaha na komórkę.

– Zwariować można – rzekł znużony Jonah, siedząc przy biurku. – Totalny chaos.

– To dobrze.

– Może wrócisz i pomożesz?

– Jutro.

O dziewiętnastej trzydzieści dwie Clay włączył telewizor i znalazł swoje ogłoszenie na kanale kablówki. W Nowym Jorku nazwa dyloft brzmiała jeszcze bardziej złowieszczo.

* * *

Kolację zjedli w Montrachet – nie z uwagi na potrawy, które okazały się bardzo smaczne, ale na kartę win, grubszą niż we wszystkich innych nowojorskich restauracjach. French chciał skosztować do zamówionej cielęciny kilka czerwonych burgundów. Przyniesiono pięć butelek, z osobnym kieliszkiem do każdego wina. Na chleb i masło zostało niewiele miejsca.

Rozmawiając o zawartości każdej butelki, serwujący wino kelner i Patton przeszli na inny język. Cała ta procedura znudziła Claya. Wolałby piwo i hamburgera, choć w najbliższej przyszłości przewidywał gruntowną zmianę swoich upodobań.

Gdy wina zostały otwarte i oddychały, French powiedział:

– Dzwoniłem do mojego biura, ten prawnik z Miami rozpoczął już nadawanie swoich ogłoszeń w sprawie dyloftu. Zorganizował dwie przychodnie i robi tam pacjentom badania przesiewowe niczym w klinice weterynaryjnej. Nazywa się Carlos Hernandez i jest naprawdę dobry.

– Moi ludzie nie są w stanie odebrać wszystkich telefonów – przyznał Clay.

– Robimy to razem? – zapytał French.

– Zajmijmy się umową.

Na te słowa French błyskawicznie wyciągnął złożony dokument.

– Oto notatka w sprawie umowy – rzekł, wręczając ją Clayowi. – Stanowi podsumo-

wanie tego, o czym dotąd dyskutowaliśmy.

Carter przeczytał ją uważnie i podpisał. French, popijając wino, też to zrobił, i tak narodziła się ich spółka.

– Złóżmy jutro w Biloxi pozew zbiorowy – zaproponował French. – Zrobię to, gdy tylko dotrę do domu. Pracuje teraz nad nim dwóch moich prawników. Gdy zostanie wniesiony, możesz wycofać swój w Waszyngtonie. Znam radcę prawnego Ackerman Labs. Myślę, że mogę z nim pogadać. Jeżeli firma będzie negocjować bezpośrednio z nami i zrezygnuje z usług zewnętrznych doradców prawnych, może zaoszczędzić cholernie dużo kasy i dać ją nam. To znacznie przyspieszy bieg spraw. Jeżeli negocjacjami zajmą się prawnicy z zewnątrz, może nas to kosztować pół roku zmarnowanego czasu.

– Około stu milionów, zgadza się?

– Mniej więcej. Tyle moglibyśmy dostać. – W kieszeni Frencha zadźwięczał telefon i prawnik wyciągnął go błyskawicznie lewą ręką, bo w prawej trzymał kieliszek. – Przepraszam cię – rzucił do Claya.

Rozmawiał o dylofcie z innym prawnikiem, kimś z Teksasu, najwyraźniej dobrym znajomym, który mówił szybciej niż Patton French. Przekomarzali się uprzejmie, ale French był ostrożny. Gdy zamknął z trzaskiem telefon, mruknął:

– Niech to szlag!

– Jakiś konkurent?

– Poważny. Vic Brennan, wpływowy prawnik z Houston, bardzo inteligentny i agresywny. Wpadł na trop dyloftu, chce poznać plan gry.

– Nic z ciebie nie wyciągnął.

– Ale wie. Jutro wypuszcza ogłoszenia… w radiu, telewizji i gazetach. Zbierze kilka tysięcy poszkodowanych. – French pocieszył się na chwilę łykiem wina, po którym rozciągnął usta w uśmiechu. – Wyścig trwa. Musimy zdobyć tych klientów.

– Niebawem rozpęta się jeszcze większa burza – zauważył Clay.

French miał usta pełne pinot noir i nie mógł mówić. Jego twarz przybrała pytający wyraz.

– Jutro rano, po publikacji obszernego artykułu w „New York Timesie”. Według moich źródeł to pierwsze niepochlebne doniesienia prasowe na temat dyloftu.

Nie powinien był tego mówić podczas posiłku. French zapomniał o cielęcinie, którą przyrządzano w kuchni. Zapomniał również o drogich winach stojących na stoliku, chociaż zdołał je wypić w ciągu następnych trzech godzin. Który prawnik specjalizujący się w pozwach zbiorowych mógłby skupiać się na jedzeniu i piciu, gdy za kilka godzin „New York Times” zdemaskuje jego kolejnego pozwanego i ujawni prawdę o produkowanym przezeń niebezpiecznym leku?

* * *

Dzwonił telefon, za oknem wciąż było ciemno. Zegar, gdy Clay wreszcie zdołał skupić na nim wzrok, wskazywał za kwadrans szóstą.

– Wstawaj! – krzyknął French zza drzwi. – I otwórz. – Gdy Clay to zrobił, French przemaszerował obok niego z gazetami i filiżanką kawy. – Niewiarygodne! – powiedział, rzucając egzemplarz „Timesa” na łóżko. – Nie możesz spać cały dzień, chłopcze. Przeczytaj to! – French był w stroju hotelowym: wliczonym w cenę pokoju frotowym szlafroku i białych klapkach pod prysznic.

– Nie ma jeszcze szóstej.

– Od trzydziestu lat wstaję przed piątą. Za dużo mam spraw do poprowadzenia, żeby spać dłużej.

Clay miał na sobie tylko bokserki. French wypił łyk kawy i jeszcze raz przeczytał artykuł, zerkając przez okulary osadzone na czubku płaskiego nosa.

Żadnych oznak kaca. Clayowi znudziły się wina, które i tak smakowały jednakowo, i zakończył wieczór, pijąc wodę mineralną. French walczył dalej, zdecydowany ogłosić zwycięzcą jeden z pięciu burgundów, chociaż temat dyloftu tak go pochłonął, że nie miał do tego serca.

„Atlantic Journal of Medicine” donosił, że odkryto związek między dylofedamintem, nazywanym dyloftem, a pojawieniem się guzów w pęcherzu moczowym u około sześciu procent osób, które zażywały to lekarstwo przez rok.

– To o jeden procent więcej – zauważył Clay.

– Czyż to nie cudowne? – cieszył się French.

– Nie dla tych sześciu procent.

– Ja do nich nie należę.

Niektórzy lekarze wycofali już lek. Ackerman Labs złożyły niezbyt stanowcze dementi, obarczając winą, jak zawsze, chciwych adwokatów, choć wydawało się, że jej szefowie unikają kontaktów z mediami. FDA nie komentowała sprawy. Jakiś lekarz z Chicago rozwodził się w tekście na pół kolumny o tym, jak dobry jest ten lek, jak bardzo zadowoleni są z niego pacjenci. Dobrą wiadomością, o ile można tak to określić, było to, że guzy, przynajmniej na razie, wyglądały na niezłośliwe. Czytając artykuł, Clay miał wrażenie, że Max Pace widział go miesiąc wcześniej.

Tylko w jednym akapicie napisano o pozwie zbiorowym wniesionym w poniedziałek w Waszyngtonie, nie wspomniano o młodym prawniku, który go złożył.

Cena akcji Ackerman Labs spadła z czterdziestu dwóch i pół dolara w poniedziałek rano do trzydziestu dwóch i pół na zamknięciu sesji środowej.

– Powinienem był zagrać na zniżkę notowań tego cholerstwa – mruknął French. Clay ugryzł się w język i nie wyjawił swojego sekretu, jednego z nielicznych, jakie zachował w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Możemy go znowu przeczytać w samolocie – rzekł French. – Zbierajmy się stąd.

* * *

Gdy Clay wszedł do swojego biura i próbował się przywitać ze zmęczonymi pracownikami kancelarii, cena akcji wynosiła dwadzieścia osiem dolarów. Wszedł na stronę internetową z najnowszymi notowaniami giełdowymi i sprawdzał je co kwadrans, obliczając zyski. Widok pewnych zysków na jednym polu poprawiał samopoczucie zepsute strumieniem wydatków na drugim.

Pierwszy zajrzał do niego Jonah.

– Byliśmy tutaj do północy – oznajmił. – To szaleństwo.

– Niebawem będzie jeszcze gorzej. Podwajamy liczbę ogłoszeń telewizyjnych.

– Przecież już teraz nie nadążamy.

– Zatrudnij dorywczo paru asystentów prawnych.

– Potrzebujemy komputerowców, co najmniej dwóch. Zbyt wolno powiększamy bazę danych.

– Możesz ich znaleźć?

– Może paru, na jakiś czas. Znam jednego gościa, może dwóch, którzy mogliby przyjść w nocy i nadrobić zaległości.

– Ściągnij ich.

Jonah wyszedł już za próg, po czym zawrócił, zamknął drzwi i rzekł:

– Słuchaj, Clay, jesteśmy sami, zgadza się?

Clay rozejrzał się po gabinecie i nie widząc nikogo więcej, zapytał:

– O co chodzi?

– Cóż, jesteś bystrym gościem i w ogóle. Ale czy wiesz, co robisz? Chodzi mi o to, że wydajesz forsę szybciej niż kiedykolwiek przedtem. A jeśli coś pójdzie źle?

– Martwisz się?

– Wszyscy się trochę martwimy. Ta kancelaria zaczęła w znakomitym stylu. Chcemy tu zostać, mieć frajdę, zarabiać i tak dalej. Jeżeli jednak się mylisz i powinie ci się noga? To przecież uzasadnione pytanie.

Clay obszedł biurko i usiadł na jego rogu.

– Będę z tobą szczery. Myślę, że wiem, co robię, ale ponieważ nigdy wcześniej tego nie robiłem, pewności mieć nie mogę. To jedna wielka niewiadoma. Jeżeli wygram, wszyscy zarobimy sporo forsy. Jeżeli przegram, i tak pozostaniemy w branży. Po prostu nie będziemy bogaci.

– Jeżeli będziesz miał taką możliwość, powiedz to innym, dobrze?

– Powiem.

Lunch sprowadzał się do dziesięciominutowej przerwy na zjedzenie kanapek w sali konferencyjnej. Jonah miał najnowsze dane: przez pierwsze trzy dni obsługa infolinii odebrała siedem tysięcy sto telefonów, a na stronie internetowej rejestrowano średnio osiem tysięcy zapytań dziennie. Pakiety informacyjne i umowy na usługi prawne wysy-

łano pocztą jak najszybciej, mieli jednak zaległości. Clay upoważnił Jonaha do zatrudnienia w niepełnym wymiarze godzin dwóch informatyków. Paulette miała znaleźć trzech lub czterech dodatkowych asystentów prawnych i zatrudnić ich w Obozie Pracy. Pannie Glick polecono natomiast, by najęła tymczasowo tylu kancelistów, ilu wymaga prowadzenie korespondencji z klientami.

Clay opowiedział swoim pracownikom o spotkaniu z Pattonem Frenchem i opisał nową strategię. Pokazał im kopię artykułu w „Timesie", ale byli zbyt zajęci, by uważnie go słuchać.

– Wyścig trwa, moi drodzy – oznajmił, próbując ze wszystkich sił zmotywować zmęczoną grupkę. – Rekiny urządzają polowanie na naszych klientów.

– To my jesteśmy rekinami – zauważyła Paulette.

Późnym popołudniem zadzwonił Patton French z informacją, że pozew zbiorowy został poprawiony, żeby włączyć do grupy poszkodowanych z Missisipi, i wniesiony do sądu stanowego w Biloxi.

– Trafił dokładnie tam, gdzie chcieliśmy, kolego – powiedział.

– Jutro wycofam go z tutejszego sądu – odparł Clay, mając nadzieję, że nie oddaje swojej sprawy za darmo.

– Zamierzasz dać cynk prasie?

– Nie planowałem tego. – Clay nie miał pojęcia, jak to się robi.

– Pozwól, że ja się tym zajmę.

Tego dnia na zamknięciu wartość akcji Ackerman Labs wynosiła dwadzieścia sześć dolarów i dwadzieścia pięć centów, co – gdyby Clay kupił je teraz i pokrył zobowiązania wynikłe z transakcji sprzedaży pożyczonych akcji – dawało na papierze zysk wysokości miliona sześciuset dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Postanowił czekać. Wieść o złożeniu pozwu w Biloxi trafi do mediów rano i na pewno odbije się na notowaniach giełdowych firmy.

O północy Clay siedział przy biurku i rozmawiał z mężczyzną z Seattle, który zażywał dyloft przez prawie rok i teraz był przerażony, że przypuszczalnie ma guzy. Carter poradził mu, by wybrał się jak najszybciej do lekarza i zbadał sobie mocz. Podał mu adres strony internetowej i obiecał przesłać z samego rana pocztą pakiet informacyjny. Gdy kończyli rozmowę, mężczyzna był bliski łez.

Rozdział 20

Napływały kolejne złe wieści o dylofcie.

Opublikowano dwie następne analizy medyczne, z których jedna przekonująco dowodziła, że firma Ackerman Labs szła w badaniach na skróty i użyła wszelkich wpływów, by uzyskać zatwierdzenie leku. W końcu FDA nakazała wycofanie dyloftu ze sprzedaży.

Te złe wieści były, oczywiście, wspaniałym prezentem dla prawników i gorączka rosła, w miarę jak coraz więcej spóźnialskich wskakiwało do odjeżdżającego pociągu. Pacjenci zażywający dyloft dostawali pisemne ostrzeżenia od Ackerman Labs i od swoich lekarzy, a w ślad za tymi okropnymi wiadomościami prawie zawsze nadchodziły złowieszcze oferty od prawników specjalizujących się w pozwach zbiorowych. Reklama bezpośrednia była bardzo skuteczna. Na wszystkich dużych rynkach publikowano ogłoszenia prasowe, a numery infolinii pojawiały się we wszystkich stacjach telewizyjnych. Groźba rozwijających się gwałtownie guzów skłoniła praktycznie wszystkich zażywających dyloft do skontaktowania się z prawnikami.

Patton French nigdy wcześniej nie widział, by postępowanie zbiorowe w sprawie roszczeń odszkodowawczych przebiegało tak gładko. Ponieważ obaj z Clayem zwyciężyli w wyścigu do sądu w Biloxi, ich pozew został uznany w pierwszej kolejności. Wszyscy inni chętni do wniesienia pozwu zbiorowego w tej sprawie byliby zmuszeni przyłączyć się do nich, a komisja nadzorująca zgarnęłaby dodatkową opłatę. Życzliwy Frenchowi sędzia powołał już pięcioosobową komisję złożoną z Frencha, Claya, Carlosa Hernandeza z Miami oraz dwóch innych kumpli z Nowego Orleanu. W teorii komisja ta miała obsługiwać duży i skomplikowany proces przeciwko Ackerman Labs. W rzeczywistości tych pięciu przekładałoby papiery i wypełniało uciążliwy administracyjny obowiązek porządkowania poczynań blisko pięćdziesięciu tysięcy klientów oraz ich adwokatów.

Poszkodowany zawsze mógłby wycofać się z pozwu zbiorowego i zmierzyć z adwokatami Ackerman Labs w osobnym procesie. W miarę jak prawnicy w całym kraju zbierali pojedyncze sprawy i tworzyli koalicje, dochodziło do nieuniknionych konfliktów. Niektórzy odnosili się do pozwu zbiorowego w Biloxi z dezaprobatą i chcieli wnieść własny. Inni pogardzali Pattonem Frenchem. Część chciała procesów w lokalnych sądach, gdzie mieliby większe szanse na zasądzenie ogromnego odszkodowania.

Lecz French toczył już takie batalie wielokrotnie. Żył na pokładzie odrzutowca, latając z wybrzeża na wybrzeże, spotykając się z prawnikami, którzy gromadzili setki klien-

tów, i utrzymując jakoś spójność kruchej koalicji. Zapewniał, że ugoda w Biloxi będzie dla nich bardziej korzystna.

Codziennie też rozmawiał z firmowym prawnikiem Ackerman Labs, znękanym starym wiarusem, który dwa razy próbował przejść na emeryturę, ale nie pozwolił mu na to dyrektor generalny. Przesłanie Frencha było jasne i proste: porozmawiajmy o ugodzie teraz, bez waszych prawników z zewnątrz, bo przecież wiadomo, że z tym lekiem nie zdecydujecie się na proces. Ludzie z Ackerman Labs zaczynali słuchać.

W połowie sierpnia French zwołał na swoim ranczu koło Ketchum w stanie Idaho szczyt z udziałem adwokatów prowadzących sprawę dyloftu. Wyjaśnił Clayowi, że jako członek komisji nadzorującej ma obowiązek w nim uczestniczyć i że – co równie ważne – reszcie chłopaków bardzo zależy na tym, by poznać tego młodego parweniusza, który ujawnił sprawę dyloftu.

– Poza tym nie możesz opuścić żadnego spotkania z tymi gośćmi, bo inaczej wbiją ci nóż w plecy.

– Przyjadę – obiecał Clay.

– Poślę po ciebie samolot – zaproponował French.

– Nie ma potrzeby. Przyjadę.

Clay wyczarterował leara 35, ładny mały odrzutowiec, mniej więcej trzy razy mniejszy od gulfstreama 5, ponieważ jednak podróżował sam, nie potrzebował większego samolotu.

Spotkał się z pilotami w terminalu na lotnisku Reagana, gdzie rozmawiał z innymi, bez wyjątku starszymi od siebie, ważniakami. Próbował rozpaczliwie zachowywać się tak, jakby we wsiadaniu na pokład własnego odrzutowca nie było niczego szczególnego. Oczywiście stanowił on własność firmy czarterowej, ale przez najbliższe trzy dni należał do niego.

Gdy startowali na północ, spojrzał na Potomac, potem na mauzoleum Lincolna oraz, w pośpiechu, na wszystkie charakterystyczne obiekty śródmieścia. Był tam jego biurowiec, a nieopodal Biuro Obrońcy Publicznego. Co pomyśleliby Glenda, Jermaine i ci, których tam zostawił, gdyby go teraz zobaczyli?

Co pomyślałaby Rebecca?

Szkoda, że nie poczekała jeszcze miesiąc.

Wlecieli w chmury i widok zniknął. Niebawem Waszyngton został wiele mil za nimi. Clay Carter zmierzał na tajne spotkanie najbogatszych prawników w Ameryce, specjalistów od roszczeń zbiorowych, tych, którzy mieli głowę i siły, by dobrać się do skóry najpotężniejszym korporacjom.

I oni chcieli go poznać!

* * *

Jego odrzutowiec był najmniejszy na płycie lotniska Ketchum-Sun Valley we Friedman w stanie Idaho. Kiedy kołowali obok gulfstreamów i challengerów, Cartera naszła niedorzeczna myśl, że jego samolot jest nieodpowiedni, że potrzebuje większego. Zaśmiał się z siebie – siedział w wyłożonej skórą kabinie wartego trzy miliony leara i zastanawiał się, czy powinien kupić coś bardziej okazałego. Przynajmniej potrafi się jeszcze z siebie śmiać. Co będzie, gdy straci tę umiejętność?

Zaparkowali obok znajomego samolotu, odrzutowca z numerem 000PZ na ogonie. Zero, zero, zero, Pozwy Zbiorowe, dom z dala od domu samego Pattona Frencha. Przyćmił „furę” Claya i ten patrzył przez chwilę z zazdrością na najpiękniejszy luksusowy odrzutowiec na świecie.

Za kierownicą czekającego na nich mikrobusu siedział człowiek, który wyglądał na imitację kowboja. Na szczęście kierowca nie był specjalnie rozmowny i Clay odbył czterdziestopięciominutową podróż w milczeniu. Pięli się krętymi, coraz węższymi drogami. Jak można się było spodziewać, ranczo Pattona było nowe i jak z obrazka. Rezydencja miała wystarczająco dużo skrzydeł i kondygnacji, by pomieścić kancelarię prawniczą pokaźnych rozmiarów. Kolejny kowboj wziął torbę Claya.

– Pan French czeka na tarasie z tyłu domu – powiedział, jakby Clay bywał tam wiele razy.

Gdy ich znalazł, rozmawiali o Szwajcarii i swoich ulubionych ustronnych ośrodkach narciarskich.

Podszedłszy, przysłuchiwał się im przez chwilę. Pozostali czterej członkowie komisji nadzorującej siedzieli leniwie w fotelach, paląc ciemne cygara i sącząc napoje. Gdy zdali sobie sprawę z obecności Claya, stanęli gwałtownie na baczność, jak przed sędzią wchodzącym na salę rozpraw. Podczas pierwszych trzech minut ożywionej rozmowy Clay został nazwany „geniuszem”, „spryciarzem”, „śmiałkiem” i – to spodobało mu się najbardziej – „wizjonerem”.

– Musisz nam zdradzić, jak się dowiedziałeś o dylofcie – rzekł Carlos Hernández.

– Tego nie powie – uciął French, przyrządzając Clayowi do picia jakąś obrzydliwą miksturę.

– Daj spokój – prychnął Wes Saulsberry, najnowszy znajomy Claya. W ciągu kilku zaledwie minut Clay miał się dowiedzieć, że trzy lata wcześniej Wes zarobił blisko pół miliarda na ugodzie z firmami tytoniowymi.

– Przysięgałem, że będę milczał – odparł Clay.

Drugim prawnikiem z Nowego Orleanu był Damon Didier, jeden z mówców na jakiejś sesji, w której Clay uczestniczył podczas weekendu Koła Adwokatów. Didier miał kamienny wyraz twarzy i stalowe spojrzenie i Clay pamiętał, że zastanawiał się, jak ten człowiek nawiązuje kontakt z przysięgłymi. Wkrótce odkrył, że Wes zbił majątek, gdy statek rzeczny pełen chłopców ze studenckiej korporacji zatonął w wodach jeziora Pontchartrain. Takie nieszczęście.

Potrzebowali opatrunków i medali niczym bohaterowie wojenni. Ten tutaj otrzymałem za eksplozję samochodu cysterny, która uśmierciła dwadzieścia osób. Ten dostałem za chłopców, którzy spłonęli na przybrzeżnej platformie wiertniczej. A ten jest za kampanię Chudego Bena. Ten – za wojnę z Big Tabacco. Ten – za batalię przeciwko HMO.

Ponieważ Clay nie miał w zanadrzu żadnych wojennych opowieści, po prostu słuchał. Ta o tarvanie zrobiłaby na nich wrażenie, ale nie mógł wyjawić tajemnicy.

Kamerdyner w koszuli w stylu Roya Rogersa poinformował Frencha, że kolacja zostanie podana za godzinę. Przenieśli się na dół do pokoju ze stołami do bilardu i dużymi ekranami. Około dziesięciu białych mężczyzn piło i rozmawiało, niektórzy trzymali kije.

– Reszta spiskowców – szepnął do Claya Hernandez.

Patton przedstawił go tej grupie. Nazwiska, twarze i miasta rodzinne szybko zatarły się w jego pamięci. Seattle, Houston, Topeka, Boston oraz inne, których nie dosłyszał. I Effingham z Illinois. Wszyscy oni złożyli hołd „genialnemu” młodemu prawnikowi, który zaszokował ich śmiałym atakiem na producenta dyloftu.

– Zobaczyłem to ogłoszenie pierwszego wieczoru emisji – rzekł Bernie jakiś tam z Bostonu. – Nigdy wcześniej nie słyszałem o dylofcie. Dzwonię więc na waszą infolinię, słyszę w słuchawce głos jakiegoś miłego gościa. Mówię mu, że zażywam ten lek, serwuję mu całą historyjkę. Wchodzę na stronę internetową. To było genialne. Pomyślałem: wpadłem w zasadzkę. Trzy dni później jestem na antenie z numerem własnej infolinii dla użytkowników tego przeklętego leku.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem – pewnie dlatego, że każdy z nich mógłby opowiedzieć podobną historię. Clayowi nigdy nie przyszło do głowy, że inni prawnicy zadzwonią na jego infolinię i skorzystają z jego strony internetowej, żeby podprowadzić mu klientów. Dlaczego jednak był tym zaskoczony?

Gdy w końcu ta demonstracja podziwu dobiegła końca, French powiedział, że przed kolacją – na którą, nawiasem mówiąc, wybrano fantastyczne wina australijskie – należy omówić kilka spraw. Clayowi już kręciło się w głowie od znakomitego kubańskiego cygara i pierwszej bomby podwójnej wódki. Był tam zdecydowanie najmłodszym prawnikiem i pod każdym względem czuł się jak nowicjusz. Szczególnie jeśli chodzi o picie. Znalazł się w towarzystwie paru profesjonalistów.

Najmłodszy prawnik. Najmniejszy odrzutowiec. Żadnych opowieści z frontu. Najsłabsza wątroba. Clay uznał, że pora dorosnąć.

Otoczyli Frencha, który żył dla chwil takich jak ta.

– Jak wam wiadomo – zagaił – spędziłem sporo czasu z Wicksem, prawnikiem z Ackerman Labs. Konkluzja jest taka, że mają zamiar zawrzeć ugodę, i to szybko. Ciosy spadają na nich ze wszystkich stron i chcą rozwiązać ten problem. Cena ich akcji jest tak niska, że obawiają się ich przejęcia. Sępy, z nami włącznie, osaczają zdobycz. Jeżeli się zorientują, ile będzie ich kosztował dyloft, mogą zrestrukturyzować część zadłużenia

i czekać. Nie chcą natomiast ciągnącego się sporu prawnego na wielu frontach i wyroków zapadających to tu, to tam. Nie mają również ochoty na bulenie dziesiątków milionów dolarów na obronę.

– Biedacy – westchnął jeden z zebranych.

– W „Business Week” wspomniano o bankructwie – zauważył ktoś inny. – Czy użyli tej groźby?

– Jeszcze nie. I nie spodziewam się tego. Ackerman Labs mają zdecydowanie za dużo aktywów. Właśnie zakończyliśmy analizę finansową. Dane liczbowe otrzymamy rano i zdaniem naszych chłopców ta firma na ugody w sprawie dyloftu przeznaczyła od dwóch do trzech miliardów.

– Jaka suma ubezpieczenia jest rozważana?

– Tylko trzysta milionów. Firma od roku sprzedaje dział kosmetyków. Chcą za niego miliard. Rzeczywista wartość wynosi około trzech czwartych tej sumy. Mogliby ją sprzedać za pół miliarda i mieć wystarczająco dużo gotówki, żeby zaspokoić żądania naszych klientów.

Clay zauważył, iż rzadko wspomina się o klientach.

Sępy cisnęły się wokół Frencha, który ciągnął:

– Musimy ustalić dwie rzeczy. Po pierwsze, ilu jest potencjalnych powodów. Po drugie, wartość każdej sprawy.

– Zsumujmy ich – zaproponował ktoś z Teksasu, przeciągając samogłoski. – Ja mam tysiąc.

– Ja tysiąc osiemset – rzekł French. – Carlos?

– Dwa tysiące – odparł Hernandez, zaczynając notować.

– Wes?

– Dziewięciuset.

Adwokat z Topeki miał ich najmniej, sześciuset. Dwa tysiące było najwyższą liczbą do czasu, aż French, zachowujący najlepsze na koniec, zapytał:

– Clay?

Wszyscy uważnie słuchali.

– Trzy tysiące dwustu – odparł Clay, zdoławszy zachować ponure oblicze pokerzysty. Jego świeżo odkryci bracia byli jednak bardzo zadowoleni. Takie przynajmniej sprawiali wrażenie.

– Brawo! – wykrzyknął ktoś.

Clay podejrzewał, że za szerokimi uśmiechami i pochwalnymi okrzykami kryje się paru zawistników.

– To daje dwadzieścia cztery tysiące – stwierdził Carlos, dokonując szybkich obliczeń.

– Możemy spokojnie podwoić tę liczbę, co daje blisko pięćdziesiąt tysięcy ustalone przez Ackerman Labs. Dwa miliardy podzielone przez pięćdziesiąt tysięcy dają czter-

dzieści tysięcy dolców na sprawę. Niezły punkt wyjścia.

Clay też przeprowadził szybkie obliczenia: czterdzieści tysięcy dolarów razy trzy tysiące dwustu jego klientów dawało coś ponad sto dwadzieścia milionów dolarów. A jedna trzecia tego, cóż… zmroziło mu umysł i ugięły się pod nim kolana.

– Czy ta firma wie, ile z tych przypadków to guzy złośliwe? – zapytał Bernie z Bostonu.

– Nie. Zgodnie z ich najdokładniejszymi szacunkami mniej więcej jeden procent.

– To pięćset spraw.

– Za minimum milion dolarów każda.

– To kolejne pół miliarda.

– Milion dolarów to jakiś żart.

– W Seattle przyznają pięć milionów na osobę.

– Mówimy o zabójstwie.

Jak można się było spodziewać, każdy prawnik miał swoje zdanie i formułowali je równocześnie. Kiedy French przywrócił porządek, powiedział:

– Zjedzmy coś, panowie.

* * *

Kolacja zakończyła się katastrofą. Stół w jadalni stanowił kawał wypolerowanego drewna pochodzącego z jednego drzewa, wspaniałego i majestatycznego klonu czerwonego, który rósł przez stulecia, dopóki nie stał się potrzebny bogatym Amerykanom. Do posiłku mogło przy nim zasiąść równocześnie co najmniej czterdzieści osób. Było ich osiemnastu i bardzo rozsądnie rozsadzono ich w sporych odstępach, bo inaczej ktoś mógłby zadać cios sąsiadowi.

W sali pełnej wybujałych ego, gdzie wszyscy byli najwspanialszymi prawnikami, jakich stworzył Bóg, najokropniejszym gadułą był Victor K. Brennan, krzykliwy i mówiący z nosowym akcentem Teksańczyk z Houston. Przy trzecim lub czwartym kieliszku wina, gdy jeszcze jedli grube steki, zaczął narzekać na niskie oczekiwania w odniesieniu do jednostkowych odszkodowań. Miał klienta, czterdziestojednolatka, który sporo zarabiał, a teraz, wskutek zażywania dyloftu, nabawił się złośliwych guzów.

– Od każdej ławy przysięgłych w Teksasie mogę uzyskać dziesięć milionów za rzeczywistą szkodę i dwadzieścia milionów nawiązki – chełpił się. Większość pozostałych przyznała mu rację. Niektórzy nawet go przebili, twierdząc, że na swoim terenie mogliby uzyskać jeszcze więcej. French bronił teorii, że gdy kilku dostanie miliony, większość dostanie niewiele. Brennan nie dał się na to nabrać, ale trudno mu było odeprzeć ten argument. Wydawało mu się, że Ackerman Labs mają znacznie więcej gotówki, niż wykazują w bilansie.

Grupa podzieliła się w tej kwestii, lecz linie podziału zmieniały się tak szybko i soju-

sze były tak krótkotrwałe, że Clay miał kłopoty z określeniem stanowiska większości. French zakwestionował twierdzenia Brennana, że straty moralne będzie łatwo udowodnić.

– Przecież zdobyliście dokumenty – zauważył Brennan.

– Clay dostarczył dokumenty, o czym Ackerman Labs jeszcze nie wiedzą. Wy ich nie widzieliście. I chyba ich nie zobaczycie, jeżeli wycofacie się z pozwu zbiorowego.

Noże i widelce zastygły w bezruchu, gdy cała siedemnastka (z wyjątkiem Claya) zaczęła krzyczeć. Kelnerzy wyszli z sali. Clay wyobraził ich sobie w kuchni, kulących się za stołami do przygotowywania potraw. Brennan chciał się z kimś pokłócić. Wes Saulsberg nie dawał za wygraną. Poziom językowy dyskusji się obniżył. I w trakcie tego zamieszania Carter spojrzał na drugi koniec stołu i zobaczył, jak Patton French wącha wino w kieliszku, wypija łyk, zamyka oczy i ocenia następny nowy trunek.

Ile takich kłótni French przesiedział w ten sposób? Pewnie ze sto. Clay odkroił kawałek steku.

Gdy wrzawa ucichła, Bernie z Bostonu opowiedział dowcip o katolickim księdzu i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Przez pięć minut jedzono i pito, aż Albert z Topeki zaproponował strategię polegającą na doprowadzeniu Ackerman Labs do bankructwa. Sam robił to już dwa razy wobec innych firm, z zadowalającym skutkiem. W obu przypadkach firmy, które wziął na cel, wykorzystywały prawo upadłościowe, by wyrolować banki i pozostałych wierzycieli, zapewniając w ten sposób więcej gotówki Albertowi i tysiącom jego klientów. Przeciwnicy tego pomysłu wyrazili obawy, czym Albert poczuł się dotknięty i wybuchła kolejna kłótnia.

Spierali się o wszystko: o dokumenty, o to, czy domagać się procesu, ignorując szybką ugodę, o miejsce pozwu, o fałszywe ogłoszenia, o sposób naganiania klientów, o wydatki, o honoraria. Claya ściskało w żołądku i nie odezwał się ani słowem. Wydawało się, że reszta delektuje się jedzeniem, tocząc dwa lub trzy spory naraz.

Doświadczenie, pomyślał Clay.

Po tej najdłuższej w jego życiu kolacji French zaprowadził ich na dół, do sali bilardowej, gdzie czekał koniak i cygara. Ci, którzy przez trzy godziny obrzucali się obelgami, popijali teraz i śmiali się jak koledzy ze studenckiej korporacji. Przy pierwszej sposobności Clay wymknął się i z trudem trafił do swojego pokoju.

* * *

Pokaz Barry’ego i Harry’ego zaplanowano na dziesiątą rano w sobotę, tak by wszyscy mieli czas na odespanie kaca i przełknięcie obfitego śniadania. French zaproponował swoim gościom łowienie pstrągów i strzelanie do rzutków, ale ani jedna z tych atrakcji nie skusiła żadnego prawnika.

Barry i Harry prowadzili w Nowym Jorku firmę, która zajmowała się wyłącznie ba-

daniem finansów spółek stanowiących cel ewentualnego przejęcia. Mieli swoje źródła, kontakty oraz szpiegów i słynęli z odkrywania podskórnej prawdy. French sprowadził ich samolotem na godzinną prezentację.

– Płacimy im dwieście kawałków – szepnął dumnie do Claya – i zmusimy Ackerman Labs do zwrócenia nam tej forsy. Wyobraź sobie tylko.

Występowali w duecie – Barry wyświetlał ilustracje, Harry operował wskaźnikiem, dwóch profesorów na katedrze. Obaj stali z przodu małej amfiteatralnej sali, mieszczącej się poziom niżej niż sala bilardowa. Prawnicy tym razem byli cicho.

Ackerman Labs zostały ubezpieczone na co najmniej pięćset milionów dolarów – trzysta milionów od ubezpieczyciela i kolejne dwieście od reasekuratora. Analiza przepływów gotówkowych była treściwa i wymagała równoczesnych wystąpień Harry'ego i Barry'ego. Sypali danymi i wkrótce sala tonęła w powodzi liczb i procentów.

Mówili o dziale kosmetyków, którego szybka sprzedaż mogłaby przynieść sześćset milionów dolarów. W Meksyku znajdował się dział mas plastycznych – firma chciała się go pozbyć za dwieście milionów. Wyjaśnienie struktury jej zadłużenia zajęło pięć minut.

Barry i Harry byli również prawnikami, więc potrafili ocenić prawdopodobną reakcję firmy na katastrofę w postaci masowych roszczeń, takich jak w sprawie dyloftu. Rozsądek nakazywał jej zawrzeć ugodę szybko, etapami.

– Ugoda naleśnikowa – wyjaśnił Harry.

Clay był pewny, że jest jedynym człowiekiem w tej sali, który nie ma pojęcia co to takiego.

– Na pierwszym etapie wypłaciliby dwa miliardy wszystkim powodom z poziomu pierwszego – mówił Harry, łaskawie wyłuszczając elementy takiego planu.

– Sądzimy, że mogliby to zrobić w ciągu niespełna dziewięćdziesięciu dni – dodał Barry.

– Na etapie drugim wypłaciliby pół miliarda dla powodów z poziomu drugiego, tych ze złośliwymi guzami, którzy jeszcze żyją.

– A etap trzeci pozostanie otwarty przez pięć lat na pokrycie odszkodowań za przypadki śmiertelne.

– Uważamy, że Ackerman Labs mogą wypłacić przez następny rok od około dwóch i pół do trzech miliardów, a potem kolejne pół miliarda w ciągu pięciu lat.

– Po przekroczeniu tej granicy można się liczyć z upadłością.

– Która dla tej firmy nie jest wskazana. Zbyt dużo banków ma zbyt dużo zastawów uprzywilejowanych na jej majątku.

– Bankructwo poważnie ograniczyłoby przepływ pieniędzy. Zawarcie przyzwoitej ugody potrwałoby od trzech do pięciu lat.

Prawnicy mieli oczywiście ochotę pospierać się przez jakiś czas. Vincent z Pittsburgha bardzo chciał zaimponować reszcie swoją przenikliwością w sprawach finansów,

lecz Harry i Barry szybko go usadzili. Po godzinie poszli na ryby.

Ich miejsce zajął French. Wszystkie spory zostały zakończone. Ustały kłótnie. Nadszedł czas uzgodnienia planu.

Krok pierwszy polegał na urządzeniu obławy na pozostałych klientów. Każdy dla siebie. Wszystkie chwyty dozwolone. Ponieważ reprezentowali połowę łącznej ich liczby, zostało jeszcze mnóstwo potencjalnych poszkodowanych. Znajdźmy ich. Odszukajcie drugorzędnych adwokatów z dwudziestoma lub trzydziestoma klientami, wprowadźcie ich do zagrody. Róbcie, co tylko trzeba, żeby zdobyć tych klientów.

Krokiem drugim byłaby narada z przedstawicielami Ackerman Labs w sprawie ugody za dwa miesiące. Zaplanować ją i wysłać powiadomienia miała komisja nadzorująca.

Krok trzeci miał być zdecydowaną próbą utrzymania wszystkich w pozwie zbiorowym. W ilości siła. Ci, którzy się „wycofają” z pozwu zbiorowego i zapragną osobnego procesu, nie będą mieli dostępu do zabójczych dla wytwórcy leku dokumentów. To było bardzo proste. Po trupach do celu, ale na tym polegał spór prawny.

Każdy prawnik na sali sprzeciwiał się jakiejś części tego planu, ale sojusz został utrzymany. Zanosiło się, że w sprawie dyloftu dojdzie do najszybszej ugody w dziejach zbiorowych roszczeń odszkodowawczych, a zebrani prawnicy już czuli zapach forsy.

Rozdział 21

Następna reorganizacja nowej kancelarii nastąpiła w taki sam chaotyczny sposób jak poprzednie i z tego samego powodu – zbyt wielu nowych klientów, zbyt dużo nowych dokumentów, niewystarczająca liczba pracowników, niejasna hierarchia służbowa i bardzo chwiejny styl zarządzania, bowiem nikt z jej szefów, z wyjątkiem panny Glick, nigdy wcześniej nie był menedżerem. Trzy dni po powrocie Claya z Ketchum Paulette i Jonah stanęli przed jego obliczem z długą listą problemów. Zanosiło się na bunt. Ludzie byli na granicy wytrzymałości, a wszystko dodatkowo pogarszało zmęczenie.

Zgodnie z najlepszymi szacunkami kancelaria miała teraz trzy tysiące trzysta dwadzieścia spraw dyloftu, a ponieważ były one świeże, wszystkimi trzeba było się zająć natychmiast. Nie licząc Paulette, która niechętnie brała na siebie rolę kierowniczki biura, ani Jonaha, spędzającego dziesięć godzin dziennie przy komputerze i śledzącego napływające sprawy, oraz oczywiście nie licząc Claya, bo on był szefem, musiał udzielać wywiadów i podróżować do Idaho, w kancelarii pracowało dwóch prawników i dziesięciu asystentów prawnych. Żaden z nich, z wyjątkiem Rodneya, nie miał doświadczenia dłuższego niż trzy miesiące.

– Nie potrafię ocenić, który jest dobry, a który zły – powiedziała Paulette. – Jest jeszcze za wcześnie. Szacowała, że każdy asystent prawny mógłby obsłużyć od stu do dwustu klientów.

– Oni są wystraszeni – dodała. – Dlatego, że mają guzy. Dlatego, że o dylofcie pisze się w całej prasie. I dlatego, że ich śmiertelnie wystraszyliśmy.

– Chcą, żeby z nimi rozmawiać – zauważył Jonah. – I chcą w słuchawce słyszeć głos prawnika, a nie jakiegoś oszalałego asystenta prawnego z taśmy montażowej. Obawiam się, że bardzo szybko będziemy tracili klientów.

– Tak się nie stanie – odparł Clay, myśląc o tych wszystkich sympatycznych rekinach, których poznał właśnie w Idaho, i o tym, jaką radość sprawiłoby im odebranie mu zdegustowanych klientów.

– Toniemy w papierach. – Paulette przejęła pałeczkę od Jonaha. – Wszystkie wstępne badania lekarskie muszą być analizowane, a potem potwierdzane badaniami uzupełniającymi. W tej chwili mamy około czterystu osób, które wymagają dalszych badań. To mogą być poważne przypadki, być może ci ludzie umierają, Clay. Ktoś jednak musi uzgadniać opiekę medyczną nad nimi z lekarzami. Takich uzgodnień nie ma, rozumiesz?

– Tak – odparł Clay. – Ilu prawników potrzebujemy? Paulette rzuciła Jonahowi znużone spojrzenie. Nie znali odpowiedzi.

– Dziesięciu? – podsunęła.

– Co najmniej – orzekł Jonah. – Dziesięciu na teraz, na tę chwilę, a potem może i więcej.

– Rozkręcamy kampanię reklamową – oznajmił Carter.

Nastąpiła długa, pełna znużenia pauza, w której Jonah i Paulette przyswajali sobie tę wiadomość. Wcześniej poinformował ich, o czym rozmawiano w Ketchum, ale bez szczegółów. Zapewniał, że każda sprawa, którą kontraktują, wkrótce przyniesie spore zyski, lecz strategię zawierania ugody zachował dla siebie. French ostrzegł go, że nie potrafiąc trzymać języka za zębami, przegrywa się sprawy, i najlepiej, by niesprawdzony personel wiedział jak najmniej.

Kancelaria prawnicza przy tej samej ulicy właśnie wręczyła wymówienia trzydziestu pięciu współpracownikom. Gospodarka zwalniała, przychody spadały, szykowano fuzję. Bez względu na prawdziwe przyczyny, ta historia była godna uwagi, gdyż normalnie ten rynek pracy był odporny na wstrząsy. Zwolnienia! W prawniczej profesji? W stolicy?

Paulette zasugerowała, by niektórych zatrudnić, proponując roczne kontrakty bez obietnicy awansu. Clay podjął się zadzwonić w tej sprawie z samego rana. Miał również znaleźć przestrzeń biurową i wyposażenie.

Jonah wpadł na niezwykły pomysł zatrudnienia na rok lekarza, kogoś do koordynowania badań i wystawiania zaświadczeń.

– Za sto kawałków rocznie możemy mieć świeżo upieczonego absolwenta medycyny – rzekł. – Nie miałby doświadczenia, ale kogo to obchodzi? Nie będzie wykonywał zabiegów, a tylko odwalał papierkową robotę.

– Załatw to – rzekł Clay.

Następna na liście Jonaha była kwestia strony internetowej. Ogłoszenia bardzo ją spopularyzowały, ale potrzebowali pełnoetatowych pracowników, by wyjść temu zainteresowaniu naprzeciw. W dodatku prawie co tydzień trzeba było ją wzbogacać o nowe wydarzenia związane z pozwem zbiorowym i najnowsze złe wieści o dylofcie.

– Wszyscy klienci rozpaczliwie czekają na informacje – tłumaczył.

Dla tych, którzy nie korzystali z Internetu, a Paulette przypuszczała, że co najmniej połowa ich klientów zalicza się do tej grupy, biuletyn informacyjny był sprawą zasadniczej wagi.

– Potrzebny nam jest jeden pełnoetatowy pracownik do redagowania i wysyłki biuletynu – powiedziała.

– Możesz kogoś znaleźć?

– Sądzę, że tak.

– Więc to zrób.

Paulette spojrzała na Jonaha, jakby to, co trzeba było powiedzieć, powinno paść z jego ust. Jonah cisnął notatnik na biurko i zaczął wyłamywać sobie palce.

– Clay, wydajemy ogromne sumy pieniędzy. Na pewno wiesz, co robisz?

– Nie, ale po prostu mi zaufajcie, dobrze? Mamy zarobić nie byle jaką forsę, jednak żeby tego dokonać, musimy wydać trochę gotówki.

– A masz tę gotówkę? – zapytała Paulette.

– Mam.

* * *

Pace miał ochotę napić się późnym wieczorem w barze w Georgetown, dokąd można było dojść pieszo z domu Claya. Wyjeżdżał i wracał do Waszyngtonu i jak zawsze był bardzo mało precyzyjny w opisie tego, skąd przybywał i z jakim pożarem akurat walczył. Rozjaśnił kolorystykę swojej garderoby i teraz preferował brązy – nosił brązowe buty z wężowej skóry z ostrymi noskami, brązową zamszową kurtkę. Część jego maski, pomyślał Clay. W połowie pierwszego piwa Pace zajął się sprawą dyloftu i stało się oczywiste, że niezależnie od charakteru jego bieżącego projektu, nadal ma on coś wspólnego z Ackerman Labs.

Clay z talentem oratorskim świeżo upieczonego adwokata przedstawił barwny opis swojej podróży na ranczo Pattona Frencha i bandy złodziei, których tam spotkał. Opisał również burzliwą trzygodzinną kolację, na której wszyscy byli pijani i natychmiast się posprzeczali, oraz prezentację Barry'ego i Harry'ego. Wyjawił Pace'owi szczegóły, bo Pace orientował się w temacie lepiej niż ktokolwiek.

– Wiem o Barrym i Harrym – rzekł Pace, jakby chodziło o postacie z zaświatów.

– Wyglądało na to, że znają się na rzeczy, i chyba powinni się znać, skoro dostali dwieście kawałków.

Clay opowiedział o Carlosie Hernandezie, Wesie Saulsberrym i Damonie Didierze, swoich nowych kumplach z komisji nadzorującej. Pace stwierdził, że o wszystkich słyszał.

Przy drugim piwie zapytał:

– Sprzedałeś akcje Ackerman Labs bez pokrycia, zgadza się? – Rozejrzał się po sali, ale nikt nie podsłuchiwał. Tego wieczoru w barze uczelnianym ruch był niewielki.

– Sto tysięcy akcji za czterdzieści dwa pięćdziesiąt – potwierdził z dumą Clay.

– Dzisiaj na zamknięciu były warte dwadzieścia trzy.

– Wiem. Co dzień to sprawdzam.

– Czas pokryć tę sprzedaż i odkupić akcje. Na przykład jutro z samego rana.

– Coś się szykuje?

– Owszem, a przy okazji kup, ile możesz, po dwadzieścia trzy i poczekaj na zwyżkę notowań.

– Jak bardzo mają wzrosnąć?

– Dwukrotnie.

Sześć godzin później Clay był przed świtem w biurze, próbując przygotować się na kolejny dzień szaleństwa. Nie mógł się też doczekać otwarcia giełd. Jego lista spraw do załatwienia miała dwie strony, niemal wszystkie dotyczyły ogromnie ważnego zadania: zatrudnienia dziesięciu nowych prawników i znalezienia pomieszczeń biurowych dla kilku z nich. Sprawa wyglądała beznadziejnie, ale Clay nie miał wyboru. O wpół do ósmej zatelefonował do pośrednika handlu nieruchomościami i wyciągnął go spod prysznica. O ósmej trzydzieści odbył dziesięciominutową rozmowę z Oscarem Mulrooneyem, młodym prawnikiem. Biedak był najlepszym studentem w Yale, potem zatrudniono go na wysokim stanowisku, ale stracił je, gdy jego pracodawca, wielka kancelaria, padł. Od dwóch miesięcy był żonaty i rozpaczliwie potrzebował pracy. Clay zatrudnił go natychmiast z pensją siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów rocznie. Mulrooney miał czterech przyjaciół, także z Yale, którzy również szukali zajęcia. Clay kazał mu ich przyprowadzić.

O dziesiątej zadzwonił do swojego maklera i pokrył sprzedaż akcji Ackerman Labs, zarabiając na tej operacji prawie dwa miliony dolarów. Równocześnie cały zysk zainwestował w kolejne dwieście tysięcy akcji po dwadzieścia trzy dolary za sztukę, wykorzystując limit i zaciągając kredyt. Całe przedpołudnie obserwował notowania. Nic się nie zmieniło.

W południe wrócił Oscar Mulrooney ze swoimi przyjaciółmi, wszyscy podekscytowani jak skauci. Clay zatrudnił ich, a potem obarczył zadaniem wynajęcia mebli, podłączenia telefonów i zrobienia wszystkiego, co trzeba, by mogli rozpocząć pracę w roli podrzędnych specjalistów od masowych roszczeń odszkodowawczych. Do Oscara należało zatrudnienie pięciu następnych prawników, którzy mieliby znaleźć dla siebie miejsce na biuro i tak dalej.

Tak narodził się firmowy oddział absolwentów Yale.

* * *

O siedemnastej czasu letniego wschodnioamerykańskiego firma Philo Products ogłosiła, że kupi znajdujące się w obiegu akcje Ackerman Labs, płacąc pięćdziesiąt dolarów za sztukę, w ramach fuzji, której koszt miał wynieść czternaście miliardów. Clay oglądał ten dramat na dużym ekranie w sali konferencyjnej sam, bo wszyscy inni odbierali cholerne telefony. Całodobowe kanały poświęcone rynkom finansowym zachłysnęły się tą wiadomością. CNN rzuciła reporterów do White Plains w stanie Nowy Jork, centrali Ackerman Labs, gdzie kręcili się przy bramie, jakby ta nękana kłopotami firma mogła do nich wyjść i płakać przed kamerami.

Niezliczeni eksperci i analitycy rynkowi pletli głupstwa, formułując wszelkiego ro-

dzaju bezpodstawne opinie. O dylofcie wspominano często. Chociaż Ackerman Labs były źle zarządzane od lat, bez wątpienia to dyloft zdołał zepchnąć je w przepaść.

Czy firma Philo Products była producentem tarvanu? Klientem Pace'a? Czy Clay został zmanipulowany, żeby doprowadzić do wielomiliardowego przejęcia? Najbardziej niepokojące pytanie brzmiało: co to wszystko oznacza dla przyszłości Ackerman Labs i sprawy dyloftu? Choć liczenie nowych zysków z akcji Ackerman Labs z pewnością było ekscytujące, Clay musiał zadać sobie pytanie, czy to oznacza koniec marzeń o ugodzie w sprawie leku? Prawda wyglądała jednak tak, że nie sposób było na nie odpowiedzieć. Był drugorzędnym graczem w wielkiej transakcji między dwiema gigantycznymi korporacjami. Ackerman Labs mają aktywa, uspokajał samego siebie. I ta firma wyprodukowała bardzo zły lek, który zaszkodził wielu osobom. Sprawiedliwość zwycięży.

Patton French zadzwonił z samolotu znajdującego się gdzieś między Florydą a Teksasem i poprosił, żeby Clay przez mniej więcej godzinę nie ruszał się z biura. Komisja nadzorująca musi odbyć nadzwyczajną telekonferencję. Przygotowywała ją sekretarka Frencha.

French odezwał się ponownie z lotniska w Beaumont, gdzie nazajutrz miał się spotkać z prawnikami, którzy potrzebowali jego pomocy w sprawach dotyczących jakiegoś leku na obniżenie poziomu cholesterolu, wartych masę pieniędzy, ale i tak okazało się, że nie zdołał namierzyć reszty członków komisji. Wcześniej rozmawiał już z Barrym i Harrym w Nowym Jorku. Przejęcie Ackerman Labs przez Philo nie budziło ich obaw.

– Ackerman Labs są właścicielami dwunastu milionów swoich akcji wartych obecnie co najmniej pięćdziesiąt dolców za sztukę, a może więcej, zanim sytuacja się wyjaśni. Firma właśnie zebrała sześćset milionów w samych akcjach zwykłych.

W dodatku rząd musi zatwierdzić tę fuzję, a przed wyrażeniem zgody zazwyczaj chce, by spory prawne zostały zakończone. Poza tym Philo słynie z tego, że unika sal rozpraw. Ugody zawiera szybko i bez rozgłosu.

Jak z tarvanem, pomyślał Clay.

– W sumie to dobra wiadomość – stwierdził French. W tle brzęczał faks. Clay wyobraził sobie, jak chodzi tam i z powrotem po pokładzie gulfstreama czekającego na płycie lotniska w Beaumont. – Będę cię informował na bieżąco – dodał i się rozłączył.

Rozdział 22

Rex Crittle chciał zbesztać swojego klienta, usłyszeć z jego ust uspokajające zapewnienia, zrobić mu wykład i go pouczyć, ale siedzący po drugiej stronie biurka Clay nie wydawał się przejęty wyliczeniami księgowego.

– Twoja kancelaria działa od pół roku – mówił Crittle, zerkając znad szkieł okularów do czytania. Przed nim piętrzył się stos raportów. Świadectwa! Miał dowód, że niewielką, wysoko wyspecjalizowaną Kancelarię Prawniczą J. Claya Cartera II w rzeczywistości prowadzą idioci. – Koszty ogólne osiągały na początku imponujący poziom siedemdziesięciu pięciu tysięcy miesięcznie: troje prawników, jeden asystent prawny, sekretarka, wysoki czynsz, ładne biuro. Teraz wynoszą pół miliona dolców i z dnia na dzień rosną.

– Żeby zarobić, trzeba wydać – odparł Clay, popijając kawę i ciesząc się z zakłopotania księgowego. Był to znak, że ma do czynienia z dobrym liczykrupą, któremu wydatki zakłócają sen bardziej niż klientowi.

– Ale ty nie zarabiasz – zauważył ostrożnie Crittle. – W minionych trzech miesiącach nie miałeś żadnych dochodów.

– Za to rok był udany.

– O tak. Piętnaście milionów w honorariach sprzyja doskonałym ocenom. Rzecz w tym, że ta suma topnieje. W zeszłym miesiącu wydałeś czternaście tysięcy dolców na wynajem samolotów.

– Skoro o tym wspomniałeś, to wiedz, że myślę o kupieniu odrzutowca. Będziesz musiał to przekalkulować.

– Już to robię. Nie możesz uzasadnić takiego zakupu.

– Nie o to chodzi. Chodzi o to, czy mogę sobie na taki zakup pozwolić.

– Nie możesz.

– Poczekaj, Rex, nadchodzi odsiecz.

– Zakładam, że mówisz o sprawie dyloftu? Cztery miliony dolarów na ogłoszenia. Trzy tysiące miesięcznie za stronę internetową. A teraz trzy tysiące na miesiąc za biuletyn informacyjny. I wszyscy ci asystenci prawni w Manassas. Wszyscy ci nowi prawnicy.

– Myślę, że chodzi o to, czy powinienem wziąć go w leasing na pięć lat, czy po prostu kupić za gotówkę?

– Co?

– Gulfstreama.

– Co to jest gulfstream?

– Najfajniejszy prywatny odrzutowiec na świecie.

– A co masz zamiar z nim zrobić?

– Latać.

– A dlaczego uważasz, że potrzebny ci jest samolot?

– To ulubiony odrzutowiec wszystkich znaczących specjalistów od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych.

– O, to sensowny argument.

– Wiedziałem, że zmienisz zdanie.

– Masz w ogóle pojęcie, ile on może kosztować?

– Czterdzieści, czterdzieści pięć milionów.

– Z przykrością przekazuję ci tę informację, ale nie masz czterdziestu milionów.

– Racja. Chyba po prostu wezmę go w leasing.

Crittle zdjął okulary i masował swój długi chudy nos, jakby to tam powstawał silny ból głowy.

– Słuchaj, Clay, jestem tylko twoim księgowym. Ale nie mam pewności, czy ktoś jeszcze ci radzi, żebyś zwolnił tempo. Spokojnie, kolego! Zbiłeś majątek, ciesz się nim. Nie potrzebujesz wielkiej kancelarii z tyloma prawnikami, tak jak nie potrzebujesz odrzutowców. Co potem? Jacht?

– Owszem.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Myślałem, że nie znosisz łodzi.

– Bo nie znoszę. To dla mojego ojca. Mogę to odpisać?

– Nie.

– Na pewno mogę.

– Jak?

– Wynajmę go, gdy nie będę z niego korzystał.

Gdy Crittle skończył masować nos, założył okulary i westchnął:

– To twoja forsa, kolego.

* * *

Spotkali się w Nowym Jorku na neutralnym gruncie, w obskurnej sali balowej starego hotelu koło Central Parku, ostatnim miejscu, w którym ktokolwiek mógłby się spodziewać organizacji tak ważnego zebrania. Po jednej stronie stołu zasiadła komisja nadzorująca, pięciu jej członków z młodym Clayem Carterem, który niezbyt dobrze czuł się w tym towarzystwie, a za nią wszelkiego rodzaju asystenci, współpracownicy i chłopcy na posyłki zatrudnieni przez mecenasa Pattona Frencha. Po drugiej stronie stołu zajął

miejsce zespół Ackerman Labs z Calem Wicksem, dystyngowanym weteranem otoczonym równie dużą liczbą stronników.

Tydzień wcześniej rząd zatwierdził fuzję z Philo Products przy cenie pięćdziesięciu trzech dolarów za akcję, co dla Claya oznaczało dodatkowy zysk wysokości blisko sześciu milionów dolarów. Połowę tej sumy, żelazną rezerwę, ulokował w raju podatkowym. Tak więc szacowna firma założona sto lat wcześniej przez braci Ackermanów miała zostać wchłonięta przez Philo, spółkę przynoszącą zaledwie połowę dochodów Ackerman Labs, ale zdecydowanie mniej zadłużoną i zarządzaną przez zdecydowanie bystrzejszych ludzi.

Gdy Clay zajął miejsce, rozłożył dokumenty i próbował przekonać samego siebie, że owszem, do cholery jasnej, tu jest jego miejsce, wydawało mu się, że dostrzegł po drugiej stronie spojrzenia pełne dezaprobaty. Wreszcie ludzie z Ackerman Labs zobaczyli na własne oczy tego młodego parweniusza z Waszyngtonu, który zapoczątkował koszmar pod nazwą dyloft.

Patton French mógł mieć ogromne wsparcie, ale nie potrzebował żadnego. Poprowadził pierwszą sesję i wkrótce wszyscy, z wyjątkiem Wicksa, który odzywał się, tylko gdy musiał, umilkli. Ranek poświęcili ostatecznemu ustaleniu liczby klientów. Pozew zbiorowy w Biloxi dotyczył trzydziestu sześciu tysięcy siedmiuset poszkodowanych. Grupa prawników renegatów z Georgii reprezentowała pięć tysięcy dwustu klientów i groziła kolejnym pozwem zbiorowym. French był przeświadczony, że zdoła ich odwieść od tego zamiaru. Inni prawnicy wycofali się ze składania pozwu zbiorowego i planowali indywidualne procesy na swoim terenie, ale French nimi też się nie przejmował. Nie mieli kluczowych dokumentów ani szans na ich zdobycie.

Padały kolejne liczby i Clay szybko się tym wszystkim znudził. Jedyną liczbą, która miała dla niego znaczenie, była pięć tysięcy trzysta osiemdziesiąt – jego udział w sprawie dyloftu. Nadal miał więcej klientów niż którykolwiek z pozostałych adwokatów, chociaż sam French błyskotliwie zmniejszył dzielącą ich różnicę i miał ich nieco powyżej pięciu tysięcy.

Po trzech godzinach wyliczeń zarządzono godzinną przerwę na lunch. Członkowie komisji nadzorującej udali się na górę do apartamentu, gdzie zjedli kanapki, popijając je tylko wodą. French rozmawiał przez telefon, a właściwie do niego wrzeszczał. Wes Saulsberry zapragnął zaczerpnąć świeżego powietrza i zaprosił Claya na szybki spacer wokół kwartału. Szli w górę Piątej Alei, Central Park ciągnął się po drugiej stronie jezdni. Zaczynała się druga połowa listopada, powietrze było chłodne i lekkie, nad nimi fruwały liście. Wspaniała pora na wizytę w tym mieście.

– Uwielbiam tu przyjeżdżać i bardzo lubię stąd wyjeżdżać – rzekł Saulsberry. – W tej chwili w Nowym Orleanie jest trzydzieści stopni, a wilgotność wciąż wynosi dziewięćdziesiąt procent.

Clay tylko słuchał. Za bardzo pochłaniało go radosne podniecenie tą chwilą; tylko

godziny dzieliły go od ugody, od ogromnego honorarium, od całkowitej swobody człowieka młodego, nieżonatego i bardzo zamożnego.

– Ile masz lat? – spytał Wes.

– Trzydzieści jeden.

– Gdy byłem dwa lata starszy od ciebie, zawarliśmy ze wspólnikiem ugodę w sprawie eksplozji samochodu cysterny. Okropna sprawa, spłonęło dwunastu ludzi. Podzieliliśmy między siebie, po równo, masę forsy, dwadzieścia osiem milionów. Mój wspólnik wziął swoją część i przeszedł na emeryturę. Ja swoje honorarium zainwestowałem w siebie. Stworzyłem kancelarię prawniczą pełną oddanych swojej pracy adwokatów, naprawdę utalentowanych ludzi, którzy bardzo lubią to, co robią. Wybudowałem biurowiec w centrum Nowego Orleanu i zatrudniałem najlepszych ludzi, jakich mogłem znaleźć. Obecnie jest nas dziewięćdziesięciu i w ostatniej dekadzie zgarnęliśmy honoraria wysokości ośmiuset milionów dolców. Mój dawny wspólnik? Smutny przypadek. Nie przechodzi się na emeryturę w wieku trzydziestu trzech lat, to nie jest normalne. Większość tej forsy przepuścił na prochy. Trzy nieudane małżeństwa. Problemy z hazardem. Dwa lata temu zatrudniłem go jako asystenta prawnego z pensją wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów, i nie jest wart tych pieniędzy.

– Nie myślę o przejściu na emeryturę – odparł Clay. Kłamstwo.

– I nie myśl. Masz właśnie zarobić masę forsy, i na to zasługujesz. Ciesz się nią. Spraw sobie samolot, kup ładny jacht, mieszkanie nad brzegiem morza, dom w Aspen, wszystkie te zabawki. Ale prawdziwe pieniądze włóż w kancelarię. Przyjmij radę człowieka, który już to przerabiał.

– Dzięki.

Skręcili w Siedemdziesiątą Trzecią i skierowali się na wschód. Saulsberry jeszcze nie skończył.

– Znasz się na sprawach szkodliwości farb miniowych?

– Niezupełnie.

– Nie są tak bardzo znane jak sprawy szkodliwych leków, ale cholernie lukratywne. Około dziesięciu lat temu zapoczątkowałem modę na nie. Naszymi klientami są szkoły, kościoły, szpitale, budynki handlowe, wszystkie z warstwami farby miniowej na ścianach. Bardzo niebezpieczna sprawa. Pozwaliśmy wytwórców tej farby, z kilkoma zawarliśmy ugody. Dotychczas uzyskaliśmy parę miliardów. W każdym razie ujawniając prawdę o jednej firmie, dowiedziałem się o kolejnym dobrym materiale na pozew zbiorowy, który mógłby cię zainteresować. Sam nie mogę poprowadzić tej sprawy ze względu na pewną sprzeczność interesów.

– Słucham.

– Firma mieści się w Reedsburgu w Pensylwanii i produkuje zaprawę używaną przez murarzy przy budowie domów. Nic nowatorskiego, ale potencjalna kopalnia złota. Wygląda na to, że mają z tą zaprawą problemy. Jakaś wadliwa partia. Po mniej więcej

trzech latach zaczyna się kruszyć. Gdy zaprawa pęka, cegły zaczynają odpadać od ścian. Problem ogranicza się do rejonu Baltimore, przypuszczalnie dotyczy dwóch tysięcy domów. I właśnie staje się zauważalny.

– Jakie są szkody?

– Remont każdego domu kosztuje z grubsza piętnaście tysięcy.

Piętnaście tysięcy razy dwa tysiące domów. Przy umowie na trzydzieści trzy procent honoraria prawników wyniosą dziesięć milionów. Clay szybko nabierał wprawy w liczeniu.

– Udowodnienie winy nie będzie trudne – dodał Saulsberry. – Producent wie, że został zdemaskowany. Z zawarciem ugody nie powinno być problemu.

– Chciałbym się temu przyjrzeć.

– Wyślę ci akta, ale nie możesz wyjawić, od kogo je masz.

– Coś ci się należy?

– Nie. To mój rewanż za dyloft. I oczywiście, jeśli pewnego dnia będziesz miał szansę mi się odwdzięczyć, zostanie to docenione. Tak właśnie pracują niektórzy z nas. W bractwie specjalistów od pozwów zbiorowych aż roi się od ludzi bez zasad i egocentryków, ale kilku z nas stara się troszczyć o siebie nawzajem.

* * *

Późnym popołudniem producenci dyloftu zgodzili się na minimum sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów dla wszystkich poszkodowanych z grupy pierwszej, tych z niezłośliwymi guzami, które można było usunąć, przeprowadzając dość prosty zabieg chirurgiczny, którego koszt także miały ponieść Ackerman Labs. Do tej kategorii należało blisko czterdzieści tysięcy powodów, a pieniądze trafiłyby do nich natychmiast. Znaczna część targów, które nastąpiły potem, dotyczyła metody, jaką miano zastosować, kwalifikując poszkodowanych do odpowiednich grup. Zażarty spór wybuchł, gdy na stół trafiła kwestia honorariów adwokackich. Clay, podobnie jak większość prawników, miał umowę warunkową zapewniającą mu wynagrodzenie wysokości jednej trzeciej każdego odszkodowania, lecz przy takich ugodach ten odsetek zazwyczaj zmniejszano. Po długich sporach, w których French był przesadnie agresywny – chodziło przecież o jego pieniądze – zastosowano do wyliczenia honorarium skomplikowany wzór. Ackerman Labs w końcu przystały na dwadzieścia osiem procent dla honorariów wypłacanych adwokatom powodów z grupy pierwszej.

Powodami z grupy drugiej były osoby z guzami złośliwymi, a ponieważ ich leczenie miało trwać wiele miesięcy lub lat, warunki ugody pozostały otwarte. Odszkodowań tych w żaden sposób nie ograniczono, co według Barry’ego i Harry’ego dowodziło, że gdzieś na drugim planie działają szefowie Philo Products, wspierając Ackerman Labs dodatkową gotówką. Adwokaci w grupie drugiej mieli dostać dwadzieścia pięć procent,

choć Clay nie miał pojęcia dlaczego. Nikt nie nadążał za wyliczeniami Frencha.

Grupę trzecią stanowili ci poszkodowani z grupy drugiej, którzy zmarliby za sprawą dyloftu. Ponieważ do tej pory nie było ofiar śmiertelnych, warunki ugody dla tej kategorii także pozostały otwarte. Honoraria ograniczono do dwudziestu dwóch procent.

O siódmej przerwali obrady, mając zamiar spotkać się następnego dnia, by ostatecznie ustalić szczegóły ugody dla grupy drugiej i trzeciej. W sunącej w dół windzie French wręczył Clayowi wydruk.

– Nieźle jak na jeden dzień pracy – rzekł z uśmiechem. Wydruk zawierał podsumowanie przewidywanych honorariów Claya z siedmioprocentowym dodatkiem za rolę, jaką odgrywał w komisji nadzorującej włącznie.

Jego spodziewane honoraria od samych klientów z grupy pierwszej wynosiły sto sześć milionów dolarów.

Gdy wreszcie został sam, stanął przy oknie w swoim pokoju i wpatrywał się w zapadający nad Central Parkiem zmrok. Najwyraźniej sprawa tarvanu nie przygotowała go na szok wywołany tak błyskawicznym wzbogaceniem się. Zastygł odrętwiały i oniemiały, gdy przypadkowe myśli przemykały przez jego przeciążony mózg. Wypił dwie czyste whiskey z barku, zupełnie nie odczuwając jej działania.

Nie ruszając się sprzed okna, zadzwonił do Paulette, która odebrała w połowie pierwszego dzwonka.

– Mów – powiedziała, rozpoznawszy jego głos.

– Runda pierwsza zakończona – oznajmił.

– Nie owijaj w bawełnę.

– Właśnie zarobiłaś dziesięć milionów dolców. – Słowa wydobywały się z jego ust, ale wypowiadał je nie swoim głosem.

– Nie okłamuj mnie, Clay. – Te ostatnie słowa zabrzmiały niewyraźnie.

– To prawda. Nie kłamię.

Nastąpiła przerwa w rozmowie, bo Paulette się rozpłakała. Clay usiadł na brzegu łóżka i przez chwilę sam miał ochotę porządnie się wypłakać.

– O mój Boże – zdołała wykrztusić dwa razy.

– Zadzwonię do ciebie za kilka minut – rzekł Clay.

Jonah wciąż był w biurze. Zaczął krzyczeć do słuchawki, po czym rzucił ją na biurko, by pobiec po Rodneya. Carter słyszał, jak rozmawiają. Trzasnęły drzwi. Rodney podniósł słuchawkę i powiedział:

– Słucham.

– Twoja działka wynosi dziesięć milionów – oznajmił Clay po raz trzeci, odgrywając rolę Świętego Mikołaja tak, jakby już nigdy więcej nie miał się w nią wcielić.

– Litości, litości, litości – jęczał Rodney. Jonah wciąż coś krzyczał.

– Trudno uwierzyć – przyznał Clay. Przez chwilę wyobrażał sobie Rodneya siedzącego przy starym biurku w BOP-ie, wszędzie teczki i dokumenty, zdjęcia żony i dzieci

przypięte do ściany, wspaniały człowiek harujący za marną pensję.

Co powie żonie, gdy za kilka minut do niej zadzwoni?

Jonah podniósł słuchawkę drugiego telefonu i przez jakiś czas gawędzili o naradzie w sprawie ugody – o tym, kto w niej uczestniczył, gdzie się odbyła, jak przebiegała. Nie chcieli przerywać rozmowy, ale powiedział, że obiecał jeszcze raz zadzwonić do Paulette.

Kiedy skończył przekazywać pomyślne wieści, długo siedział na łóżku, uświadomiwszy sobie ze smutkiem, że nie ma już nikogo, do kogo mógłby zadzwonić. Mógłby się zobaczyć z Rebeccą, usłyszeć nagle jej głos, poczuć jej obecność, dotknąć. Mogliby kupić dom w Toskanii, na Maui lub gdziekolwiek zechce. Wiedliby tam szczęśliwe życie z tuzinem dzieci i bez teściów, z nianiami, pokojówkami oraz kucharzami, a może nawet kamerdynerem. Posyłałby ją odrzutowcem do domu dwa razy w roku, żeby mogła się kłócić z rodzicami.

A może Van Hornowie nie byliby tacy okropni, mając w rodzinie posiadacza około stu milionów, będących poza ich zasięgiem, lecz wystarczająco blisko, by się nimi chwalić.

Zacisnął zęby i wybrał numer jej telefonu. Był środowy wieczór, w country clubie niewiele się działo. Rebecca była oczywiście w domu. Po trzech dzwonkach powiedziała: „halo”, i brzmienie jej głosu odebrało mu siły.

– Cześć, mówi Clay – rzekł, starając się, by zabrzmiało to beztrosko. Milczenie przez sześć miesięcy, ale lody zostały przełamane natychmiast.

– Cześć, nieznajomy – odparła. Serdecznie.

– Jak się masz?

– Doskonale, jestem jak zawsze zajęta. A ty?

– Ja też. Jestem w Nowym Jorku, zawieram ugody w paru sprawach.

– Słyszałam, że u ciebie wszystko idzie dobrze.

Niedomówienie.

– Nieźle. Nie mogę narzekać. Jak twoja praca?

– Zostało mi jeszcze sześć dni.

– Odchodzisz?

– Tak. Wiesz, że jest wesele.

– Tak, słyszałem. Kiedy?

– Dwudziestego grudnia.

– Nie dostałem zaproszenia.

– Bo go nie wysłałam. Nie sądziłam, że chciałbyś przyjść.

– Prawdopodobnie nie. Jesteś pewna, że chcesz wyjść za mąż?

– Porozmawiajmy o czymś innym.

– Tak naprawdę niczego innego nie ma.

– Spotykasz się z kimś?

– Kobiety wprost uganiają się za mną. Gdzie poznałaś tego gościa?

– I kupiłeś dom w Georgetown?

– To żadna nowość. – Był zachwycony, że Rebecca o tym wie. Chyba zainteresował ją jego nowy sukces. – Ten gość to gnida – dodał.

– Daj spokój, Clay. Bądźmy dla siebie mili.

– To gnida i dobrze o tym wiesz, Rebecco.

– Kończę rozmowę.

– Nie wychodź za niego. Krążą pogłoski, że jest gejem.

– Jest gnidą. Jest gejem. Kim jeszcze? Wyrzuć z siebie wszystko, Clay, a poczujesz się lepiej.

– Nie rób tego. Twoi rodzice pożrą go żywcem. A w dodatku twoje dzieci będą do niego podobne. Banda małych gnid.

Przerwała połączenie.

Clay wyciągnął się na łóżku i gapił w sufit, wciąż słysząc głos Rebeki, z bolesną świadomością, jak bardzo za nią tęskni. I wtedy zaskoczył go natarczywy dzwonek telefonu. Dzwonił Patton French. Był w holu, limuzyna czekała. Kolacja i wino przez następne trzy godziny. Ktoś musiał to zrobić.

Rozdział 23

Wszyscy uczestnicy zobowiązali się do dochowania tajemnicy. Grube dokumenty zostały podpisane przez prawników zapewniających całkowitą dyskrecję, jeśli chodzi o negocjacje i ugodę w sprawie dyloftu. Zanim opuścili Nowy Jork, Patton French oznajmił swojej grupie:

– W ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin napiszą o tym gazety. Szefowie Philo Products ujawnią to i ich akcje pójdą w górę.

Następnego ranka „Wall Street Journal" wydrukował artykuł, oczywiście całą winą obarczono palestrę. SPECJALIŚCI OD ZBIOROWYCH ROSZCZEŃ ODSZKODOWAWCZYCH WYMUSZAJĄ SZYBKĄ UGODĘ W SPRAWIE DYLOFTU – głosił nagłówek. Nieujawnione źródła miały sporo do powiedzenia. Szczegóły się zgadzały. Na pierwszą transzę wypłat odszkodowań miano utworzyć pulę wysokości dwóch i pół miliarda dolarów z ewentualną rezerwą w postaci półtora miliarda na poważniejsze przypadki.

Notowania akcji Philo Products wyniosły na otwarciu sesji osiemdziesiąt dwa dolary i szybko skoczyły do osiemdziesięciu pięciu. Pewien analityk stwierdził, że inwestorzy z ulgą przyjęli wiadomość o ugodzie, dzięki której firma będzie mogła ograniczyć koszty sporu prawnego. Żadnych przedłużających się procesów ani groźby wysokich wyroków. Adwokaci zostali powstrzymani i nieujawnione źródła z Philo Products uznały to za zwycięstwo. Clay śledził wszystkie te wieści na ekranie telewizora w swoim gabinecie.

Odpowiedział również na telefony reporterów. O jedenastej przybył wraz z fotografem jeden z „Wall Street Journal". Podczas przygotowań do wywiadu Clay zorientował się, że reporter wie o ugodzie tak dużo jak on.

– Te sprawy zawsze wychodzą na jaw – powiedział dziennikarz. – Wiedzieliśmy, w którym hotelu się ukrywacie.

Prywatnie Clay odpowiedział na wszystkie pytania, po czym, już oficjalnie, nie chciał komentować zawartej ugody. Przekazał jednak trochę informacji na temat swojego błyskawicznego awansu z nizin BOP-u na adwokata zarabiającego miliony na pozwach zbiorowych, a wszystko to w ciągu zaledwie kilku miesięcy, na temat imponującej kancelarii, którą tworzy, i tak dalej. Widział, jak artykuł przybiera kształt – kształt bardzo efektowny.

Nazajutrz przeczytał go w internecie przed wschodem słońca. Na jednym z tych okropnych szkiców, które spopularyzował „Wall Street Journal", ujrzał swoją twarz,

a tuż nad nią tytuł: KRÓL ODSZKODOWAŃ: OD 40 tys. DO 100 mln w PÓŁ ROKU. Poniżej zamieszczono podtytuł: *Warto kochać prawo!*

Artykuł był bardzo długi i w całości poświęcony Clayowi. Jego przeszłość, dorastanie w Waszyngtonie, ojciec, wydział prawa Uniwersytetu Georgetown, obszerne wypowiedzi Glendy i Jarmaine'a, komentarz jakiegoś profesora, o którym zdążył już zapomnieć, krótka rekapitulacja sprawy dyloftu. Najlepszą częścią tekstu była przydługa dyskusja z Pattonem Frenchem, w której *ten osławiony specjalista od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych* określił Claya Cartera mianem *naszej najjaśniejszej wschodzącej gwiazdy*, człowieka *nieustraszonego* oraz *ważnej nowej postaci, z którą należy się liczyć. Korporacyjna Ameryka powinna drżeć na dźwięk jego nazwiska* – ciągnął w górnolotnym stylu. I wreszcie: *Clay to bez wątpienia najnowszy król odszkodowań.*

Clay przeczytał artykuł dwa razy, po czym przesłał pocztą elektroniczną Rebecce z dopiskiem u góry i na dole: *Rebecco, zaczekaj, proszę. Clay*. Wysłał go do jej domu i biura, a przy okazji przefaksował tekst artykułu do biur Grupy BVH. Do ślubu został miesiąc.

Gdy w końcu przybył do biura, panna Glick wręczyła mu stos wiadomości – blisko połowę od przyjaciół z wydziału prawa, którzy prosili żartobliwie o pożyczki, a resztę od różnych dziennikarzy. W biurze panował większy chaos niż zwykle. Paulette, Jonah i Rodney jeszcze nie zeszli na ziemię i byli rozkojarzeni. Wszyscy klienci zażądali tego dnia przyznanych im w ugodzie pieniędzy.

Na szczęście Oddział Yale pod kierunkiem Oscara Mulrooneya, który dowiódł swojej błyskotliwości, stanął na wysokości zadania i stworzył plan przetrwania do momentu finalizacji ugody. Clay przeniósł Mulrooneya do gabinetu w głębi korytarza, podwoił mu pensję i powierzył odpowiedzialność za ten bałagan.

Potrzebował chwili wytchnienia.

Ponieważ paszport Jarretta Cartera został po cichu skonfiskowany przez amerykański Departament Sprawiedliwości, jego zdolność podróżowania była trochę ograniczona. Nie był nawet pewny, czy mógłby wrócić do kraju, chociaż przez sześć lat nigdy nie próbował. Niepisana umowa, dzięki której wyjechał, unikając aktu oskarżenia, wielu spraw nie precyzowała.

– Lepiej trzymajmy się Bahamów – powiedział synowi przez telefon.

Wyruszyli z Abaco na pokładzie cessny citation V, kolejnej zabawki z floty powietrznej odkrytej przez Claya. Zmierzali do odległego o pół godziny lotu Nassau. Jarrett zaczekał, aż znajdą się w powietrzu, po czym rzekł:

– No dobra, mów, co przeskrobałeś. – Carter senior popijał już piwo. Miał na sobie postrzępione szorty, sandały i starą czapkę rybacką – prawdziwy ekspatriant wygnany na wyspy i wiodący żywot pirata.

Clay też otworzył sobie piwo, po czym rozpoczął opowieść od tarvanu, a skończył na dylofcie. Jarrett słyszał pogłoski o sukcesach syna, ale nie czytał gazet i starał się jak

tylko mógł ignorować wszelkie wieści z kraju. Próbując przetrawić myśl o reprezentowaniu pięciu tysięcy klientów naraz, sięgnął po kolejne piwo.

Informacja o stu milionach dolarów honorarium sprawiła, że zamknął oczy, twarz mu pobladła, a w każdym razie przybrała jaśniejszy odcień brązu, na szorstkim czole pojawiły się głębokie zmarszczki. Pokręcił głową, wypił trochę piwa, po czym zaczął się śmiać.

Clay nie przerywał, zdecydowany zakończyć opowieść, zanim wylądują.

– Co robisz z tą forsą? – zapytał Jarrett, nadal w szoku.

– Wydaję jak szalony.

Przed lotniskiem w Nassau znaleźli taksówkę, żółtego cadillaca model 1974 z kierowcą palącym trawkę. Dowiózł ich bezpiecznie do wychodzącego na port i mieszczącego kasyno hotelu Sunset na Paradise Island.

Jarrett ruszył do stolików do gry w blackjacka z pięcioma tysiącami w gotówce, które dostał od syna. Clay zaś poszedł szukać basenu i kremu do opalania. Potrzebował słońca i widoku kobiecych ciał w bikini.

* * *

Łódź była sześćdziesięciotrzystopowym katamaranem zbudowanym przez twórcę pięknych jachtów z Fort Lauderdale. Kapitan i sprzedawca – stary zrzędliwy Brytyjczyk o nazwisku Maltbee, któremu pomagał wychudły bahamski majtek – warczał i wprowadzał zamieszanie, dopóki nie wypłynęli z portu w Nassau na wody zatoki. Zmierzali ku południowym brzegom kanału, płynąc przez pół dnia w jaskrawym świetle i na spokojnych wodach w długim rejsie próbnym łodzi, która zdaniem Jarretta pozwoliłaby zarabiać prawdziwe pieniądze.

Gdy silnik został wyłączony i postawiono żagle, Clay zszedł na dół, aby uważnie obejrzeć mesę, która mogła ponoć pomieścić osiem osób plus dwuosobową załogę. Ciasne lokum, lecz z drugiej strony wszystko tu miało niewielkie rozmiary. Kabina prysznicowa była zbyt mała, żeby się w niej obrócić. Główna kajuta zmieściłaby się w najmniejszej szafie wnękowej w jego domu. Życie na pokładzie jachtu.

Według Jarretta na łowieniu ryb nie da się zarabiać. Klienci trafiają się sporadycznie. Żeby osiągnąć zyski, należy codziennie wynajmować łódź, co oznacza ciężką pracę. Trudno znaleźć majtków, klienci nie płacą wystarczająco wysokich napiwków. Choć na ogół zachowują się znośnie, zdarza się wielu okropnych, odbierających przyjemność z pracy. Jarrett od pięciu lat był kapitanem łodzi na wynajem i dawało mu się to we znaki.

Prawdziwe pieniądze zarabia się na czarterowaniu własnych jachtów małym grupom bogatych ludzi, którzy chcą pracować, a nie wypoczywać. Żeglarzom amatorom. Wsiądź na dobrą łódź – własną, najlepiej nieobciążoną prawem zastawu – i żegluj przez

miesiąc po Morzu Karaibskim. Jarrett miał znajomego z Freeport, który od lat pływał dwiema takimi łodziami i zarabiał sporo forsy. Klienci nanosili na mapę kurs, wybierali czas i trasę rejsu, jadłospis oraz alkohole i wyruszali na miesiąc w morze z kapitanem i pierwszym oficerem na pokładzie.

– Dziesięć tysięcy dolców na miesiąc – wyjaśnił Jarrett. – A w dodatku żeglujesz, cieszysz się wiatrem, słońcem i morzem, podróżą donikąd. Inaczej niż przy połowie ryb, gdy trzeba złapać wielkiego marlina, bo inaczej wszyscy są wściekli.

Kiedy Clay wyszedł z mesy, Jarrett stał przy sterze z miną tak beztroską, jakby od lat sterował pięknymi jachtami. Clay przeszedł dalej i położył się w słońcu na pokładzie.

Złapali wiatr i jacht zaczął pruć dziobem taflę wody kursem na wschód wzdłuż brzegu zatoki. Nassau niknęło w oddali. Clay rozebrał się do szortów i posmarował kremem. Miał właśnie zapaść w drzemkę, gdy niepostrzeżenie zjawił się obok Maltbee.

– Pański ojciec twierdzi, że forsy panu nie brakuje. – Oczy kapitana były ukryte za grubymi szkłami okularów przeciwsłonecznych.

– Chyba ma rację – przyznał Clay.

– To łódź warta cztery miliony dolarów, praktycznie nowa, jedna z najlepszych, jakie mamy. Zbudowana dla właściciela firmy internetowej, który stracił pieniądze szybciej, niż je zarobił. Moim zdaniem nie on jeden, niestety. Na rynku panuje zastój. Oddamy ją za trzy miliony. To prawie za darmo. Jeżeli zgodnie z tutejszym prawem zarejestruje pan ją jako własność firmy czarterowej, to będzie można zastosować rozmaite sztuczki podatkowe. Nie potrafię panu wyjaśnić, na czym polegają, ale mamy w Nassau prawnika, który zajmuje się papierkową robotą. Jeżeli uda się go zdybać trzeźwego.

– Też jestem prawnikiem.

– To dlaczego jesteś pan trzeźwy?

Ha, ha, ha – obaj zdobyli się na wymuszony śmiech.

– Co z amortyzacją? – zapytał Clay.

– Trudna, bardzo trudna sprawa, ale to znowu problem dla was, prawników. Ja jestem tylko sprzedawcą. Myślę jednak, że pańskiemu ojcu podoba się ten jacht. Takie łodzie cieszą się sporym wzięciem na trasach stąd na Bermudy i do Ameryki Południowej. Będzie przynosić zyski.

Tak twierdzi sprzedawca, w dodatku kiepski. Gdyby Clay kupił łódź dla ojca, marzyłby tylko o tym, by nie przynosiła strat i nie stała się workiem bez dna. Maltbee zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Trzy dni później Clay podpisał umowę kupna jachtu za dwa miliony dziewięćset tysięcy dolarów. Prawnik, który rzeczywiście nie był całkiem trzeźwy podczas obu spotkań z Clayem, zarejestrował firmę wyłącznie na Jarretta. Łódź stanowiła dar syna dla ojca, cenny nabytek, który miał być ukryty na Bahamach, podobnie jak sam Jarrett.

Ostatniego wieczoru w Nassau, przy kolacji w obskurnej knajpie pełnej handlarzy narkotyków, oszustów podatkowych i ludzi uchylających się przed płaceniem alimen-

tów, niemal bez wyjątku Amerykanów, Clay połamał nogi leżącego na talerzu kraba i w końcu zadał pytanie, które od tygodni chodziło mu po głowie:

– Czy jest szansa, byś mógł kiedyś wrócić do Stanów?

– Po co?

– Po to, by praktykować prawo. By być moim wspólnikiem. By znowu się procesować i dawać popalić złoczyńcom.

Jarrett uśmiechnął się w odpowiedzi. Myśl o współpracy z synem. Sama świadomość, że Clay chce, aby wrócił do kancelarii, do zajęcia godnego szacunku. Chłopak żył w mroku niesławy, w jakiej odszedł jego ojciec. Zważywszy jednak na niedawne sukcesy Claya, ten mrok z pewnością się rozproszył.

– Wątpię. Zrzekłem się licencji i obiecałem nie pokazywać się w kraju.

– Ale czy chciałbyś wrócić?

– Może po to, żeby oczyścić swoje imię, ale nie po to, by znowu pracować w zawodzie. Dźwigam zbyt duży bagaż, wokół czyha za dużo dawnych wrogów. Mam pięćdziesiąt pięć lat, a to trochę późno na start.

– Gdzie będziesz mieszkał za dziesięć lat?

– Nie myślę w ten sposób. Nie jestem zwolennikiem spoglądania w kalendarz, sporządzania harmonogramów i list rzeczy do zrobienia. Wyznaczanie celów to taki idiotyczny amerykański nawyk. Nie dla mnie. Ja staram się przeżyć dzień dzisiejszy, może zastanowić się nad jutrem, to wszystko. Robienie planów na przyszłość jest absurdalne.

– Przepraszam, że spytałem.

– Żyj chwilą, synu. Jutro samo zatroszczy się o siebie. Mam wrażenie, że masz teraz pełne ręce roboty.

– Ta forsa powinna mi zapewnić stałe zajęcie.

– Nie schrzań tego, synu. Wiem, że to wydaje się niemożliwe, ale sam się zdziwisz. Niebawem wszędzie pojawią się nowi znajomi. Kobiety będą spadały z nieba.

– Kiedy?

– Tylko poczekaj. Kiedyś przeczytałem książkę… *Fool's Gold*, czy jakiś podobny tytuł. Kolejne opowieści o wielkich fortunach, które potracili ich zidiociali posiadacze. Fascynująca lektura. Zdobądź egzemplarz.

– Chyba sobie daruję.

Jarrett włożył do ust krewetkę i zmienił temat:

– Masz zamiar pomóc matce?

– Raczej nie. Ona nie potrzebuje pomocy. Jej mąż jest zamożnym człowiekiem, pamiętasz?

– Kiedy z nią rozmawiałeś?

– Tato, minęło jedenaście lat. Dlaczego cię to obchodzi?

– Po prostu jestem ciekawy. Dziwna sprawa. Żenisz się z kobietą, mieszkasz z nią przez ćwierć wieku i czasem się zastanawiasz, co ona robi.

– Pogadajmy o czymś innym.

– O Rebecce?

– Następne pytanie.

– Chodźmy zagrać w kości. Zaoszczędziłem cztery tysiące baksów.

Gdy Ted Worley z Upper Marlboro w stanie Maryland otrzymał grubą kopertę z kancelarii prawniczej J. Claya Cartera II, natychmiast ją otworzył. Wcześniej widział rozmaite doniesienia o ugodzie zawartej w sprawie dyloftu. Skrupulatnie przeglądał stronę internetową, czekając na sygnał, że już pora odebrać pieniądze uzyskane od Ackerman Labs.

List zaczynał się od słów:

Szanowny Panie! Gratulujemy. Pańskie roszczenie wobec Ackerman Labs zostało uznane w ramach ugody w Sądzie Stanowym dla Okręgu Południowego Missisipi. Przypadająca Panu jako powodowi z grupy pierwszej część odszkodowania wynosi sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów. Zgodnie z umową na świadczenie usług prawnych, zawartą przez Pana i naszą kancelarię, stosuje się dwudziestoośmioprocentowe odliczenie na honoraria adwokackie. Dodatkowo sąd zatwierdził potrącenie sumy tysiąca czterystu dolarów tytułem kosztów postępowania. Pańskie odszkodowanie netto wynosi zatem czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów. Proszę podpisać dołączone formularze porozumienia i przyjęcia warunków ugody i odesłać je bezzwłocznie w załączonej kopercie. Z poważaniem, Oscar Mulrooney, adwokat.

– Za każdym cholernym razem inny prawnik – mruknął Worley, przerzucając kartki. Była wśród nich kopia nakazu sądowego zatwierdzającego ugodę, zawiadomienie adresowane do wszystkich powodów z grupy pierwszej oraz jakieś inne dokumenty, na których lekturę nagle stracił ochotę.

Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów! To jest ta wielka suma, którą otrzyma od nikczemnych szefów giganta farmaceutycznego, z premedytacją wprowadzających na rynek lek skutkujący powstaniem czterech guzów w jego pęcherzu moczowym? Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów za tyle miesięcy strachu, stresu i niepewności, czy przeżyje? Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów za mękę podczas wsuwania mikroskopijnego skalpela i cystoskopu w rurce przez prącie do pęcherza, gdzie cztery nowotwory zostały kolejno wycięte i wyciągnięte przez prącie? Czterdzieści trzy tysiące dwieście czterdzieści dolarów za trzy dni krwiomoczu?

Aż się skrzywił na to wspomnienie.

Dzwonił sześć razy, zostawił sześć pilnych wiadomości i czekał sześć godzin, aż Mulrooney odpowie na jego telefon.

– Kim pan, u diabła, jest? – zaczął miło Worley.

Oscar Mulrooney w ciągu ostatnich dziesięciu dni stał się specjalistą od załatwiania takich telefonów. Wyjaśnił, że jest adwokatem prowadzącym sprawę pana Worleya.

– Ta ugoda to jakiś żart! – stwierdził Worley. – Czterdzieści trzy tysiące dolarów to

grabież!

– Pańskie odszkodowanie wynosi sześćdziesiąt dwa tysiące, panie Worley – przypomniał Oscar.

– Dostanę czterdzieści trzy, synu.

– Nie, dostanie pan sześćdziesiąt dwa. Zgodził się pan przekazać jedną trzecią tej sumy swojemu adwokatowi, bez którego nie dostałby pan ani centa. Ugoda zmniejszyła ten odsetek do dwudziestu ośmiu procent. Większość prawników potrąca czterdzieści pięć bądź pięćdziesiąt procent.

– Cóż, szczęściarz ze mnie, ale nie wyrażam na to zgody.

Na co Oscar zaprezentował krótką i dobrze wyćwiczoną opowieść o tym, że Ackerman Labs mogły zapłacić tylko tyle, nie ogłaszając bankructwa, w którym to wypadku Worley dostałby jeszcze mniej, o ile w ogóle coś by dostał.

– To miłe – rzekł Worley. – Ale ja nie zaakceptuję tej ugody.

– Nie ma pan wyboru.

– Raczy pan żartować.

– Proszę spojrzeć na umowę na świadczenie usług prawnych, panie Worley. To strona jedenasta w pakiecie, który pan otrzymał. Ustęp ósmy nazywa się *Wstępne upoważnienie*. Niech pan go przeczyta, a zobaczy pan, że upoważnił pan naszą kancelarię do zawarcia ugody na sumę powyżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Pamiętam o tym, ale przedstawiono mi ją jako punkt wyjścia. Oczekiwałem znacznie więcej.

– Pańskie odszkodowanie zostało już zatwierdzone przez sąd. Tak właśnie funkcjonują pozwy zbiorowe. Jeżeli nie podpisze pan formularza przyjęcia warunków ugody, pańska część pozostanie w puli i w końcu przypadnie komuś innemu.

– Jesteście bandą oszustów, zdaje pan sobie z tego sprawę? Nie wiem, kto jest gorszy, firma, która wyprodukowała ten lek, czy moi adwokaci, którzy oszukańczo pozbawiają mnie godziwego odszkodowania.

– Przykro mi, że tak pan uważa.

– Wcale nie jest panu przykro. W gazecie piszą, że dostaniecie sto milionów dolców. Złodzieje!

Pan Worley cisnął słuchawkę na widełki i rozrzucił dokumenty po całej kuchni.

Rozdział 24

Okładka grudniowego numeru „Capitol Magazine” przedstawiała opalonego i całkiem przystojnego Claya Cartera, który ubrany w garnitur od Armaniego przysiadł na brzegu biurka w swoim wytwornie urządzonym gabinecie. Przygotowany w gorączkowym pośpiechu materiał w ostatniej chwili zastąpił w świątecznym wydaniu zwyczajowy artykuł zatytułowany *Boże Narodzenie nad Potomakiem*, w którym bogaty sędziwy senator i jego najnowsza młoda żona pokazali wszystkim nową prywatną rezydencję w Waszyngtonie. Małżeństwo, świąteczny wystrój domu, koty i ulubione przepisy trafiły do środka numeru, ponieważ stolica była zawsze i przede wszystkim miastem pieniędzy i władzy. Jak często trafia się szansa opublikowania niesamowitej historii młodego prawnika bez grosza przy duszy, który tak szybko się wzbogacił?

Czytelnicy zobaczyli więc Claya na patiu domu, z psem pożyczonym od Rodneya, Claya pozującego obok ławy przysięgłych w pustej sali rozpraw, w roli adwokata uzyskującego surowe wyroki dla złoczyńców oraz, oczywiście, Claya myjącego swoje nowe porsche. Wyznał, że jego pasją jest żeglarstwo, a w porcie na Bahamach czeka nowy jacht. Ponieważ obecnie nie był z nikim związany, w artykule natychmiast uznano go za jednego z najlepszych kawalerów do wzięcia.

Pod koniec numeru zamieszczono zdjęcia panien młodych, a po nich zapowiedzi ślubów. Wszystkie młode damy i dziewczęta z prywatnych szkół marzyły o chwili, gdy trafią na łamy „Capital Magazine”. Format zdjęcia świadczył o znaczeniu rodziny. Zdarzało się, że ambitne matki brały linijkę i mierzyły zdjęcia swoich córek oraz ich konkurentek, po czym albo triumfowały, albo przez lata chowały urazę.

Była wśród nich fotografia wyglądającej olśniewająco Rebeki Von Horn siedzącej na wiklinowej ławce w jakimś ogrodzie. Piękne zdjęcie psuło oblicze pana młodego i jej przyszłego małżonka, pana Jasona Shuberta Myersa IV, który tulił się do niej i najwyraźniej znajdował przyjemność w pozowaniu. Śluby są dla panien, nie dla panów młodych. Dlaczego nalegali, by ich twarze towarzyszyły zapowiedziom?

Bennett i Barbara użyli swoich wpływów i zapowiedź ślubu Rebeki była drugą największą spośród mniej więcej tuzina. Sześć stron dalej Clay ujrzał pełnostronicową reklamę Grupy BVH. Łapówka.

Upajał się myślą o tym, jakie przygnębienie w domu Van Hornów wywołał artykuł o nim. Ślub Rebeki, wielki towarzyski jubel, w który Bennett i Barbara mogli wpompować pieniądze i zaimponować światu, został właśnie przyćmiony przez ich dawnego gnębiciela. Ile razy zapowiedź ślubu ich córki miała trafić na łamy „Capitol Magazine”?

Jak usilnie się starali dopilnować, by została należycie wyeksponowana? I wszystko to zniweczyła wrzawa wokół Claya.

A przecież jeszcze nie ucichła.

* * *

Jonah już oznajmił, że rzeczywiście może się wycofać. Spędził dziesięć dni na Małych Antylach nie z jedną, lecz z dwiema dziewczynami, i gdy wrócił do Waszyngtonu we wczesnogrudniowej śnieżycy, wyznał Clayowi, że jest mentalnie i psychicznie niezdolny do dalszego uprawiania prawniczej profesji. Więcej nie może znieść. Jego kariera prawnika dobiegła końca. Rozważał też kupno jachtu. Znalazł dziewczynę, która bardzo lubi żeglować, a ponieważ jest zdołowana nieudanym małżeństwem, ona także musi spędzić sporo czasu na morzu. Jonah pochodził z Annapolis i w odróżnieniu od Claya żeglował przez całe życie.

– Potrzebuję jakiejś laluni, najlepiej blondynki – rzekł Carter, sadowiąc się w fotelu naprzeciwko biurka Jonaha. Drzwi jego gabinetu były zamknięte na klucz. Była środa, po osiemnastej, i Jonah zdążył już otworzyć pierwszą butelkę piwa. Osiągnęli kompromis w sprawie niepisanej reguły, że do osiemnastej picia nie ma. W przeciwnym razie Jonah zaczynałby tuż po lunchu.

– Najbardziej pożądany kawaler w mieście ma kłopot z podrywaniem lasek?

– Wypadłem z obiegu. Wybieram się na ślub Rebeki i potrzebna mi babka, która skupi na sobie całą uwagę.

– Och, to wspaniały pomysł – stwierdził Jonah, śmiejąc się i sięgając do szuflady biurka. Tylko on prowadził rejestr kobiet. Przekopał się przez jakieś papiery i znalazł to, czego szukał. Cisnął na biurko złożoną gazetę z reklamą damskiej bielizny jakiegoś domu towarowego. Olśniewająca młoda bogini poniżej talii nie miała na sobie właściwie niczego i ledwo zasłaniała piersi skrzyżowanymi rękami. Clay pamiętał poranek, gdy po raz pierwszy ukazała się ta reklama. Było to przed czterema miesiącami.

– Znasz ją?

– Oczywiście. Myślisz, że trzymam reklamy bielizny damskiej tylko po to, żeby się podniecać?

– Nie byłbym zaskoczony.

– Ma na imię Ridley. Pod takim przynajmniej występuje.

– Mieszka w Waszyngtonie? – Clay wciąż gapił się na oszałamiającą piękność, której czarno-białe zdjęcie trzymał w ręce.

– Jest nietutejsza.

– O, dziewczyna z Południa?

– Nie, Rosjanka. Pochodzi z Gruzji. Przyjechała w ramach wymiany studenckiej i została.

– Wygląda na osiemnaście lat.
– Ma dwadzieścia parę.
– Ile ma wzrostu?
– Prawie metr osiemdziesiąt.
– Odnoszę wrażenie, że same nogi tyle mają.
– Masz zastrzeżenia?
Próbując udawać lekką nonszalancję, Clay rzucił gazetę na biurko.
– Jakieś wady?
– Tak, ponoć nie jest wybredna.
– To znaczy?
– Lubi chłopców i dziewczyny.
– Au!
– Brak dowodów, ale wiele modelek działa na dwa fronty.
O ile wiem, to może być tylko pogłoska.
– Przecież się z nią spotykałeś.
– Nie. To przyjaciółka znajomego. Jest na mojej liście. Właśnie czekałem na potwierdzenie. Spróbuj. Nie spodoba ci się, znajdziemy inną.
– Możesz do niej zadzwonić?
– Jasne, nie ma sprawy. Teraz, gdy jesteś chłopcem z okładki, najlepszą partią, królem odszkodowań, będzie na każde skinienie. Ciekawe, czy w Gruzji wiedzą, co znaczy odpowiedzialność deliktowa?
– Jeśli mają szczęście, to nie. Po prostu zadzwoń.

* * *

Spotkali się na kolacji w restauracji miesiąca, japońskim lokalu, którego stałymi klientami byli ludzie młodzi i zamożni. Ridley na żywo wyglądała jeszcze lepiej niż na zdjęciu. Gdy prowadzono ich na środek sali i sadzano przy bardzo dużym stoliku, goście oglądali się za nią. Rozmowy urywały się w pół zdania. Zaroiło się od kelnerów. Mimo lekkiego akcentu jej angielszczyzna była nienaganna i na tyle egzotyczna, by przydać jej zmysłowości, jakby tego potrzebowała.

Używane ciuchy z pchlego targu wyglądałyby na niej doskonale. Jej prowokacja polegała na niezbyt starannym stroju, aby ubranie nie odwracało uwagi od jasnych włosów, przejrzystych oczu, wysokich kości policzkowych i reszty idealnych rysów.

Naprawdę nazywała się Ridal Petashnakol i zanim Clay zrozumiał, musiała powtórzyć nazwisko. Na szczęście modelki, podobnie jak piłkarze, mogły przetrwać na rynku, posługując się tylko imieniem, występowała więc po prostu jako Ridley. Nie piła alkoholu i zamiast niego poprosiła o sok żurawinowy. Clay miał nadzieję, że nie zamówi na kolację półmiska marchewki.

Ona miała urodę, on pieniądze, a ponieważ nie mogli mówić ani o jednym, ani o drugim, miotali się przez kilka minut na głębokiej wodzie, szukając bezpiecznego gruntu. Ridley nie była Rosjanką, lecz Gruzinką, i w ogóle nie interesowała się polityką, terroryzmem ani futbolem. Ach, filmy! Widziała wszystkie i wszystkie bardzo jej się podobały. Nawet okropne, których nikt inny nie oglądał. Ridley lubiła szczególnie te, które zrobiły klapę, i Clay zaczął mieć wątpliwości.

To tylko zwykła lalunia, pomyślał. Teraz kolacja, później ślub Rebeki i pozostanie po niej tylko wspomnienie.

Ridley znała pięć języków, ponieważ były to jednak w większości języki wschodnioeuropejskie, w życiu na pełnych obrotach wydawały się raczej bezużyteczne. Ku wielkiej uldze Claya zamówiła dwa dania oraz deser. Rozmowa nie była łatwa, ale oboje bardzo się starali. Wywodzili się z bardzo różnych środowisk. Jego prawnicza natura domagała się gruntownego przesłuchania świadka, poznania prawdziwego nazwiska, wieku, grupy krwi, zawodu ojca, wysokości pensji, doświadczeń małżeńskich i seksualnych – czy to prawda, że jesteś biseksualna? Zdołał się jednak pohamować i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Raz czy dwa razy próbował coś uszczknąć, lecz bez powodzenia, i wrócił do filmów. Ridley znała wszystkich dwudziestoletnich aktorów kina klasy B i ich aktualne sympatie – nudziło go to strasznie, ale z drugiej strony nie aż tak, jak rozmowa zgrai prawników o najnowszych zwycięstwach procesowych lub ugodach w sprawie afer z toksycznymi substancjami.

Dopił wino i się rozluźnił. Zamówił czerwonego burgunda. Patton French byłby z niego dumny. Gdyby tylko jego kumple od pozwów zbiorowych mogli teraz zobaczyć, jak siedzi naprzeciwko tej lalki Barbie.

Jedynym minusem była ta paskudna pogłoska. Przecież Ridley w żadnym razie nie może lubić kobiet. Jest istotą zbyt doskonałą, zbyt wyjątkową, zbyt pociągającą dla płci przeciwnej. Stworzona do roli młodej żony! Miała jednak w sobie coś, co sprawiało, że nie potrafił wyzbyć się podejrzeń. Gdy minęło początkowe oszołomienie jej urodą, a trzeba było do tego co najmniej dwóch godzin i jednej butelki wina, Clay zdał sobie sprawę, że ślizga się po powierzchni. Więc albo Ridley brakuje głębi, albo starannie broni do niej dostępu.

Przy deserze, musie czekoladowym, którym się bawiła, lecz którego w końcu nie zjadła, zaprosił ją na przyjęcie weselne. Wyznał, że panna młoda jest jego dawną narzeczoną, ale skłamał, mówiąc, że są teraz w przyjaznych stosunkach. Ridley wzruszyła ramionami, jakby wolała pójść do kina, i powiedziała:

– Czemu nie?

* * *

Wizyta w Potomac Country Clubie była dla Claya ciężkim przeżyciem. Ostatni raz

odwiedził to przeklęte miejsce – męcząca kolacja z rodzicami Rebeki – ponad siedem miesięcy temu. Wtedy ukrył swoją starą hondę za kortami tenisowymi. Teraz popisywał się świeżo wymytym porsche carrerą. Wtedy uniknął odstawienia samochodu na parking przez obsługę, żeby zaoszczędzić pieniądze, teraz wynagrodził chłopaka dużym napiwkiem. Wtedy był sam i bał się następnych kilku godzin z Van Hornami, teraz towarzyszył nieocenionej Ridley, która trzymała go pod rękę i krzyżowała nogi w taki sposób, że rozcięcie w jej spódnicy ukazywało wszystko aż po talię. Gdziekolwiek byli w tym momencie jej rodzice, nie mieszali się do jego życia. Wtedy czuł się jak włóczęga na poświęconej ziemi, teraz zarząd z dnia na dzień zaaprobowałby jego podanie o przyjęcie do klubu, gdyby tylko wypisał czek na odpowiednią sumę.

– Przyjęcie weselne Van Hornów – powiedział do ochroniarza, który dał mu znak ręką, by szedł dalej.

Dotarli na miejsce godzinę spóźnieni, czyli w idealnym momencie. Sala balowa była pełna, do tańca przygrywał zespół rhythmandbluesowy.

– Nie zostawiaj mnie – szepnęła Ridley, gdy wchodzili do środka. – Nikogo tu nie znam.

– Nie obawiaj się – odparł Clay. Spełnienie jej życzenia nie powinno stanowić problemu. Choć udawał, że jest inaczej, też nikogo tu nie znał.

Głowy zebranych mężczyzn zaczęły się natychmiast odwracać. Opadły im szczęki. Po wypiciu kilku głębszych bez żenady gapili się na Ridley, gdy ona i jej towarzysz powoli sunęli przez salę.

– Hej, Clay! – krzyknął ktoś. Odwróciwszy się, Clay zobaczył uśmiechniętą twarz Randy'ego Spina, kolegi z wydziału prawa, który pracował w jakiejś wielkiej kancelarii i w normalnych okolicznościach nigdy by się do Cartera nie odezwał. Przy okazji przypadkowego spotkania na ulicy być może zapytałby: „Jak leci?", nie zwalniając kroku. Ale nie w gronie klubowiczów, zwłaszcza takim, w którym dominowali osobnicy z dużych kancelarii.

I oto on, wyciągający rękę do Claya i równocześnie szczerzący zęby do Ridley. Za nim nadciągnęła niewielka paczka jego znajomych. Spino wziął sprawy w swoje ręce, przedstawiając swojemu przyjacielowi Clayowi Carterowi oraz Ridley bez nazwiska wszystkich przyjaciół. Ridley jeszcze mocniej przywarła do Claya. Chłopcy, bez wyjątku, pragnęli się z nią przywitać.

Żeby jednak zbliżyć się do Ridley, musieli pogawędzić z Clayem, więc już po kilku sekundach ktoś powiedział:

– Clay, gratuluję przyparcia Ackerman Labs do muru. – Clay nigdy wcześniej nie zetknął się z tym człowiekiem. Zakładał, że to jakiś prawnik, zapewne z dużej kancelarii, przypuszczalnie reprezentującej wielkie korporacje, takie jak Ackerman Labs. Zanim tamten skończył zdanie, Clay zrozumiał, że źródłem tej nieszczerej pochwały jest zawiść. Oraz chęć pogapienia się na Ridley.

– Dzięki – mruknął, jakby to był kolejny dzień w biurze.

– Sto milionów. No! no! – Ta twarz także należała do jakiegoś obcego, człowieka, który wydawał się pijany.

– Cóż, połowa i tak pójdzie na opłacenie podatków – odparł Clay. – Kto dzisiaj potrafi przeżyć za marne pięćdziesiąt milionów!

Tłum wybuchnął śmiechem, jakby Clay właśnie wygłosił najzabawniejszą puentę w dziejach świata. Wokół zebrało się więcej osób, sami mężczyźni, wszyscy przysuwający się powoli do uderzająco pięknej blondynki, która wyglądała nieco znajomo. Być może nie rozpoznali jej w pełnej krasie i ubraniu.

Jakiś wyniosły typ rzekł:

– Reprezentujemy Philo. O rany, ależ ucieszyła nas ugoda w sprawie tej afery z dyloftem. – Na tę dolegliwość cierpiała większość waszyngtońskich prawników. Każda korporacja na świecie zatrudniała w Waszyngtonie radcę prawnego, choćby nominalnie, tak więc wszystkie spory lub transakcje miały poważne konsekwencje dla środowiska miejscowych prawników. W Tajlandii wylatuje w powietrze jakaś rafineria, a prawnik mówi: „Taak, reprezentujemy Exxon". Wysokobudżetowy film robi klapę – „Disney to nasz klient". SUV się wywraca i w rezultacie ginie pięć osób – „Reprezentujemy Forda". Hasło „reprezentujemy" Clay usłyszał tyle razy, że w końcu miał dosyć.

Sam miał ochotę powiedzieć: „Reprezentuję Ridley, więc łapy przy sobie".

Z estrady coś ogłaszano i na sali zrobiło się ciszej. Zaraz miała zatańczyć młoda para, po niej panna młoda z ojcem, potem pan młody ze swoją matką i tak dalej. Goście weselni zebrali się, by ich oglądać. Zespół zaczął grać *Smoke Gets in Your Eyes.*

– Ona jest bardzo ładna – szepnęła tuż przy jego uchu Ridley. Rebecca rzeczywiście była bardzo ładna. I tańczyła z Jasonem Myersem, który – choć o dwa cale niższy – był dla niej jedyny na świecie. Gdy wirowali wolno po parkiecie, głównie dzięki pannie młodej, gdyż pan młody był sztywny jak manekin, uśmiechała się promiennie.

Clay miał ochotę ruszyć do ataku, rzucić się przez tłum i z zaskoczenia, z całej siły, jaką był w stanie z siebie wykrzesać, walnąć Myersa pięścią w twarz. Uratuje swoją dziewczynę, porwie ją i zastrzeli jej matkę, jeżeli Barbara Van Horn ich odnajdzie.

– Wciąż ją kochasz, prawda? – szepnęła Ridley.

– Nie, to już skończone – odpowiedział szeptem.

– Kochasz. Przecież widzę.

– Nie.

Nowożeńcy mieli dziś w nocy opuścić przyjęcie i skonsumować małżeństwo, chociaż znając Rebeccę, wiedział, że nie może się obyć bez seksu. Przypuszczalnie wzięła tę gnidę do łóżka i wyedukowała seksualnie. Szczęściarz z niego. Wszystko, czego nauczył ją Clay, przekaże teraz komuś innemu. To niesprawiedliwe.

Obserwowanie tych dwojga sprawiało mu ból i Clay zadał sobie pytanie, po co tu tkwi. Żeby zakończyć znajomość, cokolwiek to znaczy. Pożegnać się. Chciał jednak,

żeby Rebecca zobaczyła go z Ridley i żeby wiedziała, iż dobrze sobie radzi i za nią nie tęskni.

Przyglądanie się tańczącemu Bennettowi Buldożerowi było bolesne z innych powodów. Wyznawał on stworzoną przez białego człowieka teorię tańca bez poruszania stopami, a gdy spróbował kręcić pośladkami, muzycy zaczęli się śmiać. Policzki miał już purpurowe od nadmiaru whisky.

Jason Myers tańczył z teściową, która z oddali wyglądała tak, jakby zaliczyła kolejnych parę wizyt u taniego chirurga plastycznego. Wcisnęła się w suknię, która choć ładna, była o kilka numerów za mała, tak że nadmiar tłuszczu napinał ją w nieodpowiednich miejscach i wydawało się, że zaraz się wyleje, przyprawiając wszystkich o mdłości. Do nafaszerowanej botoksem twarzy miała przyklejony najbardziej fałszywy – dzięki botoksowi niepowodujący jednak żadnych zmarszczek – uśmiech, jaki kiedykolwiek zaprezentowała, a Myers szczerzył zęby, jakby oboje na zawsze mieli stać się bliskimi kumplami. Barb Van Horn wbijała mu już nóż w plecy, a on był zbyt głupi, by zdawać sobie z tego sprawę. Niestety, ona przypuszczalnie też o tym nie wiedziała. Taką po prostu miała paskudną naturę.

– Zatańczymy? – zapytał ktoś Ridley.

– Spadaj – warknął Clay, po czym zaprowadził ją na parkiet, gdzie tańczący tłum wirował w takt jakiejś całkiem niezłej muzyki w stylu motown. Jeżeli stojąca Ridley była dziełem sztuki, to Ridley w ruchu stanowiła skarb narodowy. Poruszała się w naturalnym rytmie i z pełną swobody gracją, a wydekoltowana suknia i rozcięcie w spódnicy odsłaniały niemal całe ciało. Mężczyźni łączyli się w grupki, żeby ją oglądać.

Oglądała również Rebecca. Przerywając taniec, by pogawędzić z gośćmi, zauważyła nagłe poruszenie i spojrzała na tańczący tłum, w którym spostrzegła Claya pląsającego z fantastyczną dziewczyną. Ona także była oszołomiona widokiem Ridley, tyle że z innych powodów. Gawędziła jeszcze przez chwilę, po czym wróciła na parkiet.

Tymczasem Clay śledził ją obłąkanym wzrokiem, ani na moment nie wypadając z tanecznego rytmu. Piosenka się skończyła, zaczął się wolny kawałek i wtedy Rebecca wkroczyła między nich.

– Cześć, Clay – powiedziała, ignorując jego partnerkę. – Może zatańczymy?

– Oczywiście – odparł. Ridley wzruszyła ramionami i się odsunęła. Stała sama zaledwie przez sekundę, po czym ze wszystkich stron rzucili się ku niej mężczyźni. Wybrała najwyższego, objęła go i zaczęła się kołysać.

– Nie przypominam sobie, żebym cię zapraszała – powiedziała Rebecca, kładąc rękę na ramieniu Claya.

– Mam wyjść? – Przyciągnął jąnieco bliżej, lecz obszerna suknia ślubna przeszkadzała w takim kontakcie, jakiego pragnął.

– Ludzie patrzą – powiedziała, uśmiechając się z myślą o gapiach. – Po co tu przyszedłeś?

– Żeby uczcić twój ślub. I dobrze się przyjrzeć twojemu nowemu chłopakowi.

– Nie bądź nieprzyjemny, Clay. Jesteś po prostu zazdrosny.

– To mało powiedziane. Chętnie skręciłbym mu kark.

– Skąd wytrzasnąłeś tę lalunię?

– I kto z nas jest zazdrosny?

– Ja.

– Nie martw się, Rebecco, w łóżku ci nie dorówna. – Po zastanowieniu doszedł do wniosku, że może chciałaby się sprawdzić w bezpośredniej rywalizacji. Tak czy inaczej.

– Jason jest niezły.

– Naprawdę nie chcę o tym słyszeć. Tylko mi nie zajdź w ciążę, dobrze?

– To nie twój interes.

– Wręcz przeciwnie.

Ridley i jej fatygant przesunęli się obok w tanecznych pląsach. Clay po raz pierwszy dobrze się przyjrzał jej w całości wyeksponowanym plecom, ponieważ suknia Gruzinki zaczynała się zaledwie kilka cali nad idealnie krągłymi pośladkami. Rebecca też to zauważyła.

– Jest na twojej liście płac? – zapytała.

– Jeszcze nie.

– Nieletnia?

– Ależ nie. Jak najbardziej dorosła. Powiedz, że nadal mnie kochasz.

– Nie kocham.

– Kłamiesz.

– Chyba powinieneś teraz wyjść i zabrać ją ze sobą.

– Oczywiście. To przecież twoje przyjęcie. Nie chciałem go zakłócać.

– To jedyny powód twojej obecności. – Rebecca odsunęła się nieznacznie od Claya, ale nie przestała tańczyć.

– Wytrzymaj przez rok, dobrze? Wtedy będę już miał dwieście milionów. Wsiądziemy do mojego odrzutowca, opuścimy to miejsce i resztę życia spędzimy na jachcie. Twoi rodzice nigdy nas nie znajdą.

Rebecca znieruchomiała i rzekła:

– Żegnaj, Clay.

– Ja poczekam – odparł, po czym został odepchnięty przez potykającego się Bennetta, który powiedział: – Odbijany. – Chwycił córkę w objęcia i wybawił ją z opresji, odciągając na drugi koniec parkietu.

Następną partnerką Claya była Barbara. Wzięła go za rękę i posłała mu nienaturalny uśmiech.

– Nie róbmy sceny – wycedziła, nie poruszając wargami. Ruszyli sztywno z miejsca w czymś, czego nikt nie uznałby za taniec.

– Jak się pani miewa, pani Van Horn? – zapytał Clay, znalazłszy się w jej drapież-

nych szponach.

– Dopóki cię nie zobaczyłam, czułam się doskonale. Jestem pewna, że nie byłeś zaproszony na to skromne przyjęcie.

– Właśnie wychodziłem.

– To dobrze. Bardzo nie chciałabym wzywać ochrony.

– To nie będzie konieczne.

– Proszę, nie psuj Rebecce tej chwili.

– Powtarzam, że właśnie wychodziłem.

Muzyka ucichła i Clay wyswobodził się z objęć pani Van Horn. Wokół Ridley kłębił się tłum wielbicieli, lecz Clay wyrwał ją z tego małego kręgu. Wycofali się do baru, który przyciągał więcej fanów alkoholu niż zespół muzyczny. Clay wziął butelkę piwa i zamierzał wyjść, gdy otoczyła ich kolejna grupa gapiów. Obecni w tym gronie prawnicy chcieli porozmawiać o rozkoszach pozwów zbiorowych, lgnąc jednocześnie do Ridley.

Po kilku minutach idiotycznej rozmowy z paskudnymi ludźmi Clay zauważył grubego młodzieńca w wypożyczonym smokingu, który poinformował go szeptem:

– Jestem z ochrony. – Miał życzliwy wyraz twarzy i sprawiał wrażenie profesjonalisty.

– Wychodzę – odpowiedział szeptem Clay.

Wyproszony z weselnego przyjęcia Van Hornów. Wyrzucony ze wspaniałego Potomac Country Clubu. Odjeżdżając z wtuloną w niego Ridley, przyznał w duchu, że to jedna z najfajniejszych chwil w jego życiu.

Rozdział 25

W gazetowych zapowiedziach napisano, że nowożeńcy spędzą miesiąc miodowy w Meksyku. Clay też postanowił wybrać się w podróż. Jeżeli ktoś zasługiwał na miesiąc na wyspie, to właśnie on.

Jego wspaniały niegdyś zespół stracił poczucie celu. Może z powodu wakacji, może za sprawą otrzymanych pieniędzy. Niezależnie od powodu, Jonah, Paulette i Rodney spędzali teraz w biurze mniej czasu.

Podobnie jak Clay. To miejsce było pełne napięcia i konfliktów. Mnóstwo klientów wyrażało niezadowolenie, że dostali tak skromne odszkodowania. W korespondencji padały dosadne określenia. Unikanie rozmów telefonicznych stało się biurowym sportem. Kilkoro klientów odnalazło nawet siedzibę kancelarii i zjawiło się u panny Glick, żądając widzenia z panem Carterem, który, tak się składało, zawsze uczestniczył akurat w jakimś ważnym procesie. Zazwyczaj chował się wówczas za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu, przeczekując kolejną awanturę. Po pewnym szczególnie burzliwym dniu zadzwonił po poradę do Pattona Frencha.

– Hartuj się, stary – odparł French. – Jedno idzie w parze z drugim. Zarabiasz majątek na pozwach zbiorowych, a to po prostu ujemna strona tego układu. Trzeba mieć grubą skórę.

Najgrubszą skórę w kancelarii miał Oscar Mulrooney, który nadal zdumiewał Claya swoimi zdolnościami organizacyjnymi i ambicją. Pracował po piętnaście godzin dziennie i naciskał Oddział Yale, by jak najszybciej zbierał odszkodowania za dyloft. Chętnie podejmował się każdego nieprzyjemnego zadania. Jonah nie krył się ze swoimi planami żeglarskiej podróży dookoła świata, Paulette napomykała o rocznym pobycie w Afryce w celu studiowania sztuki, a Rodney wtórował jej niejednoznacznymi gadkami o zwyczajnej rezygnacji z pracy, i było oczywiste, że niebawem na szczycie zwolni się miejsce.

Równie oczywiste było to, że Oscar zabiega o pozycję wspólnika lub przynajmniej o swoją dolę. Analizował zaciekłe zbiorowe spory prawne wciąż toczące się wokół sprawy Chudych Benów, tabletek dietetycznych, które okazały się szkodliwe, i był przekonany, że mimo czteroletniego bezustannego rozgłosu nie dotarto jeszcze do co najmniej dziesięciu tysięcy klientów.

Oddział Yale zatrudniał obecnie jedenastu prawników, z których siedmiu rzeczywiście studiowało w Yale. Obóz Pracy rozrósł się do dwunastu asystentów prawnych tonących po uszy w aktach i papierkowej robocie. Clay nie wahał się zostawić obu zespołów

na kilka tygodni pod nadzorem Mulrooneya. Był pewny, że gdy wróci, biuro będzie w lepszej kondycji niż w chwili jego wyjazdu.

Clay próbował zignorować Boże Narodzenie, nie było to jednak łatwe. Nie miał rodziny, z którą mógłby spędzić ten czas. Rebecca zawsze bardzo się starała włączyć go w to, co akurat robili Van Hornowie, ale choć doceniał te próby, stwierdził, że znacznie lepiej było siedzieć w Wigilię w pustym mieszkaniu i popijać tanie wino, oglądając stare filmy, niż otwierać prezenty w towarzystwie tych ludzi. Żaden ofiarowany im prezent nigdy nie był wystarczająco dobry.

Rodzina Ridley nadal mieszkała w Gruzji i zanosiło się na to, że tam zostanie. Początkowo dziewczyna była pewna, że nie zdoła przesunąć umówionych terminów i wyjechać z miasta na kilka tygodni, lecz jej determinacja, by to zrobić, napełniła jego serce radością. Ridley naprawdę chciała polecieć na wyspy i bawić się z nim na plaży. W końcu powiedziała jednemu z pracodawców, że może ją zwolnić. Miała to w nosie.

Była to jej pierwsza podróż prywatnym odrzutowcem. Clay uświadomił sobie, że pragnie zaimponować jej pod wieloma względami. Lot non stop z Waszyngtonu do St Lucia, cztery godziny i milion mil. Gdy wyruszali, w Waszyngtonie było zimno i szaro, a gdy wysiadali z samolotu, uderzyła ich fala słonecznego gorąca. Przeszli przez cło, nie wzbudzając żadnego zainteresowania, w każdym razie nie wzbudził go Clay. Wszyscy mężczyźni odwracali głowy, by podziwiać Ridley. Zastanawiające, że Clay się do tego przyzwyczajał. A ona tego nie zauważała. Żyła w ten sposób od tak dawna, że po prostu wszystkich ignorowała, co tylko pogarszało sytuację gapiów. Taka wyjątkowa istota, doskonała w każdym calu, a jednak tak powściągliwa i nietykalna.

Wsiedli na pokład lokalnego samolotu, by odbyć piętnastominutową podróż na Mustique, ekskluzywną wyspę będącą własnością ludzi bogatych i sławnych, na której było wszystko z wyjątkiem pasa startowego o długości wystarczającej dla prywatnych odrzutowców. Swoje rezydencje mieli tam miliarderzy i gwiazdy rocka. Ich dom na następny tydzień należał kiedyś do jakiegoś księcia, który sprzedał go właścicielowi firmy internetowej wynajmującemu go teraz pod swoją nieobecność.

Wyspa była górą otoczoną spokojnymi wodami Morza Karaibskiego. Wyglądało na to, że od wysokości trzech tysięcy stóp porastają ciemna i bujna roślinność, widok jak z pocztówki. Ridley uczepiła się Claya kurczowo, gdy obniżyli lot i ukazało się maleńkie lądowisko. Pilot noszący słomkowy kapelusz mógł na nim lądować z zawiązanymi oczami.

Marshall, szofer i kamerdyner w jednej osobie, czekał na nich z szerokim uśmiechem i otwartym jeepem. Rzucili swoje dość lekkie torby na tył i ruszyli w górę krętą drogą. Żadnych hoteli, mieszkań, turystów i ruchu samochodowego. Przez dziesięć minut nie widzieli ani jednego innego pojazdu. Dom stał na zboczu góry, tak jak opisał go Marshall, aczkolwiek było to tylko wzgórze. Widok zapierał dech w piersi – dwieście stóp nad poziomem morza i całe mile bezkresnego oceanu. Nie było widać innych

wysp, żadnych łodzi, żadnych ludzi.

W środku mieściło się niemal pół tuzina sypialni, Clay stracił rachubę, rozrzuconych po głównym budynku i połączonych wykafelkowanymi korytarzami. Zamówili lunch. Mogli zjeść, na co tylko mieli ochotę, ponieważ szef kuchni był zatrudniony na pełny etat. A oprócz niego ogrodnik, dwóch dozorców i kamerdyner. Pięcioosobowy personel – plus Marshall – który mieszkał gdzieś na terenie posiadłości. Zanim zdążyli się rozpakować w głównym apartamencie, Ridley rozebrała się praktycznie do naga i w ledwo widocznych stringach wskoczyła do basenu. Kiedy Clay myślał, że przywykł już do widoku jej nagiego ciała, jeszcze raz uświadomił sobie, że przyprawia go on o zawrót głowy.

Ridley ubrała się do posiłku. Świeże owoce morza, rzecz jasna – grillowane krewetki i ostrygi. Po dwóch piwach Clay ruszył chwiejnym krokiem w stronę hamaka na długą sjestę. Jutro Wigilia, a on miał to w nosie. Rebecca była w jakimś hotelu pułapce na turystów i obmacywała się z małym Jasonem.

A on miał to w nosie.

* * *

Dwa dni po Bożym Narodzeniu przybył Max Pace z osobą towarzyszącą. Miała na imię Valeria, surową nieumalowaną twarz osoby lubiącej spędzać czas na świeżym powietrzu, szerokie ramiona i powściągliwy uśmiech. Max był bardzo przystojnym facetem, ale jego przyjaciółka nie należała do pięknych kobiet. Można było mieć nadzieję, że nie zdejmie ubrania w pobliżu basenu. Gdy Clay podał jej rękę, wyczuł odciski. Cóż, przynajmniej nie będzie stanowiła pokusy dla Ridley.

Pace szybko przebrał się w szorty i ruszył w stronę basenu. Valeria wyciągnęła buty trekkingowe i zapytała o szlaki turystyczne. Trzeba było zasięgnąć rady Marshalla. Ten odparł, że nie zna żadnych szlaków, co oczywiście wywołało niezadowolenie Valerii, która i tak wyruszyła w drogę w poszukiwaniu skał do wspinaczki. Ridley zaszyła się w salonie głównego budynku, gdzie przygotowała sobie do obejrzenia stos filmów.

Ponieważ Pace nie miał żadnego wykształcenia, nie bardzo mieli o czym rozmawiać. Przynajmniej na początku. Szybko się jednak okazało, że myśli o czymś ważnym.

– Porozmawiajmy o interesach – zaproponował po krótkiej drzemce na słońcu. Przenieśli się do baru i Marshall przyniósł drinki. – Jest jeszcze jeden lek – zaczął Pace i Clay natychmiast wyczuł pieniądze. – I to znany.

– Znowu to samo.

– Ale plan tym razem jest nieco inny. Chcę mieć w tym udział.

– Dla kogo pracujesz?

– Dla siebie. I dla ciebie. Dostanę dwadzieścia pięć procent honorariów adwokackich brutto.

– Jakie są plusy?

– Odszkodowanie może być większe niż w sprawie dyloftu.

– W takim razie dostaniesz dwadzieścia pięć procent. Lub więcej, jeśli chcesz. – Łączyło ich tyle brudnych spraw, jakżeby Clay mógł się nie zgodzić?

– Dwadzieścia pięć to godziwa stawka – przyznał Max i wyciągnął rękę do uścisku. Umowa została zawarta.

– Omówmy tę sprawę.

– Istnieje pewien lek hormonalny dla kobiet zwany maxatil. Stosują go co najmniej cztery miliony kobiet w okresie menopauzy i po menopauzie, w wieku od czterdziestu pięciu do siedemdziesięciu pięciu lat. Pojawił się przed pięcioma laty jako kolejny cudowny lek. Łagodzi uderzenia krwi do głowy i inne objawy klimakterium. Jest bardzo skuteczny. I ceniony za to, że sprzyja zachowaniu mocnych kości, zmniejsza nadciśnienie i ryzyko chorób serca. Producentem jest firma Goffman.

– Goffman? Ta od żyletek i płynu do płukania ust?

– Ta sama. Dwadzieścia jeden miliardów przychodu w zeszłym roku. Najbezpieczniejsze ze wszystkich bezpiecznych akcji giełdowych. Bardzo niskie zadłużenie, solidne zarządzanie. Amerykańska tradycja. Ale z maxatilem się pospieszyli, typowa historia… zanosiło się na ogromne zyski, lek wydawał się bezpieczny, przepchnęli go przez FDA i przez pierwsze kilka lat wszyscy byli zadowoleni. Lekarze bardzo lubili go stosować. Kobiety mają bzika na jego punkcie, ponieważ wspaniale się sprawdza.

– Tylko że?

– Tylko że są problemy. I to wielkie. W ramach finansowanego przez rząd badania skontrolowano dwadzieścia tysięcy kobiet, które od czterech lat zażywają ten lek. Badanie właśnie zostało zakończone i raport ma być gotowy za kilka tygodni. Będzie miażdżący. U części kobiet lek ten znacznie zwiększa ryzyko raka piersi, ataku serca i udarów.

– Jak dużej?

– U około ośmiu procent.

– Kto wie o tym raporcie?

– Bardzo mało osób. Mam jego kopię.

– Ciekawe tylko, dlaczego mnie to nie dziwi? – Clay upił spory łyk piwa i rozejrzał się w poszukiwaniu Marshalla. Serce zaczęło mu bić szybciej. Nagle poczuł się znudzony wyspą.

– Paru prawników poluje na zdobycz, ale oni nie widzieli tego raportu – ciągnął Pace. – Jeden pozew został złożony, w Arizonie, ale nie jest to pozew zbiorowy.

– O co chodzi?

– To po prostu staromodna sprawa o odpowiedzialność deliktową. Całkowicie odrębny układ.

– Nic ciekawego.

– Niezupełnie. Zajmujący się nią adwokat to osobnik o nazwisku Mooneyham, Dale Mooneyham z Tuscon. Wnosi sprawy do sądu pojedynczo i nigdy nie przegrywa. Jest na najlepszej drodze, by dobrać się Goffmanowi do skóry. To mogłoby nadać pożądany kierunek całemu procesowi zawierania ugody. Kluczem jest wniesienie pierwszego pozwu zbiorowego. Nauczyłeś się tego od Pattona Frencha.

– Możemy to zrobić pierwsi – stwierdził Clay, jakby zajmował się tym od lat.

– I sami, bez Frencha i tych oszustów. Złóż pozew w Waszyngtonie, a potem rozpocznij szeroko zakrojoną kampanię reklamową. To będzie wielka sprawa.

– Tak samo jak dyloft?

– Tyle że ty nią kierujesz. Ja będę na drugim planie, używając wpływów i wykonując brudną robotę. Mam sporo kontaktów wśród wszystkich podejrzanych postaci. To będzie sprawa z naszego powództwa, a twoje nazwisko sprawi, że Goffman ustąpi pola.

– Szybka ugoda?

– Przypuszczalnie nie tak szybka, jak w wypadku dyloftu, ale z drugiej strony ugodę w sprawie dyloftu zawarto w wyjątkowym tempie. Będziesz musiał odrobić pracę domową, zebrać dowody, wynająć fachowców, pozwać lekarzy, którzy rozprowadzali ten lek, domagać się procesu. Będziesz musiał przekonać Goffmana, że nie interesuje cię ugoda, że chcesz procesu, wielkiego, publicznego spektaklu procesowego na swoim podwórku.

– A minusy? – zapytał Clay, próbując sprawiać wrażenie ostrożnego.

– Nie widzę żadnych, poza tym że ogłoszenia i przygotowania do procesu będą cię kosztować miliony.

– Z tym nie będzie problemu.

– Wygląda na to, że masz smykałkę do ich wydawania.

– Dopiero się tego uczę.

– Chciałbym dostać zaliczkę wysokości miliona dolarów. Na poczet mojego honorarium. – Pace wypił łyk. – Wciąż porządkuję zaległe sprawy w domu.

To, że Pace potrzebuje pieniędzy, wydało się Clayowi dziwne. Jednak przy tak wielkiej stawce i z uwagi na łączące ich tajemnice nie mógł odmówić.

– Zgoda.

Gdy wróciła Valeria, mokra od potu i chyba trochę odprężona, leżeli w hamakach. Rozebrała się do naga i wskoczyła do basenu.

– Kalifornijka – wyjaśnił cicho Pace.

– To coś poważnego? – zapytał niepewnie Clay.

– Od lat widujemy się od czasu do czasu – odparł Max i na tym poprzestał.

Kalifornijka zażyczyła sobie kolację bez mięsa, ryb, jaj i sera. Alkoholu też nie piła. Dla reszty Clay zamówił grillowanego miecznika. Posiłek szybko się zakończył, ponieważ Ridley pragnęła zaszyć się w swoim pokoju, a Clay był równie spragniony ucieczki od Valerii.

Pace i jego przyjaciółka zostali dwa dni, czyli co najmniej o jeden dzień za długo. Celem jego podróży były wyłącznie interesy, a ponieważ dobili targu, był gotowy do wyjazdu. Clay przyglądał się, jak odjeżdżają odwożeni przez Marshalla z większą niż kiedykolwiek prędkością.

– Spodziewasz się jeszcze jakichś gości? – zapytała ostrożnie Ridley.

– Boże broń! – odparł Clay.

– To dobrze.

Rozdział 26

Pod koniec roku zwolniło się całe piętro nad kancelarią. Clay wynajął połowę kondygnacji i skonsolidował działania. Sprowadził z Obozu Pracy dwunastu asystentów i pięć sekretarek. Prawnicy z Oddziału Yale, którzy rezydowali w innym biurze, także zostali przeniesieni na Connecticut Avenue, do krainy wyższych czynszów, gdzie czuli się swobodniej. Chciał mieć cały personel pod jednym dachem i pod ręką, zamierzał bowiem eksploatować ich wszystkich do upadłego.

W nowy rok wszedł z morderczym harmonogramem pracy – w biurze zjawiał się przed szóstą, śniadanie, lunch, a czasem nawet kolację jadł przy biurku. Zazwyczaj zostawał do ósmej lub dziewiątej i nie było cienia wątpliwości, że oczekuje podobnego zaangażowania od tych, którzy chcieli utrzymać pracę.

Jonah nie chciał. Odszedł w połowie stycznia, jego gabinet został opróżniony i opuszczony, a pożegnania nie trwały długo.

Jacht czekał. Nie zawracaj sobie głowy telefonowaniem. Po prostu prześlij forsę na konto banku na Arubie.

Oscar Mulrooney zaczął mierzyć gabinet Jonaha, zanim ten wyszedł za próg. Był dłuższy i zapewniał lepszy widok, co dla Oscara nie miało znaczenia, ważne, że znajdował się bliżej gabinetu szefa. Mulrooney czuł szansę na pokaźne honorarium. Nie załapał się na dyloft, ale tym razem będzie inaczej. On i reszta chłopców z Yale dali się wyrolować specom od prawa korporacyjnego, na których nauczono ich patrzeć z zazdrością, i teraz, w akcie zemsty, byli zdecydowani zbić majątek. A czyż jest lepszy na to sposób niż energiczne zabieganie o klienta wśród ofiar systemu opieki zdrowotnej? Nic nie było bardziej obraźliwe dla nadętych nudziarzy z nobliwych kancelarii. Spory w sprawach o zbiorowe roszczenia nie polegały na praktykowaniu prawa. Stanowiły szelmowską formę przedsiębiorczości.

Starzejący się grecki playboy, który ożenił się z Paulette Tullos, a potem ją zostawił, dowiedział się jakoś ojej właśnie zarobionych pieniądzach. Zjawił się w Waszyngtonie, zadzwonił do eleganckiego mieszkania, które jej kiedyś ofiarował, i zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce. Kiedy Paulette usłyszała jego głos, uciekła do Londynu, gdzie spędziła święta, i wciąż się ukrywała. Gdy Clay był na Mustique, wysłała mu kilkanaście e-maili, informując o swoim kłopotliwym położeniu i instruując go dokładnie, jak ma prowadzić jej sprawę rozwodową. Clay złożył niezbędne papiery, ale Greka nie można było nigdzie znaleźć. Paulette też nie. Mogła wrócić za kilka miesięcy, mogła nie wrócić w ogóle.

– Przykro mi, ale naprawdę nie chcę już pracować – powiedziała przez telefon.

Tak więc Mulrooney stał się powiernikiem Cartera, nieformalnym wspólnikiem o wielkich ambicjach. On i jego zespół studiowali zmieniający się pejzaż sporów prawnych o odszkodowania zbiorowe. Poznali rządzące nimi prawo i procedury. Przeczytali uczone artykuły akademików oraz relacje adwokatów z frontu. Istniały dziesiątki stron internetowych – jedna zawierająca listę wszystkich oczekujących na rozpatrzenie pozwów zbiorowych, w sumie jedenaście tysięcy; inna, która instruowała potencjalnych powodów, jak dołączyć do pozwu zbiorowego i otrzymać odszkodowanie; jeszcze inna specjalizująca się w procesach dotyczących zdrowia kobiet, a także mężczyzn, oraz kilka dotyczących producenta tabletek dietetycznych Chudy Ben czy poświęconych bataliom prawnym z koncernami tytoniowymi. Nigdy jeszcze w wytwórców wadliwych produktów nie wymierzono tak zmasowanej potęgi umysłów wspartych taką masą pieniędzy.

Mulrooney miał plan. W sytuacji gdy wniesiono już tyle pozwów zbiorowych, kancelaria mogła wydać pokaźne fundusze na obławę na nowych klientów. Ponieważ Clay miał pieniądze na ogłoszenia i marketing, mogliby wybrać najbardziej lukratywne pozwy zbiorowe i skupić się na nieobjętych nimi poszkodowanych. Podobnie jak w przypadku dyloftu, niemal wszystkie procesy, które zakończyły się ugodą, przez lata umożliwiały odebranie przez nowych powodów tego, do czego mieli prawo. Kancelaria Claya mogła po prostu windować się na plecach innych specjalistów od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych, ratować niejako sytuację, tyle że za ogromne honoraria. Posłużył się przykładem Chudego Bena.

Najlepsze szacunki liczby potencjalnych poszkodowanych wskazywały, że jest ich około trzystu tysięcy, a być może aż stu tysięcy jeszcze nie zidentyfikowano i z pewnością nikt ich nie reprezentuje. Spór prawny zakończył się ugodą, firma buliła miliardy. Osoba występująca z roszczeniem musiała po prostu zgłosić się do administratora pozwu zbiorowego, potwierdzić autentyczność wyników badań i odebrać forsę.

Niczym generał przemieszczający wojska Clay posłał dwóch prawników i jednego asystenta prawnego na front walki z producentem Chudego Bena. Mulrooney prosił o więcej, ale Clay miał większe plany: przygotowywał wojnę w sprawie maxatilu, proces, którym miał kierować osobiście. Raport rządowy, wciąż nieopublikowany i najwyraźniej ukradziony przez Maxa Pace’a, miał sto czterdzieści stron i był pełen obciążających dowodów. Clay przeczytał go dwa razy, po czym dał Mulrooneyowi.

W śnieżny wieczór w końcu stycznia pracowicie analizowali go aż do północy, po czym sporządzili szczegółowe plany ataku. Do sporu w sprawie maxatilu Clay przydzielił Mulrooneya i dwóch innych prawników, dwóch asystentów prawnych oraz trzy sekretarki.

O drugiej w nocy, gdy za oknem sali konferencyjnej padał gęsty śnieg, Mulrooney powiedział, że musi poruszyć nieprzyjemny temat.

– Potrzebujemy więcej pieniędzy.

– Ile? – zapytał Clay.

– Jest nas teraz trzynastu, wszyscy z dużych kancelarii, gdzie całkiem dobrze nam szło. Dziesięciu z nas ma żony, większość dzieci, jesteśmy pod presją. Dałeś nam roczne kontrakty na siedemdziesiąt pięć tysięcy i wierz mi, byliśmy z tego bardzo zadowoleni. Nie masz pojęcia, jak to jest iść na Yale czy podobny uniwersytet, być zapraszanym na wystawne kolacje przez szefów dużych kancelarii, zacząć pracę, ożenić się, a potem wylecieć na bruk bez centa odprawy. To odbiera trochę wiarę we własne siły, rozumiesz?

– Owszem.

– Podwoiłeś mi pensję i doceniam to bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Daję sobie radę. Ale pozostali mają trudności. A to bardzo dumni ludzie.

– Ile?

– Nie chciałbym stracić żadnego z nich. Są inteligentni, harują jak woły.

– Zróbmy tak, Oscarze. Obecnie jestem bardzo hojny. Dam wam wszystkim nowy kontrakt na rok, wysokości dwustu kawałków. W zamian oczekuję poświęcenia mnóstwa czasu. Stoimy u progu czegoś wielkiego, większego niż w zeszłym roku. Spełnicie oczekiwania, wypłacę premie. Duże premie. Uwielbiam je dawać, Oscarze, z oczywistych powodów. Umowa stoi?

– Tak jest, szefie.

Śnieżyca była zbyt gwałtowna, żeby wracać do domu samochodem, więc kontynuowali maraton. Clay miał wstępne raporty na temat firmy z Reedsburga w Pensylwanii, która produkowała wadliwą zaprawę. Wes Saulsberry przekazał tajne akta, o których wspomniał w Nowym Jorku. Cement murarski nie wzbudzał takich emocji jak guzy w pęcherzu moczowym, skrzepy bądź nieszczelne zastawki serca, ale pieniądze za spowodowane nim szkody były tak samo zielone. Clay i Oscar wyznaczyli dwóch prawników i asystenta do przygotowania pozwu zbiorowego i znalezienia poszkodowanych.

Siedzieli w sali konferencyjnej przez dziesięć godzin, żłopiąc kawę, jedząc czerstwe bajgle, obserwując, jak opad śniegu przeradza się w zamieć i snując plany na nadchodzący rok. Chociaż zaczęli spotkanie od wymiany pomysłów, doszli do czegoś znacznie ważniejszego: nadali kształt nowej kancelarii, określając jasno kierunek i cel działania.

* * *

Prezydent go potrzebował! Chociaż do wyborów zostały dwa lata, jego przeciwnicy zbierali już pieniądze. Popierał adwokatów od czasu swojego debiutu w Senacie. Tak naprawdę sam kiedyś był małomiasteczkowym prawnikiem i nadal czuł z tego powodu dumę. Teraz zaś potrzebował pomocy Claya w powstrzymywaniu działań służących realizacji egoistycznych interesów wielkiego biznesu. Instrumentem, który zaproponował,

żeby poznać Claya osobiście, było grono nazywane Konwentem Prezydenckim. Stanowiło doborową grupę energicznych adwokatów i związkowców, którzy mogli wypisać czeki na odpowiednią sumę i poświęcić czas na rozmowę o tych kwestiach.

Przeciwnicy planowali kolejny zmasowany atak w postaci natychmiastowej reformy pozwów zbiorowych. Pragnęli ustanowić w procesach sądowych haniebne ograniczenia wysokości zarówno faktycznych odszkodowań, jak i odszkodowań za straty moralne. Pragnęli zdemontować system pozwów zbiorowych, który tak dobrze im (chłopcom od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych) służył. Chcieli przeszkodzić pacjentom w pozywaniu lekarzy do sądu.

Prezydent jak zawsze nie ustępował, ale z pewnością potrzebował pomocy. Trzystronicowy list ze złotymi wytłoczeniami skończył się apelem o przekazanie sporej ilości gotówki. Clay zadzwonił do Pattona Frencha, który akurat znajdował się w „swoim" biurze w Biloxi.

French jak zwykle wyraził się dosadnie:

– Wypisz ten cholerny czek.

Między Clayem a dyrektorem Konwentu Prezydenckiego doszło do kilku rozmów telefonicznych. Później Clay nie mógł sobie przypomnieć, ile początkowo zamierzał wyłożyć, ale suma ta znacznie odbiegała od dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, na które w końcu wystawił czek. Kurier odebrał go z kancelarii i dostarczył do Białego Domu. Cztery godziny później kolejny kurier przywiózł Clayowi małą kopertę z siedziby głowy państwa. Krótki list został napisany odręcznie na prezydenckiej papeterii:

Drogi Clayu, jestem na zebraniu gabinetu (i próbuję nie zasnąć), bo inaczej bym zadzwonił. Dzięki za wsparcie. Zjedzmy kolację i pogadajmy.

Poniżej podpis prezydenta.

Miło, ale za ćwierć miliona dolarów mógł się tego spodziewać. Nazajutrz kolejny kurier dostarczył zaproszenie z Białego Domu. Na grubej kopercie widniał stempel z napisem PROSIMY O NATYCHMIASTOWĄ ODPOWIEDŹ. Claya i osobę towarzyszącą zapraszano na uroczystą kolację wydawaną na cześć prezydenta Argentyny. Oczywiście w smokingu. R.S.V.P. natychmiast, ponieważ do imprezy zostały tylko cztery dni. Niesamowite, co ćwierć miliona zapewnia w Waszyngtonie.

Ridley, rzecz jasna, potrzebowała odpowiedniej sukni, a ponieważ to Clay miał zapłacić, poszedł z nią na zakupy. I zrobił to chętnie, chciał bowiem mieć jakiś wpływ na to, co będzie nosiła. Pozostawiona bez nadzoru, mogłaby zaszokować Argentyńczyków, i nie tylko, przezroczystymi tkaninami i rozcięciami aż po talię. Oczywiste więc, że Clay chciał zobaczyć ten strój, zanim zostanie kupiony.

Okazało się jednak, że Ridley jest zaskakująco skromna zarówno w swoich upodobaniach, jak i w wydawaniu pieniędzy. Wszystko na niej dobrze leżało, była przecież modelką, choć wyglądało na to, że coraz rzadziej pracuje w swoim zawodzie. W końcu wy-

brała olśniewającą, lecz prostą w kroju czerwoną suknię, która odsłaniała znacznie mniej ciała niż zazwyczaj. Cena trzy tysiące dolarów była naprawdę okazyjna. Buty, sznur drobnych pereł, złota bransoletka z brylantami i Carter wyszedł z opresji uboższy o niecałe piętnaście tysięcy dolarów.

Siedząc w limuzynie przed bramą Białego Domu i czekając, aż stojące przed nimi samochody zostaną przeszukane przez rój strażników, Ridley powiedziała:

– Nie mogę uwierzyć, że ja, uboga dziewczyna z Gruzji, wybieram się do Białego Domu. – Trzymała Claya pod prawą rękę. Jego dłoń spoczywała na środku jej uda. Akcent Ridley był wyraźniejszy, jak zwykle, gdy była zdenerwowana.

– Bo też trudno w to uwierzyć – odparł, sam również bardzo podekscytowany.

Gdy wysiedli z limuzyny pod markizą Wschodniego Skrzydła, żołnierz piechoty morskiej wziął Ridley pod rękę i zaprowadził ich do Pokoju Wschodniego, gdzie goście zbierali się przed kolacją i raczyli napojami. Clay szedł z tyłu, przyglądając się Ridley i ciesząc każdą chwilą tej obserwacji.

Żołnierz puścił niechętnie ramię dziewczyny i wyszedł po następną osobę towarzyszącą. Fotograf zrobił im zdjęcie.

Podeszli do pierwszej grupki rozmawiających gości i przedstawili się ludziom, których nigdy więcej nie mieli zobaczyć. Oznajmiono, że kolacja została podana, i wszyscy przeszli do sali jadalnej, gdzie ustawiono piętnaście dziesięcioosobowych stołów z taką ilością porcelany, sreber i kryształów, jakiej nigdy wcześniej nie zgromadzono w jednym miejscu. Rozmieszczenie zaproszonych osób było z góry ustalone i nikt nie siedział razem ze swoim współmałżonkiem lub osobą towarzyszącą. Clay odprowadził Ridley do jej krzesła, pomógł usiąść, po czym cmoknął ją w policzek i rzekł: „Powodzenia”. Posłała mu uśmiech modelki, olśniewający i swobodny, on wiedział jednak, że w tym momencie Ridley jest tylko wystraszoną dziewczynką z Gruzji. Zanim odszedł kilka kroków, stało już koło niej dwóch panów ujmujących jej dłoń w akcie bardzo serdecznej prezentacji.

Czekał go długi wieczór. Na prawo od niego siedziała królowa manhattańskiej socjety, stara hetera z twarzą jak pomarszczona śliwka, która tak długo się głodziła, że wyglądała niczym żywy trup. Była głucha jak pień i mówiła bardzo głośno. Po lewej stronie miał córkę potentata handlowego ze Środkowego Zachodu, który studiował z prezydentem. Clay zainteresował się nią i trudził przez pięć minut, zanim zdał sobie sprawę, że ta kobieta nie ma nic do powiedzenia.

Czas stanął w miejscu.

Clay siedział odwrócony plecami do Ridley i nie miał pojęcia, jak ona to wytrzymuje.

Prezydent wygłosił mowę, po czym podano kolację. Śpiewakowi operowemu siedzącemu naprzeciwko Claya wino uderzyło do głowy i zaczął opowiadać sprośne dowcipy. Był krzykliwy i mówił przez nos. Pochodził z jakichś górskich rejonów i nie miał żad-

nych zahamowań w posługiwaniu się plugawym językiem w mieszanym towarzystwie, i to w Białym Domu.

Trzy godziny później Clay wstał i pożegnał się ze wszystkimi wspaniałymi, nowymi znajomymi. Kolacja dobiegała końca, zespół muzyczny stroił instrumenty w Pokoju Wschodnim. Clay wziął Ridley za rękę i ruszyli w tamtą stronę. Tuż przed północą, gdy tłum gości skurczył się do kilkudziesięciu osób, prezydent i pierwsza dama dołączyli do tych najbardziej rześkich na kilka tańców. Głowa państwa wydawała się zadowolona ze spotkania z mecenasem Clayem Carterem.

– Czytałem o tobie w prasie, chłopcze, dobra robota – rzekł prezydent.

– Dziękuję panu, panie prezydencie.

– Kim jest ta laska?

– To przyjaciółka. – Co zrobiłyby feministki, gdyby wiedziały, że gospodarz Białego Domu użył takiego określenia?

– Mogę z nią zatańczyć?

– Oczywiście, panie prezydencie.

I po tych słowach prezydent Stanów Zjednoczonych przytulił, objął i w inny sposób nawiązał kontakt z panią Ridal Petashnakol, dwudziestoczteroletnią Gruzinką, która trafiła do Ameryki w ramach wymiany studenckiej.

Rozdział 27

Na dostawę nowego gulfstreama 5 czekałby minimum dwadzieścia dwa miesiące, a przypuszczalnie dłużej, ale ta zwłoka nie była największą przeszkodą. Aktualna cena wynosiła czterdzieści cztery miliony dolarów, oczywiście za model z pełnym wyposażeniem, z najnowszymi gadżetami i bajerami. To po prostu było za drogo, chociaż Clay odczuwał silną pokusę. Pośrednik handlowy wyjaśnił, że większość nowych G-5 kupują duże korporacje, przynoszące miliardowe zyski firmy, które zamawiają dwa, trzy samoloty naraz i stale z nich korzystają. Dla niego, jako jedynego właściciela, lepszym rozwiązaniem będzie wydzierżawienie nieco starszego samolotu na, powiedzmy, pół roku, żeby się upewnić, że tego właśnie potrzebuje. Potem może przekształcić leasing w umowę sprzedaży z wliczeniem dziewięćdziesięciu procent opłat leasingowych w cenę zakupu.

Pośrednik miał właśnie taki samolot. Był to G-4SP z 1998 roku, który firma z listy największych pięciuset przedsiębiorstw magazynu „Fortune" niedawno zamieniła na nowy G-5. Gdy Clay ujrzał odrzutowiec stojący majestatycznie na płycie lotniska Reagana, serce zabiło mu mocniej i gwałtownie przyspieszył puls. Przez śnieżnobiały kadłub samolotu biegł gustowny szafirowy pas. Do Paryża dolatywał w sześć godzin. Do Londynu w pięć.

Wszedł na pokład odrzutowca z pośrednikiem. Czy był choć odrobinę mniejszy od G-5 Pattona Frencha? Clay nie potrafił ocenić. Wszędzie skóra, mahoń i mosiężne wykończenia. Kuchnia, bar oraz toaleta w tylnej części, w kokpicie rzucająca się w oczy najnowocześniejsza awionika. Jedna kanapa rozkładała się do spania i przez ułamek sekundy Clay pomyślał o Ridley: ich dwoje w pościeli na wysokości czterdziestu tysięcy stóp. Wyszukana aparatura stereo, wideo i telefoniczna. Faks, komputer, dostęp do internetu.

Samolot wyglądał jak nowy i sprzedawca wyjaśnił, że trafił tu prosto z warsztatu, gdzie pomalowano go z zewnątrz, a w środku odnowiono. Przyparty do muru, w końcu oświadczył:

– Trzydzieści milionów i należy do pana.

Usiedli przy małym stole i zaczęli załatwiać sprawę. Pomysł z leasingiem powoli tracił sens. Clay przy swoich dochodach nie miałby problemu z uzyskaniem korzystnych warunków finansowania zakupu. Rata kredytu hipotecznego, zaledwie trzysta tysięcy dolarów miesięcznie, byłaby niewiele wyższa od raty leasingowej. A gdyby w którymś momencie zapragnął wymienić go na nowszy model, pośrednik przyjąłby go

z powrotem w rozliczeniu po najkorzystniejszej cenie i zaopatrzył Claya we wszystko, czego tylko potrzebował.

Zatrudnienie dwóch pilotów kosztowałoby dwieście tysięcy rocznie z dodatkami, kosztami szkolenia i całą resztą. Clay mógłby rozważyć uzyskanie dla odrzutowca certyfikatu dopuszczenia do obsługi lotów czarterowych.

– W zależności od tego, jak często będzie pan z niego korzystał, z wynajmu można by wygenerować nawet milion dolców rocznie – zaznaczył pośrednik, kując żelazo, póki gorące. – To pokryje wydatki na pilotów, miejsce w hangarze i utrzymanie.

– Wie pan, jak często będę go używał? – zapytał Clay, któremu kręciło się w głowie od otwierających się perspektyw.

– Sprzedaję dużo samolotów prawnikom – odparł sprzedawca, sięgając po odpowiednie analizy. – Trzysta godzin rocznie to maksimum. Może go pan wyczarterować na okres dwukrotnie dłuższy.

No, no, pomyślał Carter, ten samolot rzeczywiście mógłby przynosić pewien dochód.

Głos rozsądku podpowiadał, żeby zachować ostrożność, ale na co miał czekać? I do kogo właściwie mógłby się zwrócić po radę? Jedynymi jego znajomymi z doświadczeniem w takich sprawach byli kumple od pozwów zbiorowych, a każdy z nich powiedziałby: „Nie masz jeszcze własnego odrzutowca? To kup!”.

Więc kupił.

* * *

Zyski firmy Goffman w czwartym kwartale wzrosły w stosunku do roku poprzedniego, a sprzedaż jej produktów biła rekordy. Cena akcji wynosiła sześćdziesiąt pięć dolarów i była najwyższa od dwóch lat. Na początku pierwszego tygodnia stycznia firma uruchomiła niezwykłą kampanię reklamową promującą nie jeden z jej wyrobów, lecz samą firmę. „Goffman był zawsze przy tobie” – brzmiał slogan kampanii, a każda reklama telewizyjna stanowiła montaż scen, w których dobrze znane produkty przynosiły ulgę i służyły ochronie Amerykanów: matka nakładająca mały opatrunek na ranę synka; przystojny młodzieniec z obowiązkowo płaskim brzuchem, golący się i wspaniale się przy tym bawiący; para siwowłosych ludzi na plaży, szczęśliwie uwolnionych od zmory hemoroidów; cierpiący katusze biegacz, który sięga po środek przeciwbólowy i tak dalej. Lista sprawdzonych towarów Goffmana była dość długa.

Mulrooney obserwował tę firmę dokładniej niż analityk giełdowy i był przekonany, że ta kampania jest tylko wybiegiem mającym przygotować inwestorów i konsumentów na szok wywołany informacjami o maxatilu. Zbierając informacje, nie znalazł w dziejach marketingu firmy żadnych innych przekazów mających wywołać „dobre samopoczucie”. Była ona jednym z pięciu najczęściej reklamujących się przedsiębiorstw w kra-

ju, zawsze jednak pompowała forsę w jeden konkretny wyrób naraz – ze znakomitym skutkiem.

Opinię Mulrooneya podzielał Max Pace, który zamieszkał w hotelu Hay-Adams. Clay wstąpił do jego apartamentu na późną kolację dostarczoną przez hotelową obsługę. Pace był podenerwowany i nie mógł się doczekać chwili, gdy przypuszczą atak na Goffmana. Przeczytał najnowszą wersję pozwu zbiorowego, który miał zostać złożony w Waszyngtonie. I jak zawsze, zapisał uwagi na marginesach.

– Jaki jest plan? – zapytał, nie zwracając uwagi na jedzenie i wino.

Clay zajadał w najlepsze.

– Ogłoszenia zaczną być emitowane o ósmej rano – wyjaśnił z ustami pełnymi cielęciny. – Błyskawiczna kampania na osiemdziesięciu rynkach w całym kraju. Infolinia jest już czynna. Strona internetowa gotowa. Moja mała kancelaria szykuje się do działania. Koło dziesiątej pójdę do sądu i sam złożę pozew.

– Brzmi dobrze.

– Dla nas to nie pierwszyzna. Kancelaria Prawnicza Claya Cartera Drugiego to machina do obsługi zbiorowych roszczeń odszkodowawczych, zapewniam pana.

– Twoi nowi koledzy nic o tym nie wiedzą?

– Jasne, że nie. Po cóż miałbym im mówić? Współpracujemy w sprawie dyloftu, ale French i ci goście są też moimi konkurentami. Zaszokowałem ich wtedy, zaszokuję i teraz. Nie mogę się doczekać.

– Pamiętaj, że to nie dyloft. Miałeś wtedy szczęście, bo dopadłeś osłabioną firmę w fatalnym dla niej momencie. Z Goffmanem będzie znacznie trudniej.

Pace rzucił w końcu pozew na komodę i zasiadł do posiłku.

– Ale wyprodukowali szkodliwy lek – zauważył Clay. – A z takim lekiem nie idzie się do sądu.

– Nie w przypadku pozwu zbiorowego. Z moich źródeł wiem, że Goffman chyba zechce się procesować w Flagstaff, ponieważ w tamtej sprawie chodzi o jednego powoda.

– Sprawa Mooneyhama?

– Właśnie. Jeśli przegrają, zmiękną w kwestii ugody. Jeżeli wygrają, walka może być długa.

– Twierdziłeś, że Mooneyham nie przegrywa.

– Od mniej więcej dwudziestu lat. Przysięgli go uwielbiają. Nosi kowbojskie kapelusze, zamszowe kurtki, czerwone buty i tym podobne rzeczy. Powrót do czasów, gdy adwokaci rzeczywiście rozstrzygali o wyniku spraw. Prawdziwa adwokacka robota. Powinieneś go poznać. W tym celu warto byłoby się tam wybrać.

– Umieszczę tę podróż w swoim grafiku. – Gulfstream stał w hangarze spragniony powietrznych podróży.

Zadźwięczał telefon i Pace przez pięć minut rozmawiał ściszonym głosem na drugim końcu apartamentu.

– Valeria – wyjaśnił, wróciwszy do stołu. Clay szybko wyobraził sobie to bezpłciowe stworzenie przeżuwające marchewkę. Biedny Max, mógł wybrać o niebo lepiej.

Clay nocował w biurze. W sąsiedztwie sali konferencyjnej urządził małą sypialnię i łazienkę. Często był na nogach aż do północy, potem kilka godzin snu, szybki prysznic i powrót za biurko przed szóstą. Nawyki Cartera stawały się legendą nie tylko w jego kancelarii, ale w całym mieście. Znaczna część plotek w kręgach prawniczych dotyczyła jego, przynajmniej na razie, a w relacjach bywalców barów i koktajli jego szesnastogodzinna dniówka często rozciągała się do osiemnastu i dwudziestu godzin.

Czemuż by nie pracować przez okrągłą dobę? Ma przecież trzydzieści dwa lata, jest kawalerem bez poważnych zobowiązań, które mogłyby zabierać mu czas. Dzięki szczęściu i odrobinie talentu otrzymał wyjątkową szansę na sukces pisany tylko nielicznym. Czemuż by nie wypruwać sobie flaków dla firmy przez kilka lat, po czym rzucić to wszystko i przez resztę życia się bawić?

Mulrooney przyszedł tuż po szóstej, po czterech kawach, z setką pomysłów w głowie.

– Ruszamy? – zapytał, wparowawszy do gabinetu Claya.

– Ruszamy!

– Skopmy im tyłki!

O siódmej w biurze kipiało od emocji współpracowników i asystentów obserwujących zegary, czekających na rozpoczęcie inwazji. Sekretarki rozwoziły po gabinetach kawę i bajgle.

O ósmej stłoczyli się w sali konferencyjnej i wbili wzrok w szerokoekranowy telewizor. Pierwsze ogłoszenie wyemitowała waszyngtońska filia stacji ABC:

> Atrakcyjna sześćdziesięcioparoletnia kobieta, krótkie, elegancko ostrzyżone włosy, okulary znanego domu mody, siedzi przy małym kuchennym stole, spoglądając ze smutkiem w okno. Głos [dość złowieszczy] spoza kadru: „Jeżeli zażywasz maxatil, lek hormonalny dla kobiet, możesz być bardziej niż inne kobiety narażona na zachorowanie na raka piersi, udar i niewydolność serca”. Zbliżenie dłoni kobiety; na stole, w maksymalnym zbliżeniu, buteleczka tabletek z napisem **MAXATIL**. [Czaszka i skrzyżowane piszczele nie mogłyby być bardziej przerażające]. Głos spoza kadru: „Natychmiast skonsultuj się ze swoim lekarzem. Maxatil może stanowić poważne zagrożenie dla twojego zdrowia”. Zbliżenie twarzy kobiety, teraz jeszcze smutniejszej. Jej oczy napełniają się łzami. Głos spoza kadru: „Aby uzyskać więcej informacji, zadzwoń na infolinię dla zażywających maxatil”. Na dole ekranu wyświetla się bezpłatny numer telefonu. Na końcu widać, jak kobieta zdejmuje okulary i ociera łzę z policzka.

Klaskali i wiwatowali, jakby nocny kurier już jechał z pieniędzmi. Potem Clay odesłał ich na stanowiska, żeby usiedli przy telefonach i zaczęli przyjmować zgłoszenia potencjalnych klientów. A telefony rozdzwoniły się już po kilku minutach. Punktualnie o dziewiątej, zgodnie z planem, kopie pozwu zostały przesłane faksem do redakcji gazet i programów ekonomicznych telewizji kablowych. Clay zadzwonił do swojego kumpla z „Wall Street Journal” i przekazał mu tę wiadomość. Dodał, że za parę dni być może

udzieli mu wywiadu.

Akcje Goffmana kosztowały na otwarciu sześćdziesiąt pięć dolarów i dwadzieścia pięć centów, ale szybko poleciały w dół za sprawą wieści o waszyngtońskim pozwie w sprawie maxatilu. Clay pozwolił się sfotografować jakiemuś niezależnemu reporterowi, gdy składał pozew w sądzie.

Do południa notowania akcji Goffmana spadły do sześćdziesięciu jeden dolarów. Firma pospiesznie wydała oświadczenie dla prasy, w którym kategorycznie zaprzeczyła wszystkim strasznym skutkom zażywania maxatilu wymienionym w pozwie. Zapowiedziała stanowczą obronę przed tym niecnym oskarżeniem.

Patton French zadzwonił w czasie „lunchu”: Clay jadł właśnie kanapkę, stojąc przy biurku i obserwując piętrzący się na nim stos wiadomości telefonicznych.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział podejrzliwie.

– O rany, ja też mam taką nadzieję. Jak się masz?

– Świetnie. Mniej więcej pół roku temu poważnie przyjrzeliśmy się sprawie maxatilu. Postanowiliśmy odpuścić. Udowodnienie związku przyczynowego może być naprawdę trudne.

Clay upuścił kanapkę i próbował złapać oddech. Patton French nie zgodził się na wniesienie pozwu zbiorowego?

Zrezygnował ze zbiorowych roszczeń odszkodowawczych przeciwko jednej z największych korporacji w kraju? Clay zdał sobie sprawę, że nie padło ani jedno słowo, nastąpiła przykra przerwa w rozmowie.

– Cóż, my postrzegamy sytuację inaczej. – Sięgnął za siebie w poszukiwaniu oparcia. W końcu opadł na fotel.

– Tak naprawdę wszyscy dotąd pasowali. Saulsberry, Didier, Carlos w Miami. Guy w Chicago ma kilku klientów, ale jeszcze nie złożył pozwu. Sam nie wiem, może masz rację. My po prostu tego nie dostrzegliśmy, to wszystko.

French badał grunt.

– Mamy na nich haka – odparł Clay. Raport rządowy! Właśnie! On go ma, a French nie. W końcu zdołał głęboko odetchnąć i krew znowu zaczęła płynąć.

– Lepiej dobrze się przygotuj. Ci goście znają się na rzeczy. Stary Wicks i chłopcy z Ackerman Labs wyglądają przy nich jak drużyna zuchów.

– Słyszę strach w twoim głosie. Zaskakujesz mnie.

– Wcale się nie boję. Ale jeśli w twojej hipotezie odpowiedzialności deliktowej jest jakaś luka, pożrą cię żywcem. I nawet nie myśl o szybkiej ugodzie.

– Wchodzisz w to?

– Nie. Ta sprawa nie podobała mi się pół roku temu i teraz też mi się nie podoba. W dodatku trzymam teraz zbyt dużo srok za ogon. Powodzenia.

Clay zamknął drzwi gabinetu na klucz. Podszedł do okna i stał tam przez co najmniej pięć minut, zanim poczuł wilgotny chłód koszuli lepiącej się do pleców. Gdy póź-

niej potarł czoło, stwierdził, że jest zroszone potem.

Rozdział 28

Nagłówek w „Daily Profit” krzyczał: NĘDZNE STO MILIONÓW TO ZA MAŁO. Potem było jeszcze gorzej. Artykuł zaczął się krótkim akapitem o „niepoważnym” pozwie złożonym wczoraj w Waszyngtonie przeciwko Goffmanowi, jednemu z najznakomitszych producentów towarów konsumpcyjnych. Jego cudowny lek pomógł niezliczonej rzeszy kobiet przejść przez koszmar menopauzy, teraz jednak stał się przedmiotem ataku tych samych prawniczych hien, które doprowadziły do bankructwa firmy A.H. Robins, Johns Manville, Owens-Illinois i praktycznie całej amerykańskiej branży azbestowej.

Artykuł nabrał właściwego rytmu, gdy jego autor ruszył śladem przewodnika stada, bezczelnego młodego mądrali o nazwisku Carter, który według informatorów jeszcze nigdy nie dowodził słuszności swoich pozwów przed ławą przysięgłych. Mimo to zarobił w ubiegłym roku ponad sto milionów dolarów na loterii zbiorowych roszczeń odszkodowawczych. Reporter najwyraźniej miał sprawdzony zestaw bezpośrednich źródeł informacji. Pierwszym był jakiś dyrektor z Amerykańskiej Izby Handlu, który pomstował na procesy sądowe w ogóle i adwokatów w szczególności. *Carterowie tego świata tylko inspirują innych do wnoszenia tych naciąganych pozwów. W tym kraju jest milion prawników. Jeżeli jeden nieznany, taki jak Clay Carter, może tak szybko się wzbogacić, to żadna porządna firma nie jest bezpieczna.* Jakiś profesor prawa z uczelni, o której Clay nigdy wcześniej nie słyszał, powiedział: *Ci ludzie są bezlitośni. Ich zachłanność nie zna granic i dlatego w końcu zarżną kurę znoszącą złote jaja*. Nadęty kongresmen z Connecticut wykorzystał ten moment, by wezwać do natychmiastowego uchwalenia ustawy reformującej zasady pozwów zbiorowych, którą sam opracował. Miały się odbyć przesłuchania komisji i Clay Carter mógł być wezwany na świadka.

Anonimowi informatorzy z firmy Goffman stwierdzili, że spółka będzie się zawzięcie bronić, że nie ustąpi przed szantażem pozwu zbiorowego i że w stosownym momencie zażąda pokrycia kosztów honorariów adwokackich i sporu prawnego poniesionych wskutek tych oburzających i niepoważnych roszczeń.

Notowania akcji Goffmana spadły o jedenaście procent, inwestorzy giełdowi stracili około dwóch miliardów dolarów, a wszystko to z powodu fałszywych oskarżeń. *Dlaczego akcjonariusze Goffmana nie pozwą takich gości jak Clay Carter do sądu?* – pytał profesor z wydziału prawa nieznanej uczelni.

Trudno było to czytać, ale Clay z pewnością nie mógł zignorować artykułu. We wstępniaku zamieszczonym w „Investment Times” redakcja wezwała kongresmenów,

by przyjrzeli się dokładnie reformie prawa procesowego. Autor artykułu skupił się także na tym, że młody prawnik zbił spory majątek w ciągu niespełna roku. Jest zwykłym łobuzem, którego nieuczciwie osiągnięte zyski tylko zachęcają innych ulicznych kanciarzy do pozywania wszystkich, którzy się nawiną.

Przydomek „łobuz" przylgnął do niego w biurze na kilka dni, tymczasowo zastępując „króla". Clay uśmiechał się i zachowywał tak, jakby spotkał go zaszczyt.

– Rok temu nikt o mnie nie mówił, a teraz nie mogą przestać – zauważył chełpliwie. Ale za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu był niespokojny i zły na siebie za pośpiech, wjakim pozwał Goffmana. Fakt, że jego kumple od zbiorowych odszkodowawczych nie rwali się do tego, był niepokojący. Dręczyła go ta zła prasa. Dotychczas nie znalazł się ani jeden obrońca. Pace zniknął, co było normalne, ale nie tego akurat potrzebował Clay.

Sześć dni po wniesieniu pozwu Pace zameldował się z Kalifornii.

– Jutro będzie wielki dzień – oznajmił.

– Potrzebuję jakichś dobrych wieści – odparł Clay. – Chodzi o ten rządowy raport?

– Nie mogę powiedzieć. I koniec z telefonami. Ktoś może podsłuchiwać. Wyjaśnię ci to, gdy wrócę. Później.

Ktoś może podsłuchiwać? Po której stronie linii – jego czy Pace'a? Kto taki? Te pytania miały mu spędzać sen z powiek przez kolejną noc.

Analiza Amerykańskiej Rady do spraw Badań nad Starzeniem Się miała pierwotnie objąć dwadzieścia tysięcy kobiet w wieku od czterdziestu pięciu do siedemdziesięciu pięciu lat w okresie siedmioletnim. Grupę tę podzielono na równe części – jedna otrzymywała codzienną dawkę maxatilu, a druga placebo. Po czterech latach badacze zarzucili jednak projekt z uwagi na fatalne skutki zażywania maxatilu. Stwierdzili wzrost ryzyka wystąpienia raka piersi, chorób serca i udaru u niepokojąco dużej części uczestniczek badań. W przypadku kobiet stosujących lek ryzyko zachorowania na raka piersi skoczyło o trzydzieści trzy, ataku serca o dwadzieścia jeden, a udarów o dwadzieścia procent.

Autorzy analizy przewidywali, że w grupie każdych stu tysięcy kobiet zażywających maxatil przez cztery lata bądź dłużej u czterystu wystąpi rak piersi, trzysta odczuje pewne skutki choroby serca, dojdzie też do trzystu umiarkowanie bądź bardzo poważnych udarów.

Raport opublikowano nazajutrz rano. Akcje Goffmana znowu ucierpiały, spadając po ujawnieniu tych informacji do poziomu pięćdziesięciu jeden dolarów za sztukę. Clay i Mulrooney spędzili popołudnie, sprawdzając strony internetowe i kanały telewizji kablowych. Czekali na jakąś reakcję ze strony firmy, ale żadnej nie było. Reporterzy zajmujący się tematyką gospodarczą, którzy krytykowali Claya, gdy złożył pozew, nie dzwonili z prośbą o opinię w reakcji na publikację analizy. Następnego dnia wspomnieli o raporcie w paru słowach. „Post" opublikował dość suche podsumowanie jego tez, ale

nazwisko Claya nie padło. Czuł się oczyszczony z zarzutów, ale zlekceważony. Miał tyle do powiedzenia swoim krytykom, nikt jednak nie chciał go wysłuchać.

Jego obawy uśmierzyła lawina telefonów od pacjentek zażywających maxatil.

* * *

Gulfstream musiał wreszcie odlecieć. Osiem dni w hangarze, a Clay palił się do podróży. Zapakował Ridley i ruszył na zachód, najpierw do Las Vegas, choć nikt w biurze nie wiedział, że się tam zatrzyma. Była to podróż służbowa, i to bardzo ważna. Umówił się w Tucson z wielkim Dale'em Mooneyhamem na rozmowę o maxatilu.

Spędzili w Las Vegas dwie noce w hotelu z prawdziwymi gepardami i panterami pokazywanymi w zwierzyńcu przed wejściem. Clay przegrał trzydzieści tysięcy dolarów w blackjacka, a Ridley wydała dwadzieścia pięć tysięcy na ubrania w butikach znanych domów mody rozmieszczonych wokół atrium. Potem gulfstream pomknął do Tucson.

Właściciele kancelarii Mott i Mooneyham przekształcili starą stację kolejową w śródmieściu w sympatycznie odrapany kompleks biur. Hol tworzyła dawna dworcowa poczekalnia, długie sklepione pomieszczenie, w którym dwie sekretarki zostały ulokowane w przeciwległych kątach, jakby trzeba je było rozdzielić, aby utrzymać pokój. Po bliższym zbadaniu okazały się niezdolne do walki, obie po siedemdziesiątce, pogrążone we własnym świecie. Kancelaria stanowiła coś w rodzaju muzeum mieszczącego kolekcję produktów, które Dale Mooneyham zabrał kiedyś do sądu i pokazał przysięgłym. W jednej wysokiej szafce znajdował się gazowy podgrzewacz wody, a na brązowej płytce nad jej drzwiami widniała nazwa sprawy i zasądzona suma: „4,5 miliona dolarów, 3 października 1988 roku, okręg Stone, Arkansas". Był uszkodzony trójkołowiec, kosztujący Hondę trzy miliony dolarów w Kalifornii, oraz tania strzelba, która tak rozwścieczyła teksaskich przysięgłych, że przyznali powodowi jedenaście milionów odszkodowania. Dziesiątki produktów: kosiarka do trawy, wypalony szkielet toyoty celiki, wiertarka pionowa, wadliwa kamizelka ratunkowa, powyginana drabina. A na ścianach wisiały wycinki prasowe i duże zdjęcia tego wielkiego człowieka wręczającego czeki swoim poszkodowanym klientom. Clay – sam, ponieważ Ridley była na zakupach – oglądał kolejne eksponaty urzeczony tymi zdobyczami i nieświadomy, że czeka już prawie godzinę.

Wreszcie przyszedł po niego jakiś asystent i poprowadził go szerokim korytarzem z przestronnymi gabinetami po obu stronach. Na ścianach wisiały oprawione w ramy powiększenia tytułów i artykułów prasowych opisujących bez wyjątku elektryzujące zwycięstwa Mooneyhama odniesione w salach rozpraw. Kimkolwiek był Mott, z pewnością niewiele znaczył w tej grze. Na papierze firmowym figurowały nazwiska tylko czterech innych prawników.

Dale Mooneyham siedział za biurkiem i gdy Clay, niezapowiedziany i czujący się

niemal jak włóczęga, wszedł do gabinetu, tylko nieco się uniósł. Uścisk dłoni był chłodny i oficjalny. Clay nie był tu mile widziany i takie przyjęcie go speszyło. Mooneyham miał co najmniej siedemdziesiąt lat, był postawnym barczystym mężczyzną z dużym brzuchem. Niebieskie dżinsy, jarmarczne czerwone buty, pomarszczona kowbojska koszula, oczywiście bez krawata. Zaczesane do tyłu siwe włosy farbował na czarno, ale wymagały kolejnego farbowania, bo na skroniach były białe, a na czubku głowy ciemne od nadmiaru brylantyny. Duża twarz, podpuchnięte oczy pijaka.

– Ładne biuro, naprawdę wyjątkowe – rzekł Clay, próbując rozluźnić trochę atmosferę.

– Kupiłem je przed czterdziestu laty – odparł Mooneyham. – Za pięć tysięcy dolców.

– Niczego sobie zbiór pamiątek.

– Dobrze mi idzie, chłopcze. Od dwudziestu jeden lat nie przegrałem procesu przed ławą przysięgłych. Należy mi się jakaś przegrana, tak przynajmniej powtarzają moi przeciwnicy.

Clay rozejrzał się po pokoju i spróbował odprężyć w niskim starym fotelu ze skóry. Gabinet był co najmniej pięć razy większy od jego gabinetu, pokrywające ściany wypchane głowy upolowanych zwierząt obserwowały każdy ruch Claya. Nie słychać było dzwoniących telefonów, w oddali nie terkotały faksy. Mooneyham nie miał komputera.

– Przyjechałem tu, żeby porozmawiać o maxatilu – zaczął Clay, wyczuwając, że w każdej chwili może zostać wyrzucony za drzwi.

Wahanie, żadnego poruszenia oprócz mimowolnego mrugnięcia małych ciemnych oczu.

– To szkodliwy lek – powiedział po prostu Mooneyham, jakby Clay o tym nie wiedział. – Około pięciu miesięcy temu wniosłem pozew we Flagstaff. Mamy tu, w Arizonie, szybką ścieżkę proceduralną nazywaną trybem pilnym, więc nasza sprawa powinna trafić na wokandę wczesną jesienią. W odróżnieniu od ciebie nie wnoszę pozwu, jeśli nie zbadam gruntownie, nie przeanalizuję dowodów i nie będę gotowy do rozprawy. Rób to w ten sposób, a druga strona nigdy nie nadąży. Napisałem książkę o przygotowywaniu się do procesu. Stale ją czytam. Ty też powinieneś.

„Mam już sobie pójść?” – miał ochotę zapytać Clay.

– A pańska klientka?

– Po prostu mam jedną. Pozwy zbiorowe to oszustwo, przynajmniej w wykonaniu twoim i twoich kolegów. Zbiorowe roszczenia odszkodowawcze to przekręt, zdzierstwo, loteria napędzana chciwością, która pewnego dnia nam wszystkim zaszkodzi. Nieposkromiona chciwość doprowadzi do diametralnej zmiany sytuacji. Wprowadzone zostaną reformy, gruntowne reformy. Wy, chłopcy, zwiniecie interes, ale to was nie ruszy, bo będziecie mieli forsę. Ludzie, którzy ucierpią, to wszyscy potencjalni powodowie, wszyscy maluczcy, którzy nie będą mogli się procesować z producentami szkodliwych produktów, bo wy nadużyliście prawa.

– Pytałem o pańską klientkę.

– Sześćdziesięcioześcioletnia biała kobieta, niepaląca, zażywała maxatil przez cztery lata. Poznałem ją przed rokiem. Nie działamy tutaj w pośpiechu, przygotowujemy się, zanim wytoczymy armaty.

Clay miał wcześniej zamiar rozmawiać o ważnych sprawach, ważnych pomysłach, na przykład o tym, ile jest potencjalnych ofiar maxatilu, czego Mooneyham spodziewa się po Goffmanie i jakich ekspertów zamierza wykorzystać w procesie. Zamiast tego chciał się jak najszybciej ulotnić.

– Nie liczy pan na ugodę? – zapytał, zdoławszy udać zaangażowanie.

– Ja nie zawieram ugód, chłopcze, i moi klienci o tym wiedzą. Przyjmuję trzy sprawy rocznie, wszystkie starannie wybrane. Lubię urozmaicenie, sprawy produktów i hipotezy, których nigdy wcześniej nie rozpatrywałem. W sądach, których nie widziałem na oczy. Mam wybór, bo prawnicy dzwonią do mnie codziennie. I zawsze idę do sądu. Gdy biorę jakąś sprawę, wiem, że nie będzie załatwiona polubownie. To pozwala się skupić. Mówię pozwanemu z góry: „Nie traćmy czasu nawet na myśl o ugodzie, dobrze?”. – W końcu Mooneyham się poruszył, nieznacznie przenosząc ciężar ciała na jedną stronę, jakby rozbolały go plecy. – To dla ciebie dobra wiadomość, chłopcze. Ja pierwszy spróbuję ustrzelić Goffmana i jeśli przysięgli spojrzą na sytuację moimi oczami, wydadzą wyrok korzystny dla mojej klientki. A wy wszyscy, papugi jedne, możecie ustawić się w kolejce, załapać się, ogłaszać w poszukiwaniu następnych klientów, a potem załatwić ich tanim kosztem i zgarnąć swoją dolę z ogólnej sumy. Dzięki mnie znowu zbijecie majątek.

– Chciałbym doprowadzić do procesu – rzekł Clay.

– Jeżeli to, co o tobie czytałem, jest prawdą, to w życiu nie byłeś w sądzie.

– Znajdę drogę.

Wzruszenie ramion.

– Przypuszczalnie nie będziesz musiał. Gdy już skończę z Goffmanem, będą unikali rozpraw przed ławą przysięgłych jak ognia.

– Nie muszę zawierać ugody.

– Ale ją zawrzesz. Będziesz miał tysiące klientów. Nie odważysz się iść do sądu.

Mówiąc to, Mooneyham wstał powoli, wyciągnął rękę i powiedział:

– Mam robotę.

Clay wyszedł w pośpiechu z gabinetu, ruszył korytarzem i przez muzeum w holu wydostał się na pustynny skwar.

* * *

Pechowa wizyta w Vegas i katastrofalna w Tucson, ale gdzieś nad Oklahomą, na wysokości dwunastu tysięcy sześciuset metrów gorycz tej podróży została trochę osło-

dzona. Ridley spała jak zabita na rozłożonej kanapie, gdy rozległ się szum faksu. Clay przeszedł na tył ciemnej kabiny i wyciągnął z maszyny jednostronicową wiadomość. Przyszła z biura, od Oscara Mulrooneya. Ściągnął artykuł z internetu, doroczne rankingi kancelarii prawniczych i honorariów adwokackich z magazynu „American Attorney". Na listę dwudziestu najlepiej opłacanych prawników w kraju na poczesne ósme miejsce z szacunkowym dochodem wysokości stu dziesięciu milionów dolarów za poprzedni rok trafił mecenas Clay Carter. Zamieszczono nawet jego małe zdjęcie z podpisem: *Debiutant roku.*

Dość trafne przypuszczenie, pomyślał Clay. Niestety, trzydzieści milionów ze swojego honorarium za ugodę w sprawie dyloftu wypłacił w formie premii Paulette, Jonahowi i Rodneyowi, co początkowo wydawało mu się wyrazem hojności, ale z perspektywy czasu było objawem szaleństwa. Nigdy więcej. Dobrzy ludzie z „American Attorney" nie zetknęli się jeszcze z taką wielkodusznością. Nie żeby Clay się skarżył. Żaden inny prawnik z okolic Waszyngtonu nie znalazł się w pierwszej dwudziestce.

Numerem jeden był legendarny Jock Ramsey z Amarillo, który wynegocjował warunki ugody w sprawie wysypiska toksycznych odpadów dotyczącej kilku firm naftowych i chemicznych. Sprawa ciągnęła się przez dziewięć lat. Szacowano, że honorarium Ramseya wyniosło czterysta pięćdziesiąt milionów dolarów. Jakiś zajmujący się sprawami firm tytoniowych prawnik z Palm Beach zarobił ponoć czterysta milionów. Kolejny nowojorczyk uplasował się na trzecim miejscu z trzystoma dwudziestoma pięcioma milionami dolarów. Patton French wylądował na czwartej pozycji, co zapewne bardzo go zirytowało.

Siedząc w zaciszu odrzutowca i spoglądając na artykuł ze swoją fotografią, Clay znowu pomyślał, że to wszystko jest snem. W Waszyngtonie mieszka siedemdziesiąt sześć tysięcy prawników, a on jest numerem jeden. Rok wcześniej nie słyszał nawet o tarvanie, dylofcie i maxatilu, nie zwracał też specjalnej uwagi na sprawy zbiorowych roszczeń odszkodowawczych. Przed rokiem jego największym marzeniem była ucieczka z BOP-u i znalezienie pracy w przyzwoitej kancelarii, gdzie płacono by mu tyle, żeby wystarczyło na kilka nowych garniturów i lepszy samochód. Jego nazwisko na papierze firmowym miało zrobić wrażenie na Rebecce i pohamować zapędy jej rodziców. Dzięki ładniejszemu gabinetowi i lepszym klientom mógłby przestać unikać swoich kumpli ze studiów. Ot, takie skromne marzenia.

Uznał, że nie pokaże tego artykułu Ridley. Ta kobieta ożywia się na myśl o pieniądzach i jej coraz większe zainteresowanie budzą biżuteria i podróże. Nigdy nie była we Włoszech i od czasu do czasu wspominała mimochodem o Rzymie i Florencji.

Wszyscy w Waszyngtonie mówiliby o nazwisku Claya na czele listy dwudziestu. Myślał o swoich znajomych i rywalach, o kumplach z wydziału prawa i dawnej bandzie z BOP-u. Przeważnie jednak myślał o Rebecce.

Rozdział 29

Hanna Portland Cement Company powstała w Reedsburgu w Pensylwanii w 1946 roku w samą porę, by skorzystać z gwałtownego powojennego ożywienia w budownictwie. Firma natychmiast stała się największym pracodawcą w tym małym mieście. Bracia Hanna rządzili w niej żelazną ręką, ale swoich pracowników, będących również ich sąsiadami, traktowali sprawiedliwie. Gdy interesy szły dobrze, pracownicy otrzymywali sowite wynagrodzenie. Gdy panował zastój, wszyscy zaciskali pasa i jakoś dawali sobie radę. Zwolnienia następowały rzadko i uciekano się do nich tylko w ostateczności. Pracownicy byli zadowoleni i nigdy nie założyli związku zawodowego.

Bracia reinwestowali zyski w wyposażenie cementowni i w lokalną wspólnotę. Zbudowali centrum administracyjno-kulturalne, szpital, teatr i najładniejsze szkolne boisko futbolowe w okolicy. Przez lata parę razy pojawiła się pokusa, by sprzedać firmę, zgarnąć sporą kasę i zacząć grać w golfa, ale bracia nie mogli być pewni, że ich fabryka pozostanie w Reedsburgu. Nie pozbyli się więc swojej własności.

Po dziesięciu latach rozsądnego zarządzania firmą zatrudniali cztery tysiące spośród jedenastu tysięcy mieszkańców miasta. Roczna sprzedaż osiągała wartość sześćdziesięciu milionów, choć zyski były iluzoryczne. Ostra konkurencja zagraniczna i zastój w budowaniu nowych domów pogarszały rachunek zysków i strat. W tej branży wahania koniunktury były normą, czemu młodzi członkowie rodziny próbowali bezskutecznie zaradzić, rozszerzając ofertę cementowni o produkty pokrewne. Obecnie zobowiązania finansowe firmy były większe niż normalnie.

Marcus Hanna pełnił funkcję dyrektora generalnego, choć nigdy nie używał tego tytułu. Był po prostu szefem, szychą numer jeden. Jego ojciec należał do założycieli firmy i Marcus spędził całe życie w cementowni. Co najmniej ośmiu innych członków rodu było w jej zarządzie, a kilkoro z następnego pokolenia pracowało, zamiatając podłogi i wypełniając te same niewdzięczne obowiązki, których wypełniania oczekiwano wcześniej od ich rodziców.

W dniu, w którym przyszedł pozew, Marcus miał spotkanie ze swoim bratem stryjecznym, Joelem Hanną, nieformalnym firmowym prawnikiem. Doręczyciel sądowy przedarł się przez recepcję oraz sekretariat i stawił przed Marcusem i Joelem z grubą kopertą.

– Pan Marcus Hanna? – zapytał.

– Owszem. Kim pan jest?

– Doręczycielem pism procesowych. Oto pozew.

– Mężczyzna wręczył mu kopertę i wyszedł.

Koperta zawierała pozew wniesiony w okręgu Howard w stanie Maryland z żądaniem nieokreślonej sumy odszkodowania dla grupy właścicieli domów domagających się rekompensat za skutki użycia wadliwego cementu wyprodukowanego przez firmę Hanna. Joel przeczytał powoli pozew i objaśnił go Marcusowi. Kiedy skończył, obaj siedzieli przez długi czas i przeklinali prawników.

Po szybkich poszukiwaniach sekretarka znalazła imponujący zestaw artykułów o reprezentującym powodów adwokacie, niejakim Clayu Carterze z Waszyngtonu.

To, że w okręgu Howard pojawiły się problemy, nie było niespodzianką. Kilkanaście lat wcześniej trafiła tam wadliwa partia ich cementu portlandzkiego. Kupiwszy go normalną drogą, różni przedsiębiorcy budowlani użyli go do obłożenia ścian zewnętrznych w nowych domach. Skargi były świeżej daty i firma starała się ocenić skalę tego problemu. Najwyraźniej zaprawa traciła wytrzymałość po mniej więcej trzech latach i wtedy cegły zaczynały wypadać ze ścian. Zarówno Marcus, jak i Joel byli w okręgu Howard i spotkali się ze swoimi dostawcami oraz wykonawcami. Skontrolowali kilka z tych domów. Obecnie liczbę potencjalnych roszczeń szacowano na pięćset, a koszt naprawy każdego budynku na blisko dwanaście tysięcy dolarów. Firma miała ubezpieczenie od odpowiedzialności za jakość wyrobu, które pokryłoby roszczenia wysokości pięciu milionów dolarów.

W pozwie sugerowano jednak, że obejmuje on grupę „co najmniej dwóch tysięcy potencjalnych petentów”, z których każdy żądał pokrycia rzeczywistych szkód na kwotę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów.

– To daje w sumie pięćdziesiąt milionów – obliczył Marcus.

– A ten przeklęty adwokat zgarnie z tego czterdzieści procent – dodał Joel.

– Nie może tego zrobić – oburzył się jego kuzyn.

– Oni robią to codziennie.

Kolejne ogólnikowe przekleństwa pod adresem prawników. Potem parę konkretnych, wymierzonych w mecenasa Cartera. Joel wyszedł z pozwem w ręce. Miał powiadomić ubezpieczyciela, który zleciłby sprawę kancelarii będącej jego pełnomocnikiem procesowym, przypuszczalnie w Filadelfii. Zdarzało się to co najmniej raz w roku, ale jeszcze nigdy roszczenie nie było tak wysokie. Ponieważ żądane odszkodowania znacznie przekraczały sumę ubezpieczenia, cementownia Hanna byłaby zmuszona wynająć własną kancelarię do współpracy z towarzystwem ubezpieczeniowym, a żaden z jej prawników nie byłby tani.

* * *

Całostronicowe ogłoszenie w „Larkin Gazette” wywołało spore poruszenie w mia-

steczku ukrytym przed światem w górach południowo-zachodniej Wirginii. Ponieważ w Larkin mieściły się trzy fabryki, żyło w nim niewiele ponad dziesięć tysięcy osób, normalne skupisko ludności w tym górniczym regionie. Dziesięć tysięcy stanowiło ustalony przez Oscara Mulrooneya próg dla całostronicowych ogłoszeń i badań przesiewowych dla ofiar Chudego Bena. Studiował kiedyś reklamę i doszedł do wniosku, że mniejsze rynki są zazwyczaj pomijane. Jego badania ujawniły również, że kobiety ze wsi i mieszkanki Appalachów są na ogół grubsze od tych z dużych miast. Istne terytorium Chudego Bena!

Zgodnie z ogłoszeniem badanie przesiewowe miało się odbyć następnego dnia w motelu na północ od miasteczka i zostać przeprowadzone przez doktora medycyny, prawdziwego lekarza. Było bezpłatne i dostępne dla każdej osoby, która zażywała benafoxadir, znany również jako Chudy Ben. Wyniki badania były poufne. I mogły doprowadzić do uzyskania rekompensaty pieniężnej od wytwórcy leku.

Na dole strony, drobniejszym drukiem, podano nazwę, adres i telefon waszyngtońskiej Kancelarii Prawniczej J. Claya Cartera II, chociaż zanim większość czytelników dotarła do tego miejsca, albo już zrezygnowali z lektury, albo byli zbyt podekscytowani informacją o badaniu przesiewowym.

Nora Tackett mieszkała w przyczepie kempingowej milę od granic miasteczka. Nie widziała ogłoszenia, ponieważ nie czytała gazet. Nie czytała niczego. Oglądała telewizję przez szesnaście godzin dziennie, na ogół jedząc. Mieszkało z nią dwóch pasierbów, których zostawił jej eksmąż, gdy zniknął dwa lata temu. To były jego dzieci, nie jej, a ona wciąż nie miała pewności, jak właściwie weszła w ich posiadanie. Ale on odszedł, ani słowa, ani centa na utrzymanie dzieci, żadnej kartki, listu czy telefonu, by sprawdzić, jak się mają dwaj smarkacze, o których zapomniał, uciekając. Więc jadła.

Klientką J. Claya Cartera została, gdy jej siostra MaryBeth zobaczyła ogłoszenie w „Larkin Gazette” i przyjechała zabrać ją na badanie przesiewowe. Nora zażywała Chudego Bena przez rok, dopóki lekarz przepisywał jej ten lek. Przestał to robić, gdyż benafoxadir zniknął z rynku. Nie potrafiła ocenić, czy dzięki tym tabletkom straciła na wadze.

Siostra zapakowała ją do mikrobusu i podetknęła pod nos ogłoszenie.

– Przeczytaj to – poleciła MaryBeth, która ruszyła drogą ku otyłości dwie dekady wcześniej, lecz udar w wieku dwudziestu sześciu lat sprawił, że przejrzała na oczy. Była już zmęczona prawieniem Norze kazań, kłóciły się od lat. I znowu zaczęły się kłócić, gdy przejechały przez miasteczko i skierowały się w stronę motelu.

Village Inn został wybrany przez sekretarkę Mulrooneya, bo wyglądał na najnowszy motel w mieście. Był też jedynym w internecie, co przy odrobinie szczęścia mogło o czymś świadczyć. Oscar nocował w nim poprzedniej nocy i jedząc wczesne śniadanie w brudnym barze zajazdu, zastanawiał się po raz kolejny, jak to się stało, że upadł tak nisko i tak szybko.

Trzeci na roku na wydziale prawa Uniwersytetu Yale! Podejmowany przez ludzi z wiodących kancelarii na Wall Street i grube ryby w Waszyngtonie. Jego ojciec był czołowym lekarzem w Buffalo. Stryj zasiadał w Sądzie Najwyższym stanu Vermont. Brat był wspólnikiem w jednej z najbardziej dochodowych kancelarii prawniczych na Manhattanie, działającej w branży rozrywkowej.

Jego żona była zażenowana tym, że znowu wyjeżdża na głuchą prowincję w poszukiwaniu klientów. On także był tym zażenowany!

Jego partnerem w zespole selekcyjnym został boliwijski stażysta, który mówił po angielsku, tyle że z tak silnym akcentem, iż nawet jego „dzień dobry” trudno było zrozumieć. Miał dwadzieścia pięć lat, a wyglądał na szesnaście nawet w zielonym szpitalnym uniformie, który Oscar kazał mu nosić dla większej wiarygodności. Na karaibskiej wyspie Grenadzie znajdowała się uczelnia medyczna. Boliwijczyk znalazł ofertę doktora Livana w dziale ogłoszeń drobnych i słono mu płacił:

dwa tysiące dolarów dziennie.

Oscar obsługiwał klientów na wstępie, a Livan zajął się resztą. Jedyna sala zebrań w motelu miała lekką składaną ściankę działową, którą we dwóch z trudem rozciągnęli w poprzek, dzieląc pomieszczenie mniej więcej na pół. Gdy Nora weszła do sali za kwadrans dziewiąta, Oscar zerknął na zegarek, po czym jak najuprzejmiej rzekł:

– Dzień dobry pani. – Stawiła się piętnaście minut przed czasem, ale z drugiej strony tacy pacjenci zawsze zjawiają się wcześniej.

Używanie słowa „pani” weszło mu w nawyk, gdy jeździł po Waszyngtonie. Nie zawdzięczał tego dobremu wychowaniu.

Odszkodowanie ma jak w banku, pomyślał, gdy tylko spojrzał na Norę. Co najmniej sto trzydzieści kilo żywej wagi, a może nawet bliżej stu osiemdziesięciu. Smutne, że potrafił odgadywać ich wagę niczym kramarz w wesołym miasteczku. Smutne, że to robił.

– Pan jest tym prawnikiem? – zapytała MaryBeth podejrzliwie. Oscar przerabiał to już setki razy.

– Tak, proszę pani, lekarz jest za przepierzeniem. Mam dla pań kilka dokumentów. – Wręczył jej podkładkę do pisania z kwestionariuszami przeznaczonymi dla najbardziej ograniczonych czytelników. – Jeżeli będą panie miały jakieś wątpliwości, proszę pytać.

MaryBeth i Nora usiadły na składanych krzesłach. Nora opadła ciężko na swoje, już była spocona. Wkrótce pochłonęło je wypełnianie druków. Zapadła cisza, aż znowu otworzyły się drzwi i do środka zajrzała kolejna tęga kobieta. Natychmiast utkwiła wzrok w Norze, która odpowiedziała spojrzeniem łani oślepionej reflektorami samochodu. Dwie grubaski przyłapane w pogoni za odszkodowaniem.

– Niech pani wejdzie – rzekł Oscar z serdecznym uśmiechem, przypominając teraz sprzedawcę samochodów. Zaprosił ją do środka, wetknął do rąk formularze i zaprowadził na drugi koniec sali. Waga od stu dziesięciu do stu dwudziestu pięciu kilo.

Każde badanie kosztowało tysiąc dolarów. Jedna na dziesięć przebadanych osób sta-

wała się klientem w sprawie Chudego Bena. Przeciętny klient wart był od stu pięćdziesięciu do dwustu tysięcy dolarów, a oni zbierali resztki, bo osiemdziesiąt procent poszkodowanych trafiło już do kancelarii prawniczych w całym kraju.

Lecz te resztki i tak były warte majątek. Nie tak dużo jak w sprawie dyloftu, ale i tak grube miliony dolarów.

Gdy Nora odpowiedziała na pytania z ankiety, zdołała wstać. Oscar wziął formularze, przejrzał je, upewnił się, czy rzeczywiście zażywała Chudego Bena, po czym podpisał się gdzieś na dole.

– Tymi drzwiami, proszę pani. Lekarz już czeka.

Nora weszła przez dużą szparę w przepierzeniu, MaryBeth została i zaczęła gawędzić z prawnikiem.

Livan przedstawił się Norze, która nie zrozumiała ani słowa z tego, co mówił, a on nie ułatwił sprawy. Zmierzył jej ciśnienie i pokręcił z niedowierzaniem głową – sto czterdzieści na sto osiemdziesiąt. Serce biło w zabójczym rytmie stu trzydziestu uderzeń na minutę. Wskazał wagę przemysłową, a ona niechętnie na niej stanęła – sto siedemdziesiąt sześć kilo.

Czterdziestoczterolatka. W takim stanie miałaby szczęście, dożywając pięćdziesiątych urodzin.

Lekarz otworzył boczne drzwi i wyprowadził Norę na dwór, gdzie czekała zaparkowana furgonetka ambulatorium.

– Resztę zrobimy tutaj – wyjaśnił. Tylne drzwi furgonetki były otwarte, w środku czekała dwójka diagnostów USG, oboje w białych marynarkach. Pomogli Norze wsiąść.

– Co to jest? – zapytała przerażona, wskazując najbliższe urządzenie.

– To echokardiograf – odparł mężczyzna niezrozumiałą dla niej angielszczyzną.

– Badamy nim klatkę piersiową – wyjaśniła kobieta – i robimy zdjęcie cyfrowe serca. Za dziesięć minut będzie po wszystkim.

– To bezbolesne – dodał mężczyzna.

Nora zamknęła oczy i zaczęła się modlić o łaskę ocalenia.

Spór prawny o Chudego Bena był tak lukratywny z uwagi na łatwość uzyskiwania dowodów. Z upływem czasu lek, który ostatecznie w niewielkim tylko stopniu pomagał zrzucić wagę, osłabiał aortę. I to uszkodzenie było trwałe. Niedomykalność zastawki aorty, czyli cofanie się krwi z lewej komory do aorty, w co najmniej dwudziestu procentach oznaczała automatyczny pozew.

Doktor Livan obejrzał wydruk z badania, gdy Nora wciąż była pogrążona w modlitwie, i podniósł kciuk, sygnalizując pozytywny wynik: dwadzieścia dwa procent. Zaniósł go za przepierzenie, gdzie Oscar przerzucał papiery przygotowane dla pełnej sali potencjalnych klientów. Mulrooney wrócił z nim na miejsce badań. Nora siedziała blada i popijała sok pomarańczowy. Miał ochotę powiedzieć: „Moje gratulacje, pani Tackett, pani aorta została uszkodzona w wystarczającym stopniu”, ale gratulacje należały się

tylko prawnikom. Wezwali MaryBeth i Oscar przedstawił im scenariusz sporu prawnego, poruszając tylko główne sprawy.

Echokardiogram miał zostać przeanalizowany przez biegłego kardiologa, którego opinia trafiłaby do administratora pozwu zbiorowego. Sędzia zatwierdził już skalę rekompensat.

– Ile? – zapytała MaryBeth, która wyglądała na bardziej zainteresowaną odszkodowaniem niż jej siostra. Wydawało się, że Nora znowu się modli.

– Zważywszy na wiek pani Nory, w przybliżeniu sto tysięcy dolarów – odparł Oscar, pomijając na razie informację, że trzydzieści procent trafi do Kancelarii Prawniczej J. Claya Cartera II.

– Sto tysięcy dolarów!? – wykrzykiwała Nora.

– Tak, proszę pani. – Niczym chirurg przed rutynową operacją Oscar nauczył się zaniżać szacunki szans powodzenia swoich działań. Ograniczaj ich nadzieje, a dzięki temu szok spowodowany wysokością honorariów adwokackich nie będzie taki duży.

Nora myślała właśnie o nowej, dwukrotnie szerszej przyczepie i nowej antenie satelitarnej. MaryBeth o ciężarówce pełnej ultra slim-fastu. Dokumenty zostały wypełnione i Oscar podziękował im za wizytę.

– Kiedy dostaniemy pieniądze? – zapytała MaryBeth.

– My? – zdziwiła się Nora.

– W ciągu sześćdziesięciu dni – odparł Oscar, wyprowadzając je bocznymi drzwiami.

Niestety, aorty następnej siedemnastki nie były wystarczająco uszkodzone i Oscar musiał się napić. Ale przy numerze dziewiętnastym, młodym mężczyźnie, pod którego dwustutrzydziestokilogramowym ciężarem waga aż zatrzeszczała, trafił na żyłę złota. Jego echokardiogram wyglądał wspaniale – czterdziestoprocentowa niedomykalność zastawki. Chudego Bena zażywał od dwóch lat. A ponieważ miał ich dwadzieścia sześć i, przynajmniej statystycznie biorąc, miał przeżyć następne trzydzieści jeden lat z chorym sercem, jego sprawa była warta minimum pół miliona dolarów.

Późnym popołudniem doszło do paskudnego incydentu. Jakaś zwalista młoda kobieta wpadła we wściekłość, gdy doktor Livan poinformował ją, że ma zdrowe serce. Żadnych uszkodzeń. Ona jednak usłyszała w miasteczku, że Nora Tackett dostanie sto kawałków, tak naprawdę powiedzieli jej o tym w salonie kosmetycznym, i chociaż ważyła mniej niż Nora, też zażywała te tabletki i miała prawo do identycznego odszkodowania.

– Te pieniądze są mi naprawdę potrzebne – twierdziła uparcie.

– Przykro mi – powtarzał doktor Livan.

Wezwali Oscara. Młoda kobieta podniosła głos i zrobiła się wulgarna, więc aby pozbyć się jej z motelu, obiecał, że ich kardiolog tak czy inaczej obejrzy echokardiogram.

– Zrobimy drugie badanie i zlecimy analizę wyników lekarzowi z Waszyngtonu – zaproponował, jakby wiedział, o czym mówi. Uspokoiło ją to na tyle, że sobie poszła.

Co ja tu robię? – powtarzał w myślach. Wątpił, by ktokolwiek z mieszkańców Larkin studiował kiedyś w Yale, był jednak przerażony. Gdyby ktoś to rozgłosił, byłby skończony. Forsa, po prostu myśl o forsie, powtarzał raz po raz.

Przebadali czterdzieści jeden osób z Larkin zażywających Chudego Bena. Trzy spełniły warunki. Oscar wciągnął ich na listę powodów i wyjechał z miasteczka z pięknymi widokami na honorarium adwokackie – około dwustu tysięcy dolarów.

Nie najgorsza wycieczka. Pognał bmw prosto do Waszyngtonu. Kolejny wypad do centrum kraju miał być podobną potajemną podróżą do Wirginii Zachodniej. Na następny miesiąc zaplanował tuzin takich podróży.

Po prostu tłucz szmal. To przekręt niemający nic wspólnego z praktykowaniem prawa. Znajdź ich, wciągnij na listę, zawrzyj ugodę, bierz forsę i w nogi.

Rozdział 30

Pierwszego maja Rex Crittle odszedł z biura rachunkowego, w którym pracował od osiemnastu lat, i przeniósł się piętro wyżej, żeby zostać dyrektorem handlowym JCC. Miał zwiększoną pensję i dodatki, więc po prostu nie mógł odmówić. Kancelaria prawnicza Cartera odniosła szalony sukces, ale w tym chaosie rozrastała się tak szybko, że wydawało się, iż jej działalność wymknęła się spod kontroli. Clay dał mu sporą władzę i umieścił w gabinecie po przeciwnej stronie korytarza.

Chociaż Crittle z pewnością doceniał wysoką pensję, sceptycznie podchodził do zarobków wszystkich otaczających go osób. Jego zdaniem, które na razie zachował dla siebie, większość pracowników opłacano zbyt sowicie. W kancelarii pracowało dwadzieścioro prawników, a wszyscy zarabiali co najmniej dwieście tysięcy dolców rocznie; dwudziestu jeden asystentów prawnych z zarobkami minimum siedemdziesiąt pięć tysięcy każdy; dwadzieścia sześć sekretarek z pensją pięćdziesiąt tysięcy dolarów każda z wyjątkiem panny Glick, która zarabiała sześćdziesiąt tysięcy; około tuzina kancelistów rozmaitego rodzaju, każdy wyciągający średnio dwadzieścia tysięcy; oraz czterech gońców z wynagrodzeniami wysokości piętnastu tysięcy dolarów każdy. W sumie siedemdziesiąt siedem osób, wyłączając Crittle'a i Claya. Po uwzględnieniu kosztów dodatkowych świadczeń całkowite roczne wypłaty z tytułu zarobków wynosiły osiem milionów czterysta tysięcy dolarów i rosły niemal z tygodnia na tydzień.

Czynsz pochłaniał siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów miesięcznie. Wydatki na biuro – komputery, telefony, usługi komunalne – wynosiły około czterdziestu tysięcy dolarów na miesiąc. Gulfstream, który stanowił największe marnotrawstwo ze wszystkich i jedyną z wartościowych rzeczy, bez której Clay nie mógł się obyć, kosztował firmę trzysta tysięcy dolarów w miesięcznych ratach hipotecznych i kolejne trzydzieści tysięcy w nakładach na pilotów, konserwację i opłaty hangarowe. Wpływy z tytułu czarteru, na które liczył Clay, miały dopiero pojawić się w księgach. Między innymi dlatego, że Clay tak naprawdę nie chciał, by ktoś inny korzystał z jego samolotu.

Zgodnie z danymi, które Crittle codziennie śledził, firma puszczała z dymem blisko milion trzysta tysięcy dolarów miesięcznie w kosztach ogólnych – mniej więcej piętnaście milionów sześćset tysięcy rocznie. Z pewnością wystarczająco dużo, by przerazić każdego księgowego, ale po szokująco korzystnej ugodzie w sprawie dyloftu i napływie olbrzymich honorariów nie mógł narzekać. W każdym razie jeszcze nie teraz. Obecnie spotykał się z Clayem co najmniej trzy razy w tygodniu i każdy budzący wątpliwości wydatek był usprawiedliwiany tradycyjnym: „Trzeba wydać, żeby zarobić".

No i wydawali. Jeżeli koszty ogólne wprawiały Crittle’a w zakłopotanie, to nakłady na ogłoszenia i testy medyczne budziły w nim prawdziwą grozę. Na maxatil kancelaria wydała w pierwszych czterech miesiącach ponad sześć milionów na ogłoszenia w prasie, radiu, telewizji i w sieci. Tego nie mógł zignorować.

– Całą parą naprzód – odpowiedział Clay. – Chcę mieć dwadzieścia pięć tysięcy klientów! – W rejestrze było ich już około osiemnastu tysięcy i praktycznie nie dało się tego monitorować, a sytuacja zmieniała się z godziny na godzinę.

Według pewnego branżowego biuletynu internetowego, do którego Crittle codziennie zaglądał, waszyngtońska kancelaria Cartera pozyskiwała tylu klientów w sprawie maxatilu, ponieważ mało kto z pozostałych prawników szukał ich tak agresywnie. Zachował jednak tę opinię dla siebie.

– Maxatil przyniesie jeszcze większe wpływy niż dyloft – wielokrotnie mówił Clay w biurze, by rozniecić zapał w szeregach pracowników swojej kancelarii. I wydawało się, że naprawdę w to wierzy.

Chudy Ben kosztował firmę znacznie mniej, lecz wydatki rosły, a honoraria nie. Do pierwszego maja wydali sześćset tysięcy na ogłoszenia i mniej więcej tyle samo na badania. Kancelaria miała stu pięćdziesięciu klientów, a Oscar Mulrooney puścił w obieg notatkę stwierdzającą, że każdy z nich jest wart średnio sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Przy trzydziestoprocentowej stawce honorariów adwokackich przewidywał przychód wysokości około dziewięciu milionów w ciągu następnych „kilku miesięcy”.

To, że działalność jednego oddziału kancelarii miała przynieść takie wyniki, wzbudziło powszechny entuzjazm, ale czekanie stało się kłopotliwe. Pozew zbiorowy w tej sprawie, w której ugoda miała być zawarta automatycznie, nie przyniósł jeszcze ani centa. Zaangażowały się w nią setki prawników i jak można było oczekiwać, doszło do poważnych rozbieżności między nimi. Crittle nie rozumiał zawiłości prawnych, ale się uczył. Był za to biegły w sprawach kosztów ogólnych i niedoborów w honorariach.

W dniu, w którym księgowy wprowadził się do biura, wyniósł się z niego Rodney, chociaż oba te wydarzenia nie miały ze sobą związku. Rodney po prostu wymieniał żetony na pieniądze i przeprowadzał się na przedmieścia, do bardzo ładnego domu przy bardzo bezpiecznej ulicy, z kościołem na jednym końcu, szkołą na drugim i parkiem za rogiem. Zamierzał stać się pełnoetatowym nauczycielem dla czwórki swoich dzieci. Później ewentualnie mógłby znaleźć jakieś zatrudnienie. Zapomniał o studiach na wydziale prawa. Z dziesięcioma milionami dolarów na koncie, przed opodatkowaniem, nie miał prawdziwych planów, a tylko determinację, by być ojcem, mężem i sknerą. Na parę godzin przedtem, zanim na dobre opuścił biuro, obaj z Clayem wymknęli się do baru przy tej samej ulicy i tam się pożegnali. Pracowali razem sześć lat – pięć w BOP-ie i przez ostatni rok w nowej firmie.

– Nie wydaj wszystkiego – ostrzegł Rodney przyjaciela.

– Nie dam rady. Jest tego za dużo – zauważył Clay.

– Nie bądź niemądry.

Prawda wyglądała tak, że kancelaria nie potrzebowała już kogoś takiego jak Rodney. Chłopcy z Yale oraz inni prawnicy zachowywali się wobec niego grzecznie i z pełnym szacunkiem głównie dlatego, że łączyła go przyjaźń z Clayem, ale przecież był tylko asystentem prawnym. I nie potrzebował już kancelarii. Chciał ukryć swoje pieniądze i strzec ich jak oka w głowie. Nie mówił tego, ale był zbulwersowany tempem, w jakim Clay przepuszcza taką fortunę. Za marnotrawstwo się płaci.

Jonah mieszkał na jachcie, a Paulette nadal ukrywała się w Londynie i najwyraźniej nie miała zamiaru wrócić do domu, więc ich paczka się rozpadła. Smutne, lecz Clay był zbyt zajęty, żeby odczuwać nostalgię.

Patton French zarządził spotkanie komisji nadzorującej, która z uwagi na problemy logistyczne zebrała się dopiero po miesiącu. Clay zapytał, dlaczego nie mogą załatwić wszystkiego przez telefon, faks, pocztą elektroniczną i za pośrednictwem sekretarek, ale French odparł, że muszą spędzić razem jeden dzień, w piątkę w jednym pokoju. A ponieważ pozew został złożony w Biloxi, potrzebował ich właśnie tam.

Ridley była gotowa do podróży. Przestała pracować jako modelka, spędzała czas w siłowni i przez kilka godzin dziennie robiła zakupy. Clay nie miał zastrzeżeń do wizyt w siłowni, ich efekty przydawały jej blasku. Ciągłe zakupy budziły jego obawy, ale Ridley wykazywała niezwykłą powściągliwość. Mogła chodzić po sklepach godzinami i wydać przy tym niewiele.

Miesiąc wcześniej, po długim weekendzie w Nowym Jorku, wrócili do Waszyngtonu i pojechali samochodem do domu Claya. Spędziła z nim noc – nie pierwszy i najwyraźniej nie ostatni raz. Chociaż nie rozmawiali o przeprowadzce do niego, po prostu do niej doszło. Clay nie pamiętał, kiedy zauważył u siebie jej szlafrok, szczoteczkę do zębów, kosmetyki i bieliznę. Nigdy nie widział, by wnosiła swoje rzeczy do mieszkania, po prostu się w nim pojawiły. Ridley nie była natarczywa, nie padło na ten temat ani jedno słowo. Została przez trzy kolejne noce, robiąc wszystko, co trzeba, i wcale mu nie zawadzając, po czym powiedziała szeptem, że musi spędzić jedną noc u siebie. Wróciła po dwóch dniach, przez które ze sobą nie rozmawiali.

O małżeństwie nigdy nie wspominali, chociaż Clay kupował jej tyle biżuterii i ubrań, że wystarczyłoby na cały harem. Wydawało się, że żadne z nich nie szuka czegoś na stałe. Lubili swoje towarzystwo, lecz nadal widzieli świat poza sobą. Ridley miała swoje tajemnice, których Clay nie chciał zgłębiać. Była zachwycająca, miła i dobra w łóżku i nie sprawiała wrażenia naciągaczki. Miała jednak swoje sekrety.

Miał je i Clay. Największym było to, że gdyby Rebecca zadzwoniła w odpowiednim momencie, sprzedałby wszystko oprócz gulfstreama, zapakował ją do niego i poleciał w kosmos.

Zamiast tego leciał do Biloxi z młodą Gruzinką, która na podróż włożyła zamszową minispódniczkę ledwo zakrywającą to, co istotne, i czego nie miała powodu zakrywać,

ponieważ w samolocie byli jedynymi pasażerami. Gdzieś nad Wirginią Zachodnią Clay pomyślał przelotnie, by zerwać się z kanapy i na nią rzucić. Ta myśl błąkała się po jego głowie, ale zdołał ją odsunąć, po trosze z powodu frustracji. Dlaczego to zawsze on jest inicjatorem erotycznych gier i zabaw? Ridley chętnie brała w nich udział, ale nigdy nie robiła pierwszego kroku.

Poza tym jego teczka była wypełniona dokumentami komisji nadzorującej.

* * *

Na lotnisko w Biloxi wysłano po nich limuzynę. Pojechali nią do oddalonego o kilka mil portu, gdzie czekała łódź motorowa. Patton French spędzał większość czasu na jachcie, dziesięć mil od brzegu Zatoki Meksykańskiej. Rozstawał się teraz z żoną i przymierzał do kolejnego małżeństwa. Toczyli zaciekły spór rozwodowy. Obecna pani Patton chciała połowy jego pieniędzy i wszystkiego, co ukrył. Życie na łódce, jak nazywał swój dwustustopowy luksusowy jacht, było o wiele spokojniejsze.

Powitał ich boso i w szortach. Wes Saulsberry i Damon Didier byli już na pokładzie, ze szklankami mocnego alkoholu w rękach. Lada moment miał przybyć Carlos Hernandez z Miami. French oprowadził ich szybko po jachcie. Podczas zwiedzania Clay naliczył co najmniej osiem osób w śnieżnobiałych żeglarskich strojach, będących w gotowości na wypadek, gdyby czegoś potrzebował. Jacht miał pięć poziomów, sześć prywatnych kabin, kosztował dwadzieścia milionów i tak dalej, i tak dalej. Ridley dała nura do sypialni i zaczęła zrzucać ubranie.

Chłopcy spotkali się przy alkoholu „na ganku”, jak określał go French – małym drewnianym pokładzie na najwyższym poziomie.

Za dwa tygodnie French szedł do sądu, rzecz rzadka w jego przypadku, ponieważ zazwyczaj pozywane przez niego korporacje ze strachu oddawały mu pieniądze bez procesu. Twierdził, że nie może się tego doczekać i przy wódce zanudzał ich szczegółami sprawy.

Przerwał w pół zdania, gdy ujrzał coś na niższym pokładzie. Pojawiła się tam Ridley – bez stanika i na pierwszy rzut oka również bez majtek. Jednak skąpe niczym listek figowy majteczki trzymały się jakimś cudem właściwego miejsca. Trzej starsi mężczyźni wyprężyli się gwałtownie i z trudem łapali oddech.

– To Europejka – wyjaśnił Clay w oczekiwaniu na pierwszy atak serca. – Gdy zbliża się do wody, ubranie samo z niej spada.

– W takim razie kup jej jakąś łódź – poradził Saulsberry.

– Mam lepszy pomysł: może mieć tę – rzekł French, próbując się pozbierać.

Ridley podniosła wzrok, spostrzegła, jakie wywołała poruszenie, po czym zniknęła śledzona zapewne wzrokiem wszystkich kelnerów i członków załogi.

– Na czym to ja skończyłem? – zapytał French, znowu oddychając normalnie.

– Na kropce w swojej opowieści – odparł Didier.

Do jachtu zbliżała się kolejna łódź motorowa, wioząca Hernandeza nie z jedną, lecz dwiema młodymi damami u boku. Gdy wysiedli i French ulokował je w kabinie, Carlos spotkał się z chłopakami na ganku.

– Kim są te dziewczyny? – zapytał Wes.

– Moimi asystentkami prawnymi – odparł Hernández.

– Tylko przypadkiem nie zrób ich swoimi wspólniczkami – ostrzegł French. Przez kilka minut rozmawiali o kobietach. Najwyraźniej wszyscy czterej mieli za sobą po kilka małżeństw. Może właśnie dlatego tak ciężko pracowali? Clay tylko milczał i słuchał.

– Co słychać w sprawie maxatilu? – zainteresował się Carlos. – Mam już tysiąc klientów i nie bardzo wiem, co mam z nimi zrobić.

– Pytasz mnie, co masz zrobić ze swoimi klientami? – zdziwił się Clay.

– A ilu ty masz? – zapytał French. Nastrój zmienił się radykalnie, koniec żartów.

– Dwadzieścia tysięcy – odparł Clay, tylko trochę zawyżając ich liczbę. Tak naprawdę nie wiedział, ilu klientów wciągnięto już na biurową listę. Cóż znaczy niewielka przesada w gronie speców od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych.

– Nie wniosłem swojego pozwu – rzekł Carlos. – Wykazanie związku przyczynowego może być koszmarnie trudne. – Słowa, których Clay dość się już nasłuchał i których nie chciał więcej słyszeć. Od niemal czterech miesięcy czekał, aż kolejna gwiazda palestry wejdzie do gry.

– To mi się nadal nie podoba – rzekł French. – Wczoraj w Dallas rozmawiałem ze Scottym Gainesem. Ma dwa tysiące klientów, ale też nie jest pewny, co z nimi zrobić.

– Bardzo trudno wykazać związek przyczynowy wyłącznie na podstawie jakiegoś badania – zwrócił się do Claya Didier tonem wymówki. – Mnie też się to nie podoba.

– Problem polega na tym, że źródłem chorób spowodowanych przez maxatil jest również wiele innych czynników – tłumaczył Carlos. – Kazałem zbadać ten lek czterem specjalistom. Wszyscy twierdzą, że gdy kobieta zażywa maxatil i zaczyna chorować na raka piersi, nie da się powiązać jednego z drugim.

– Jakieś wieści od Goffmana? – zapytał French.

Clay, gotowy skoczyć za burtę, upił spory łyk bardzo mocnego alkoholu i spróbował zrobić minę człowieka, który ma tę korporację na widelcu.

– Żadnych – odparł. – Sprawa właśnie zaczyna wychodzić na jaw. Myślę, że wszyscy czekamy na Mooneyhama.

– Wczoraj z nim rozmawiałem – oznajmił Saulsberry.

Sprawa maxatilu mogła nie budzić ich entuzjazmu, ale na pewno śledzili jej przebieg. Clay zajmował się pozwami zbiorowymi wystarczająco długo, by wiedzieć, że prawnicy najbardziej boją się przeoczyć dużą sprawę. A sprawa dyloftu nauczyła ich, że największy dreszcz emocji budzi przypuszczenie niespodziewanego ataku, gdy wszyscy inni śpią.

Clay nie miał jeszcze pewności, czego może go nauczyć sprawa maxatilu. Ci ludzie szarpali przynętę, licząc na to, że dowiedzą się czegoś z pierwszej linii frontu. Ponieważ jednak Goffman szczelnie blokował dostęp do informacji od dnia wniesienia pozwu, Clay nie miał im nic do przekazania.

– Znam Mooneyhama bardzo dobrze. Wiele lat temu prowadziliśmy parę spraw.

– To fanfaron – zauważył French, jakby typowy adwokat był małomówny, a gaduła okrywał tę profesję niesławą.

– Owszem, ale jest bardzo dobry. Staruszek nie przegrał od dwudziestu lat.

– Od dwudziestu jeden – poprawił go Clay. – Tak przynajmniej mi powiedział.

– Nieważne – mruknął Saulsberry, ignorując ich, bo sam miał nowiny. – Nie mylisz się, Clay, wszyscy obserwują Mooneyhama. Nawet Goffman. Proces jest wyznaczony na wrzesień. Twierdzą, że chcą iść do sądu. Jeżeli Mooneyham zdoła powiązać poszczególne elementy i dowieść związku przyczynowego oraz odpowiedzialności deliktowej, to jest spora szansa, że firma stworzy ogólnokrajowy plan odszkodowawczy. Ale jeżeli przysięgli przyznają rację Goffmanowi, to mamy wojnę, bo ta firma sama nikomu nie wypłaci ani centa.

– To wszystko opinie Mooneyhama? – zapytał French.

– Tak.

– To fanfaron.

– Nie, ja też tak słyszałem – włączył się Carlos. – Mam pewne źródło informacji i usłyszałem od niego dokładnie to samo, co mówi Wes.

– Nie słyszałem jeszcze o pozwanym domagającym się procesu – powiedział French.

– Goffman to banda twardzieli – zauważył Didier. – Pozwałem ich piętnaście lat temu. Jeżeli uda ci się dowieść ich odpowiedzialności, wypłacą porządne odszkodowanie. W przeciwnym razie masz przechlapane.

I znowu Clay miał ochotę popływać. Na szczęście kiedy dwie kubańskie asystentki prawne wparadowały na pokład poniżej w bardzo skąpych strojach, o maxatilu natychmiast zapomniano.

– Asystentki prawne, akurat – prychnął French, prostując się, by lepiej widzieć.

– Która jest twoja? – zapytał Saulsberry, wychylając się z fotela.

– Wybierzcie sobie, chłopaki – odparł Carlos. – To profesjonalistki. Przywiozłem je w prezencie. Puścimy je w obieg.

Po tych słowach gaduły na górnym pokładzie umilkły na amen.

* * *

Tuż przed świtem nadciągnął sztorm i zakłócił panującą na jachcie ciszę. French, z paskudnym kacem i nagą asystentką prawną w pościeli, zadzwonił z łóżka do kapitana i kazał mu płynąć do brzegu. Śniadanie zostało odłożone na później, nie żeby ktokol-

wiek był głodny. Wieczorna kolacja przerodziła się w czterogodzinny maraton z opowieściami o sądowych bataliach, sprośnymi dowcipami i obowiązkową nocną sprzeczką spowodowaną nadmiarem wypitego alkoholu. Clay i Ridley wcześnie udali się na spoczynek i zamknęli drzwi swojej kabiny na cztery spusty.

Po zacumowaniu w porcie Biloxi, stawiając czoło burzy, komisja nadzorująca zdołała przeanalizować wszystkie dokumenty i notatki, które miała poddać analizie. Były tam wskazówki dla administratora pozwu zbiorowego i dziesiątki wolnych miejsc do wypełnienia podpisami. Gdy kończyli, Clay miał mdłości i rozpaczliwie pragnął stanąć na pewnym gruncie.

W powodzi dokumentów nie zaginął najnowszy harmonogram wypłat honorariów. Clay, a dokładniej jego kancelaria, miał niebawem otrzymać kolejne cztery miliony dolarów. Dość ekscytująca wiadomość, ale nie był pewny, czy zauważy te pieniądze, gdy już spłyną. Pozwoliłyby pokryć sporą część kosztów ogólnych, ale tylko na pewien czas.

Dzięki temu jednak na kilka tygodni miałby z głowy Rexa Crittle’a, który przemierzał korytarze kancelarii niczym mężczyzna przy nadziei, szukając honorariów.

Nigdy więcej, poprzysiągł sobie, gdy zszedł z pokładu jachtu. Już nigdy nie da się zamknąć na noc z ludźmi, do których nie czuł cienia sympatii. Limuzyna zawiozła ich na lotnisko, a gulfstream na Karaiby.

Rozdział 31

Wynajęli tę willę na cały tydzień, chociaż Clay miał wątpliwości, czy może tak długo przebywać poza biurem. Stała wciśnięta w zbocze wzgórza górującego nad ruchliwym portowym miastem Gustavia, w którym roiło się od turystów, pojazdów oraz rozmaitych wpływających i wypływających łodzi. Ridley znalazła ją w katalogu ekskluzywnych prywatnych domów na wynajem. Willa była piękna – tradycyjna karaibska architektura, dach kryty czerwoną dachówką, długie ganki i werandy. Czekały tam na nich sypialnie i łazienki zbyt liczne, by wszystkie dało się znaleźć, oraz szef kuchni, dwie pokojówki i ogrodnik. Szybko się zainstalowali i Clay zaczął przerzucać przewodniki agencji nieruchomości, które ktoś raczył uprzejmie zostawić.

Pierwsza wizyta Claya na plaży dla nudystów przyniosła wielkie rozczarowanie. Pierwszą nagą kobietą, jaką ujrzał, była jakaś babcia, pomarszczona staruszka, której nikt w porę nie doradził, by raczej zasłaniała, niż odkrywała swoje wdzięki.

Potem nadszedł jej mąż, z wielkim wiszącym brzuchem zakrywającym intymne części ciała, z wysypką i nie tylko nią na tyłku. Nagość zbierała cięgi. Ridley była oczywiście w swoim żywiole, przechadzając się dumnie po plaży ścigana spojrzeniami. Po paru godzinach na piasku zeszli z gorącej plaży i zjedli lunch w rewelacyjnej francuskiej restauracji. Wszystkie dobre restauracje były francuskie, a na wyspie ich nie brakowało.

W Gustavii panował duży ruch. Było gorąco i sezon turystyczny już się skończył, ale najwyraźniej ktoś zapomniał powiedzieć o tym turystom, którzy wypełniali chodniki, snując się od sklepu do sklepu, i tłoczyli na ulicach w wynajętych jeepach i małych samochodach. W porcie ani na chwilę nie milkł gwar, ponieważ właściciele niewielkich łodzi rybackich, nie przebierając w słowach, walczyli o dostęp do jachtów ludzi bogatych i sławnych.

Mustique była zaciszna i ustronna, natomiast na St. Barth zbudowali za dużo domów i mieli nadkomplet. Mimo to wyspa miała swój urok. Clayowi obie bardzo przypadły do gustu. Ridley, która żywo interesowała się nieruchomościami, wolała St. Barth z uwagi na sklepy i restauracje. Lubiła ruchliwe miasta i ludzi. Ktoś musiał się na nią gapić.

Po trzech dniach pobytu Clay zdjął zegarek i zaczął sypiać w hamaku na ganku. Ridley czytała książki i godzinami oglądała stare filmy. W ich życie wkradała się nuda, gdy Jarrett Carter wpłynął do portu na pokładzie swojego wspaniałego katamaranu *ExLitigator*. Clay siedział w barze przy nabrzeżu, popijając napój gazowany i na niego czekał.

Załoga jachtu składała się z czterdziestokilkuletniej Niemki o nogach równie długich jak nogi Ridley oraz szelmowskiego Szkota nazwiskiem MacKenzie, wynajętego przez Jarretta instruktora żeglarstwa. Kobietę, Irmgard, przedstawił początkowo jako oficera pokładowego, co w kategoriach żeglarskich miało bardzo mgliste znaczenie. Clay zapakował ich do jeepa i zawiózł do willi, gdzie najpierw spędzili całe wieki pod prysznicem, a potem pili. Tymczasem słońce znikało pod powierzchnią morza. MacKenzie przedawkował burbona i wkrótce chrapał na hamaku.

W żeglarskim biznesie, podobnie jak w branży lotów czarterowych, panował zastój. W ciągu sześciu miesięcy *ExLitigator* został wynajęty czterokrotnie. Trasa najdłuższego rejsu, jaki odbył, wiodła z Nassau na Arubę i z powrotem – trzy tygodnie, które przyniosły Jarrettowi trzydzieści tysięcy dolarów od pary emerytowanych Brytyjczyków. Najkrótszym rejsem był wypad na Jamajkę, gdzie o mało nie stracili łodzi podczas sztormu. Uratował ich trzeźwy MacKenzie. W pobliżu Kuby wpadli na piratów. Morskim opowieściom nie było końca.

Jak należało się spodziewać, Ridley przypadła Jarrettowi do serca. Był dumny ze swojego syna. Wydawało się, że Irmgard zadowala się piciem, paleniem i obserwowaniem świateł Gustavii.

Długo po kolacji, gdy kobiety poszły spać, Jarrett i Clay przenieśli się na drugi ganek na kolejną rundę rozmowy.

– Gdzie ją znalazłeś? – zapytał Jarrett i syn szybko przedstawił mu historię ich znajomości. Właściwie mieszkali razem, ale żadne z nich nie wspominało o poważnym związku. Irmgard także była na tymczasem.

Jarrett miał do syna dziesiątki pytań dotyczących kwestii prawnych. Był przerażony wielkością nowej firmy Claya i czuł się w obowiązku służyć mu radą w kwestii jej prowadzenia.

Carter junior słuchał cierpliwie. Na jachcie był komputer z dostępem do internetu i Jarrett wiedział o sporze prawnym o maxatil i złej prasie, jaka mu towarzyszyła. Gdy Clay wyznał, że ma dwadzieścia tysięcy klientów, jego ojciec pomyślał, że to zbyt dużo, by jakakolwiek kancelaria mogła ich obsłużyć.

– Nie rozumiesz zasad pozwów zbiorowych – stwierdził Clay.

– To mi zakrawa na zbiorowe narażanie się na kłopoty – odparował Jarrett. – Do jakiej sumy ubezpieczyłeś się od odpowiedzialności za błąd w sztuce?

– Do dziesięciu milionów.

– Za mało.

– To wszystko, co zaoferowano mi w towarzystwie ubezpieczeniowym. Wyluzuj, tato, wiem, co robię.

Jarrett nie mógł kwestionować sukcesu syna. Pieniądze, które ten tłukł, sprawiły, że zatęsknił do dni adwokackiej chwały. Słyszał płynące z oddali magiczne słowa przewodniczącego ławy przysięgłych: „Wysoki Sądzie, my, przysięgli, orzekamy na ko-

rzyść powoda i przyznajemy odszkodowanie wysokości dziesięciu milionów dolarów”. Obejmował potem swojego klienta, rzucał jakieś uprzejme słowa adwokatowi pozwanego i opuszczał kolejną salę rozpraw z kolejnym trofeum.

Na długi czas zapadła cisza. Obaj potrzebowali snu. Jarrett wstał i podszedł na skraj ganku.

– Myślisz czasem o tym czarnym chłopaku? – zapytał, wpatrując się w ciemność. – Tym, który zaczął strzelać i nie wiedział dlaczego?

– O Tequili?

– Taak, opowiadałeś mi o nim w Nassau, gdy kupowaliśmy jacht.

– Taak, od czasu do czasu myślę.

– To dobrze. Bo forsa to nie wszystko. – To powiedziawszy, Jarrett poszedł spać.

* * *

Rejs wokół wyspy trwał prawie cały dzień. Kapitan rozumiał chyba podstawowe zasady sterowania łodzią i to, jak wpływa na nią wiatr, ale gdyby nie MacKenzie, zapewne zawędrowaliby w głąb morza i zaginęli na dobre. Kapitan bardzo starał się zapanować nad swoim statkiem, ale Ridley, która spędziła większość dnia, smażąc się nago na słońcu, bardzo go rozpraszała. Nie mógł oderwać od niej oczu. Podobnie jak MacKenzie, on jednak mógłby sterować jachtem nawet przez sen.

Lunch zjedli w ustronnej zatoczce po północnej stronie wyspy. Niedaleko St. Maarten syn przejął ster, a ojciec napił się piwa. Przez blisko osiem godzin Clay miał lekkie mdłości i zabawa w kapitana jachtu wcale ich nie uśmierzyła. Nie nadawał się do życia na łodzi. Nie pociągała go perspektywa romantycznych przeżyć podczas podróży dookoła świata. Wymiotowałby do wszystkich oceanów. Wolał samoloty.

Dwie noce na lądzie i Jarrett był gotowy wypłynąć w morze. Nazajutrz pożegnali się wczesnym rankiem i katamaran wyszedł na silniku z portu w Gustavii bez konkretnego celu. Clay słyszał, jak obaj z MacKenziem spierają się, zmierzając na otwarte morze.

Nie był pewny, w jaki sposób pośredniczka handlu nieruchomościami – czarująca Francuzka – zjawiła się na ganku willi. Gdy wrócił, piła kawę i gawędziła z Ridley. Była w sąsiedztwie, po prostu wstąpiła, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja w domu należącym do jej klientów, kanadyjskiego małżeństwa, które jest w trakcie paskudnego rozwodu.

– Znakomicie – odparł Clay, siadając. – Wspaniały dom.

– Czyż nie jest cudowny? – zachwycała się Francuzka. – To jedna z naszych najlepszych nieruchomości. Właśnie mówiłam Ridley, że zbudowali go zaledwie cztery lata temu ci Kanadyjczycy, którzy byli w nim może ze dwa razy. Jemu nie poszło w interesach. Ona zaczęła się spotykać ze swoim lekarzem, w Ottawie zrobił się z tego prawdziwy pasztet, więc wystawili go na sprzedaż po całkiem znośnej cenie.

Porozumiewawcze spojrzenie Ridley. Clay zadał pytanie, które zawisło w powietrzu:

– Ile?

– Tylko trzy miliony. Zaczęli od pięciu, ale szczerze mówiąc, na rynku panuje teraz lekka tendencja zniżkowa.

Gdy pośredniczka wyszła, Ridley dobrała się do niego w sypialni. Poranny seks był niesamowity, ale też przyłożyli się do niego w godny podziwu sposób. Tak samo było po południu. Kolacja w dobrej restauracji. Ridley trudno się było od niego oderwać. Nocna sesja zaczęła się w basenie, kontynuowali w jacuzzi, potem trafili do sypialni. I nazajutrz po tej całonocnej imprezie pośredniczka wróciła przed lunchem.

Clay był wyczerpany i naprawdę nie miał nastroju do kupowania kolejnej nieruchomości, lecz Ridley pragnęła tego domu znacznie bardziej niż czegokolwiek wcześniej, więc go kupił. Cena rzeczywiście nie była wygórowana. To okazja, rynek się wzmocni i zawsze będzie mógł sprzedać dom z zyskiem.

Podczas wypełniania dokumentów Ridley zapytała Claya na osobności, czy ze względów podatkowych nie byłoby rozsądnie kupić ten dom na nią. O francuskich i amerykańskich przepisach podatkowych wiedziała równie dużo jak o gruzińskim prawie spadkowym, o ile w ogóle mieli tam jakieś prawo spadkowe. Po moim trupie, pomyślał, ale odparł stanowczo:

– Nie, to się nie uda ze względów podatkowych.

Ridley wyglądała na urażoną, ale gdy już wszedł w posiadanie willi, ból szybko minął. Clay poszedł sam do banku w Gustavii i przelał pieniądze z konta w raju podatkowym. Gdy spotkał się z prawnikiem sprzedawców nieruchomości, zrobił to pod jej nieobecność.

– Chciałabym zostać tu przez pewien czas – powiedziała, gdy spędzali kolejne długie popołudnie na ganku. Clay zamierzał wylecieć następnego ranka i zakładał, że wrócą razem.

– Chciałabym zrobić w tym domu porządek – wyznała. – Spotkać się z malarzem. I po prostu wypocząć przez parę tygodni.

Dlaczego nie? – pomyślał Clay. Skoro jestem właścicielem tej cholernej willi, mogę z niej korzystać.

Wrócił więc do Waszyngtonu bez Ridley i po raz pierwszy od kilku tygodni cieszył się samotnością w swoim domu w Georgetown.

* * *

Przez kilka dni Joel Hanna rozważał możliwość działania w pojedynkę – tylko on, zupełnie sam po jednej stronie stołu, stawiający czoło armii prawników i ich asystentów siedzących po drugiej stronie. Zaprezentowałby plan przetrwania firmy i naprawdę nie potrzebował do tego niczyjej pomocy, ponieważ ten plan narodził się w jego głowie.

Lecz Babcock, pełnomocnik prawny towarzystwa ubezpieczeniowego, upierał się, że też tam będzie. Jego klient walczył o pięć milionów dolarów i jeżeli Babcock chciał być obecny, Joel nie mógł mu w tym przeszkodzić.

Weszli razem do budynku przy Connecticut Avenue. Winda zatrzymała się na trzecim piętrze i znaleźli się w imponujących luksusowych pomieszczeniach Kancelarii Prawniczej J. Claya Cartera II. Logo „JCC" prezentowało się światu wysokimi literami z brązu zawieszonymi na ścianie, która wyglądała na wyłożoną drewnem wiśniowym albo nawet mahoniem. W recepcji lśniły włoskie meble. Urodziwa młoda blondynka za biurkiem ze szkła i chromowanej stali powitała ich wystudiowanym uśmiechem i wskazała najbliższy pokój w korytarzu. Jakiś prawnik o nazwisku Wyatt spotkał ich przy drzwiach, wprowadził do środka i przedstawił obie strony. Kiedy Joel i Babcock rozpakowywali teczki, ni stąd, ni zowąd zjawiła się jeszcze jedna zgrabna młoda kobieta i przyjęła od nich zamówienie na kawę. Rozlewała ją ze srebrnego serwisu do kawy z logo JCC wygrawerowanym na dzbanku i zdobiącym również delikatne porcelanowe filiżanki. Gdy wszyscy usiedli i wszystko było gotowe, Wyatt warknął do jakiegoś asystenta:

– Powiedz Clayowi, że już wszyscy jesteśmy.

Minęła niezręczna minuta wspólnego oczekiwania na pana JCC. W końcu wszedł w pośpiechu, bez marynarki, mówiąc coś przez ramię do sekretarki. Bardzo zajęty człowiek. Podszedł prosto do Joela Hanny oraz Babcocka i przedstawił się, jakby wszyscy byli tam z własnej woli i mieli się zaraz zaangażować w działanie na rzecz wspólnego dobra. Potem pospiesznie przeszedł na drugą stronę i zajął królewski tron pośrodku swojego zespołu, w odległości ośmiu stóp od gości.

Joel Hanna mimo woli pomyślał: Ten gość zarobił w zeszłym roku sto milionów dolców.

Babcocka naszła taka sama myśl. Dodał jednak do niej pogłoskę, że ten chłopak jeszcze nigdy nie prowadził sprawy przed sądem cywilnym. Spędził pięć lat z kokainistami w sądzie karnym, ale nigdy nie prosił o nic przysięgłych. Za tą pozą Babcock dostrzegł oznaki nerwowości.

– Powiedział pan, że macie plan – zaczął JCC. – Posłuchajmy.

Plan przetrwania wyglądał dość prosto. Firma była skłonna przyznać, tylko do celów tego spotkania, że wyprodukowała wadliwą partię cementu portlandzkiego do zapraw murarskich i że z tego powodu w murach pewnej liczby nowych domów w rejonie Baltimore trzeba będzie uzupełnić ubytki w murze. Niezbędny był taki fundusz odszkodowawczy dla właścicieli domów, który nie unicestwiłby firmy. Choć plan był prosty, przedstawienie go zajęło Joelowi pół godziny.

Babcock zabrał głos w imieniu towarzystwa ubezpieczeniowego. Przyznał, że ryzyko objęte ubezpieczeniem wynosi pięć milionów dolarów, co rzadko ujawniał na tak wczesnym etapie procesu. Jego klient i firma Hanna stworzyliby wspólny fundusz.

Joel Hanna wyjaśnił, że jego firmie brakuje gotówki, ale jest skłonny się zapożyczyć, żeby zrekompensować straty ofiarom.

– To nasz błąd i mamy zamiar go naprawić – powtórzył parę razy.

– Zna pan dokładną liczbę uszkodzonych domów? – zapytał JCC, a każdy z jego pachołków zapisał odpowiedź.

– Dziewięćset dwadzieścia dwa – odparł Joel. – Dotarliśmy do hurtowników, potem do wykonawców, a następnie do podwykonawców robót murarskich. Sądzę, że to dokładna liczba, ale dopuszczam pięcioprocentowy błąd.

JCC zapisywał coś szybko, a gdy przestał, rzekł:

– Jeżeli zatem założymy, że dwadzieścia pięć tysięcy dolarów odpowiednio zrekompensuje koszty remontu każdemu klientowi, musicie się liczyć z wydatkiem nieco powyżej dwudziestu trzech milionów dolarów.

– Jesteśmy pewni, że remont każdego domu nie będzie kosztował dwadzieścia tysięcy – odparł Joel.

JCC dostał od asystenta jakiś dokument.

– Mamy oświadczenia czterech podwykonawców robót murarskich z rejonu okręgu Howard. Każdy z nich był na miejscu, żeby obejrzeć uszkodzenia. Najniższa wycena opiewa na osiemnaście tysięcy dziewięćset, najwyższa na dwadzieścia jeden pięćset. Średnia z tych czterech wynosi dwadzieścia tysięcy dolców.

– Chciałbym zobaczyć te kalkulacje – powiedział Joel.

– Może później. Poza tym są inne szkody. Właściciele tych domów mają prawo do rekompensaty za rozczarowanie, zażenowanie, brak przyjemności z korzystania z nich i przygnębienie. Jeden z naszych klientów cierpi na silne bóle głowy na tym tle. Drugi stracił szansę na zyskowną sprzedaż domu, ponieważ od ścian odpadały cegły.

– Dysponujemy kalkulacjami na poziomie dwunastu tysięcy – stwierdził Joel.

– Nie mamy zamiaru iść w tych sprawach na ugodę za dwanaście tysięcy dolarów – odparł JCC i wszyscy po drugiej stronie stołu pokręcili głowami.

Piętnaście tysięcy dolarów stanowiło uczciwy kompromis i umożliwiłoby remont każdego domu. Jednak po zgarnięciu jednej trzeciej z tej sumy przez JCC, klientowi zostawało tylko dziewięć tysięcy. Za dziesięć tysięcy dałoby się usunąć stare cegły i kupić nowe, ale nie starczyłoby na zapłatę murarzom za ich wmurowanie. Dziesięć tysięcy tylko pogorszyłoby sytuację – dom ogołocony do płyt gipsowych, ogródek od frontu zamieniony w błotniste pobojowisko, przyczepy z nowymi cegłami na podjeździe, ale nikogo, kto by postawił z nich mur.

Dziewięćset dwadzieścia dwie sprawy po pięć tysięcy dolarów każda – cztery miliony sześćset tysięcy honorarium. JCC szybko to obliczył, zdumiony własnym mistrzostwem w dodawaniu zer. Dziewięćdziesiąt procent trafiłoby do jego kieszeni. Musiał podzielić się częścią z kilkoma prawnikami, którzy z opóźnieniem przyłączyli się do pozwu. Niezłe honorarium. Pokryłoby koszt zakupu willi na St. Barth, gdzie Ridley nadal

się ukrywała, nie zdradzając zainteresowania przyjazdem do domu, a po opłaceniu podatków zostałoby już niewiele.

Przy sumie piętnastu tysięcy na jedno roszczenie firma Hanna mogłaby przetrwać. Biorąc pięć milionów dolarów od klienta mecenasa Babcocka, mogłaby dodać około dwóch milionów w gotówce, będącej obecnie w jej dyspozycji, środki, które przewidziano na cementownię i jej wyposażenie. Do pokrycia wszystkich ewentualnych roszczeń potrzebny był fundusz w kwocie piętnastu milionów dolarów. Pozostałe osiem można by pożyczyć od banków w Pittsburghu. Jednak tę informację Hanna i Babcock zachowali dla siebie. Było to dopiero pierwsze spotkanie, nie nadeszła jeszcze pora na wyłożenie wszystkich kart.

Problem sprowadzał się do tego, ile JCC chciał dostać za swój trud. Mógłby wynegocjować sprawiedliwą ugodę, może zmniejszyć swoją prowizję, a i tak zarobić kilka milionów, zabezpieczyć interesy swoich klientów, pozwolić, by dobra stara firma ocalała, i ogłosić zwycięstwo.

Mógłby też pozostać nieugięty i wówczas wszyscy by ucierpieli.

Rozdział 32

Głos panny Glick w słuchawce interkomu wydawał się nieco roztrzęsiony.

– Jest ich dwóch, Clay – powiedziała prawie szeptem. – FBI.

Nowi uczestnicy gry o odszkodowania zbiorowe często oglądają się za siebie, jakby to, co robią, było w jakiś sposób niezgodne z prawem. Jednak z biegiem czasu stają się tak gruboskórni, że uważają, iż nic się ich nie ima. Clay podskoczył na samą wzmiankę o FBI, po czym zachichotał na myśl o swoim tchórzostwie. Przecież nie zrobił nic złego.

Jakby wyszli spod jednej sztancy: dwaj młodzi schludni agenci, błyskawicznie wyciągający odznaki i starający się zaimponować każdemu, kto mógłby ich obserwować. Ten czarnoskóry nazywał się Spooner, a biały Lohse, co należało wymawiać jak Luusz. Siedząc w fotelach w części klubowej gabinetu, rozpięli marynarki.

– Czy zna pan niejakiego Martina Grace’a? – zaczął Spooner.

– Nie.

– A Mike’a Packera? – zapytał Lohse.

– Nie.

– Nelsona Martina?

– Nie.

– Maxa Pace’a?

– Tak.

– To jedna i ta sama osoba – wyjaśnił Spooner. – Wie pan, gdzie on może być?

– Nie.

– Kiedy ostatnio pan się z nim widział?

Clay podszedł do biurka, wziął terminarz i wrócił na fotel. Grał na zwłokę, próbując uporządkować myśli. W żadnym wypadku nie musiał odpowiadać na ich pytania. Mógł w każdej chwili poprosić, by wyszli i wrócili, gdy sprowadzi adwokata. Jeżeli wspomną o tarvanie, zakończy rozmowę.

– Nie jestem pewny – odparł, przerzucając kartki. – Kilka miesięcy temu. Gdzieś w połowie lutego.

Lohse notował odpowiedzi, Spooner zadawał pytania.

– Gdzie?

– Na kolacji, w jego hotelu.

– Którym?

– Nie pamiętam. Dlaczego się nim interesujecie?

Szybka wymiana spojrzeń między agentami. Spooner wyjaśnił:

– W ramach śledztwa Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy. Pace ma na swoim koncie oszustwo w handlu akcjami i wykorzystywanie poufnych informacji. Zna pan jego przeszłość?

– Niezupełnie. Mówił o niej dość ogólnikowo.

– Jak i dlaczego się pan z nim spotkał?

Clay rzucił terminarz na niski stolik.

– Powiedzmy, że chodziło o pewną transakcję biznesową.

– Większość jego partnerów biznesowych trafia za kratki. Powinien pan to przemyśleć.

– Dość tego. Po co tu przyszliście?

– Sprawdzamy świadków. Wiemy, że Pace spędził pewien czas w Waszyngtonie. Wiemy, że w ostatnie święta odwiedził pana na Mustique. Wiemy, że w styczniu sprzedał sporą liczbę pożyczonych akcji Goffmana za sześćdziesiąt dwa i jedną czwartą dolara za sztukę dzień przed wniesieniem przez pana pozwu zbiorowego. Odkupił je po cenie czterdziestu dziewięciu dolarów, zarabiając na tym kilka milionów. Uważamy, że miał dostęp do poufnego raportu rządowego w sprawie produkowanego przez tę firmę leku o nazwie maxatil i wykorzystał te informacje do popełnienia oszustwa w obrocie papierami wartościowymi.

– Coś jeszcze?

Lohse przestał notować i zapytał:

– Czy sprzedał pan pożyczone akcje Goffmana, zanim wniósł pan pozew?

– Nie.

– A miał pan je kiedyś?

– Nie.

– A mieli je członkowie pańskiej rodziny, wspólnicy z kancelarii, podstawione korporacje, kontrolowane przez pana fundusze zagraniczne?

– Nie, nie, nie.

Lohse wsunął pióro do kieszeni. Porządni policjanci nie przedłużają pierwszych spotkań. Niech świadek/cel/obiekt straci zimną krew, a wtedy może zrobi coś głupiego. Drugie będzie znacznie dłuższe.

Agenci wstali i ruszyli do drzwi.

– Jeżeli otrzyma pan od niego jakieś wieści, chcielibyśmy o tym wiedzieć – rzekł Spooner.

– Nie liczcie na to – odparł Clay. Nie mógł zdradzić Pace’a, mieli zbyt dużo wspólnych tajemnic.

– Jednak na to liczymy, panie Carter. Podczas następnej wizyty porozmawiamy o Ackerman Labs.

* * *

Po dwóch latach i wypłaceniu w gotówce ośmiu miliardów dolarów odszkodowań firma Healthy Living się poddała. Działając swoim zdaniem w dobrej wierze, próbowała naprawić koszmarne skutki zażywania tabletek dietetycznych własnej produkcji. Starała się mężnie wynagrodzić szkody blisko pięciuset tysiącom osób, które zaufawszy jej agresywnym reklamom, nieujawniającym wszystkich faktów, zażywały lek. Wcześniej cierpliwie znosiła brutalne ataki prawników wyspecjalizowanych w zbiorowych roszczeniach odszkodowawczych. Uczyniła ich bogatymi ludźmi.

Na tę skarlałą, obszarpaną i trzymającą się ostatkiem sił firmę znowu spadł grad ciosów i po prostu nie mogła już więcej znieść. Czarę goryczy przepełniły dwa dzikie pozwy zbiorowe złożone przez podejrzanych prawników, reprezentujących kilka tysięcy „pacjentów", u których zażywanie Chudego Bena nie wywołało żadnych skutków ubocznych. Żądali oni wielomilionowych rekompensat po prostu dlatego, że zażywali te tabletki, teraz zaś martwili się tym i mogli się martwić w przyszłości, rujnując sobie w ten sposób swoje już i tak kruche zdrowie psychiczne.

Healthy Living wystąpiła o ochronę upadłościową przed wierzycielami i uciekła od kłopotów. Trzy z jej oddziałów poszły pod młotek, a niebawem miała przestać istnieć sama firma. Jej szefowie wystrychnęli na dudka pazernych prawników oraz ich klientów i zwinęli żagle.

Wiadomość o tym była niespodzianką dla środowisk finansowych, lecz grupą najbardziej zaszokowaną byli adwokaci od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych. Przecież zarżnęli kurę znoszącą złote jaja. Gdy Oscar Mulrooney zobaczył tę informację w internecie, zamknął drzwi gabinetu na klucz. Zgodnie z jego wizjonerskimi planami kancelaria wydała ponad dwa miliony dolarów na ogłoszenia i badania lekarskie, które do tej pory przyniosły dwieście piętnaście prawnie uzasadnionych roszczeń w sprawie Chudego Bena. Przy średniej sumie odszkodowania wynoszącej sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów roszczenia te były warte co najmniej piętnaście milionów dolarów w honorariach adwokackich. A na tej podstawie miała zostać wyliczona jego upragniona roczna premia.

W ostatnich trzech miesiącach nie zdołał uzyskać zatwierdzenia swoich roszczeń przez administratora pozwu zbiorowego. Krążyły pogłoski o tarciach między niezliczonymi prawnikami i grupami konsumentów. Inni mieli trudności z uzyskaniem pieniędzy, które rzekomo były dostępne.

Spływając potem, spędził godzinę przy telefonie, dzwoniąc do innych prawników, próbując dotrzeć najpierw do administratora, a potem do sędziego. Jego najgorsze obawy potwierdził prawnik z Nashville, reprezentujący kilkuset klientów, który złożył pozew wcześniej niż Oscar.

– Jesteśmy załatwieni – powiedział adwokat.

– Zobowiązania czterokrotnie przewyższają aktywa Healthy Living, a gotówki nie ma. Zrobili nas na szaro.

Oscar zapanował nad sobą, poprawił krawat, zapiął mankiety koszuli, włożył marynarkę i poszedł poinformować Claya.

Godzinę później przygotował pismo do każdego ze swoich dwustu piętnastu klientów. Nie robił im nadziei. Sytuacja rzeczywiście wyglądała ponuro. Kancelaria miała dokładnie śledzić proces upadłości i losy bankruta. I zawzięcie, wszelkimi możliwymi sposobami, dążyć do uzyskania rekompensaty.

Nie było jednak powodów do optymizmu.

Dwa dni później list Oscara dotarł do Nory Tackett. Ponieważ listonosz ją znał, wiedział, że zmieniła adres. Mieszkała teraz bliżej miasta, w nowej, dwa razy szerszej przyczepie. Kiedy wkładał do jej skrzynki korespondencję z kancelarii prawniczej, trzy rachunki i trochę ulotek, jak zawsze była w domu. Przypuszczalnie oglądała telenowele na nowym szerokoekranowym telewizorze, jedząc niskotłuszczowe ciasteczka. Od waszyngtońskich prawników dostawała sporo korespondencji i wszyscy w Larkin wiedzieli dlaczego. Początkowo chodziły słuchy, że odszkodowanie od producenta tabletek na odchudzanie wyniesie sto tysięcy dolarów, potem powiedziała komuś w banku, że może być bliższe dwustu tysiącom. Gdy stało się tematem rozmów w miasteczku, jego kwota znowu gwałtownie wzrosła.

Earl Jeter, prowadzący firmę na południe od Larkin, sprzedał jej nową przyczepę, dowiedziawszy się, że Nora dostanie blisko pół miliona, i to już niebawem. Poza tym jej siostra MaryBeth podpisała weksel z dziewięćdziesięciodniowym terminem płatności.

Listonosz doskonale wiedział, że ta forsa przysparza Norze rozmaitych problemów. Każdy Tackett w okręgu dzwonił do niej z prośbą o pieniądze na kaucję, gdy trafił do aresztu. Nad jej dziećmi, czy też dziećmi, które wychowywała, znęcano się w szkole, ponieważ ich matka była taka gruba i taka bogata. Ich ojciec, człowiek niewidywany w okolicy od dwóch lat, wrócił do miasteczka. U fryzjera powiedział, że Nora to najbardziej urocza kobieta, jaką kiedykolwiek poślubił. Wcześniej jej ojciec groził, że go zabije, i również z tego powodu siedziała w przyczepie zamkniętej na klucz.

Jednak termin spłaty większości rachunków Nory już minął. Całkiem niedawno, w ubiegły piątek ktoś w banku powiedział ponoć, że nie ma śladu odszkodowania. Gdzie się podziały jej pieniądze? To ważne pytanie zadawano sobie w Larkin w stanie Wirginia. Być może odpowiedź znajdowała się w tej kopercie.

Nora wytoczyła się z przyczepy godzinę później, upewniwszy się, że w pobliżu nikogo nie ma. Wyjęła pocztę ze skrzynki i wróciła szybko do przyczepy. Jej telefony do mecenasa Mulrooneya pozostawały bez odpowiedzi. Sekretarka powiedziała, że wyjechał z miasta.

* * *

To spotkanie miało miejsce późnym wieczorem, gdy Clay wychodził z gabinetu. Zaczęło się od nieprzyjemnej sprawy, a i potem nie było lepiej.

Crittle przestąpił próg i z kwaśną miną oznajmił:

– Nasz ubezpieczyciel informuje, że unieważniają polisę ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej.

– Co takiego!? – wykrzyknął Clay.

– Słyszałeś, co powiedziałem.

– Dlaczego mówisz mi o tym teraz? Spóźnię się na kolację.

– Rozmawiam z nimi od rana.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, podczas której Clay rzucił marynarkę na kanapę i podszedł do okna.

– Dlaczego? – zapytał.

– Ocenili twoją kancelarię i nie spodobało im się to, co zobaczyli. Dwadzieścia cztery tysiące klientów w sprawie maxatilu budzą ich przerażenie. Jeżeli coś pójdzie źle, jesteś narażony na zbyt duże ryzyko. Ich dziesięć milionów może być kroplą w morzu potrzeb, więc opuszczają pokład statku.

– Mogą to zrobić?

– Jasne, że tak. Towarzystwo ubezpieczeniowe może wypowiedzieć umowę w dowolnym momencie. Będą musieli zwrócić nam składkę, ale to marne grosze. Jesteśmy pozbawieni ochrony, Clay. Zero ubezpieczenia.

– Nie będzie nam potrzebne.

– Podobno, ale i tak się martwię.

– Pamiętam, że martwiłeś się też o dyloft.

– I byłem w błędzie.

– Cóż, mój stary, w sprawie maxatilu także jesteś w błędzie. Gdy mecenas Mooneyham skończy z Goffmanem we Flagstaff, firma będzie się rwać do zawarcia ugody. Już odkładają miliardy na poczet pozwu zbiorowego. Masz pojęcie, ile mogą być warte te dwadzieścia cztery tysiące roszczeń? Zgadnij.

– Zaskocz mnie.

– Prawie miliard dolarów. I Goffman może je zapłacić.

– I tak się martwię. A jeśli coś pójdzie źle?

– Miej trochę wiary, przyjacielu. Takie sprawy wymagają czasu. Proces we Flagstaff ma się zacząć we wrześniu. Gdy się skończy, pieniądze znowu zaczną płynąć wartkim strumieniem.

– Wydaliśmy osiem milionów na ogłoszenia i badania. Czy możemy przynajmniej zwolnić tempo? Dlaczego nie uznasz, że dwadzieścia cztery tysiące klientów wystarczą?

– Dlatego, że nie wystarczą. – To powiedziawszy, Clay uśmiechnął się, wziął marynarkę, poklepał Rexa po ramieniu i poszedł na kolację.

* * *

O wpół do dziewiątej miał się spotkać w Old Ebbitt Grille przy Piętnastej Ulicy z kolegą z akademika. Czekał w barze niemal godzinę, zanim zadzwoniła jego komórka. Kolega utknął na zebraniu, które miało się nieprędko skończyć, i wybąkał zwykłe w takich wypadkach przeprosiny.

Gdy Clay wychodził, zerknął w głąb restauracji i spostrzegł Rebeccę jedzącą kolację z dwoma innymi kobietami. Cofnął się, odnalazł swój stołek barowy i zamówił kolejne piwo. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Rebecca znowu go powstrzymała. Rozpaczliwie pragnął z nią porozmawiać, ale postanowił jej nie przeszkadzać. Spacer do toalety będzie najlepszym sposobem zwrócenia na siebie uwagi.

Gdy przechodził obok jej stolika, Rebecca podniosła wzrok i natychmiast się uśmiechnęła. Przedstawiła go swoim przyjaciółkom, on zaś wyjaśnił, że czeka w barze na kumpla z college'u, z którym umówił się na kolację. Facet się spóźnia, to może jeszcze potrwać, przepraszam, że przerwałem. Cóż, muszę pędzić. Miło było cię zobaczyć.

Kwadrans później Rebecca pojawiła się w zatłoczonym barze i stanęła tuż za nim. Bardzo blisko.

– Mam tylko chwilę – zastrzegła. – One czekają – dodała, wskazując ruchem głowy salę restauracyjną.

– Świetnie wyglądasz – zauważył Clay. Miał wielką ochotę jej dotknąć.

– Ty też.

– Gdzie Myers?

Wzruszyła ramionami, jakby było jej to obojętne.

– Pracuje. Wiecznie pracuje.

– Jak tam życie małżeńskie?

– Bardzo samotne – odparła, odwracając wzrok.

Clay się napił. Gdyby nie tłum w barze i czekające w pobliżu przyjaciółki, Rebecca zdradziłaby swoje sekrety. Tyle chciała mu powiedzieć.

Jej małżeństwo nie jest udane! Clay z trudem stłumił uśmiech.

– Ja wciąż czekam – rzekł.

Gdy pochyliła się i pocałowała go w policzek, miała łzy w oczach. Potem odeszła bez słowa.

Rozdział 33

W momencie gdy Orioles przegrywali sześcioma punktami z Devil Rays – akurat z nimi – Ted Worley ocknął się z rzadkiej w takich sytuacjach drzemki i zastanawiał się, czy wymknąć się do toalety, czy czekać na siódmą rundę. Przespał godzinę, rzecz w jego wypadku niezwykła, bo codziennie ucinał sobie drzemkę dokładnie o drugiej po południu. Drużyna z Baltimore grała nieefektownie, ale jeszcze nigdy nie uśpiła go swoją grą. Lecz po koszmarze z dyloftem nie wystawiał swojego pęcherza na próbę. Płyny w umiarkowanych ilościach, ani kropli piwa. I zero ciśnienia w układzie moczowym. Jeżeli musiał iść na stronę, szedł bez wahania. Jeśli nawet przegapi kilka rzutów, to co? Poszedł do małej łazienki dla gości w korytarzu, obok sypialni, gdzie pani Worley haftowała w bujanym fotelu, czemu poświęcała większość życia. Ted zamknął drzwi, rozpiął rozporek i zaczął sikać. Poczuwszy bardzo słabe pieczenie, spojrzał w dół i o mało nie zemdlał.

Jego mocz miał barwę rdzy – muszlę wypełniał czerwony płyn. Worley nabrał gwałtownie powietrza i oparł się ręką o ścianę. Gdy skończył, nie spuścił wody, tylko siedział przez kilka minut na sedesie, próbując dojść do siebie.

– Co ty tam robisz?! – zawołała jego żona.

– Nie twój zakichany interes – odburknął.

– Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest.

Coś mu jednak było. Podniósł klapę, jeszcze raz spojrzał na zabójczy bilet wizytowy wydalony właśnie przez jego organizm. W końcu spuścił wodę i wrócił do pokoju. Devil Rays prowadzili teraz ośmioma punktami, lecz mecz nie był już ważny. Dwadzieścia minut później, po trzech szklankach wody, Ted wymknął się do sutereny i wysikał w małej łazience, jak najdalej od żony.

Uznał, że to krew. Guzy pojawiły się na nowo i bez względu na obecną postać, stanowiły znacznie poważniejszy problem niż wcześniej.

Nazajutrz rano przy grzankach z dżemem powiedział żonie prawdę. Wolałby ukrywać to przed nią jak najdłużej, ale byli ze sobą bardzo związani i trudno im było zachować tajemnice, szczególnie te związane ze zdrowiem. Pani Worley natychmiast wzięła sprawy w swoje ręce, dzwoniąc do jego urologa, warcząc na sekretarkę ustalającą termin wizyty i umawiając się tuż po lunchu. To nagły przypadek i późniejszy termin po prostu nie wchodzi w grę.

Cztery dni później w nerkach pana Worleya stwierdzono złośliwe guzy. Podczas pię-

ciogodzinnej operacji lekarze usunęli wszystkie, jakie zdołali znaleźć.

Szef oddziału urologii uważnie obserwował pacjenta. Miesiąc wcześniej jego kolega ze szpitala w Kansas City doniósł o identycznym przypadku: pojawieniu się guzów w nerkach wskutek zażywania dyloftu. Pacjent w Kansas City był teraz poddawany chemioterapii i gasł w oczach.

Tego samego można się było spodziewać po panu Worleyu, chociaż onkolog znacznie ostrożniej formułował sądy podczas pierwszego obchodu po operacji. Pani Worley haftowała, narzekając na jakość szpitalnego jedzenia; nie liczyła na to, że będzie pyszne, ale czy nie mogłoby być przynajmniej ciepłe? Po takich cenach? Pan Worley oglądał telewizję. Gdy przyszedł onkolog, ściszył łaskawie odbiornik, był jednak zbyt smutny i przygnębiony, żeby wdawać się w dłuższą rozmowę.

Za mniej więcej tydzień zostanie wypisany do domu, a gdy tylko nabierze sił, zabiorą się ostro do leczenia jego nowotworu. Gdy spotkanie z lekarzem dobiegło końca, pan Worley nie mógł powstrzymać łez.

Podczas uzupełniającej rozmowy z kolegą z Kansas City ordynator dowiedział się o jeszcze jednym przypadku. Wszyscy trzej pacjenci byli dotąd w sprawie dyloftu poszkodowanymi z grupy pierwszej. Teraz umierali. Padło nazwisko jakiegoś adwokata. Pacjent z Kansas City był reprezentowany przez małą nowojorską kancelarię.

Możliwość przekazania nazwiska jednego prawnika, który pozwie potem drugiego, była rzadkim i cennym przeżyciem dla każdego lekarza i ordynator postanowił skorzystać z nadarzającej się okazji. Wszedł do pokoju Teda Worleya, przedstawił się, bo wcześniej się nie spotkali, i wyjaśnił swoją rolę w terapii. Pan Worley miał dość lekarzy i gdyby nie rurki krzyżujące się na jego wyniszczonym ciele, zabrałby swoje rzeczy i wypisał się ze szpitala. Rozmowa szybko zeszła na temat dyloftu, potem zawartej ugody, a następnie na żyzny grunt prawniczej profesji. To pobudziło staruszka, jego twarz nieco się zarumieniła, oczy rzucały pioruny.

Ugodę, zapewniającą skromne odszkodowanie, zawarto wbrew jego życzeniu. Marne czterdzieści trzy tysiące dolarów, a resztę zgarnął ten cholerny prawnik! Worley dzwonił do niego wiele razy i w końcu zdybał jakiegoś młodego impertynenta, a ten kazał mu sprawdzić informacje podane drobnym drukiem w stosie dokumentów, które wcześniej podpisał. Był tam paragraf dotyczący wstępnego pełnomocnictwa, które pozwalało adwokatowi zawrzeć ugodę, jeżeli suma odszkodowania przewyższy bardzo niski próg. Pan Worley wysmażył dwa zjadliwe listy do mecenasa Claya Cartera, z których żaden nie doczekał się odpowiedzi.

– Byłem przeciwny tej ugodzie – powtarzał pan Worley.

– Teraz jest już chyba za późno – dodawała jego żona.

– Może nie – rzekł lekarz. Powiedział im o pacjencie z Kansas City, który był w bardzo podobnej sytuacji. – Wynajął prawnika, żeby ten dobrał się do skóry jego adwokatowi – dodał z wielką satysfakcją.

– Mam w dupie prawników – oświadczył pan Worley. Lekarzy też miał, ale w porę ugryzł się w język.

– Ma pan numer jego telefonu? – zapytała pani Worley, która myślała znacznie trzeźwiej od męża. Niestety wybiegała również myślą parę lat naprzód, gdy Teda już nie będzie.

Tak się przypadkiem złożyło, że urolog miał ten numer przy sobie.

* * *

Jedynym, czego bali się prawnicy specjalizujący się w zbiorowych roszczeniach odszkodowawczych, był ktoś z ich grona. Drapieżnik. Zdrajca, który szedł ich śladem, naprawiając ich błędy. Wykształciła się specjalna kategoria adwokatów, której kilku bardzo kompetentnych i bardzo złośliwych przedstawicieli ścigało swoich braci za złe ugody. Helen Warshaw pisała dla nich podręcznik.

Jak na grupę, która zapewniała o swoim upodobaniu do rozstrzygania spraw w sądzie, specjaliści od roszczeń zbiorowych tracili wigor na myśl o sobie za stołem obrony wpatrzonych bojaźliwie w przysięgłych, gdy ich stan majątkowy omawia się na sali rozpraw. Powołaniem Helen Warshaw było doprowadzenie ich przed oblicze sądu.

Zdarzało się to jednak bardzo rzadko. Ich zawołania: „Pozwij świat” i „Kochamy przysięgłych!” najwyraźniej stosowały się do innych. Gdy stawali wobec dowodów własnej odpowiedzialności, zawierali ugodę szybciej niż ktokolwiek inny. Nikt, nawet lekarz winien błędu w sztuce, nie unikał wizyty w sali rozpraw tak zawzięcie, jak prawnik z telewizyjnego ogłoszenia lub billboardu przyłapany na oszukańczej ugodzie.

Warshaw badała już w swojej nowojorskiej kancelarii cztery sprawy dyloftu i tropy prowadzące do trzech następnych, gdy odebrała telefon od pani Worley. W aktach jej małej kancelarii była teczka Claya Cartera i znacznie grubsza Pattona Frencha. Pani mecenas monitorowała dwadzieścia największych krajowych kancelarii specjalizujących się w zbiorowych roszczeniach odszkodowawczych i dziesiątki największych pozwów zbiorowych. Miała mnóstwo klientów i spore wpływy z honorariów, lecz nic jej tak nie podniecało, jak fiasko ugód zawartych w sprawie dyloftu.

Kilkuminutowa rozmowa z panią Worley i Helen wiedziała dokładnie, co się stało.

– Będę przed piątą – powiedziała.

– Dzisiaj?

– Tak. Po południu.

Wsiadła do autobusu kursującego na lotnisko Dullesa. Nie miała własnego odrzutowca z dwóch bardzo istotnych powodów. Po pierwsze, roztropnie rozporządzała pieniędzmi i była przeciwniczką takiego marnotrawstwa. Po drugie, w razie gdyby sama została pozwana, nie chciała, by przysięgli słuchali opowieści ojej samolocie. Rok wcześniej, w jedynej sprawie, w której zdołała doprowadzić do procesu, pokazała przy-

sięgłym duże kolorowe zdjęcia obu samolotów pozwanego, w środku i z zewnątrz, wraz ze zdjęciami jego jachtu, domu w Aspen i tym podobnych rzeczy. Przysięgli byli pod dużym wrażeniem. Dwadzieścia milionów odszkodowania za straty moralne.

Wynajęła samochód – nie limuzynę – i znalazła szpital w Bethesdzie. Pani Worley zgromadziła dokumenty, nad którymi Warshaw spędziła godzinę. W tym czasie pan Worley uciął sobie drzemkę. Gdy się obudził, nie chciał rozmawiać. Nie ufał prawnikom, szczególnie bezczelnym kobietom z Nowego Jorku. Jego żona miała jednak mnóstwo czasu i łatwiej jej było zwierzyć się kobiecie. Poszły do baru na kawę i długą rozmowę.

Głównym winowajcą była i zawsze miała być firma Ackerman Labs. To ona wyprodukowała szkodliwy lek, zbyt szybko załatwiła jego zatwierdzenie, nachalnie go reklamowała, nie wypróbowała odpowiednio i nie ujawniała wszystkiego, co o nim wiedziała. Teraz świat się przekonał, że dyloft jest jeszcze bardziej zdradliwy, niż pierwotnie sądzono. Mecenas Warshaw zdobyła już przekonujący dowód medyczny, że nawracające guzy mają związek z zażywaniem dyloftu.

Drugim winowajcą był lekarz, który przepisał lek, choć jego przewina była nieznaczna. Polegał na informacjach Ackerman Labs. Lek czynił cuda. I tak dalej.

Niestety, dwoje pierwszych winowajców zostało uwolnionych od wszelkiej odpowiedzialności, gdy pan Worley zaspokoił swoje roszczenie w pozwie zbiorowym złożonym w Biloxi. Chociaż lekarz zajmujący się artretyzmem Teda Worleya nie został pozwany, globalne zwolnienie od odpowiedzialności objęło również jego.

– Ale Ted nie chciał zawierać ugody – po raz kolejny przypomniała pani Worley.

Nieważne. Zawarł ją. Dał swojemu prawnikowi upoważnienie do jej zawarcia. Prawnik zawarł ugodę i w ten sposób stał się trzecim winowajcą. I ostatnim, jaki się ostał.

* * *

Tydzień później pani Warshaw wniosła pozew przeciwko J. Clayowi Carterowi, F. Pattonowi Frenchowi, M. Westleyowi Saulsberry'emu i wszystkim innym znanym i nieznanym adwokatom, którzy przedwcześnie zawarli ugodę w sprawach dyloftu. Głównym powodem był pan Ted Worley z Upper Marlboro w stanie Maryland, działający w imieniu i na rzecz wszystkich poszkodowanych, znanych i nieznanych w momencie złożenia pozwu. Pozew został wniesiony w Sądzie Okręgowym dla Dystryktu Columbii mieszczącym się nieopodal biur JCC. Czerpiąc z zestawu środków stosowanych przez pozwanych, pani Warshaw przesłała faksem kopie swojego pozwu do tuzina czołowych gazet kwadrans po jego wniesieniu.

Przysadzisty i opryskliwy doręczyciel pism procesowych zjawił się w recepcji kancelarii i zażądał widzenia z panem Carterem.

– To pilne – zaznaczył. Skierowano go w głąb korytarza, gdzie musiał poradzić so-

bie z panną Glick. Sekretarka wezwała swojego szefa, który niechętnie wyszedł z gabinetu i wziął od niego dokumenty, które miały mu zepsuć resztę dnia. A może nawet roku.

Zanim Clay skończył lekturę pozwu zbiorowego, reporterzy już dzwonili. Towarzyszył mu Oscar Mulrooney, drzwi gabinetu były zamknięte na klucz.

– Pierwsze słyszę – wymamrotał Clay, boleśnie świadomy, że niewiele wie o grze w zbiorowe roszczenia odszkodowawcze.

W porządnej zasadzce nie było nic złego, ale przynajmniej firmy, które pozywał, wiedziały, że szykują się kłopoty. Szefowie Ackerman Labs zdawali sobie sprawę, iż produkują wadliwy lek, zanim dyloft trafił na rynek. Hanna Portland Cement Company zleciła ludziom w okręgu Howard oszacowanie wartości pierwszych roszczeń. Goffman został już pozwany przez Dale'a Mooneyhama w sprawie maxatilu, a inni adwokaci przymierzali się do ataku. Ale to? Clay nie miał pojęcia, że Ted Worley znowu zachorował. Nic nie wskazywało na jakiekolwiek problemy. To po prostu niesprawiedliwe.

Mulrooney był zbyt oszołomiony, by mówić.

– Clay, jest tutaj reporter z „Washington Post" – oznajmiła przez interkom panna Glick.

– Zastrzel drania – warknął Clay.

– Czy to oznacza „nie"?

– Jak najbardziej!

– Powiedz mu, że Claya nie ma – zdążył doradzić Oscar.

– I wezwij ochronę – dodał Clay.

Nawet tragiczna śmierć przyjaciela nie mogłaby go wprawić w równie posępny nastrój. Rozmawiali o kontroli przekazu medialnego – jak zareagować i kiedy? Czy powinni szybko sklecić agresywne dementi zarzutów ujętych w pozwie i złożyć je jeszcze tego dnia? A także przesłać faksem kopie dla prasy? Czy Clay ma porozmawiać z reporterami?

Nic nie zostało postanowione, ponieważ nie potrafili podjąć decyzji. Sytuacja się odwróciła, to był nieznany im teren.

Oscar zaproponował, że rozgłosi tę wiadomość, przedstawiając wszystko w pozytywnym świetle, by podtrzymać morale.

– Jeżeli nie mam racji, zapłacę odszkodowanie – oświadczył Clay.

– Miejmy nadzieję, że Worley to jedyny klient z tej kancelarii.

– To jest najważniejsze pytanie, Oscarze. Ilu jest takich jak on?

* * *

O śnie nie było mowy. Ridley odnawiała willę w St. Barth i Clay dziękował za to losowi. Czuł się upokorzony i zażenowany, przynajmniej o tym nie wiedziała. Myślał

o Tedzie Worleyu. Nie był zły, bynajmniej. Wiadomo, że zarzuty w pozwach są chybione, te jednak wydawały się celne. Jego dawny klient nie twierdziłby, że ma złośliwe guzy, gdyby naprawdę ich nie było. Rak Teda Worleya był skutkiem działania złego leku, nie złego prawnika. Ale pospieszna ugoda na kwotę sześćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów w sprawie ostatecznie wartej wiele milionów zakrawała na błąd w sztuce i chciwość. Któż mógłby winić tego człowieka za chęć rewanżu?

Przez tę długą noc Clay użalał się nad sobą – jego zraniona miłość własna, beznadziejne upokorzenie na oczach innych adwokatów, przyjaciół i pracowników, zachwyt jego wrogów, strach przed jutrem i linczem, jaki zgotują mu w prasie, gdy nie będzie nikogo, kto zechce go bronić.

Chwilami się bał. Czy naprawdę może wszystko stracić? Czy to początek końca? Ewentualny proces przed ławą przysięgłych byłby ogromnie atrakcyjny – dla drugiej strony! A liczba potencjalnych poszkodowanych? Każda sprawa była warta wiele milionów.

Nonsens. Mając w zanadrzu dwadzieścia pięć tysięcy roszczeń w sprawie maxatilu, może przetrzymać wszystko.

W końcu jednak wracał myślami do pana Worleya, klienta, który nie uzyskał właściwej ochrony prawnej od swojego adwokata. Poczucie winy ciążyło mu tak bardzo, że miał ochotę zadzwonić do tego człowieka i go przeprosić. Może do niego napisze. Doskonale pamiętał dwa otrzymane od Worleya listy. Obaj z Jonahem nieźle się z nich uśmiali.

Tuż po czwartej nad ranem zaparzył pierwszy dzbanek kawy. O piątej wszedł do sieci i przeczytał internetowe wydanie „Washington Post”. Żadnych zamachów terrorystycznych w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Nie zaatakował ani jeden seryjny morderca. Kongresmeni rozjechali się do domów. Prezydent był na wakacjach. Dzień ubogi w wiadomości, dlaczego więc nie umieścić zdjęcia uśmiechniętej twarzy „króla odszkodowań” na dole pierwszej strony? I nie opatrzyć inteligentnym nagłówkiem: SPECJALISTA OD ZBIOROWYCH ROSZCZEŃ POZWANY! PRZEZ MASY? W pierwszym akapicie napisano:

> Waszyngtońskiemu adwokatowi J. Clayowi Carterowi, nazywanemu najnowszym królem odszkodowań, odpłacono wczoraj pięknym za nadobne, gdy został pozwany przez paru niezadowolonych klientów. W pozwie zarzuca się, że Carter, który w ubiegłym roku podobno zarobił sto dziesięć milionów dolarów, przedwcześnie zawarł ugodę opiewającą na niewielkie kwoty, w sytuacji gdy w rzeczywistości wartość roszczeń jego klientów szła w miliony.

Pozostałe osiem akapitów nie brzmiało lepiej. Nocą dopadła go ciężka biegunka i teraz znowu popędził do łazienki.

Jego kumpel w „Wall Street Journal” wytoczył armaty. Pierwsza strona, lewa kolumna, ten sam odrażający portret zadowolonej twarzy Claya. CZY KRÓL ODSZKODOWAŃ ZOSTANIE NIEBAWEM ZDETRONIZOWANY? – zapytano w nagłówku.

Artykuł brzmiał tak, jakby Carter miał być postawiony w stan oskarżenia i uwięziony, nie zaś po prostu pozbawiony królewskiego tronu. Wszystkie środowiska biznesowo-handlowe w Waszyngtonie miały sprecyzowaną opinię na ten temat. Z trudem skrywały zachwyt. Jakże paradoksalne, że z taką radością powitali jeszcze jeden pozew. Rektor Krajowej Akademii Adwokatury wstrzymał się od komentarza.

Brak komentarza! Ze strony jedynego grona, które nigdy nie rezygnowało ze wspierania adwokatów. Następny akapit wyjaśniał przyczynę. Aktywną członkinią Nowojorskiej Akademii Adwokatury była Helen Warshaw. Ma imponujące kwalifikacje. Dyplomowany adwokat. Redaktorka „Columbia Law Review". Miała trzydzieści osiem lat, startowała dla przyjemności w maratonach, a jej były oponent określił ją mianem „błyskotliwej i nieugiętej".

Zabójcze połączenie, pomyślał Clay, wracając biegiem do łazienki.

Siedząc na sedesie, zdał sobie sprawę, że prawnicy nie opowiedzą się w tej sprawie po żadnej ze stron. To kłótnia rodzinna. Nie może liczyć na współczucie ani na obrońców.

Według nieujawnionego źródła skarżących jest dwunastu. Ponieważ przewidywano, że ich grupa będzie znacznie szersza, spodziewano się ich certyfikacji.

Jak szeroka? – zastanawiał się Clay, parząc kolejną porcję kawy. Ilu jest takich Worleyów?

Mecenas Carter, trzydziestokilkulatek, odmówił komentarza. Patton French nazwał pozew „niepoważnym". Według autora artykułu zapożyczył to określenie od adwokatów co najmniej ośmiu firm, które pozwał w ciągu ostatnich czterech lat. Posunął się jeszcze dalej, twierdząc, że ten pozew *…trąci spiskiem orędowników reform prawa regulującego roszczenia zbiorowe i wspierającej ich finansowo branży ubezpieczeniowej.* Być może reporter zdybał Pattona, gdy był po kilku mocnych wódkach.

Trzeba było podjąć decyzję. Ponieważ Clay był naprawdę chory, mógłby się przyczaić w domu i przeczekać burzę. Albo stawić czoło okrutnemu światu i wypić piwo, którego nawarzył. Rzeczywiście miał ochotę zażyć jakieś tabletki, wrócić do łóżka i obudzić się za tydzień, mając koszmar za sobą. A najlepiej wsiąść do samolotu i polecieć zobaczyć się z Ridley.

W biurze zjawił się przed siódmą ze skupioną miną, pobudzony kawą. Wędrował po korytarzach, przekomarzając się i śmiejąc z pracownikami pierwszej zmiany, opowiadając kiepskie, lecz nieobraźliwe dowcipy o będących w drodze następnych doręczycielach pism procesowych, o reporterach węszących na prawo i lewo i wezwaniach do stawiennictwa w sądzie fruwających to tu, to tam. Był to wspaniały, odważny występ, którego jego ludzie potrzebowali i który potrafili docenić.

Trwał aż do przedpołudnia, kiedy to panna Glick weszła do jego gabinetu, mówiąc:

– Clay, wróciło tych dwóch z FBI.

– Cudownie! – wykrzyknął, zacierając ręce, jakby mógł ich obu po prostu wybato-

żyć.

Spooner i Lohse zjawili się z wymuszonymi uśmiechami, uścisków dłoni nie było. Clay zamknął drzwi, zacisnął zęby i nakazał sobie w duchu kontynuację porannego występu. Ale zmęczenie i strach mocno dały mu się we znaki.

Tym razem mówił Lohse, a Spooner notował. Zdjęcie Claya na pierwszej stronie gazety najwyraźniej przypomniało im, że należy mu się druga wizyta. Cena sławy.

– Jakieś ślady pańskiego kumpla? – zaczął Lohse.

– Żadnych. – To była prawda. Jak bardzo potrzebował w tym kryzysowym momencie rady Pace'a.

– Jest pan pewny?

– A pan głuchy? – odparował Clay. Był gotów pokazać im drzwi, gdy pytania staną się niewygodne. Są przecież tylko śledczymi, nie prokuratorami. – Powiedziałem nie.

– Naszym zdaniem był w zeszłym tygodniu w mieście.

– Gratuluję. Ja go nie widziałem.

– Pozew przeciwko Ackerman Labs złożył pan drugiego lipca ubiegłego roku, zgadza się?

– Tak.

– Czy zanim do tego doszło, miał pan jakieś udziały w tej firmie?

– Nie.

– Czy sprzedał pan pożyczone akcje, a potem odkupił je po niższej cenie?

Oczywiście, że tak zrobił, za radą swojego przyjaciela Pace'a. Agenci znali odpowiedź na to pytanie. Mieli dane z transakcji, był tego pewny. Od czasu ich pierwszej wizyty gruntownie zbadał kwestię oszustw w obrocie papierami wartościowymi i wykorzystywania poufnych informacji. W swoim mniemaniu znalazł się w szarej strefie, miejscu nieciekawym, ale do roli winowajcy było mu daleko. Potem zrozumiał, że nie powinien był handlować akcjami. Setki razy żałował swojej lekkomyślności.

– Czy w mojej sprawie toczy się jakieś śledztwo? – zapytał.

Spooner zaczął kiwać głową, zanim Lhose odparł:

– Tak.

– W takim razie uważam to spotkanie za zakończone. Skontaktuje się z panami mój adwokat.

Clay wstał i ruszył w stronę drzwi.

Rozdział 34

Na następne zebranie komisji nadzorującej pozew w sprawie dyloftu mecenas Patton French wybrał hotel w centrum Atlanty, gdzie uczestniczył w jednym z wielu seminariów na temat bogacenia się dzięki nękaniu firm farmaceutycznych. Zebranie zwołano w trybie nagłym.

French zajmował oczywiście apartament prezydencki, jarmarcznie wyposażoną niewykorzystaną przestrzeń na najwyższym piętrze hotelu, i właśnie tam się spotkali. Zebranie było niezwykłe w tym sensie, że zabrakło na nim wymiany uwag o najnowszych luksusowych samochodach lub kupionych ranczach. Żaden z piątki nie raczył się również pochwalić niedawnymi zwycięskimi procesami. Sytuacja była napięta od chwili, gdy Clay przekroczył próg apartamentu, i już się nie poprawiła. Bogaci chłopcy byli przerażeni.

Nie bez powodu. Carlos Hernandez z Miami wiedział o siedmiu swoich klientach z grupy pierwszej poszkodowanych, którzy obecnie mieli guzy złośliwe w nerkach. Wcześniej przyłączyli się do pozwu zbiorowego, a teraz reprezentowała ich Helen Warshaw.

– Pojawiają się wszędzie – powiedział z rozpaczą. Wyglądał tak, jakby przez wiele nocy nie zmrużył oka. Tak naprawdę cała piątka sprawiała wrażenie pokonanych i znużonych.

– To bezlitosna suka – powiedział Wes Saulsberry, a pozostali skinęli głowami. Najwyraźniej legenda mecenas Warshaw była powszechnie znana. Tylko ktoś zapomniał powiedzieć o tym Clayowi. Czterej dawni klienci pozwali teraz Wesa do sądu. Damon Didier miał troje takich klientów, a French pięcioro.

Clay z ulgą oświadczył, że sam ma tylko jednego, lecz ten stan był chwilowy.

– Właściwie to masz ich siedmioro – rzekł French i wręczył mu wydruk z jego nazwiskiem u góry i wykazem byłych klientów, a teraz powodów, poniżej. – Wicks z Ackerman Labs powiedział mi, że możemy się spodziewać rozszerzenia tej listy – dodał.

– W jakim są nastroju? – zapytał Wes.

– Totalny szok. Ich lek zabija ludzi na lewo i prawo. Szefowie Philo żałują, że w ogóle usłyszeli o Ackerman Labs.

– Rozumiem ich. – Didier posłał Clayowi nieprzyjemne spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „To wszystko twoja wina”.

Clay spojrzał na siedem nazwisk na swojej liście. Poza Tedem Worleyem nie rozpoznał nikogo. Kansas, Dakota Południowa, Maine, dwójka z Oregonu, Georgia, Mary-

land. Jak to się stało, że reprezentował tych ludzi? Niedorzeczny sposób praktykowania prawa – pozywanie i zawieranie ugody w imieniu ludzi, których nigdy nie spotkał! A teraz oni pozywają jego!

– Czy bezpieczne jest założenie, że dowody medyczne są w tej sprawie mocne? – zapytał Wes. – To znaczy czy jest miejsce na spór, na próbę udowodnienia, że ten powracający rak nie jest skutkiem zażywaniem dyloftu? Jeśli tak, ratuje nas to z opresji, Ackerman Labs także. Nie chcę być kojarzony z błaznami, ale tak właśnie jest.

– Nie! Mamy przesrane – prychnął French. Chwilami potrafił być szczery aż do bólu. Nie było sensu marnować czasu. – Wicks twierdzi, że ten lek jest groźniejszy niż kula w łeb. Z tego powodu odchodzą ludzie z ich działu badań. Załamują się kariery. Firma może tego nie przetrwać.

– Masz na myśli Philo Products?

– Tak, gdy kupili Ackerman Labs, sądzili, że panują nad tym pasztetem. Teraz wygląda na to, że grupy druga i trzecia będą o wiele liczniejsze, a roszczenia o wiele bardziej kosztowne. Walczą o życie.

– A my nie? – mruknął Carlos, po czym on także spojrzał na Claya tak, jakby przyszedł czas na kulę w łeb.

– Jeżeli jesteśmy odpowiedzialni, to nie ma mowy, byśmy mogli się wybronić – zauważył Wes, stwierdzając rzecz oczywistą.

– Musimy negocjować – rzekł Didier. – Tutaj chodzi o przetrwanie.

– Ile jest warta jedna sprawa? – zapytał Clay, któremu głos nie odmówił jeszcze posłuszeństwa.

– Przed ławą przysięgłych od dwóch do dziesięciu milionów, zależnie od wysokości nawiązki – odparł French.

– To szacunek zaniżony – zauważył Carlos.

– Ja nie pokażę się przysięgłym w sądzie – uprzedził Didier. – Nie w sytuacji, gdy tak wyglądają fakty.

– Powód ma przeciętnie sześćdziesiąt osiem lat i jest emerytem – wyjaśnił Wes. – W sensie ekonomicznym w przypadku jego śmierci szkody są wielkie. Liczyć się będą ból i cierpienie. Ale w próżni można by zawrzeć w tych sprawach ugodę po milionie każda.

– Nie jesteśmy w próżni – burknął Didier.

– Ja nie żartuję – odburknął natychmiast Wes. – Ale wystarczy dodać takich wspaniałych pozwanych, jak zgraja chciwych speców od zbiorowych roszczeń, a wartość każdej sprawy osiąga niebotyczny poziom.

– Wolałbym być po stronie powoda – przyznał Carlos, trąc zmęczone oczy.

Clay zauważył, że nie wypito dotąd ani kropli alkoholu, tylko kawę i wodę. Rozpaczliwie pragnął zażyć jedno z wódczanych lekarstw Frencha.

– Prawdopodobnie przegramy nasz pozew zbiorowy – rzekł French. – Wszyscy, któ-

rzy jeszcze tego nie zrobili, próbują się wycofać. Jak wam wiadomo, bardzo niewielu powodów z drugiej i trzeciej grupy zawarło ugodę i z oczywistych przyczyn nie chcą być stroną w tym pozwie. Wiem o co najmniej pięciu grupach prawników gotowych poprosić sąd o unieważnienie naszego pozwu i wyeliminowanie nas ze sprawy. Tak naprawdę trudno ich o to winić.

– Możemy z nimi walczyć – odparł Wes. – Mamy tam swoje honoraria. I będą nam potrzebne.

Mimo to nie byli w nastroju do walki, przynajmniej nie w tym momencie. Niezależnie od własnych deklaracji o ilości posiadanych pieniędzy, każdy z nich się niepokoił, tyle że na innej płaszczyźnie. Clay głównie słuchał i zaintrygowało go, jak reagowali czterej pozostali członkowie komisji. Patton French miał przypuszczalnie więcej pieniędzy niż ktokolwiek z nich i był chyba pewny, że wytrzyma presję finansową spowodowaną pozwem. To samo dotyczyło Wesa, który zarobił pół miliarda, reprezentując ofiary przekrętu firm tytoniowych. Carlos chwilami zdradzał pewność siebie, ale z drugiej strony nie mógł powstrzymać nerwowych ruchów. Natomiast Didier był przerażony.

Wszyscy mieli więcej forsy niż Clay, on zaś miał najwięcej klientów w sprawie dyloftu. Ten rachunek mu się nie spodobał.

Jako możliwy poziom ugody wybrał trzy miliony dolarów. Gdyby na liście jego dawnych klientów nie pojawiły się nowe nazwiska, mógłby sobie poradzić z utratą około dwudziestu milionów. Gdyby jednak lista rosła…

Clay poruszył temat ubezpieczenia i był wstrząśnięty wiadomością, że żaden z czwórki nie ma polisy. Wszystkie wygasły wiele lat temu. Większość towarzystw ubezpieczających prawników od błędu w sztuce stroniła od specjalistów od zbiorowych roszczeń odszkodowawczych. Sprawa dyloftu stanowiła doskonały przykład ilustrujący przyczyny.

– Ciesz się, że masz te dziesięć milionów – rzekł Wes. – Te pieniądze nie pójdą z twojej kieszeni.

Ich spotkanie sprowadzało się głównie do płaczu i zgrzytania zębów. Potrzebowali towarzystwa w swojej niedoli, ale tylko na krótko. Uzgodnili ogólny plan spotkania z mecenas Warshaw w jakimś nieokreślonym momencie w przyszłości i delikatnego wybadania szans na negocjacje. Warshaw głosiła otwarcie, że nie chce ugody. Chciała procesów – wielkich, jarmarcznych, sensacyjnych spektakli, podczas których obecni i dawni królowie odszkodowań zostaną zawleczeni przed oblicze przysięgłych i obnażeni.

Całe popołudnie i wieczór Clay spędził w Atlancie, gdzie nikt go nie znał.

* * *

W ciągu lat spędzonych w BOP-ie Clay przeprowadził setki rozmów wstępnych,

prawie wszystkie w więzieniu. Zwykle zaczynały się powoli, a oskarżony, niemal zawsze czarny, nie miał pewności, jak dużo powinien powiedzieć swojemu białemu adwokatowi. Informacje uzupełniające rozluźniały trochę sytuację, ale fakty, szczegóły i prawda o domniemanym przestępstwie rzadko wychodziły na jaw podczas tego pierwszego spotkania.

Paradoksalne było to, że Clay, będący teraz pozwanym, nerwowo rozpoczynał własną rozmowę wstępną ze swoim czarnym obrońcą Zackiem Battle'em. I niech ten biorący siedemset pięćdziesiąt dolarów za godzinę adwokat będzie przygotowany na szybką relację. W każdym razie żadnych uników, kluczenia i walki z cieniem. Battle usłyszy prawdę tak szybko, jak szybko zdoła ją zapisać.

Lecz Battle miał ochotę poplotkować. Wiele lat temu, na długo przed tym, nim się ustatkował i stał się największym specjalistą od prawa karnego w Waszyngtonie, byli z Jarrettem Carterem kompanami od kieliszka.

Nie przy stawce siedmiuset pięćdziesięciu dolarów za godzinę, miał ochotę powiedzieć Clay. Wyłącz ten cholerny zegar, a będziemy gawędzili w nieskończoność.

Gabinet Battle'a wychodził na Lafayette Park, w tle widać było Biały Dom. Pewnego wieczoru Zack i Jarrett wstawili się i postanowili napić się piwa z pijaczkami i bezdomnymi w parku. Policjanci podkradli się do nich, uznając, że są zboczeńcami szukającymi mocnych wrażeń. Obaj zostali aresztowani, a niedopuszczenie do ujawnienia tej informacji w gazetach wymagało sporo zachodu. Clay śmiał się, bo tak właśnie miał zareagować.

Battle zrezygnował z wódy na rzecz tytoniu do fajki i jego brudny, zagracony gabinet cuchnął zastałym dymem.

– Jak się miewa pański ojciec? – zapytał.

Clay szybko odmalował bogaty w szczegóły i niemal romantyczny obraz żeglującego po świecie Jarretta.

Gdy wreszcie przeszli do rzeczy, Clay opowiedział o dylofcie, zaczynając od Maxa Pace'a i kończąc na FBI. Nie mówił o tarvanie, ale zrobiłby to, gdyby zaszła taka potrzeba. O dziwo, Battle nie robił żadnych notatek. Słuchał, marszcząc czoło i paląc fajkę. Od czasu do czasu odwracał wzrok w głębokiej zadumie, nie zdradzał jednak, co myśli.

– Ten ukradziony raport badawczy, który był w posiadaniu Maxa Pace'a… – zaczął, po czym zrobił pauzę i pyknął z fajki. – Czy miał go pan, sprzedając akcje i wnosząc pozew?

– Oczywiście. Musiałem wiedzieć, że zdołam udowodnić odpowiedzialność Ackerman Labs, jeżeli pójdziemy do sądu.

– W takim razie mamy do czynienia z wykorzystaniem poufnych informacji. Jest pan winny. Pięć lat za kratkami. Niech pan mi jednak powie, jak federalni mogą tego dowieść.

Gdy serce Claya znowu zaczęło bić, odparł:

– Przypuszczam, że Pace może im powiedzieć.

– Kto jeszcze ma ten raport?

– Patton French, może paru innych gości.

– Czy French wie, że miał pan te informacje, zanim złożył pozew?

– Nie wiem. Nigdy mu nie powiedziałem, kiedy do mnie trafił.

– Więc Max Pace jest jedyną osobą, która może pana zdemaskować.

Historia była klarowna. Clay przygotował pozew zbiorowy w sprawie dyloftu, ale był skłonny złożyć go, pod warunkiem że Pace zdoła przedstawić dowody. Kilka razy toczyli spory. Pewnego dnia Pace wszedł do jego biura z dwiema grubymi teczkami pełnymi dokumentów oraz akt i rzekł: „Oto raport i pamiętaj, że nie dostałeś go ode mnie". I natychmiast wyszedł. Clay przeanalizował materiały, po czym poprosił kolegę ze studiów, żeby ocenił ich wiarygodność. Kolega był znanym lekarzem z Baltimore.

– Czy można zaufać temu lekarzowi? – zapytał Battle.

Zanim Clay zdążył coś wyjaśnić, Battle pomógł mu sformułować odpowiedź.

– Oto kwestia zasadnicza. Jeżeli federalni nie wiedzą, że miał pan ten tajny raport w chwili sprzedaży akcji, nie mogą pana przyskrzynić za wykorzystanie poufnych informacji. Mają rejestry transakcji giełdowych, ale suche zapisy nie wystarczą. Muszą dowieść, że miał pan tę wiedzę.

– Powinienem porozmawiać z moim kolegą z Baltimore.

– Nie. Jeżeli FBI o nim wie, jego telefon może być na podsłuchu. Wtedy zamiast na pięć lat, pójdzie pan siedzieć na siedem.

– Mógłby pan więcej tego nie powtarzać?

– Jeżeli zaś federalni o nim nie wiedzą, mógłby pan nieumyślnie ich do niego doprowadzić. Prawdopodobnie pana obserwują. Mogą podsłuchiwać pańskie rozmowy telefoniczne.

Pozbyłbym się tego raportu. I wyczyścił akta, na wypadek ich wizyty z nakazem rewizji. Modliłbym się też o to, by Max Pace nie żył albo ukrywał się w Europie.

– Coś jeszcze? – zapytał Clay, gotowy zacząć się modlić.

– Niech pan się spotka z Pattonem Frenchem, dopilnuje, by tego raportu nie można było powiązać z panem. Wygląda na to, że spór prawny w sprawie dyloftu właśnie się zaczyna.

– Takie właśnie dochodzą mnie słuchy.

* * *

Adres zwrotny był adresem więzienia. Chociaż wielu z jego dawnych klientów wylądowało za kratkami, Clay nie pamiętał żadnego o imieniu Paul i nazwisku Watson. Otworzył kopertę i wyciągnął z niej jednostronicowy list bardzo starannie napisany na

komputerze.

Drogi Panie Carter, być może pamięta mnie Pan jako Tequilę Watsona. Zmieniłem imię, ponieważ to dawne już do mnie nie pasuje. Codziennie czytam Biblię, a moim ulubieńcem jest apostoł Paweł, przyjąłem więc jego imię. Nakłoniłem tutejszego prawnika, by załatwił to dla mnie oficjalnie.

Proszę o przysługę. Gdyby zechciał Pan jakoś przekazać rodzinie Dyni informację, że bardzo żałuję tego, co się stało. Modliłem się do Boga i Bóg mi przebaczył. Czułbym się znacznie lepiej, gdyby rodzina Dyni też mogła mi przebaczyć. Nadal nie mogę uwierzyć, że zabiłem go w taki sposób. Przypuszczam, że to nie ja strzelałem, ale szatan. Ale nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Nadal nie zażywam narkotyków. W więzieniu jest mnóstwo środków odurzających, mnóstwo złego towaru, ale Bóg codziennie pomaga mi przetrwać.

Byłoby wspaniale, gdyby mógł Pan do mnie napisać.

Nie dostaję dużo listów. Szkoda, że nie mógł Pan być dłużej moim adwokatem. Uważałem, że fajny z Pana gość.

Serdecznie pozdrawiam
Paul Wilson

„Tylko poczekaj, Paul”, mruknął Clay pod nosem. Jak tak dalej pójdzie, może będziemy kolegami z celi. Wystraszył go dzwonek telefonu. Dzwoniła Ridley. Była w St. Barth, ale chciała wrócić do domu. Czy mógłby posłać po nią jutro samolot?

Nie ma problemu, kochanie. Lot tym cholernym odrzutowcem kosztuje trzy tysiące dolarów za godzinę. Cztery godziny tam, cztery godziny z powrotem – dwadzieścia cztery tysiące za szybką podróż powrotną, ale to kropla w morzu w porównaniu z tym, co wydała na willę.

Rozdział 35

Żyje się od przecieku do przeciekli i tak samo umiera. Clay grał w to kilka razy, przekazując reporterom nieoficjalnie pikantne plotki, po czym zadowolony z siebie rzucał: „Bez komentarza”, co drukowano kilka wierszy poniżej prawdziwych brudów. Wtedy sprawiało mu to frajdę, teraz bolało. Nie mógł sobie wyobrazić, kto chciałby go wprawić w jeszcze większe zażenowanie.

Przynajmniej dostał małe ostrzeżenie. Jakiś reporter z „Washington Post” zadzwonił do biura Claya, gdzie skierowano go do mecenasa Zacka Battle’a. Odnalazł go i usłyszał normalną w takich wypadkach odpowiedź. Zack zatelefonował do Claya i powiedział mu o tej rozmowie.

Materiał ukazał się w dziale miejskim, na trzeciej stronie, i stanowił przyjemną niespodziankę po wielu miesiącach szumnych frazesów, a potem skandalicznych przekłamań z pierwszych stron gazet. Ponieważ faktów było jak na lekarstwo, wolne miejsce należało czymś wypełnić – wybrano zdjęcie Claya. DOCHODZENIE W SPRAWIE KRÓLA ODSZKODOWAŃ. *Według nieujawnionych źródeł…* Zack przytoczył kilka cytatów, w których Clay jawił się jako jeszcze większy winowajca. Czytając artykuł, Carter przypomniał sobie, jak często wcześniej widział Zacka robiącego ten sam stary numer – zaprzeczał, odpierał zarzuty i obiecywał energiczną obronę, zawsze chroniąc największych oszustów w mieście. Im większy oszust, tym szybciej biegł do kancelarii Zacka Battle’a i Clay po raz pierwszy pomyślał, że chyba wynajął niewłaściwego adwokata.

Przeczytał ten artykuł w domu, gdzie na szczęście był sam, ponieważ Ridley spędzała parę dni w swoim nowym lokum, które Clay wcześniej dla niej wynajął. Pragnęła swobody, a ponieważ jej stare mieszkanie było dość ciasne, Clay zgodził się ulokować ją w przyjemniejszym miejscu. Właściwie to ta swoboda wymagała jeszcze trzeciego lokum – willi w St. Barth, którą zawsze określała mianem „naszej”.

Nie żeby Ridley czytała gazety. Tak naprawdę wydawało się, że mało wie o jego problemach. Coraz bardziej skupiała się na wydawaniu jego pieniędzy, a temu, jak je zarabiał, poświęcała niewiele uwagi. Jeżeli widziała artykuł w „Washington Post”, nie wspomniała o nim. On też go przemilczał.

W miarę jak mijał kolejny zły dzień, Clay zaczął sobie uświadamiać, jak niewiele osób zauważyło ten artykuł. Jeden kumpel ze studiów prawa zadzwonił i próbował poprawić mu nastrój, i tyle. Clay był wdzięczny za ten telefon, ale niewiele to pomogło. Gdzie się podziała reszta jego przyjaciół?

Chociaż usiłował tego nie robić, mimo woli myślał o Rebecce i Van Hornach. Gdy zaledwie kilka tygodni wcześniej, jak się wydawało, koronowano go na nowego króla odszkodowań, zzielenieli zapewne z zazdrości i gorzko żałowali zerwania. Co myślą teraz? Wmawiał sobie, że jest mu to obojętne, ale skoro tak, dlaczego nie może wyrzucić ich ze swoich myśli?

Przed południem wpadła do niego Paulette Tullos i to podniosło go na duchu. Wyglądała wspaniale – zrzuciła parę kilogramów, nie żałowała pieniędzy na ubrania. Przez kilka ostatnich miesięcy podróżowała po Europie, czekając na uprawomocnienie się rozwodu. Pogłoski o Clayu docierały wszędzie i niepokoiła się o niego. Podczas długiego lunchu, za który ona zapłaciła, okazało się, że martwiła się też o siebie. Udział Paulette w łupie zdobytym z sprawie dyloftu wyniósł nieco ponad dziesięć milionów i chciała wiedzieć, czy coś jej grozi. Clay zapewnił ją, że nie. W chwili zawierania ugody nie była wspólnikiem w kancelarii, a tylko współpracownikiem. Na wszystkich pisemnych oświadczeniach stron i dokumentach sprawy widniał podpis Claya.

– To ty byłaś kuta na cztery nogi – zauważył. – Wzięłaś forsę i się ulotniłaś.

– Źle się z tym czuję.

– Przestań. Błędy popełniłem ja, nie ty.

Chociaż dyloft miał go drogo kosztować – do pozwu zbiorowego mecenas Warshaw przyłączyło się teraz co najmniej dwudziestu dawnych jego klientów – wciąż liczył na sukces w sprawie maxatilu. W sytuacji gdy reprezentował dwadzieścia pięć tysięcy klientów, kwota honorarium byłaby olbrzymia.

– Teraz mam trochę pod górkę, ale wkrótce sytuacja się poprawi. Za niespełna rok znowu będę zbijał kokosy.

– A federalni?

– Nie mogą mi nic zrobić.

Paulette chyba w to uwierzyła, a jej ulga rzucała się w oczy. Jeżeli rzeczywiście dała wiarę wszystkiemu, co mówił Clay, była jedyną taką osobą.

* * *

Trzecie spotkanie miało być ostatnim, chociaż ani Clay, ani nikt po jego stronie negocjacyjnego stołu nie zdawał sobie z tego sprawy. Joel Hanna przyprowadził swojego kuzyna Marcusa, dyrektora naczelnego firmy, i zrezygnował ze wsparcia Babcocka, prawnika towarzystwa ubezpieczeniowego. Jak zwykle mieli przed sobą małą armię, z mecenasem JCC, królem, zasiadającym pośrodku.

Po zwyczajowej rozgrzewce Joel oznajmił:

– Zlokalizowaliśmy osiemnaście domów, które należy dodać do listy. Daje to w sumie dziewięćset czterdzieści. Mamy pewność, że więcej już nie będzie.

– To dobrze – odparł trochę bezdusznie Clay. Dłuższa lista oznaczała dla niego na-

stępnych klientów, następne odszkodowania wypłacone przez firmę Hanna. Clay reprezentował prawie dziewięćdziesiąt procent poszkodowanych, a na obrzeżach tej grupy kręciło się jeszcze kilku prawników. Jego zespół do spraw firmy Hanna wykonał wspaniałą robotę, przekonując właścicieli domów, by trzymali się jego kancelarii. Uzyskali zapewnienie, że dostaną więcej pieniędzy, ponieważ mecenas Carter jest specjalistą od postępowań zbiorowych. Wszyscy potencjalni klienci otrzymali profesjonalnie zrobiony pakiet zachwalający dokonania ostatniego króla odszkodowań. Była to bezwstydna reklama i zabieganie o klientów, ale po prostu takie obowiązywały teraz reguły tej gry.

Podczas ostatniego spotkania Clay obniżył swoje żądania z dwudziestu pięciu tysięcy dolarów na roszczenie do dwudziestu dwóch i pół tysiąca. Dzięki takiej ugodzie z tytułu honorarium zgarnąłby około siedmiu i pół miliona. Firma Hanna odpowiedziała propozycją wypłaty siedemnastu tysięcy, co i tak oznaczałoby dla niej zapożyczenie się do granic możliwości.

Przy odszkodowaniu wysokości siedemnastu tysięcy na dom, mecenas JCC zarobiłby cztery miliony osiemset tysięcy dolarów, gdyby upierał się przy trzydziestu procentach dla siebie. Gdyby jednak zredukował swój udział do bardziej rozsądnego poziomu dwudziestu procent sumy odszkodowania, każdy z jego klientów zgarnąłby trzynaście tysięcy sześćset. Taka obniżka uszczupliłaby jego honorarium mniej więcej o półtora miliona dolarów. Marcus Hanna znalazł cenionego przedsiębiorcę budowlanego, który zgodziłby się wyremontować każdy dom za trzynaście i pół tysiąca.

Podczas ostatniego spotkania stało się oczywiste, że kwestia honorariów adwokackich jest tak ważna jak sprawa rekompensat dla właścicieli domów. Jednak od tamtego czasu w prasie ukazało się kilka artykułów o mecenasie JCC, wszystkie nieprzychylne. Obniżenie honorarium nie było kwestią, o której jego kancelaria była gotowa dyskutować.

– Czy wasze stanowisko się zmieniło? – zapytał bez ogródek.

Zamiast po prostu zaprzeczyć, Joel omówił pokrótce kroki, które jego firma podjęła w celu ponownej oceny swojej sytuacji finansowej, zakresu ubezpieczenia i możliwości pożyczenia co najmniej ośmiu milionów dolarów, żeby powiększyć fundusz odszkodowawczy. Niestety, w rzeczywistości nic się nie zmieniło. Branża znajdowała się w fazie zniżkowej bardzo niekorzystnego cyklu. Zamówień nie przybywało. Z budową nowych domów było jeszcze gorzej, przynajmniej na ich rynku.

Jeżeli sytuacja Hanna Portland Cement Company przedstawiała się ponuro, to po drugiej stronie negocjacyjnego stołu z pewnością nie wyglądała lepiej. Clay wstrzymał nagle wszelkie ogłoszenia dla nowych klientów w sprawie maxatilu, co reszta jego kancelarii przyjęła z ulgą. Rex Crittle zostawał po godzinach, by ciąć koszty, chociaż tak radykalne poczynania były obce kulturze korporacyjnej JCC. Właściwie to poruszył temat zwolnień i robiąc to, sprowokował paskudną reakcję swojego szefa. Prowadzone sprawy nie generowały żadnych znaczących przychodów. Fiasko pozwu w sprawie

Chudego Bena kosztowało ich wiele milionów, zamiast przynieść kolejną fortunę, a w sytuacji gdy dawni klienci docierali do Helen Warshaw, kancelaria Cartera drżała w posadach.

– Więc nie ma żadnej zmiany? – upewnił się Clay, gdy Joel umilkł.

– Nie. Siedemnaście tysięcy to granica naszych możliwości. A wasze stanowisko uległo zmianie?

– Dwadzieścia dwa i pół tysiąca to uczciwe odszkodowanie – odparł Clay z kamiennym wyrazem twarzy. – Skoro wy nie zmieniacie stanowiska, to my też obstajemy przy swoim. Jego głos był twardy jak stal. Jego pracownicy byli pod wrażeniem, ale zarazem pragnęli jakiegoś kompromisu. Clay myślał jednak o Pattonie Frenchu w Nowym Jorku, w pokoju pełnym szych z Ackerman Labs, warczącym i tyranizującym oponentów, panującego nad sytuacją. Był przekonany, że jeżeli nadal będzie naciskał, Hanna się ugnie.

Jedynym po stronie Claya, który głośno wyrażał swoje wątpliwości, był młody prawnik Ed Wyatt, szef zespołu zajmującego się pozwem przeciwko cementowni. Przed spotkaniem wyjaśnił Clayowi, że jego zdaniem Hanna znacznie skorzysta na ochronie i restrukturyzacji wprowadzonej na mocy rozdziału 11. prawa upadłościowego. Wszelka ugoda z właścicielami domów zostanie odroczona do czasu, aż syndyk masy upadłościowej zdoła określić ich roszczenia i zdecyduje, jakie odszkodowanie jest zasadne. Wyatt uważał, że skarżący będą mieli szczęście, jeśli otrzymają tą drogą dziesięć tysięcy dolarów. Firma nie groziła wnioskiem o upadłość, co w takich sytuacjach stanowi normalny wybieg. Clay analizował księgi Hanny i uważał, że właściciele cementowni mają zbyt dużo aktywów i są zbyt dumni, by rozważać tak drastyczne posunięcie. Zaryzykował. Jego kancelaria potrzebowała wszystkich honorariów, jakie mogła wycisnąć.

Marcus Hanna powiedział nagle:

– Cóż, w takim razie pora się pożegnać. – Obaj z kuzynem zgarnęli papiery i pospiesznie wyszli z sali konferencyjnej. Clay też próbował wyjść teatralnie, jakby chciał pokazać swoim żołnierzom, że nic go nie peszy.

Dwie godziny później Hanna Portland Cement Company złożyła wniosek o upadłość z zachowaniem kontroli nad przedsiębiorstwem, szukając ochrony przed wierzycielami, z których największą grupę stanowili poszkodowani objęci pozwem zbiorowym wniesionym przez J. Claya Cartera II z Waszyngtonu.

Najwyraźniej jeden z członków rodziny Hanna też rozumiał znaczenie przecieków. „Baltimore Press” zamieścił obszerny artykuł o tej upadłości i natychmiastowej reakcji właścicieli domów. Podane w nim szczegóły były zabójczo dokładne, co świadczyło o tym, że reporterowi przekazał je ktoś bardzo dobrze zorientowany w negocjacjach w sprawie ugody. Firma zaproponowała siedemnaście tysięcy na powoda, korzystna kalkulacja remontu każdego domu opiewała na piętnaście tysięcy. Gdyby nie kwestia honorariów adwokackich, można by zawrzeć sprawiedliwą ugodę. Cementownia uzna-

wała swoją odpowiedzialność od samego początku. Była skłonna się zadłużyć, żeby naprawić popełnione błędy. I dalej w tym stylu.

Poszkodowani byli bardzo niezadowoleni. Reporter wybrał się na przedmieście i natrafił na zorganizowane na poczekaniu zebranie w jakimś garażu. Oprowadzono go po kilku domach, by obejrzał uszkodzenia. Zebrał liczne komentarze:

Powinniśmy byli pertraktować bezpośrednio z cementownią.

Przedstawiciele firmy zjawili się tutaj, zanim wmieszał się w to ten prawnik.

Murarz, z którym rozmawiałem, powiedział, że za jedenaście tysięcy dolarów mógłby rozebrać stare mury i postawić nowe. A my odrzuciliśmy siedemnaście? Ja po prostu tego nie rozumiem.

Tego prawnika na oczy nie widziałem.

To, że przystąpiłem do pozwu zbiorowego, uświadomiłem sobie dopiero po jego wniesieniu.

Nie chcieliśmy, żeby ta firma zbankrutowała.

Nie, to byli sympatyczni goście. Starali się nam pomóc.

Możemy pozwać tego prawnika?

Próbowałem się do niego dodzwonić, ale linie są zajęte.

Reporter czuł się zobowiązany dostarczyć pewnych informacji na temat Claya Cartera i oczywiście zaczął od honorariów za sprawę dyloftu. Potem było jeszcze gorzej. W opowiedzeniu tej historii pomogły trzy zdjęcia: na pierwszym jakiś właściciel wskazywał rozsypujące się mury, na drugim pokazano spotkanie grupy poszkodowanych w garażu, a na trzecim widniał Clay w smokingu i Ridley w pięknej sukni pozujący w Białym Domu przed uroczystą kolacją. Wyglądała olśniewająco, Clay też był przystojny, chociaż w tym kontekście trudno było docenić, jak urodziwą tworzą parę. Naprawdę tandetne ujęcie.

Mecenas Carter, widoczny powyżej na kolacji w Białym Domu, odmówił komentarza.

Bo też na żaden nie zasłużyliście, pomyślał Clay.

I tak zaczął się kolejny dzień w biurach kancelarii JCC. Telefony dzwoniły bez przerwy, gdy wzburzeni klienci chcieli się na kimś wyładować. W holu na wszelki wypadek postawiono ochroniarza. Współpracownicy plotkowali w małych grupach o szansach przetrwania firmy. Prognozy formułowane przez wszystkich zatrudnionych. Szef zamknięty w gabinecie. Żadnych prawdziwych spraw do prowadzenia, ponieważ kancelaria miała teraz tylko całą masę teczek maxatilu i niewiele można było z nimi zrobić, bo w firmie Goffman też nie odpowiadano na telefony.

W całym Dystrykcie Columbii bawiono się jak rzadko kosztem Claya, choć on dowiedział się o tym, dopiero gdy w „Press” wydrukowano wspomniany artykuł. Zaczęło się od artykułów o dylofcie w „Wall Street Journal”, od kilku faksów posłanych tu i ówdzie, by ci, którzy go znali albo z college’u, wydziału prawa, przez ojca, albo w BOP-ie,

byli na bieżąco.

Kampania nabrała rozpędu, gdy „American Attorney” sklasyfikował go na ósmej pozycji pod względem zarobków – kolejne faksy, kolejne e-maile, kilka żartów dodanych dla urozmaicenia. Gdy Helen Warshaw złożyła swój ohydny pozew, stało się to jeszcze bardziej powszechne. Jakiś prawnik z Waszyngtonu, najwyraźniej dysponujący zbyt dużą ilością wolnego czasu, nadał mu tytuł *Król Szortów* i uruchomił faksy. Ktoś o pewnych zdolnościach artystycznych dodał ordynarną karykaturę nagiego Claya z opuszczonymi do kostek bokserkami i zakłopotaną miną. Każda wiadomość na jego temat prowokowała kolejne wydanie publikacji. Wydawca lub wydawcy zbierali artykuły z internetu, drukowali je w postaci biuletynu i dzielili się jego egzemplarzami. Wszczęcie śledztwa karnego było sensacją. Zamieszczono zdjęcie z Białego Domu, trochę plotek o jego samolocie i jeden artykuł o ojcu.

Anonimowi redaktorzy wysyłali faksem kopie biuletynu do biura Claya od samego początku, ale panna Glick wyrzucała je do kosza. Kilku chłopców z Yale też otrzymało faksy i oni również chronili szefa. Oscar przyniósł najnowsze wydanie i cisnął biuletyn na biurko Claya.

– Żebyś po prostu wiedział – rzekł. Aktualne wydanie stanowiło kopię artykułu z „Press”.

– Wiesz, kto za tym stoi? – zapytał Clay.

– Nie. Są rozsyłane faksem w całym mieście, jako rodzaj listu łańcuszkowego.

– Czy ci ludzie nie mają ciekawszych rzeczy do roboty?

– Chyba nie. Nie przejmuj się tym, Clay. Na szczycie człowiek zawsze jest sam.

– A więc mam osobisty biuletyn. Nie do wiary! Jeszcze półtora roku temu byłem anonimową postacią.

Z zewnątrz dobiegł jakiś hałas – ostre, gniewne głosy. Clay i Oscar wybiegli z gabinetu na korytarz, gdzie ochroniarz szarpał się z bardzo wzburzonym mężczyzną. Wokół zbierali się współpracownicy i sekretarki.

– Gdzie jest Clay Carter?! – krzyknął mężczyzna.

– Tutaj! – krzyknął Clay w odpowiedzi i podszedł do niego. – Czego pan sobie życzy?

Mężczyzna nagle znieruchomiał, ochroniarz jednak nie zwolnił uścisku. Ed Wyatt i jeszcze jeden współpracownik zbliżyli się do niego.

– Jestem jednym z pańskich klientów – wyjaśnił mężczyzna, sapiąc. – Puść mnie – warknął i wyrwał się ochroniarzowi.

– Zostaw go – powiedział Clay.

– Chciałbym się naradzić z moim adwokatem – rzekł mężczyzna.

– Nie tak ustala się termin spotkania – odpowiedział spokojnie Clay. Był obserwowany przez swoich pracowników.

– Cóż, próbowałem zrobić to inaczej, ale wszystkie linie są zajęte. W oszukańczy

sposób pozbawił pan nas szansy na ugodę z cementownią. Chcemy wiedzieć dlaczego. Nie gwarantowała panu wystarczająco dużego zarobku?

– Nie powinien pan wierzyć we wszystko, o czym czyta pan w gazetach – zauważył Clay.

– Wierzę, że zostaliśmy wyrolowani przez naszego prawnika. I nie pogodzimy się z tym bez walki.

– Powinniście się uspokoić i przestać czytać gazety. Wciąż pracujemy nad zawarciem ugody. – Clay kłamał, ale robił to w najlepszych intencjach. Bunt trzeba stłumić, przynajmniej tutaj w biurze.

– Niech pan obniży swoje honorarium i zdobędzie dla nas pieniądze – warknął mężczyzna. – To jest propozycja pańskich klientów.

– Załatwię wam ugodę – obiecał Clay z fałszywym uśmiechem. – Po prostu się uspokójcie.

– W przeciwnym razie zwrócimy się do izby adwokackiej.

– Zachowajcie zimną krew.

Mężczyzna cofnął się, odwrócił i wyszedł z biura.

– Wracajcie do pracy – rzekł Clay, klaszcząc, jakby wszyscy mieli mnóstwo do roboty.

Rebecca zjawiła się godzinę później. Weszła do biura JCC i dała recepcjonistce list.

– Proszę to dać panu Carterowi – powiedziała. – To bardzo ważne.

Recepcjonistka zerknęła na ochroniarza, który był zwarty i gotowy. Potrzebowała kilku sekund, by stwierdzić, że atrakcyjna młoda dama chyba nie stwarza zagrożenia.

– Jestem jego dobrą znajomą – wyjaśniła Rebecca.

Kimkolwiek była, zdołała sprowadzić mecenasa Cartera z głębi biura szybciej niż ktokolwiek w krótkich dziejach kancelarii. Usiedli w kącie jego gabinetu, Rebecca na kanapie, on w przysuniętym jak najbliżej fotelu. Przez długi czas nie padło ani jedno słowo. Clay był zbyt podekscytowany, by sklecić jakieś zdanie. Jej obecność mogła oznaczać dziesiątki różnych, wyłącznie dobrych rzeczy.

Miał ochotę rzucić się na nią, znowu jej dotknąć, poczuć perfumy na jej szyi, przesuwać dłońmi po jej nogach. Nic się nie zmieniło – taka sama fryzura, taki sam makijaż, taka sama szminka, ta sama bransoletka.

– Gapisz się na moje nogi – powiedziała w końcu.

– Owszem.

– Dobrze się czujesz? Tyle złego piszą teraz o tobie w gazetach.

– I dlatego tu przyszłaś?

– Tak. Martwię się.

– To oznacza, że nadal ci na mnie zależy.

– Owszem.

– Więc nie zapomniałaś o mnie?

– Nie. Jestem teraz jakby na bocznym torze, w małżeństwie i w ogóle, ale wciąż o tobie myślę.

– Cały czas?

– Owszem, coraz częściej.

Clay zamknął oczy i położył na jej kolanie rękę, którą natychmiast strąciła.

– Jestem mężatką.

– Więc popełnijmy cudzołóstwo.

– Nie.

– Na bocznym torze? Wygląda na to, że to długo nie potrwa. Co się dzieje?

– Nie przyszłam tu rozmawiać o moim małżeństwie. Byłam w okolicy, pomyślałam o tobie i po prostu wpadłam.

– Jak zbłąkany pies? Nie wierzę.

– Nie powinieneś. Jak tam twoja lalunia?

– Spotykamy się. To tylko układ.

Rebecca rozważała jego słowa, wyraźnie niezadowolona z tego układu. Sama miała prawo wyjść za innego. Ale to, że Clay się z kimś związał, nie było po jej myśli.

– Jak tam twój gnida?

– W porządku.

– Żarliwa deklaracja świeżo upieczonej mężatki. Tylko w porządku?

– Jesteśmy w dobrych stosunkach.

– Od ślubu nie minął nawet rok i na nic więcej was nie stać? Jesteście w dobrych stosunkach?

– Tak.

– Nie sypiasz z nim, prawda?

– Jesteśmy małżeństwem.

– Ale to taki mały neptek. Widziałem, jak tańczyliście na weselu, i miałem ochotę zwymiotować. Powiedz, że jest kiepski w łóżku.

– Jest kiepski w łóżku. A lalunia?

– Lubi dziewczyny. – Oboje wybuchnęli śmiechem. Śmiali się długo, po czym znowu milczeli, bo tyle mieli sobie do powiedzenia. Rebecca założyła nogę na nogę, a on uważnie się temu przyglądał. Ich kolana niemal się stykały.

– Przeżyjesz jakoś? – zapytała.

– Nie mówmy o mnie. Porozmawiajmy o nas.

– Nie mam zamiaru wdawać się w romans.

– Ale myślisz o tym, prawda?

– Nie, ale wiem, że tobie chodzi to po głowie.

– Byłaby niezła zabawa, czyż nie?

– Byłaby i nie była. Nie zamierzam żyć w ten sposób.

– Ja też nie. Nie będę się tobą dzielił. Kiedyś należałaś do mnie i pozwoliłem ci

uciec. Poczekam, aż znowu będziesz wolna. Ale czy mogłabyś się pospieszyć, psiakrew?

– Możesz się nie doczekać.

– Doczekam się.

Rozdział 36

Spędził noc z Ridley u boku, śniąc o Rebecce.

Zasypiał i budził się wiele razy, zawsze z głupkowatym uśmiechem. Uśmiech zniknął jednak, gdy tuż po piątej rano zadzwonił telefon. Odebrał w sypialni, po czym przełączył rozmowę na aparat w gabinecie.

Telefonował Mel Snelling, współlokator z akademika, obecnie lekarz w Baltimore.

– Musimy pogadać, kolego – powiedział. – To pilne.

– W porządku – odparł Clay, pod którym ugięły się kolana.

– O dziesiątej przed mauzoleum Lincolna.

– Dam radę.

– Bardzo możliwe, że ktoś będzie mnie śledził – ostrzegł Snelling, a potem w słuchawce zapadła cisza. Doktor Snelling analizował w ramach koleżeńskiej przysługi wykradziony raport badawczy w sprawie dyloftu. Teraz znaleźli go federalni.

Clay po raz pierwszy miał szaleńczy zamiar po prostu uciec. Przelać resztę forsy na konto w jakiejś republice bananowej, uciec z miasta, zapuścić brodę, zniknąć. I oczywiście zabrać ze sobą Rebeccę.

Jej matka znalazłaby ich szybciej niż FBI.

Zaparzył kawę i wziął długi prysznic. Włożył dżinsy i pożegnałby się z Ridley, ale spała jak kamień.

Było bardzo prawdopodobne, że Mel będzie miał podsłuch. Skoro FBI go odnalazło, agenci użyliby zwyczajowego zestawu brudnych sztuczek. Gdyby odmówił donoszenia na przyjaciela, zagroziliby, że też go oskarżą. Pewnie nękali go wizytami, telefonami, ciągłą inwigilacją. Zmusili go do założenia podsłuchu i zastawienia pułapki na Cartera.

Zacka Battle'a nie było w mieście, więc Carter był zdany na siebie. Przybył do mauzoleum o dziewiątej dwadzieścia i wmieszał się w grupkę turystów. Po kilku minutach zjawił się Mel, co natychmiast wydało się Clayowi dziwne. Po co miałby przychodzić pół godziny wcześniej? Czy właśnie urządzano zasadzkę? Czy agenci Spooner i Lohse są w pobliżu z mikrofonami, kamerami i bronią? Jedno spojrzenie na twarz Mela i Carter wiedział, że lekarz ma złe wieści.

Uścisnęli sobie ręce, próbowali być serdeczni. Clay podejrzewał, że FBI nagrywa każde ich słowo. Był początek września, powietrze chłodne, lecz nie zimne, jednak Mel był okutany tak, jakby zapowiedziano opady śniegu. Pod tym strojem mogły się kryć kamery.

– Przejdźmy się – zaproponował Clay, wskazując obelisk Waszyngtona.

– Dobra – odparł Mel, wzruszając ramionami. Było mu to obojętne. Najwyraźniej w pobliżu posągu Lincolna nie zaplanowano żadnej pułapki.

– Śledzili cię? – zapytał Clay.

– Nie sądzę. Poleciałem z Baltimore do Pittsburgha, z Pittsburgha na lotnisko Reagana, a tam złapałem taksówkę. Nie sądzę, bym miał jakiś ogon.

– Chodzi o Spoonera i Lohse'a?

– Tak, znasz ich?

– Odwiedzili mnie parę razy. – Szli wzdłuż Reflecting Pool chodnikiem po południowej stronie stawu. Clay nie zamierzał mówić nic, czego nie chciałby usłyszeć ponownie. – Wiem, jak działają federalni. Lubią przyciskać świadków do muru. Lubią zakładać im podsłuch i zbierać dowody za pomocą różnych gadżetów i nowoczesnych zabawek. Czy prosili cię, byś założył podsłuch?

– Tak.

– I?

– Powiedziałem im, że to wykluczone.

– Dziękuję.

– Mam dobrego prawnika. Spędziłem z nim trochę czasu, wszystko mu powiedziałem. Nie zrobiłem nic złego, ponieważ nie handlowałem akcjami. Rozumiem, że ty handlowałeś, i jestem pewny, że teraz załatwiłbyś to inaczej. Może i miałem poufne informacje, ale ich nie wykorzystałem. Jestem czysty. Ale kłopot pojawi się, gdy zostanę wezwany do sądu.

Sprawa nie trafiła jeszcze przed ławę przysięgłych. Mel rzeczywiście konsultował się z dobrym prawnikiem. Po raz pierwszy od czterech godzin Clay odetchnął nieco swobodniej.

– Mów dalej – poprosił ostrożnie. Ręce wetknął głęboko do kieszeni dżinsów. Spod szkieł okularów przeciwsłonecznych obserwował otaczających ich ludzi. Gdyby Mel powiedział wszystko agentom, po cóż byłyby im podsłuchy i mikrofony?

– Ważne jest to, jak oni mnie znaleźli. Nikomu nie mówiłem, że analizowałem ten materiał. Komu powiedziałeś?

– Absolutnie nikomu.

– Trudno w to uwierzyć.

– Przysięgam. Po co miałbym komuś mówić?

Przystanęli na chwilę, żeby przepuścić samochody na Siedemnastej Ulicy. Gdy znowu ruszyli, zboczyli w prawo, oddalając się od tłumu.

– Jeżeli okłamię przysięgłych w sprawie badań, trudno im będzie cię oskarżyć – bąknął pod nosem Mel. – Ale jeżeli przyłapią mnie na kłamstwie, trafię za kratki. Kto jeszcze wie, że analizowałem te badania?

Po tych słowach Clay zdał sobie sprawę, że nie ma kabli, nie ma mikrofonów, nikt ich nie słucha. Mel nie próbuje zdobyć dowodów – po prostu chce gwarancji.

– Twoje nazwisko nigdzie nie figuruje, Mel – zapewnił go Carter. – Przesłałem ci ten materiał. Niczego nie kopiowałeś, prawda?

– Niczego.

– Odesłałeś go do mnie, a ja go jeszcze raz przeanalizowałem. Nigdzie nie było śladu twojej aktywności. Rozmawialiśmy przez telefon ze trzy razy. Wszystkie twoje przemyślenia i opinie o tych badaniach wyraziłeś słownie.

– A pozostali prawnicy prowadzący tę sprawę?

– Kilku z nich widziało wyniki tych badań. Wiedzą, że miałem je przed wniesieniem pozwu. Wiedzą, że analizował je dla mnie jakiś lekarz, ale nie mają pojęcia kto to taki.

– Czy FBI może ich zmusić do zeznań, że miałeś je przed złożeniem pozwu?

– W żadnym razie. Mogą próbować, ale ci ludzie są prawnikami, znanymi prawnikami. Niełatwo ich przestraszyć.

Nie zrobili nic złego… nie handlowali akcjami… i niczego federalnym nie ujawnią. Z ich strony nic mi nie grozi.

– Jesteś pewny? – zapytał Mel, sam pełen wątpliwości.

– Tak.

– Więc co mam zrobić?

– Słuchaj swojego adwokata. Jest spora szansa, że sprawa nie trafi do sądu. – Clay wiedział, że to pobożne, niepodparte faktami życzenia. – Jeżeli się nie ugniesz, problem przypuszczalnie sam się rozwiąże.

Przeszli bez słowa sto metrów. Obelisk Waszyngtona był coraz bliżej.

– Jeżeli dostanę wezwanie do sądu – rzekł powoli Mel – powinniśmy znowu porozmawiać.

– Oczywiście.

– Nie mam zamiaru iść przez to do więzienia.

– Ja też nie.

Zatrzymali się w tłumie na chodniku koło pomnika.

– Znikam. Żegnaj. Brak wiadomości ode mnie to dobra wiadomość. – To powiedziawszy, Mel przecisnął się przez grupę licealistów i zniknął.

* * *

Dzień przed procesem w sądzie okręgowym we Flagstaff panował względny spokój. Sprawy biegły utartym torem, nic nie wskazywało, że niebawem będzie się tam toczył zaciekły, historyczny i brzemienny w skutki konflikt. Był drugi tydzień września, temperatura zbliżała się już do czterdziestu jeden stopni. Clay i Oscar przeszli się po centrum, po czym szybko wkroczyli do budynku sądu w poszukiwaniu klimatyzacji.

Jednak na sali rozpraw rozpatrywano wnioski przedprocesowe i sytuacja była napięta. Ława przysięgłych świeciła pustkami, proces wyboru przysięgłych miał się rozpo-

cząć nazajutrz, punktualnie o dziewiątej. Dale Mooneyham i jego zespół zajął jedną stronę areny. Horda prawników Goffmana, której przewodził ekstrawagancki adwokat z Los Angeles, Roger Redding, zajmowała drugą. Roger Rakieta, ponieważ uderzał szybko i mocno. Roger Krętacz, ponieważ jeździł po całym kraju, walcząc z największymi adwokatami, jakich zdołał znaleźć, i sprytnie wykręcał się od surowych wyroków dla swoich klientów.

Clay i Oscar zajęli miejsca wraz z pozostałymi widzami, których liczba jak na spory proceduralne była inspirująca. Wall Street miała uważnie obserwować ten proces. Byłby on stałym tematem artykułów w prasie finansowej. I oczywiście budził spore zainteresowanie prawniczych sępów, takich jak Carter. W pierwszych dwóch rzędach siedziało około dziesięciu korporacyjnych klonów, zapewne bardzo zdenerwowanych ludzi od Goffmana.

Mooneyham człapał po sali rozpraw niczym barowy łobuz, wrzeszcząc najpierw na sędziego, a potem na Rogera. Głos miał mocny i głęboki, a jego słowa zawsze były kontrowersyjne. Był starym wojownikiem powłóczącym, jak się chwilami wydawało, nogą. Od czasu do czasu sięgał po laskę, by się na niej wesprzeć, w innym momencie można było odnieść wrażenie, że o niej zapominał.

Roger – w idealnie dopasowanym garniturze, z grzywą przyprószonych siwizną włosów, mocno zarysowanym podbródkiem i doskonałym profilem – demonstrował prawdziwie hollywoodzki spokój. Prawdopodobnie kiedyś chciał zostać aktorem. Wysławiał się potoczyście, pięknymi zdaniami, które wylewały się z jego ust nieprzerwanym strumieniem. Żadnych zająknień i „cóż…”. Żadnych falstartów. Gdy zaczynał uzasadniać jakąś tezę, używał wspaniałego, dla wszystkich zrozumiałego słownictwa, posiadał też zdolność podtrzymywania trzech lub czterech argumentów równocześnie, zanim wiązał je wspaniale w jedną doskonale logiczną tezę. Nie bał się Dale’a Mooneyhama, nie bał się sędziego, nie bał się faktów dotyczących rozpatrywanej sprawy.

Gdy Redding uzasadniał nawet najdrobniejsze kwestie, Clay uświadamiał sobie, że jest nim zafascynowany. Uderzyła go przerażająca myśl: gdyby został zmuszony do procesu w Waszyngtonie, firma Goffman bez wahania posłałaby do boju Rogera Rakietę.

Gdy dwaj doskonali prawnicy zabawiali widzów swoim występem, Clay został rozpoznany. Jeden z prawników siedzących przy stole za Reddingiem rozejrzał się po sali i wydało mu się, że zobaczył znajomą twarz. Trącił drugiego i obaj dokonali identyfikacji. Nagryzmolili coś na kartkach i wręczyli je ludziom w garniturach siedzącym w pierwszych rzędach.

Sędzia ogłosił piętnastominutową przerwę, żeby móc pójść do ubikacji. Clay opuścił salę i poszedł szukać czegoś do picia. Ruszyło za nim dwóch mężczyzn, którzy osaczyli go na końcu korytarza.

– Panie Carter – rzekł pierwszy uprzejmie – nazywam się Bob Mitchell, jestem wice-

prezesem i doradcą prawnym firmy Goffman. – Wyciągnął rękę i mocno uścisnął dłoń Claya.

– Miło mi – mruknął Clay.

– A to jest Sterling Gibb, jeden z naszych nowojorskich adwokatów. – Jemu też Clay musiał uścisnąć rękę.

– Chciałem się tylko przywitać – wyjaśnił Mitchell. – Nie zdziwiłem się, widząc pana tutaj.

– Trochę interesuję się tym procesem – odparł Clay.

– To niedomówienie. Ilu ma pan teraz klientów?

– Och, sam nie wiem. Całkiem sporo. – Milczący Gibb poprzestał na spojrzeniu i znaczącym uśmiechu.

– Codziennie oglądamy pańską stronę internetową – ciągnął Mitchell. – W sumie jest ich dwadzieścia sześć tysięcy. – Gibb znowu się uśmiechnął, było oczywiste, że nie cierpi gry w zbiorowe roszczenia odszkodowawcze.

– Coś w tych granicach – potwierdził Clay.

– Wygląda na to, że wstrzymaliście ogłoszenia. Pewnie macie już wystarczająco dużo klientów.

– Och, tych nigdy nie jest wystarczająco dużo, panie prezesie.

– Co zamierzacie z nimi zrobić, jeżeli wygramy ten proces? – przemówił w końcu Gibb.

– A co macie zamiar zrobić w razie przegranej? – wypalił w odpowiedzi Clay.

Mitchell zrobił krok do przodu.

– Jeżeli tu wygramy, panie Carter, będzie panu piekielnie trudno znaleźć jakiegoś biednego prawnika, który zechce reprezentować dwadzieścia sześć tysięcy pańskich klientów. Nie będą wtedy wiele warci.

– A jeśli przegracie?

Teraz Gibb przybliżył się o krok.

– Jeżeli tu przegramy, pojedziemy prosto do Waszyngtonu, żeby bronić się przed pańskim szemranym pozwem zbiorowym.

O ile wcześniej nie wyląduje pan w więzieniu.

– Będę przygotowany – odparł tę napaść Clay.

– A trafi pan do sądu? – zapytał Gibb.

– Grałem już w golfa z sędzią. I spotykam się z panią reporter sądową. – Kłamał jak z nut! Ale te kłamstwa na chwilę zbiły ich z tropu.

Mitchell połapał się w sytuacji, znowu wyciągnął rękę i rzekł:

– Cóż, chciałem się tylko przywitać.

Clay uścisnął mu dłoń i odparł:

– Jakże miło mieć wieści od firmy Goffman. Ledwo zwróciliście uwagę na mój pozew. – Gibb odwrócił się i odszedł.

– Skończmy tę sprawę – powiedział Mitchell. – Wtedy porozmawiamy.

Clay miał właśnie wrócić na salę rozpraw, gdy drogę zastąpił mu bezczelny reporter, Derek jakiśtam z „Financial Weekly”. Chciał zamienić parę słów. Jego gazeta była prawicową tubą wielkich korporacji, nie znosiła adwokatów i uderzała w system egzekwowania odpowiedzialności deliktowej. Clay wiedział, że nie należy z nim rozmawiać. Jego nazwisko brzmiało znajomo. Czy to on napisał tyle nieprzyjemnych rzeczy na jego temat?

– Mogę zapytać, co pan tu robi?

– To samo co pan – odparł Clay.

– Czyli?

– Oglądam rozgrywki eliminacyjne.

– To prawda, że w sprawie maxatilu ma pan dwadzieścia pięć tysięcy klientów?

– Nie.

– A ilu?

– Dwadzieścia sześć.

– Ile warte są ich roszczenia?

– Od zera do paru miliardów.

Sędzia, o czym Clay nie wiedział, zakazał prawnikom obu stron dyskutować na temat sprawy do czasu zakończenia procesu. Ponieważ Carter był skłonny o niej rozmawiać, zwabił grupę reporterów. Zdziwił się na widok gęstniejącego wokół siebie tłumu. Odpowiedział na kilka następnych pytań, w sumie niewiele mówiąc.

* * *

„Arizona Ledger” przytoczyła stwierdzenie Cartera, że roszczenia jego klientów mogą być warte dwa miliardy dolarów. Zamieściła zdjęcie Claya przed salą rozpraw, z mikrofonami przy twarzy i podpisem *Król odszkodowań w naszym mieście.* Potem następna krótka relacja z jego wizyty, uzupełniona kilkoma akapitami tekstu o wielkim procesie. Reporter nie nazwał Claya wprost chciwym oportunistą, ale dał do zrozumienia, że to wygłodniały sęp krążący w oczekiwaniu na atak na ścierwo Goffmana.

Sala rozpraw była pełna potencjalnych przysięgłych i widzów. Dziewiąta wybiła i minęła, a adwokatów i sędziego wciąż nie było. Siedzieli w jego gabinecie i zapewne wciąż spierali się w kwestiach przedprocesowych. Pomocnicy szeryfa i sekretarze zajmowali się czymś przy ławie sędziowskiej. W głębi sali ukazał się jakiś młody mężczyzna w garniturze, przeszedł przez barierkę i ruszył środkowym przejściem. Zatrzymał się nagle, spojrzał na Claya, po czym pochylił się i zapytał szeptem:

– Mecenas Carter?

Clay skinął głową zaskoczony.

– Sędzia chciałby się z panem zobaczyć.

Na środku sędziowskiego biurka leżała gazeta. Dale Mooneyham stał w kącie dużego gabinetu. Roger Redding opierał się o stół przy oknie. Sędzia kołysał się w obrotowym fotelu. Żaden z nich nie miał zadowolonej miny. Dokonano bardzo krępującej prezentacji. Mooneyham nie chciał wystąpić naprzód i uścisnąć Clayowi ręki; wolał nieznacznie skinąć mu głową i posłać pełne nienawiści spojrzenie.

– Jest pan świadomy wydanego przeze mnie zakazu dyskutowania o tej sprawie, mecenasie Carter? – zapytał sędzia.

– Nie.

– Cóż, nadal obowiązuje.

– Nie jestem adwokatem w tej sprawie – zauważył Clay.

– W Arizonie bardzo się staramy prowadzić procesy uczciwie, mecenasie Carter. Obu stronom zależy na jak największym niedoinformowaniu i bezstronności przysięgłych. Teraz, przez pana, potencjalni przysięgli wiedzą, że jest co najmniej dwadzieścia sześć tysięcy podobnych spraw.

Clay nie zamierzał okazywać słabości ani przepraszać – nie na oczach Rogera Reddinga obserwującego każdy jego ruch.

– To chyba było nieuniknione – odparł. Wiedział, że ten sędzia nigdy nie będzie rozpatrywał prowadzonej przez niego sprawy. Nie było sensu dać się zastraszyć.

– Może po prostu opuści pan ten stan?! – zagrzmiał Mooneyham z kąta gabinetu.

– Naprawdę nie muszę tego robić – odpalił Clay.

– Chce pan, żebym przegrał?

Clay dość się już nasłuchał. Nie bardzo rozumiał, jak jego obecność może zaszkodzić sprawie Mooneyhama, ale po co miał ryzykować?

– Bardzo dobrze, Wysoki Sądzie, chyba się już pożegnam.

– Doskonały pomysł – odparł sędzia.

Clay spojrzał na Rogera Reddinga i rzucił:

– Do zobaczenia w Waszyngtonie.

Roger uśmiechnął się uprzejmie, ale powoli pokręcił głową. Oscar zgodził się zostać w Falstaff i śledzić przebieg procesu. Clay wsiadł na pokład gulfstreama, by – wygnany z Arizony – odbyć bardzo ponurą podróż do domu.

Rozdział 37

W Reedsburgu wiadomość, że cementownia zwalnia tysiąc dwustu pracowników, sprawiła, że miasto stanęło. Zawiadomienie o zwolnieniach przyszło w liście napisanym przez Marcusa Hannę i przekazanym wszystkim zatrudnionym.

W ciągu pięćdziesięciu lat firma przeżyła tylko cztery redukcje. Przetrwała okresy spadku koniunktury i zawsze starała się utrzymać pełne zatrudnienie. Teraz, gdy była w upadłości, zasady się zmieniły. Właściciele przedsiębiorstwa musieli dowieść sądowi i swoim wierzycielom, że ma ono realną finansową przyszłość.

Doprowadziły do tego zdarzenia pozostające poza kontrolą zarządu. Stagnacja na rynku stanowiła okoliczność sprzyjającą, ale nie była niczym, czego firma nie doświadczyła wielokrotnie w przeszłości. Druzgocącym ciosem okazała się niemożność osiągnięcia ugody w sprawie pozwu zbiorowego. Firma negocjowała jej warunki w dobrej wierze, lecz nadgorliwy i zachłanny szef kancelarii prawniczej z Waszyngtonu miał wygórowane żądania.

Stawką było przetrwanie i Marcus zapewnił swoich pracowników, że firma nie pójdzie na dno. Niezbędne będą drastyczne cięcia kosztów. Bolesna redukcja wydatków na następny rok zagwarantuje przyszłą rentowność.

Tysiącu dwustu osobom otrzymującym wypowiedzenia Marcus obiecał wszelką możliwą pomoc ze strony firmy. Zasiłków dla bezrobotnych powinno wystarczyć na rok. Oczywiście cementownia miała jak najszybciej zatrudnić ich znowu, ale nie złożono żadnych obietnic. Zwolnienia mogły stać się nieodwracalne.

W barach i salonach fryzjerskich, w korytarzach szkół i ławkach kościołów, na odkrytych trybunach podczas meczów piłki nożnej i futbolowej ligi maluchów, na chodnikach wokół rynku, w barach piwnych i salonach bilardowych mieszkańcy miasta mówili wyłącznie o tym. Każdy z jedenastu tysięcy reedsburczyków znał kogoś, kto właśnie stracił pracę w cementowni. Zwolnienia były największą katastrofą w spokojnych dziejach Reedsburga. Chociaż miasto było ukryte w pasmach Allegheny, wieść szybko się rozniosła.

Reporter „Baltimore Press”, który wcześniej napisał trzy artykuły o pozwie zbiorowym wniesionym w okręgu Howard, obserwował sytuację. Śledził losy wniosku o wszczęcie postępowania upadłościowego. Wciąż rozmawiał z właścicielami rozpadających się domów. Wieść o zwolnieniach skłoniła go do przyjazdu do Reedsburga, gdzie chodził do barów, sal bilardowych i na mecze piłkarskie.

Pierwszy z jego artykułów miał objętość krótkiej powieści. Autor zdecydowany na

celowe oszczerstwo nie mógłby być bardziej okrutny. Niedoli Reedsburga z łatwością można by uniknąć, gdyby autor pozwu zbiorowego mecenas J. Clay Carter II z Waszyngtonu tak natarczywie nie zabiegał o wysokie honorarium.

Ponieważ Clay nie czytał „Baltimore Press", a nawet wzbraniał się przed lekturą większości gazet i czasopism, mógłby unikać wieści z Reedsburga, przynajmniej przez pewien czas. Ale nadal nieznany redaktor lub redaktorzy nieautoryzowanego i niepożądanego biuletynu przesłali mu artykuł faksem. Najnowszy egzemplarz *Króla Szortów*, najwyraźniej sklecony naprędce, zawierał przedruk artykułu z „Press".

Clay przeczytał go i miał ochotę pozwać gazetę do sądu.

Wkrótce jednak miał zapomnieć o „Baltimore Press", ponieważ zanosiło się na jeszcze gorszy koszmar. Tydzień wcześniej zadzwonił jakiś reporter z „Newsweeka" i jak zwykle został odprawiony z kwitkiem przez pannę Glick. Wszyscy prawnicy marzą, by pisano o nich w prasie ogólnokrajowej, ale tylko wtedy, gdy chodzi o znaną sprawę lub zasądzenie miliardowego odszkodowania. Clay podejrzewał, że tym razem chodziło o coś innego, i miał rację. „Newsweek" w rzeczywistości interesował się nie Clayem Carterem, lecz jego nemezis.

Artykuł był laurką dla Helen Warshaw, dwie strony chwały, dla której każdy prawnik dałby się pokroić. Imponujące zdjęcie przedstawiało panią mecenas w sali rozpraw – stojąc z nieustępliwą miną przed pustą ławą przysięgłych, wyglądała olśniewająco, a zarazem bardzo realistycznie. Clay nigdy wcześniej jej nie widział i miał nadzieję, że będzie przypominała „bezlitosną sukę", jak nazwał ją Saulsberry. Nie przypominała.

Była bardzo atrakcyjna – krótkie ciemne włosy i smutne piwne oczy, które pewnie przykuwały uwagę wszystkich przysięgłych. Clay gapił się na nią i żałował, że nie prowadzi jej sprawy. Przy odrobinie szczęścia nigdy się nie spotkają. A jeśli tak, to nie na sali rozpraw.

Mecenas Warshaw była jednym z trojga wspólników w nowojorskiej kancelarii specjalizującej się w adwokackich błędach w sztuce, rynku niszowym, lecz coraz większym. Teraz ścigała paru z najważniejszych i najbogatszych prawników w kraju i nie miała zamiaru zawierać ugody. *Nigdy nie widziałam sprawy tak atrakcyjnej dla przysięgłych*, powiedziała, a Clay miał ochotę podciąć sobie żyły.

Reprezentowała pięćdziesięciu klientów poszkodowanych w sprawie dyloftu, wszyscy umierali. Artykuł przedstawiał krótkie i paskudne dzieje sporu prawnego zapoczątkowanego pozwem zbiorowym.

Spośród tej pięćdziesiątki reporter z jakiegoś powodu wybrał Teda Worleya z Upper Marlboro w stanie Maryland i zamieścił zdjęcie tego biedaka. Worley siedział w ogródku za domem w towarzystwie stojącej z tyłu żony, oboje ze skrzyżowanymi rękami i wykrzywionymi, smutnymi twarzami. Pan Worley – osłabiony, trzęsący się i gniewny – opisał swój pierwszy kontakt z Clayem Carterem, telefon znikąd, który zadzwonił, gdy próbował obejrzeć mecz Orioles, przerażającą wiadomość o dylofcie, badanie mo-

czu, wizytę młodego prawnika, wniesienie pozwu. Wszystko. *Nie chciałem zawierać ugody*, powiedział niejeden raz.

„Newsweekowi” pan Worley przedstawił wszystkie dokumenty – historię choroby, akta sądowe, podstępną umowę z Carterem, która dawała prawnikowi prawo zawarcia ugody na dowolną sumę powyżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Wszystko, w tym kopie dwóch listów, które pan Worley napisał do mecenasa Cartera w proteście przeciwko „zdradzie”. Prawnik nie odpowiedział na te listy.

Według lekarzy Ted Worley miał przed sobą niecałe pół roku życia. Czytając powoli każde straszne słowo artykułu, Clay czuł się tak, jakby był odpowiedzialny za ten nowotwór.

Helen wyjaśniła, że przysięgli dowiedzą się o wielu jej klientach z filmu wideo, ponieważ chorzy nie dotrwają do procesu. Clay pomyślał, że to dość okrutne słowa, ale z drugiej strony wszystko w tej historii było potworne.

Mecenas Carter odmówił komentarza. Na dodatek dołożyli zdjęcie Claya i Ridley sprzed Białego Domu i nie mogli oprzeć się chęci zaserwowania czytelnikom smakowitego kąska w postaci informacji, że Carter ofiarował Konwentowi Prezydenckiemu ćwierć miliona dolarów.

Tacy przyjaciele jak prezydent będą mu potrzebni, powiedziała Warshaw i Clay poczuł niemal kulę między oczami. Cisnął czasopismem na drugi koniec gabinetu. Żałował, że w ogóle był w Białym Domu, że poznał prezydenta, że wypisał ten cholerny czek, że poznał Teda Worleya i Maxa Pace’a, że wpadł na pomysł studiowania na wydziale prawa.

Zadzwonił do swoich pilotów i kazał im pędzić na lotnisko.

– A dokąd się pan wybiera?

– Nie wiem. A dokąd chcecie lecieć?

– Słucham?

– Do Biloxi w stanie Missisipi.

– Jedna osoba czy dwie?

– Tylko ja. – Nie widział się z Ridley od dwudziestu czterech godzin i nie miał ochoty zabierać jej ze sobą. Musiał spędzić trochę czasu z dala od miasta i wszystkiego, co mu o nim przypominało.

Jednak dwa dni na pokładzie jachtu Frencha niewiele pomogły. Clay potrzebował towarzystwa innego spiskowca, lecz Patton był zbyt pochłonięty pozwami zbiorowymi. Za dużo zjedli i za dużo wypili.

French miał na sali rozpraw w Phoenix dwóch współpracowników i ci co godzinę przysyłali mu e-maile. Nadal nie brał pod uwagę maxatilu jako ewentualnego celu, ale wciąż obserwował każde posunięcie. Powiedział, że to jego obowiązek, ponieważ jest największym z nich wszystkich specem od roszczeń zbiorowych. Miał doświadczenie, pieniądze i sławę. Wszystkie roszczenia powinny prędzej czy później trafić na jego

biurko.

Clay przeczytał e-maile i odbył rozmowę z Mulrooneyem. Wybieranie przysięgłych trwało cały dzień. Dale Mooneyham prezentował teraz argumenty powoda przeciwko lekowi. Raport rządowy stanowił potężny dowód. Przysięgli byli nim bardzo zainteresowani.

– Na razie dobrze – ocenił Oscar. – Mooneyham to niezły aktor, ale Roger bieglej opanował procedury procesowe.

Podczas gdy French z potwornym kacem prowadził trzy rozmowy telefoniczne równocześnie, Clay opalał się na górnym pokładzie i próbował zapomnieć o swoich kłopotach. Późnym popołudniem drugiego dnia, po paru wódkach na pokładzie French zapytał:

– Ile gotówki ci zostało?

– Nie wiem. Boję się liczyć.

– Spróbuj oszacować.

– Może ze dwadzieścia milionów.

– A ile ubezpieczenia?

– Dziesięć milionów. Anulowali mi polisę, ale nadal ponoszą ryzyko w sprawie dyloftu.

French wyssał plasterek cytryny i rzekł:

– Nie jestem pewny, czy trzydzieści milionów ci wystarczy.

– Raczej nie, prawda?

– Na to wygląda. Masz teraz dwadzieścia jeden roszczeń, a ich liczba może tylko rosnąć. Będziemy mieli szczęście, jeżeli uda się zawrzeć ugodę w sprawie tych cholernych pozwów na poziomie trzech milionów za każdy.

– Ile ty masz?

– Dziewiętnaście do wczoraj.

– A ile masz gotówki?

– Dwieście milionów. Dam sobie radę.

Może w takim razie po prostu pożyczysz mi, powiedzmy, pięćdziesiąt milionów? Clay zdołał poczuć rozbawienie na myśl o tym, jak żonglują liczbami. Steward przyniósł kolejną porcję alkoholu, tego im było trzeba.

– A pozostali? – zapytał.

– Wes ma się świetnie. Carlos może przetrwać, jeżeli liczba pozwów przeciwko niemu nie przekroczy trzydziestu. Dwie ostatnie żony Didiera ogołociły go ze wszystkiego. Jest skończony. Pierwszy pójdzie z torbami, co mu się już zdarzało.

Pierwszy? A kto może być tym drugim?

Po długim milczeniu Clay zapytał:

– Co się stanie, jeżeli Goffman wygra we Flagstaff? Mam na głowie tych wszystkich klientów.

– Odchorujesz to, to pewne jak diabli. Dziesięć lat temu przydarzyło mi się to z roszczeniami w sprawie chorych niemowląt. Zdobyłem klientów, podpisałem z nimi umowy, pospieszyłem się z pozwem, po czym wszystko się posypało i odzyskanie czegokolwiek było niemożliwe. Moi klienci spodziewali się milionowych odszkodowań, ponieważ urodziły się im zdeformowane dzieci, podchodzili więc do tego piekielnie emocjonalnie i nie dało się z nimi dogadać. Mnóstwo z nich podało mnie do sądu, ale nie zapłaciłem. Adwokat nie może zagwarantować pozytywnego wyniku. Kosztowało mnie to jednak kupę szmalu.

– Nie to chciałem usłyszeć.

– Ile milionów wydałeś na sprawę maxatilu?

– Osiem na same ogłoszenia.

– Przetrzymałbym ich po prostu przez jakiś czas, zobaczył, co zrobi Goffman. Wątpię, by cokolwiek zaproponowali. To banda twardzieli. Z czasem twoi klienci się zbuntują i wtedy możesz im powiedzieć, żeby spadali na drzewo. – Spory łyk wódki. – Ale bądź dobrej myśli. Mooneyham od wieków nie przegrał żadnej sprawy. Zasądzą wysokie odszkodowanie i cały świat się zmieni. Znowu odkryłeś żyłę złota.

– Ludzie z Goffmana powiedzieli mi, że potem jadą prosto do Waszyngtonu.

– Mogli blefować, to zależy od tego, co się wydarzy we Flagstaff. Jeżeli przegrają z kretesem, wtedy muszą pomyśleć o zawarciu ugody. Niejednoznaczny werdykt: odpowiedzialność, lecz małe odszkodowania, może ich skłonić do jeszcze jednej próby. Jeżeli wybiorą twój pozew, możesz ściągnąć jakiegoś speca od procesów i skopać im tyłki.

– Nie radziłbyś mi poprowadzić tej sprawy osobiście?

– Nie. Nie masz doświadczenia. Zanim będziesz gotowy do gry w ekstraklasie, musisz spędzić lata na sali rozpraw. Wiele lat.

Chociaż Clay palił się do dużych procesów, było dla niego oczywiste, że Patton nie ma przekonania do przedstawionego właśnie scenariusza. Nie zgłaszał się do roli speca od procesów w waszyngtońskiej sprawie. Po prostu zachowywał pozory, usiłując podnieść młodszego kolegę na duchu.

Nazajutrz rano Clay opuścił pokład jachtu i poleciał do Pittsburgha – mógł być wszędzie, byle nie w Waszyngtonie. Po drodze rozmawiał z Oscarem. Przeczytał też e-maile oraz doniesienia z procesu we Flagstaff. Powódka, sześćdziesięcioletnia kobieta chorująca na raka piersi, zeznawała i znakomicie przedstawiła swój przypadek. Była bardzo sympatyczna, a Mooneyham grał na niej jak na skrzypcach. Załatw ich, staruszku, mamrotał pod nosem Clay.

Wynajął samochód i przez dwie godziny jechał na północny wschód, w głąb gór Allegheny. Znalezienie Reedsburga na mapie było prawie tak samo trudne jak znalezienie go na szosie. Gdy wspiął się na szczyt wzgórza na obrzeżach miasteczka, ujrzał w oddali olbrzymią cementownię. WITAJCIE W REEDSBURGU W STANIE PENSYLWA-

NIA – głosił duży napis. W SIEDZIBIE HANNA PORTLAND CEMENT COMPANY ZAŁOŻONEJ W 1946 ROKU. Dwa duże kominy emitowały kredowy pył, który unosił się powoli z wiatrem. Przynajmniej nadal działa, pomyślał Clay.

Podążył drogą do centrum i znalazł miejsce parkingowe przy Main Street. W dżinsach i bejsbolówce, z ciemnym trzydniowym zarostem nie bał się, że zostanie rozpoznany. Wszedł do Ethel's Coffee Shop i usiadł na chwiejnym stołku przy kontuarze. Ethel powitała go osobiście i przyjęła zamówienie na kawę i kanapkę z serem z grilla.

Przy stoliku za nim dwóch weteranów rozmawiało o futbolu.

Reedsburg High Cougars przegrali trzy mecze z rzędu i obaj doszli do wniosku, że potrafiliby prowadzić drużynę lepiej niż pierwszy trener. Zgodnie z terminarzem wiszącym na ścianie koło kasy tego wieczoru Cougars grali u siebie.

Kiedy Ethel przyniosła kawę, zapytała:

– Pan przejazdem?

– Tak – odparł Clay, uświadomiwszy sobie, że właścicielka baru pewnie zna wszystkich w tym mieście.

– Skąd pan pochodzi?

– Z Pittsburgha.

Clay nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, ale Ethel odeszła, nie zadając więcej pytań. Przy drugim stoliku dwaj młodzi mężczyźni rozmawiali o pracy. Szybko stało się jasne, że obaj są bezrobotni. Jeden miał na głowie dżinsową czapkę z logo cementowni. Gdy Carter jadł grillowany ser, słuchał, jak martwią się o zasiłki dla bezrobotnych, spłatę kredytów hipotecznych, wyciągi z rachunków kart kredytowych, pracę w niepełnym wymiarze czasu. Jeden zamierzał oddać swojego pick-upa do miejscowego dealera Forda, który obiecał, że znajdzie na niego kupca.

Przy ścianie blisko drzwi stał rozkładany stół, a na nim plastikowa butelka po wodzie. Ręcznie zrobiony plakat zachęcał wszystkich do wpłat na „Fundusz Hanna". Butelka była do połowy wypełniona monetami i banknotami.

– Na co ta zrzutka? – zapytał Clay, gdy Ethel dolewała mu kawy.

– To akcja zbierania pieniędzy dla rodzin pracowników zwolnionych z zakładu.

– Jakiego zakładu? – Clay udawał niezorientowanego.

– Cementowni Hanna, największego pracodawcy w mieście. W zeszłym tygodniu zwolnili tysiąc dwieście osób. Wspieramy się tutaj nawzajem. Kwestujemy w całym mieście… w sklepach, barach, kościołach, nawet w szkołach. Do tej pory zebraliśmy ponad sześć tysięcy. Pieniądze pójdą na opłacenie drobnych rachunków za światło i zakupy spożywcze, gdy sytuacja zrobi się trudna. Jeśli nie, dostanie je szpital.

– Interesy zaczęły źle iść? – zapytał Clay, żując kanapkę. Włożenie jej do ust nie nastręczało trudności, trudniejsze stawało się przełykanie.

– Nie, zakład zawsze był dobrze prowadzony. Bracia Hanna znają się na tym, co robią. Dostali ten obłędny pozew z okolic Baltimore. Prawnicy zrobili się chciwi, chcieli

za dużo forsy i zmusili cementownię do ogłoszenia bankructwa.

– Cholerna szkoda – rzekł jeden z weteranów. W rozmowach w barze brali udział wszyscy obecni. – Nie musiało do tego dojść. Bracia Hanna próbowali zawrzeć ugodę w tej przeklętej sprawie, działali w dobrej wierze, ale te gnidy z Waszyngtonu trzymały ich na celowniku. Powiedzieli: „Gońcie się" i wstali od stołu.

Niezłe podsumowanie wydarzeń, pomyślał Clay.

– Pracowałem tam czterdzieści lat, zawsze płacili w terminie. Cholerna szkoda.

Ponieważ oczekiwano, że Clay podtrzyma rozmowę, rzekł:

– Zwolnienia nie zdarzają się często, prawda?

– Bracia Hanna nie są zwolennikami zwalniania ludzi.

– Zatrudnią ich znowu?

– Będą się starali. Ale teraz firmą zawiaduje sąd upadłościowy.

Clay skinął głową i szybko wrócił dojedzenia kanapki. Dwaj młodzi mężczyźni wstali i ruszyli do kasy. Ethel przegoniła ich, mówiąc:

– Nic nie płacicie. Na koszt firmy.

Skinęli grzecznie głowami i wychodząc, obaj dorzucili parę monet do funduszu. Kilka minut później Clay pożegnał się z weteranami, uregulował rachunek, podziękował Ethel i wrzucił do butelki po wodzie studolarowy banknot.

Po zmroku siedział sam na trybunie dla gości i oglądał, jak Reedsburg Cougars toczą bój z Enid Elk. Trybuny dla miejscowych były wypełnione niemal do ostatniego miejsca. Kapela grała głośno, tłum krzyczał, spragniony zwycięstwa. Mecz nie przykuł jednak jego uwagi. Spojrzał na skład drużyny i zastanawiał się, ilu figurujących w nim graczy wywodzi się z rodzin dotkniętych zwolnieniami. Popatrzył przez boisko na rzędy reedsburskich kibiców i zadał sobie pytanie, kto z nich ma pracę, a kto nie.

Przed rozpoczęciem gry i tuż po hymnie narodowym miejscowy pastor odmówił modlitwę za bezpieczeństwo graczy i odbudowę potencjału gospodarczego lokalnej społeczności. Zakończył ją słowami:

– Pomóż nam przetrwać te ciężkie czasy, Boże. Amen.

Jeżeli Clay Carter czuł się kiedyś gorzej, to nie pamiętał kiedy.

Rozdział 38

Ridley zadzwoniła w sobotę wczesnym wieczorem bardzo zdenerwowana. Od czterech dni nie mogła go namierzyć! Nikt w biurze nie wiedział, gdzie się podziewa, a jeśli wiedzieli, nie chcieli jej powiedzieć. Z drugiej strony on nie próbował do niej zadzwonić. A przecież oboje mieli po parę telefonów. Czy tak należy pogłębiać związek? Po kilku minutach jej utyskiwań Clay usłyszał jakieś buczenie w słuchawce i zapytał:

– Gdzie jesteś?

– Na St. Barth. W naszej willi.

– Jak się tam dostałaś? – Clay korzystał oczywiście z gulfstreama.

– Wyczarterowałam mniejszy odrzutowiec. Właściwie za mały i musieliśmy się zatrzymać w San Juan na tankowanie. Inaczej nie doleciałby tutaj.

Biedactwo. Clay nie był pewny, skąd znała numer serwisu czarterowego.

– Dlaczego tam poleciałaś? – zapytał niedorzecznie.

– Byłam bardzo zestresowana tym, że nie mogłam cię nigdzie znaleźć. Nie rób tego więcej.

Carter próbował powiązać te dwie sprawy – swoje zniknięcie i jej ucieczkę na St. Barth, ale szybko zrezygnował.

– Przepraszam. Wyjeżdżałem w pośpiechu. Patton French potrzebował mnie w Biloxi. Byłem zbyt zajęty, żeby zadzwonić.

Długa pauza, gdy Ridley zastanawiała się, czy powinna mu wybaczyć od razu, czy zaczekać z tym parę dni.

– Obiecaj, że już więcej tego nie zrobisz – poprosiła płaczliwym głosem.

Clay nie był w nastroju do wysłuchiwania marudnych próśb ani do składania obietnic i odetchnął z ulgą na myśl, że Ridley nie ma w kraju.

– To się nie powtórzy. Odpręż się i dobrze się baw.

– Możesz tu przyjechać? – zapytała, lecz zabrzmiało to obojętnie. Niczym zdawkowe życzenie.

– Nie teraz, gdy zbliża się proces we Flagstaff. – Miał poważne wątpliwości, czy Ridley wie cokolwiek o tym procesie.

– A zadzwonisz do mnie jutro?

– Oczywiście.

Jonah wrócił do Waszyngtonu, mając do przekazania relacje ze swoich żeglarskich przygód. Umówili się o dziewiątej w jakimś bistro przy Wisconsin Avenue na późną

i długą kolację. Około ósmej trzydzieści zadźwięczał telefon, ale dzwoniący rozłączył się bez słowa. Potem znowu rozległ się dzwonek i Clay chwycił słuchawkę, zapinając koszulę.

– Czy pan Clay Carter? – zapytał męski głos.

– Tak, kto mówi? – Z uwagi na liczbę niezadowolonych klientów – w sprawie dyloftu, Chudego Bena, a teraz jeszcze wzburzonych właścicieli domów z okręgu Howard – w ciągu ostatnich dwóch miesięcy Clay dwa razy zmienił numer telefonu. Mógł znosić obelgi w biurze, ale w domu chciał mieć spokój.

– Jestem z Reedsburga i mam parę cennych informacji o cementowni Hanna.

Te słowa zmroziły mu krew w żyłach i Clay przysiadł na brzegu łóżka. Nie pozwól mu się rozłączyć, powiedział w duchu, próbując zebrać myśli.

– W porządku, słucham. – Ktoś z Reedsburga zdobył jakoś jego nowy zastrzeżony numer telefonu.

– Nie możemy o tym rozmawiać przez telefon. – Sądząc po głosie, był to biały trzydziestoletni mężczyzna ze średnim wykształceniem.

– Dlaczego?

– To długa historia. Są pewne dokumenty.

– Gdzie pan jest?

– W mieście. Spotkam się z panem w holu hotelu Four Seasons przy M Street. Tam możemy porozmawiać.

Niezły plan. W holu będzie mnóstwo ludzi, na wypadek gdyby ktoś chciał wyciągnąć broń i zacząć rozwalać prawników.

– Kiedy? – zapytał Clay.

– Niedługo. Będę tam za pięć minut. Ile panu to zajmie?

Clay nie miał zamiaru wspominać o tym, że mieszka sześć przecznic dalej, choć jego adres nie był przecież tajemnicą.

– Zjawię się za kwadrans.

– Dobrze. Mam na sobie dżinsy i czarną czapkę z logo Steelersów.

– Znajdę pana. – Clay odłożył słuchawkę. Skończył się ubierać i szybko wyszedł. Idąc Dumbarton Street, próbował sobie wyobrazić, jakich informacji o cementowni Hanna mógłby potrzebować czy wręcz chcieć. Właśnie spędził osiemnaście godzin w Reedsburgu i próbował, daremnie, zapomnieć o tym miejscu. Skręcił na południe w Trzydziestą Pierwszą Ulicę, mamrocząc pod nosem, pogrążony w świecie spisków, łapówek i szpiegowskich scenariuszy. Jakaś kobieta przeszła obok z małym psem rozglądającym się w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na chodniku, gdzie mógłby się załatwić. Z naprzeciwka nadchodził młody człowiek w czarnej kurtce motocyklowej z papierosem w ustach, lecz Clay ledwo go widział. Gdy mijali się przed słabo oświetloną kamienicą pod koroną starego klonu, mężczyzna nagle, z doskonałym wyczuciem czasu i idealną precyzją, wyprowadził krótki prawy sierpowy, którym trafił Claya prosto

w podbródek.

Carter nie widział ciosu. Pamiętał głośny chrzęst w swojej szczęce i uderzenie głową w ogrodzenie z kutego żelaza. Był jeszcze kij i drugi mężczyzna, obaj zadawali ciosy i młócili rękami. Clay przewrócił się na bok i zdołał podkurczyć nogę, a wtedy kij wylądował na jego potylicy niczym wystrzelona kula.

Usłyszał w oddali kobiecy głos, a potem stracił przytomność.

Kobieta spacerująca z psem usłyszała za sobą hałas. Doszło do jakiejś bójki, dwóch na jednego, w której najbardziej obrywał ten leżący na ziemi. Podbiegła bliżej i przerażona zobaczyła mężczyzn w czarnych kurtkach okładających go długimi czarnymi kijami. Krzyknęła, a oni uciekli. Szybko wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer policji.

Dwaj napastnicy zniknęli za rogiem kościoła przy N Street, ona zaś próbowała pomóc nieprzytomnemu młodemu mężczyźnie, który leżał na ziemi i bardzo krwawił.

* * *

Clay został zabrany do szpitala uniwersyteckiego, gdzie zespół traumatologów ustabilizował jego stan. Wstępne badanie ujawniło dwie duże rany głowy zadane tępym narzędziem, rozcięcie na prawej kości policzkowej, skaleczenie na lewym uchu oraz wiele innych obrażeń. Kość strzałkowa prawej nogi pękła równo na pół. Lewą rzepkę miał w kawałkach, a lewą kostkę złamaną. Ogolono mu głowę. Żeby zamknąć dwie duże rany, trzeba było założyć osiemdziesiąt jeden szwów. Czaszka była paskudnie posiniaczona, ale nie pęknięta. Jeszcze tylko sześć szwów na policzku, jedenaście na uchu i zawieźli go na chirurgię, by poskładać kości nóg.

Jonah zaczął dzwonić, odczekawszy cierpliwie trzydzieści minut. Wyszedł z restauracji po godzinie i ruszył pieszo do domu Claya. Zapukał do drzwi, zadzwonił, zaklął pod nosem i był gotów rzucać kamykami w okna, gdy zobaczył samochód przyjaciela zaparkowany między dwoma innymi w głębi ulicy. W każdym razie pomyślał, że to samochód Cartera.

Podszedł do niego powoli. Coś było nie w porządku, tyle że Jonah nie bardzo wiedział co. To rzeczywiście było czarne porsche carrera, lecz pokrywał je biały pył. Wezwał policję.

Pod samochodem znaleziono rozerwany pusty worek po cemencie portlandzkim marki Hanna. Ktoś najwyraźniej posypał auto cementem, a potem polał wodą. Miejscami, szczególnie na dachu i masce, duże łaty cementu zaschły i przywarły do blachy. Gdy policjanci oglądali samochód, Jonah wyjaśnił, że jego właściciel zniknął. Po długim poszukiwaniu w komputerze pojawiło się nazwisko Claya i Jonah wyruszył do szpitala. Zadzwonił do Paulette i zanim przybył na miejsce, ona już tam była. Clay był na sali operacyjnej, ale okazało się, że doznał tylko złamań nóg i prawdopodobnie wstrząśnienia mózgu. Wyglądało na to, że obrażenia nie zagrażają jego życiu.

Kobieta z psem powiedziała policji, że obaj napastnicy byli białymi mężczyznami. Trzej studenci wchodzący do baru przy Wisconsin Avenue widzieli, jak dwóch białych mężczyzn w czarnych kurtkach pospiesznie wychodzi zza rogu z N Street. Wskoczyli do zielonej furgonetki, w której czekał na nich kierowca. Było zbyt ciemno, by dojrzeć tablice rejestracyjne.

Ustalono, że telefon, z którego o ósmej trzydzieści dziewięć dzwoniono do Claya, to automat przy M Street, około pięciu minut piechotą od jego domu.

Ten trop szybko zwietrzał. Ostatecznie chodziło tylko o pobicie. I w dodatku o pobicie w sobotni wieczór. Tego samego wieczoru w mieście doszło do dwóch gwałtów, dwóch strzelanin, w których kule z przejeżdżających samochodów zraniły pięć osób, oraz dwóch morderstw, które wyglądały na zupełnie przypadkowe.

* * *

Ponieważ Clay nie miał w mieście rodziny, Jonah i Paulette przyjęli na siebie rolę jego rzeczników i decydentów. O wpół do drugiej lekarz poinformował ich, że operacja poszła jak po maśle, wszystkie kości zostały nastawione, założono parę gwoździ i śrub, sytuacja nie może być lepsza. Będą uważnie kontrolowali aktywność mózgu. Było pewne, że Clay doznał wstrząśnienia mózgu, ale nie wiedzieli, jak poważne mogą być jego skutki.

– Wygląda okropnie – uprzedził.

Po dwóch godzinach Claya przewieziono na górę. Jonah domagał się, by umieszczono go w izolatce. W końcu zobaczyli go tuż po czwartej. Miał na sobie więcej bandaży niż egipska mumia.

Obie nogi tkwiły na całej długości w grubych gipsowych opatrunkach, zawieszonych kilka cali nad łóżkiem na skomplikowanym wyciągu z lin i krążków. Klatkę piersiową i ręce zasłaniało prześcieradło. Czaszkę i pół twarzy miał pokryte grubą gazą, a oczy opuchnięte i zamknięte. Na szczęście nie odzyskał jeszcze przytomności. Jego podbródek był spuchnięty, wargi sine i obrzmiałe. Na szyi zakrzepła krew.

Stali w milczeniu, ogarniając skalę jego obrażeń. Słuchali dźwięku monitorów, przyglądając się, jak pierś Claya bardzo powoli podnosi się i opada. Potem Jonah zaczął się śmiać i powiedział:

– Spójrz na tego skurwysyna.

– Cicho! – syknęła Paulette, gotowa go uderzyć.

– Tu leży król odszkodowań – oznajmił Jonah, trzęsąc się od tłumionego śmiechu.

Wtedy ona też dostrzegła komizm sytuacji. Udało jej się zaśmiać z zamkniętymi ustami i przez długi czas oboje stali w nogach łóżka, próbując opanować wesołość.

Gdy rozbawienie minęło, powiedziała:

– Powinieneś się wstydzić.

– I się wstydzę. Przepraszam.

Sanitariusz wtoczył do pokoju drugie łóżko. Paulette miała czuwać pierwszej nocy. Jonah następnej.

Na szczęście napaść na Cartera miała miejsce zbyt późno, by informacja o niej trafiła na łamy niedzielnego wydania „Washington Post". Panna Glick obdzwoniła wszystkich pracowników kancelarii z prośbą, by nie składali wizyt w szpitalu i nie przysyłali kwiatów. Mogą się przydać pod koniec tygodnia, ale teraz po prostu mają się modlić.

Carter wrócił do świata żywych w niedzielę koło południa. Paulette przewracała się na składanym łóżku, gdy zapytał:

– Kto tu jest?

Zerwała się z łóżka i podbiegła do niego.

– To ja, szefie.

Przez opuchnięte powieki widział zamazaną czarną twarz. Z pewnością nie była to twarz Ridley. Carter wyciągnął rękę i zapytał:

– Kto?

– Paulette. Nie widzisz?

– Nie. Paulette? Co ty tu robisz? – Mówił bełkotliwie i powoli, widać było, że sprawia mu to ból.

– Po prostu opiekuję się tobą, szefie.

– Gdzie jestem?

– W szpitalu uniwersyteckim Jerzego Waszyngtona.

– Dlaczego, co się stało?

– Coś, co nazywają staromodnym skopaniem tyłka.

– Co?

– Zostałeś napadnięty. Przez dwóch gości z kijami. Mam ci podać tabletki przeciwbólowe?

– Poproszę.

Paulette wypadła z pokoju i znalazła pielęgniarkę. Kilka minut później zjawił się lekarz i potwornie szczegółowo wyjaśnił Clayowi, jak bardzo go pobito. Kolejna pigułka i Clay znowu odpłynął. Prawie całą niedzielę spędził w przyjemnej mgle pod opieką Paulette i Jonaha, którzy czytali gazety i oglądali mecze NFL.

Media uderzyły z furią w poniedziałek, wszystkie w tym samym tonie. Paulette ściszyła telewizor, a Paul schował gazety. Panna Glick i reszta kancelarii utworzyli barykadę i odmawiali wszystkim komentarza. Otrzymała e-mail od kapitana jakiegoś jachtu, który twierdził, że jest ojcem Claya. Znajdował się w pobliżu półwyspu Jukatan i prosił, by ktoś zechciał przekazać mu najnowsze informacje o stanie syna. Spełniła jego prośbę – stan stabilny, połamane kości, wstrząśnienie mózgu. Carter senior podziękował i zapewnił, że skontaktuje się następnego dnia.

Ridley przyjechała w poniedziałek po południu. Paulette i Jonah wynieśli się zado-

woleni, że na pewien czas opuszczą szpital. Gruzini najwyraźniej nie rozumieli rytuałów właściwej opieki szpitalnej. Podczas gdy Amerykanie wprowadzają się do swoich chorych i rannych ukochanych, osoby pochodzące z innych kultur uznają, że praktyczniej jest wstąpić na godzinę, a potem pozwolić, by to szpital zajmował się pacjentem. Ridley przez kilka minut okazywała Clayowi wielką czułość i próbowała zainteresować go najnowszymi informacjami o remoncie willi. Głowa zaczęła mu pękać i poprosił o tabletkę. Ridley wyciągnęła się na rozkładanym łóżku i spróbowała się zdrzemnąć, twierdząc, że wyczerpał ją lot do domu. Bez międzylądowania. Na pokładzie gulfstreama. Clay też zasnął, a gdy się obudził, jej już nie było.

Na rozmowę wstąpił jakiś oficer śledczy. Wszystkie podejrzenia wskazywały na paru zbirów z Reedsburga, ale brakowało dowodów. Clay nie potrafił opisać mężczyzny, który zadał pierwszy cios.

– Nie spodziewałem się ataku – powiedział, masując podbródek. Dla poprawienia mu samopoczucia policjant przyniósł cztery duże kolorowe zdjęcia czarnego porsche, gęsto upstrzonego białym cementem, i okazało się, że Clay potrzebuje kolejnej tabletki.

Napływały kwiaty. Od Adelfy Pumphrey, Glendy z OBP-u, od państwa Crittle, Rodneya, Pattona Frencha, Wesa Saulsberry'ego i znajomego sędziego z sądu okręgowego. Jonah przyniósł laptop i Clay odbył długą pogawędkę z ojcem.

W poniedziałek ukazały się trzy wydania biuletynu *Król Szortów*, każdy pełen najnowszych artykułów prasowych i plotek o pobiciu Claya. Carter nie widział żadnego. Ukryty w szpitalnym pokoju był chroniony przez swoich przyjaciół.

We wtorek wczesnym rankiem Zack Battle wpadł do szpitala w drodze do pracy i przekazał mu upragnione wieści. Komisja Papierów Wartościowych i Giełd zawiesiła śledztwo w sprawie Claya. Rozmawiał z prawnikiem Mela Snellinga w Baltimore. Mel nie zmienił zdania, nie ugiął się pod naciskiem FBI. A bez niego nie mogli zgromadzić niezbędnych dowodów.

– Pewnie federalni zobaczyli cię w gazetach i uznali, że zostałeś wystarczająco ukarany – rzekł Zack.

– Piszą o mnie w gazetach? – zdziwił się Clay.

– Było parę artykułów.

– Mam je przeczytać?

– Nie radzę.

Doskwierała mu szpitalna nuda – wyciąg, baseny, nieustanne wizyty pielęgniarek o każdej porze dnia, ponure pogawędki z lekarzami, cztery ściany pokoju, okropne jedzenie, ciągłe zmiany opatrunków, pobieranie krwi do kolejnych badań, monotonia przymusowego bezruchu. Gips miał nosić jeszcze przez wiele tygodni i wiedział, że nie poradzi sobie w mieście na wózku inwalidzkim lub kulach. Planowane były jeszcze co najmniej dwie operacje, zapewniono go jednak, że to tylko drobne zabiegi.

Zaczęło go prześladować wspomnienie pobicia i przypominał sobie kolejne odgłosy

i odczucia towarzyszące młócce pięściami. Widział twarz mężczyzny, od którego otrzymał pierwszy cios, ale nie miał pewności, czy to prawdziwe oblicze, czy sen. Nie powiedział więc o tym śledczemu. Słyszał krzyki z ciemności, ale one również mogły być przecież częścią nocnego koszmaru. Przypomniał sobie widok czarnego kija wielkości kija baseballowego. Na szczęście stracił przytomność i nie pamiętał większości uderzeń.

Opuchlizna zaczęła ustępować, w głowie robiło się jaśniej. Odstawił tabletki przeciwbólowe, żeby móc myśleć i spróbować kierować biurem przez telefon i e-maile. Według wszystkich jego rozmówców sytuacja w kancelarii była napięta. On jednak podejrzewał, że jest zupełnie inaczej.

Ridley starczało sił na jedną godzinną wizytę późnym rankiem i drugą przed wieczorem. Stała przy jego łóżku i okazywała mu wiele czułości, szczególnie w obecności pielęgniarek. Paulette nie znosiła jej i znikała, gdy tylko Ridley przekroczyła próg pokoju.

– Interesują ją twoje pieniądze – powiedziała Clayowi.

– A mnie interesuje jej ciało.

– Cóż, w tej chwili to ona lepiej wychodzi na tej transakcji.

Rozdział 39

Żeby czytać, musiał podnieść połowę łóżka, a ponieważ nogi już miał uniesione, jego ciało układało się w literę V. A to bolało. Mógł wytrzymać w tej pozycji najwyżej przez dziesięć minut, po czym wracał do poprzedniego ustawienia i zmniejszał ucisk. Trzymając laptop Jonaha na obu gipsowych opatrunkach, przeglądał artykuły gazetowe z Arizony, gdy Paulette odebrała telefon.

– To Oscar – powiedziała.

W niedzielny wieczór rozmawiali krótko, lecz Clay znajdował się wtedy pod wpływem środków przeciwbólowych i mówił bez ładu i składu. Teraz był przytomny i gotowy poznać szczegóły.

– Mów – powiedział, opuszczając zagłówek łóżka i próbując się wyciągnąć.

– W sobotę rano Mooneyham odpoczywał. Jego argumenty nie mogłyby być doskonalsze. Ten facet to geniusz i przysięgli jedzą mu z ręki. Gdy zaczął się proces, chłopcy od Goffmana kroczyli dumni jak pawie, teraz sądzę, że szukają ratunku. Na wczorajsze popołudnie Roger Redding przygotował eksperta, badacza, który zeznał, że nie ma bezpośredniego związku między zażywaniem leku a rakiem piersi u powódki. Uznałem, że facet jest bardzo dobry, bardzo wiarygodny, przecież ma trzy doktoraty. Wtedy Mooneyham rozerwał go na strzępy. Wyciągnął jakieś trefne badania, które ten gość przeprowadził przed dwudziestoma laty. Podważył jego kwalifikacje. Gdy przesłuchanie się skończyło, świadek był zupełnie rozbity. Pomyślałem sobie: niech ktoś wezwie pogotowie i zabierze stąd tego biedaka. Nigdy nie widziałem tak upokorzonego świadka. Roger pobladł. Chłopcy od Goffmana siedzieli niczym zgraja zbirów sprowadzonych jako świadkowie przestępstwa.

– Wspaniale, wspaniale – powtarzał Clay z telefonem przytkniętym do gazowego opatrunku na lewym, pozszywanym uchu.

– A teraz najlepsze. Dowiedziałem się, gdzie się zatrzymali ludzie od Goffmana, i zmieniłem hotel. Widuję ich przy śniadaniu. I w barze, późnym wieczorem. Wiedzą, kim jestem, więc przypominamy wściekłe psy krążące wokół siebie. Mają firmowego prawnika o nazwisku Fleet, który zdybał mnie wczoraj w hotelowym holu po decyzji o odroczeniu procesu, mniej więcej godzinę po masakrze dokonanej na ich ekspercie. Powiedział, że ma ochotę się napić. Wypił jednego, ja trzy. On dlatego tak mało, że musiał wrócić do apartamentu na najwyższym piętrze, gdzie spędzali wieczór, chodząc tam i z powrotem i omawiając możliwości zawarcia ugody.

– Powiedz to jeszcze raz – poprosił cicho Clay.

– Słyszałeś. Goffman myśli w tej chwili o ugodzie z Mooneyhamem. Są przerażeni. I przekonani, podobnie jak wszyscy inni na sali rozpraw, że przysięgli unicestwią ich firmę. Każda ugoda będzie kosztowała majątek, bo ten stary wyjadacz nie chce jej zawrzeć. Clay, on im daje lekcję profesjonalizmu! Roger to doskonały adwokat, ale nie mógłby nawet nosić teczki za Mooneyhamem.

– Wracając do ugody…

– Wracając do ugody. Fleet chciał wiedzieć, ile z naszych roszczeń jest zasadnych. Odparłem, że wszystkie dwadzieścia sześć tysięcy. Przez pewien czas mówił ogródkami, po czym spytał, czy moim zdaniem rozważysz ugodę na poziomie stu tysięcy na osobę. To dwa miliardy sześćset milionów. Liczysz?

– Już policzyłem.

– A honoraria?

– Policzone. – Po tych słowach ból zniknął jak ręką odjął. Głowa przestała pękać. Ciężkie gipsowe opatrunki zrobiły się lekkie jak piórko. Sińce przestały istnieć. Clayowi chciało się płakać.

– Tak czy inaczej, z pewnością nie była to propozycja zawarcia ugody, a tylko pierwszy balon próbny. Wypuszczony pod przymusem. Na sali rozpraw słyszy się sporo pogłosek, zwłaszcza z ust prawników i analityków giełdowych. Zgodnie z nimi Goffmana byłoby stać na utworzenie funduszu odszkodowawczego na kwotę do siedmiu miliardów. Gdyby firma zawarła ugodę teraz, cena jej akcji mogłaby się utrzymać, ponieważ skończyłby się koszmar z maxatilem. To tylko hipoteza, ale po wczorajszej masakrze brzmi bardzo sensownie. Fleet przyszedł do mnie, bo reprezentujemy największą liczbę klientów. Sądowa plotka lokuje liczbę potencjalnych roszczeń gdzieś w okolicach sześćdziesięciu tysięcy, mamy więc blisko czterdzieści procent rynku. Jeżeli będziemy skłonni zgodzić się na sto tysięcy dolarów na osobę, będą w stanie przewidzieć łączne koszty ugody.

– Kiedy znowu się z nim zobaczysz?

– Tutaj dochodzi ósma, proces zostanie wznowiony za godzinę. Umówiliśmy się na spotkanie poza salą rozpraw.

– Zadzwoń do mnie, gdy tylko będziesz mógł.

– Nie martw się, szefie. Jak tam połamane kości?

– Teraz o wiele lepiej.

Paulette wzięła od niego aparat. Kilka sekund później telefon znowu zadzwonił. Odebrała, wręczyła Clayowi i powiedziała:

– To do ciebie, a ja wychodzę.

Telefonowała Rebecca, z komórki. Była w holu szpitala i zastanawiała się, czy krótka wizyta będzie stosowna. Kilka minut później weszła do pokoju i na widok Claya doznała szoku. Pocałowała go w policzek, między siniakami.

– Mieli kije – wyjaśnił Carter. – Żeby wyrównać szanse. W przeciwnym razie miał-

bym nieprzepisową przewagę. – Wcisnął guzik sterujący pochyleniem łóżka i zaczął się wyginać w literę V.

– Wyglądasz okropnie – powiedziała ze łzami w oczach.

– Dziękuję. Ty za to wyglądasz wspaniale.

Pocałowała go znowu w to samo miejsce i zaczęła gładzić po prawej ręce. Na moment zapadło milczenie.

– Mogę ci zadać jedno pytanie? – przerwał je Clay.

– Jasne.

– Gdzie w tej chwili przebywa twój mąż?

– Albo w Sao Paulo, albo w Hongkongu. Tracę orientację.

– Wie, że tu jesteś?

– Oczywiście że nie.

– Co by zrobił, gdyby o tym wiedział?

– Zdenerwowałby się. Na pewno byśmy się pokłócili.

– Byłoby w tym coś niezwykłego?

– Niestety kłócimy się przez cały czas. Nie pasujemy do siebie. Chcę odejść.

Choć doskwierały mu rany, Clay miał niesamowity dzień. Fortuna jest w zasięgu ręki, tak jak Rebecca. Drzwi otworzyły się cicho i do pokoju weszła Ridley. Gdy stanęła niezauważona w nogach łóżka, powiedziała:

– Przepraszam, że przeszkadzam.

– Cześć, Ridley – rzucił anemicznie.

Kobiety posłały sobie spojrzenia, które spłoszyłyby kobrę indyjską. Ridley przeniosła się na drugą stronę łóżka, na wprost Rebeki, która trzymała dłoń na posiniaczonej ręce Claya.

– Ridley, przedstawiam ci Rebeccę. Rebecco, to jest Ridley – powiedział Carter, po czym poważnie rozważył możliwość naciągnięcia kołdry na głowę i udawania martwego.

Obie zachowały śmiertelną powagę. Ridley zaczęła delikatnie masować prawe ramię Claya. Chociaż rozpieszczały go dwie piękne kobiety, czuł się jak zwierzę dopiero co rozjechane przez samochód na kilka sekund przed zjawieniem się wilków.

Ponieważ żadne z nich nie potrafiło wydobyć słowa, Clay skinął głową w lewo i wyjaśnił:

– To moja dawna znajoma – a potem w prawo i rzekł: – A to nowa znajoma.

Obie były zirytowane. Żadna jednak nie ruszyła się nawet o cal. Ich pozycje zostały wytyczone już wcześniej.

– Wydaje mi się, że byliśmy na twoim przyjęciu weselnym – powiedziała w końcu Ridley. Niezbyt subtelne przypomnienie Rebecce, że jest mężatką.

– Niezaproszeni, o ile dobrze pamiętam – zauważyła Rebecca.

– Psiakrew, czas na moją lewatywę – rzekł Clay, ale tylko on się roześmiał. Gdyby

przy jego łóżku wywiązała się pyskówka, zostałby jeszcze bardziej pokiereszowany. Pięć minut wcześniej rozmawiał przez telefon z Oscarem, marząc o rekordowym honorarium, a teraz kobiety dobywały mieczy. Dwie bardzo piękne kobiety. Mogłoby być gorzej, pomyślał.

Gdzie się podziały pielęgniarki? Dotąd zjawiały się o każdej porze dnia, nie zważając na jego prywatność ani godziny snu. Czasami przychodziły parami. A jeżeli przypadkiem w pokoju Claya znajdował się jakiś gość, niepotrzebne odwiedziny pielęgniarki były pewne jak w banku. „Czy możemy panu coś przynieść, panie Carter? Posłać łóżko? Włączyć telewizor? Czy wyłączyć?”.

Na szpitalnym korytarzu panowała cisza. Obie kobiety wciąż go obmacywały.

Rebecca pierwsza dała za wygraną. Nie miała wyboru. Miała przecież męża.

– Chyba już pójdę. – Powoli wyszła z pokoju, jakby nie chciała go opuszczać, ustąpić pola. Clay był zachwycony.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Ridley cofnęła się do okna, gdzie stała długo, spoglądając w przestrzeń. Clay przeglądał internetowe wydanie gazety, niewzruszony jej obecnością i ewentualnym złym nastrojem. Tak się złożyło, że oziębłość, z jaką usilnie starała się go traktować, była mu na rękę.

– Kochasz ją, prawda? – powiedziała, nadal spoglądając przez okno i próbując sprawiać wrażenie zranionej.

– Kogo?

– Rebeccę.

– A, ją. Nie, to tylko dawna znajoma.

Na te słowa Ridley odwróciła się gwałtownie i podeszła do łóżka.

– Nie jestem idiotką!

– Tego nie powiedziałem. – Clay nadal czytał gazetę, niewzruszony tym przedstawieniem. Ridley wzięła torebkę i głośno stukając obcasami, wyszła z pokoju. Niedługo potem zjawiła się pielęgniarka, żeby sprawdzić, czy nie doznał uszczerbku na zdrowiu i ciele.

Kilka minut później zadzwonił Oscar sprzed sali rozpraw. Zarządzono krótką przerwę.

– Krąży pogłoska, jakoby Mooneyham odrzucił dziś rano ofertę dziesięciu milionów odszkodowania.

– Fleet ci powiedział?

– Nie, nie widzieliśmy się. Był zajęty jakimiś wnioskami. Spróbuję go złapać podczas lunchu.

– Kto zeznaje jako świadek?

– Kolejny ekspert od Goffmana, pani profesor z Uniwersytetu Duke, która podważa tezy badań rządowych nad maxatilem. Mooneyham już ostrzy na nią noże. Pewnie będzie nieprzyjemny.

– Wierzysz w tę pogłoskę?

– Nie jestem pewny, w co mam wierzyć. Chłopcy z Wall Street wyglądają na podekscytowanych. Liczą na ugodę, ponieważ uważają, że to najlepszy sposób na przewidzenie całkowitych kosztów rekompensat. Zadzwonię do ciebie podczas lunchu.

W procesie we Flagstaff możliwe były trzy werdykty, dwa z nich wzbudziłyby zachwyt Claya. Werdykt niekorzystny dla Goffmana zmusiłby firmę do zawarcia ugody w celu uniknięcia wieloletnich sporów prawnych i kolejnych kosztownych werdyktów. Ugoda zawarta w trakcie procesu prawdopodobnie oznaczałaby ogólnokrajowy plan odszkodowawczy dla wszystkich poszkodowanych.

Werdykt na korzyść Goffmana zmusiłby Claya do pospiesznego powrotu do kancelarii i przygotowań do własnego procesu w Waszyngtonie. Ta perspektywa sprawiła, że wrócił ostry ból głowy i nóg.

Leżenie godzinami bez ruchu w szpitalnym łóżku samo w sobie było wystarczającą torturą. Milczący telefon znacznie pogorszył sytuację. Goffman w każdej chwili mógł zaproponować Mooneyhamowi wystarczająco dużo forsy, by skłonić go do ugody. Jego ego popychałoby go do uzyskania werdyktu ławy przysięgłych, czy jednak mógł zignorować interesy swojej klientki?

Pielęgniarka opuściła żaluzje, zgasiła światło i włączyła telewizor. Gdy wyszła, Clay położył telefon na brzuchu, naciągnął sobie prześcieradło na głowę i czekał.

Rozdział 40

Nazajutrz rano zawieziono go na salę operacyjną, by dokonać niewielkich korekt położenia gwoździ i śrub w nogach. Lekarz nazwał to „drobnym ulepszeniem”. Cokolwiek mieli zrobić, wymagało to pełnego znieczulenia, które wymazało ze świadomości Claya większość dnia. Wrócił do swojego pokoju tuż po południu i spał trzy godziny, zanim środki znieczulające przestały działać. Gdy w końcu odzyskał przytomność, przy łóżku nie czekała Ridley ani Rebecca, lecz Paulette.

– Są jakieś wieści od Oscara? – zapytał, z trudem wypowiadając słowa.

– Dzwonił, powiedział, że proces przebiega po naszej myśli. I to wszystko – poinformowała Paulette. Poprawiła mu poduszkę i podała wodę, a gdy obudził się na dobre, wyszła załatwić sprawunki. Wychodząc, wręczyła mu nierozpieczętowaną kopertę z przesyłką kurierską.

Od Pattona Frencha. W odręcznym liście przesyłał najlepsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia i czegoś jeszcze, czego Clay nie zdołał odszyfrować. Dołączona do nich notatka skierowana była do członków komisji nadzorującej pozew w sprawie dyloftu (obecnie w roli pozwanych). Pani mecenas Helen Warshaw przedstawiła w niej cotygodniowe nabytki w swoim postępowaniu zbiorowym. Lista roszczeń rosła. Poszkodowani wskutek zażywania dyloftu pojawiali się w całym kraju i pozwani adwokaci stąpali po coraz bardziej grząskim gruncie. Pozew obejmował obecnie trzysta osiemdziesiąt jeden osób, w tym dwudziestu czterech dawnych klientów JCC, którzy podpisali umowę z mecenas Warshaw, trzech więcej niż przed tygodniem. Clay jak zawsze czytał powoli ich nazwiska i znowu zastanawiał się, jakim cudem ich drogi się przecięły.

Czy jego dawni klienci nie mieliby ochoty zobaczyć go na szpitalnym łóżku – połamanego i posiniaczonego? Być może jeden z nich leży w pokoju w głębi korytarza, po zabiegu usunięcia guzów i zaatakowanych narządów, w gronie najbliższych, a zegar głośno odmierza pozostały mu czas. Clay wiedział, że nie zachorowali z jego winy, ale z jakiegoś powodu czuł się odpowiedzialny za ich cierpienie.

Ridley wstąpiła w drodze z domu na siłownię. Przyniosła trochę książek oraz czasopisma i starała się wyglądać na zatroskaną. Po kilku minutach powiedziała:

– Dzwonił dekorator wnętrz. Muszę wrócić na wyspę.

Czy dekorator to mężczyzna, czy kobieta? Clay zastanawiał się nad tym, ale nie zadał jej tego pytania.

Cóż za wspaniały pomysł!

– Kiedy?

– Może jutro. Jeżeli samolot jest wolny.

Dlaczego nie miałby być wolny? Clay z pewnością nigdzie się nie wybiera.

– Oczywiście. Zadzwonię do pilotów. – Wyprawienie jej z miasta ułatwiłoby mu życie. W szpitalu nie było z niej żadnego pożytku.

– Dzięki – powiedziała, po czym usiadła na krześle i zaczęła kartkować jakiś magazyn. Po trzydziestu minutach jej czas minął. Pocałowała go w czoło i zniknęła.

Następnym gościem był oficer śledczy. Wczesnym rankiem w niedzielę przed barem w Hagerstown w Marylandzie aresztowano trzech mężczyzn z Reedsburga. Doszło do jakiejś awantury. Próbowali opuścić miejsce bójki w ciemnozielonej furgonetce, ale kierowca źle wymierzył i wjechał do rowu odwadniającego. Śledczy wyjął trzy kolorowe zdjęcia podejrzanych, osobników o nieprzyjemnych fizjonomiach. Clay nie potrafił rozpoznać żadnego z nich.

Według komendanta policji w Reedsburgu pracowali w cementowni. Dwaj zostali niedawno zwolnieni, ale była to jedyna informacja, jaką śledczy zdołał wyciągnąć od lokalnych władz.

– Nie są zbyt skorzy do współpracy – przyznał. Po wizycie w Reedsburgu Clay rozumiał dlaczego.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałem – powiedział.

Śledczy schował zdjęcia do teczki i wyszedł. Potem przez pokój przemaszerował pochód badających go i obmacujących lekarzy i pielęgniarek, a po godzinie Carter zasnął.

* * *

Oscar zadzwonił o wpół do dziesiątej wieczorem. Proces odroczono do następnego dnia. Wszyscy byli wyczerpani, głównie dlatego, że Dale Mooneyham dokonał masowej rzezi w sali rozpraw. Goffman niechętnie przywlókł swojego trzeciego eksperta, tchórzliwego szczura z firmowego laboratorium w okularach w rogowych oprawkach, który kierował badaniami klinicznymi nad maxatilem. Po wspaniałym i pomysłowym bezpośrednim przesłuchaniu przez Rogera Krętacza Mooneyham przystąpił do ukrzyżowania tego biednego chłopca.

– Po staroświecku wydymał go od tyłu. – Oscar się roześmiał. – Goffman powinien się bać wzywania kolejnych świadków.

– Ugoda? – zapytał Clay. Był odurzony lekami, niemrawy i senny, ale rozpaczliwie starał się zrozumieć szczegóły.

– Nie, ale to pewnie będzie długa noc. Krąży pogłoska, że adwokaci Goffmana mogą powołać jutro jeszcze jednego eksperta, a potem zatkać dziurę w tamie palcem i przygotować się na wyrok. Mooneyham nie chce z nimi rozmawiać. Wygląda i zachowuje się tak, jakby liczył na rekordowo wysokie odszkodowanie.

Clay zasnął w trakcie rozmowy. Godzinę później pielęgniarka wyjęła przyciśnięty

uchem do poduszki aparat.

* * *

Dyrektor naczelny firmy Goffman przybył do Flagstaff w środę późnym wieczorem i został błyskawicznie zawieziony do wieżowca w centrum, gdzie namawiali się obrońcy. Roger Redding i reszta zespołu zapoznała go z sytuacją, a chłopcy od finansów pokazali mu najnowsze wskaźniki. Wszystkie dyskusje koncentrowały się na scenariuszu katastroficznym.

Ponieważ Redding dostał tęgie baty, stanowczo domagał się, by obrona trzymała się planu gry i wezwała pozostałych świadków. Zły los na pewno się odwróci, a on z pewnością odnajdzie swój rytm i zyska uznanie przysięgłych. Ale Bob Mitchell, główny doradca prawny i wiceprezes firmy, oraz Sterling Gibb, jej długoletni prawnik i golfowy partner dyrektora, widzieli już wystarczająco dużo. Jeszcze jedna rozwałka świadka w wykonaniu Mooneyhama, a przysięgli zerwą się z miejsc i rzucą na najbliższego dyrektora firmy. Duma Reddinga była głęboko zraniona. Chciał kontynuować, licząc na cud. Zastosowanie się do jego rad było kiepskim pomysłem.

Mitchell i Gibb spotkali się z dyrektorem naczelnym około trzeciej nad ranem, przy pączkach. Tylko we trzech. Choć sytuacja firmy była zła, pozostały jeszcze tajemnice dotyczące maxatilu, których nie można było ujawnić. Gdyby Mooneyham miał te informacje lub gdyby zdołał je wydusić z jakiegoś świadka, dla Goffmana byłaby to katastrofa. W tym momencie procesu Mooneyham był zdolny do wszystkiego. Dyrektor w końcu postanowił położyć kres tej masakrze.

Gdy sędzia wznowił proces o dziewiątej rano, Roger Redding oznajmił, że obrona nie ma nic więcej do dodania.

– Żadnych nowych świadków? – upewnił się sędzia. Mający trwać piętnaście dni proces właśnie został skrócony o połowę. Miał więc tydzień wolnego na grę w golfa!

– Zgadza się, Wysoki Sądzie – odparł Redding, uśmiechając się do przysięgłych, jakby wszystko było w porządku.

– Co pan na to, mecenasie Mooneyham?

Adwokat powódki wstał powoli. Podrapał się po głowie, spojrzał gniewnie na Reddinga i odparł:

– Jeżeli oni skończyli, to my też.

Sędzia wyjaśnił przysięgłym, że teraz nastąpi godzinna przerwa, podczas której on poruszy parę spraw z adwokatami stron. Gdy wrócą, wysłuchają końcowych przemówień i przed lunchem wydadzą wyrok.

Oscar wybiegł na korytarz z całą resztą obecnych, ściskając telefon komórkowy. W szpitalnym pokoju Cartera nikt nie odbierał.

* * *

Clay spędził trzy godziny w pracowni rentgenowskiej, trzy godziny czekania na łóżku w ruchliwym korytarzu, gdzie pielęgniarki i sanitariusze przechodzili obok w pośpiechu, rozmawiając o niczym. Telefon komórkowy zostawił w pokoju, więc przez te trzy godziny był odcięty od świata w otchłani szpitala uniwersyteckiego Jerzego Waszyngtona.

Prześwietlenie zajęło prawie godzinę, choć mogłoby trwać krócej, gdyby pacjent nie był tak agresywny i nieskory do współpracy. Sanitariusz odwiózł go do pokoju i z radością tam zostawił.

Gdy Oscar znowu zadzwonił, Carter drzemał. U niego była piąta dwadzieścia, w Phoenix dwadzieścia po trzeciej.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał Oscar.

– Lepiej nie pytaj.

– Z samego rana adwokaci Goffmana poddali się, próbowali zawrzeć ugodę, ale Mooneyham nie chciał z nimi gadać. Potem wszystko potoczyło się naprawdę szybko. Mowy końcowe zaczęły się chyba około dziesiątej. Przysięgli wydali werdykt dokładnie w południe.

– Przysięgli wydają werdykt?! – wykrzyknął Clay.

– Już wydali.

– Co takiego?

– Wydali werdykt. Proces się zakończył. Naradzali się przez trzy godziny i orzekli na korzyść Goffmana. Przykro mi, Clay. Wszyscy są w szoku.

– Nie.

– Niestety.

– Powiedz mi, że kłamiesz, Oscarze.

– Chciałbym, żeby tak było. Nie wiem, co się stało. Nikt nie wie. Redding wygłosił efektowną mowę końcową, ale przyglądałem się przysięgłym. Sądziłem, że Mooneyham ich przekonał.

– Dale Mooneyham przegrał sprawę?

– Nie tylko tę. Naszą również.

– Ale jakim cudem?

– Nie wiem. Postawiłbym ostatniego dolara przeciwko Goffmanowi.

– Właśnie to zrobiliśmy.

– Przykro mi.

– Słuchaj, Oscarze, leżę tu zupełnie sam. Teraz zamykam oczy i chcę, byś po prostu do mnie mówił. Nie zostawiaj mnie. Nie ma przy mnie nikogo. Po prostu mów do mnie. Powiedz mi coś jeszcze.

– Po ogłoszeniu werdyktu osaczyli mnie Fleet oraz dwaj inni faceci… Bob Mitchell i Sterling Gibb. Naprawdę uroczy chłopcy. Promienieli ze szczęścia. Zaczęli od pytania, czy jeszcze żyjesz… co ty na to? Potem przekazali pozdrowienia, naprawdę szczere.

Powiedzieli, że ruszają w trasę… Roger Spryciarz i Spółka… a następny proces będzie w Waszyngtonie przeciwko mecenasowi Clayowi Carterowi, królowi odszkodowań, który, jak wszyscy wiemy, nigdy nie prowadził sprawy przed sądem. Co mogłem powiedzieć? Właśnie pokonali wyśmienitego prawnika na jego własnym podwórku.

– Nasze roszczenia nie są nic warte, Oscarze.

– Oni z pewnością tak uważają. Mitchell powiedział, że nie zaproponują ani centa w żadnej sprawie maxatilu. Chcą mieć procesy. Chcą oczyszczenia z zarzutów. Oczyszczenia swojego imienia. Sranie w banię.

Clay przetrzymał Oscara na linii ponad godzinę, a w tym czasie w jego nieoświetlonym pokoju zrobiło się ciemno. Mulrooney przytoczył mowy końcowe i opisał napięcie towarzyszące oczekiwaniu na wyrok. Opisał szok na twarzy powódki, umierającej kobiety, której prawnik nie chciał przyjąć oferty Goffmana, opiewającej rzekomo na dziesięć milionów dolarów. I na twarzy Mooneyhama, który nie przegrał sprawy od tak dawna, że już zapomniał, jak smakuje porażka, żądającego od przysięgłych, by wypełnili ankiety i wyjaśnili swoją decyzję. Gdy już odetchnął i zdołał wstać, oczywiście z pomocą laski, zrobił z siebie głupca. Obóz Goffmana, gdzie tłum prawników w ciemnych garniturach siedział z opuszczonymi głowami pogrążony w czymś, co wydawało się zbiorową modlitwą, dopóki przewodniczący ławy przysięgłych nie wypowiedział ważkich wzniosłych słów, też przeżył szok. Zrobiło się zamieszanie, gdy analitycy z Wall Street rzucili się w popłochu do drzwi, by telefonować.

– Idę teraz do baru – tymi słowami zakończył Oscar swoją opowieść.

Clay wezwał pielęgniarkę i poprosił o tabletkę na sen.

Rozdział 41

Po jedenastli dniach zamknięcia Clay w końcu został uwolniony. Na lewą nogę założono mu lżejszy gips i wprawdzie nadal nie mógł chodzić, ale przynajmniej był w stanie wykonywać pewne ruchy. Paulette wytoczyła go ze szpitala na wózku do prowadzonej przez Oscara wynajętej furgonetki. Kwadrans później wwieźli Claya do jego domu i zamknęli drzwi na klucz. Paulette i panna Glick zamieniły pokój na dole w tymczasową sypialnię. Telefony, faks i komputer zostały przeniesione na składany stół koło łóżka. Ubrania ułożono równo na plastikowych półkach przy kominku.

Przez pierwsze dwie godziny Clay czytał pocztę, raporty finansowe i wycinki z prasy, ale tylko te wyselekcjonowane przez Paulette. Większości tego, co ukazało się w druku na temat Claya, nie dała mu do ręki.

Później, po drzemce, zasiadł przy kuchennym stole z Paulette, a Oscar oznajmił, że pora zaczynać.

I zaczęło się wyjaśnianie sytuacji.

* * *

Pierwszą sprawą była jego kancelaria. Crittle zdołał ograniczyć pewne wydatki, ale koszty ogólne wciąż wynosiły milion dolarów miesięcznie. W sytuacji gdy nie było ani bieżących, ani spodziewanych przychodów, natychmiastowe zwolnienia stały się nieuniknione. Przejrzeli listę pracowników – prawników, asystentów prawnych, sekretarek, urzędników biurowych oraz gońców – i dokonali bolesnych cięć. Chociaż uważali, że roszczenia w sprawie maxatilu są bezwartościowe, zamknięcie akt i tak wymagało pracy, do której Clay pozostawił czterech prawników i czterech asystentów. Był zdecydowany honorować wszystkie umowy, jakie podpisał ze swoimi pracownikami, ale to pochłonęłoby część tak bardzo potrzebnej gotówki.

Popatrzył na nazwiska tych, którzy musieli odejść, i zrobiło mu się niedobrze.

– Chcę się najpierw dobrze zastanowić – rzekł, odwlekając podjęcie ostatecznej decyzji.

– Większość z nich się tego spodziewa – zauważyła Paulette.

Carter wpatrywał się w listę i próbował sobie wyobrazić plotki, jakie krążyły o nim na korytarzach jego własnej firmy.

Dwa dni wcześniej Oscar zgodził się niechętnie pojechać do Nowego Jorku i spotkać z Helen Warshaw. Przedstawił ogólny obraz aktywów Claya Cartera oraz potencjalnych

zobowiązań i właściwie błagał o litość. Jego szef nie chce składać wniosku o ogłoszenie upadłości, ale przyciśnięty do muru przez panią mecenas nie będzie miał wyboru. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Clay należy do grona pozwanych przez nią prawników, których łączny majątek według jej szacunków wynosi półtora miliarda dolarów. Nie może pozwolić Clayowi na zawarcie ugody na poziomie, powiedzmy, skromnego miliona dolarów na głowę, w sytuacji gdy te same roszczenia przeciwko Pattonowi Frenchowi mogą przynieść trzy razy więcej. A na dodatek nie była w nastroju do zawierania ugody. Proces miał być ważnym wydarzeniem – śmiałą próbą ukrócenia nadużyć w systemie, nagłośnionym w mediach spektaklem. Zamierzała delektować się każdą jego chwilą.

Oscar wrócił do Waszyngtonu z podkulonym ogonem i z przeświadczeniem, że Helen Warshaw jako prawnik reprezentujący największą grupę wierzycieli Cartera jest żądna krwi.

Budzące strach słowo „bankructwo” padło po raz pierwszy z ust Rexa Crittle’a w szpitalnym pokoju Claya. Przecięło powietrze niczym kula i wylądowało jak pocisk z moździerza. Potem zostało użyte znowu. Carter zaczął je wprawdzie wypowiadać, ale tylko w myślach. Paulette wymówiła je raz. Oscar zrobił to w Nowym Jorku. Było ono niestosowne i nie podobało się im, ale w ostatnim tygodniu weszło do ich słownika.

Umowę wynajmu biura można było rozwiązać – dzięki bankructwu.

Odrzutowiec można było odesłać sprzedawcy na lepszych warunkach – dzięki bankructwu.

Niezadowolonych klientów w sprawie maxatilu można było zlekceważyć – dzięki bankructwu.

I, co najważniejsze, dzięki bankructwu można było powstrzymać Helen Warshaw.

Oscar był niemal tak samo przygnębiony jak Clay i po kilku godzinach udręki wyszedł do biura. Paulette wywiozła Cartera na małe patio, gdzie wypili zieloną herbatę z miodem.

– Mam do powiedzenia dwie rzeczy – zaczęła, siadając bardzo blisko Claya i patrząc na niego. – Po pierwsze, mam zamiar dać ci część moich pieniędzy.

– Nie zrobisz tego.

– Owszem, zrobię. Uczyniłeś mnie bogatą, choć nie musiałeś. Nic na to nie poradzę, że jesteś głupim, beztroskim białasem, ale i tak cię kocham. Pomogę ci, Clay.

– Potrafisz w to wszystko uwierzyć?

– Nie. To jest niewiarygodne, ale niestety prawdziwe. Stało się. I sytuacja znacznie się pogorszy, zanim odbijesz się od dna. Nie czytaj gazet. Proszę. Obiecaj mi to.

– Nie przejmuj się.

– Mam zamiar ci pomóc. Jeżeli wszystko stracisz, będę przy tobie, żeby się upewnić, że nic ci nie jest.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nic nie mów.

Wzięli się za ręce. Clay powstrzymywał łzy.

– Po drugie – podjęła po chwili – rozmawiałam z Rebeccą. Nie ma odwagi cię odwiedzić, bo mąż mógłby ją na tym przyłapać. Ma nowy telefon komórkowy, o którym on nie wie. Dała mi numer. Chce, żebyś do niej zadzwonił.

– Dasz mi jakąś babską radę?

– Nie licz na to. Wiesz, co sądzę o tej rosyjskiej latawicy. Rebecca to miła dziewczyna, ale oględnie mówiąc, też ma swoje za uszami.

– Wielkie dzięki.

– Proszę bardzo. Chciała, żebyś zadzwonił dziś po południu. Męża nie ma w mieście czy coś takiego… a ja wyjdę za kilka minut.

* * *

Rebecca zaparkowała za rogiem i szybko ruszyła Dumbarton Street do drzwi domu Claya. Nie umiała przemykać się chyłkiem, on też nie potrafił. Od razu zdecydowali, że przestaną to robić.

Oboje z Jasonem Myersem postanowili rozejść się w przyjaźni. Początkowo Jason chciał szukać pomocy psychologa i opóźnić rozwód, ale też lubił pracować osiemnaście godzin dziennie, czy to w Waszyngtonie, Nowym Jorku i Palo Alto, czy to w Hongkongu. Jego ogromna firma miała biura w trzydziestu dwóch miastach, a on klientów na całym świecie. Praca była ważniejsza niż cokolwiek innego. Po prostu zostawił Rebeccę, bez przeprosin i bez planów zmiany swoich zwyczajów. Dokumenty rozwodowe miały być złożone za dwa dni. Rebecca już się pakowała. Jason miał zatrzymać mieszkanie, ona nie była pewna, dokąd się uda. W ciągu niespełna roku zgromadzili niewiele. Myers zarabiał jako wspólnik osiemset tysięcy rocznie, ale Rebecca nie chciała jego pieniędzy.

Twierdziła, że jej rodzice się nie wtrącali. Nie mieli okazji. Myers nie darzył ich sympatią, co nie było niespodzianką. Clay podejrzewał, że mąż Rebeki wolał pracować w filii kancelarii w Hongkongu, żeby być jak najdalej od teściów.

Oboje mieli powody do ucieczki. Clay nie chciał w żadnym wypadku zostać dłużej w Waszyngtonie. Jego upokorzenie było zbyt świeże i zbyt głębokie, a wokół istniał świat, w którym nikt go nie znał. Pragnął anonimowości. Rebecca po raz pierwszy w życiu po prostu chciała uciec – od nieudanego małżeństwa, od rodziców, od country clubu i jego nieznośnych bywalców, od przymusu zarabiania pieniędzy i gromadzenia rzeczy, od McLean i jedynych znajomych, których kiedyś miała.

Clay potrzebował godziny, żeby zaciągnąć ją do łóżka, ale z powodu gipsu i całej reszty o seksie nie mogło być mowy. Chciał po prostu ją tulić, całować i nadrobić stracony czas.

Spędziła u niego wieczór i postanowiła zostać. Nazajutrz rano przy kawie Clay

wszystko jej opowiedział – zaczął od Tequili Watsona i tarvanu.

* * *

Paulette i Oscar wrócili z biura z kolejnymi nieprzyjemnymi wiadomościami. Jakiś podżegacz w okręgu Howard zachęcał właścicieli uszkodzonych domów do wniesienia skarg na Claya za naruszenie zasad etyki zawodowej i spartaczenie ugody z Hanną. Waszyngtońska izba adwokacka otrzymała kilkadziesiąt takich skarg. Przeciw Clayowi wniesiono sześć pozwów, wszystkie sporządzone przez tego samego adwokata, który czynnie zabiegał o kolejnych klientów. Kancelaria Claya kończyła przygotowywać plan ugody, który miał zostać przedstawiony sędziemu w procesie upadłościowym cementowni. O dziwo, kancelaria mogłaby otrzymać honorarium, tyle że znacznie mniejsze od tego, którego wcześniej nie przyjął Clay.

Warshaw złożyła wniosek, by w trybie pilnym przyjąć zeznania kilkunastu powodów w sprawie dyloftu.

Pośpiech był potrzebny, ponieważ umierali, a nagrane zeznania byłyby rozstrzygające w procesie, który miał się rozpocząć mniej więcej za rok. Zastosowanie zwyczajowej taktyki obronnej polegającej na opóźnianiu, zwlekaniu, odraczaniu i jawnym kunktatorstwie byłoby nieuczciwe wobec tych ludzi. Clay przystał na harmonogram zeznań zaproponowany przez mecenas Warshaw, choć nie miał zamiaru w nich uczestniczyć.

Pod naciskiem Oscara w końcu zgodził się zwolnić dziesięcioro prawników i większość asystentów prawnych, sekretarek i pracowników biurowych. Podpisał listy do wszystkich – krótkie i wyrażające skruchę. Całą odpowiedzialność za upadek kancelarii wziął na siebie.

Szczerze mówiąc, nikogo innego nie można było za to winić.

Do klientów poszkodowanych w sprawie maxatilu został wystosowany list. Clay zreasumował proces wytoczony jego producentom przez Mooneyhama w Phoenix. Obstawał przy swoim przekonaniu, że lek jest niebezpieczny, ale teraz udowodnienie związku przyczynowego byłoby „bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe”. Wytwórca maxatilu nie był skłonny do ugody pozasądowej, on zaś, zważywszy na bieżące problemy zdrowotne, nie mógł się przygotować do przeciągającego się procesu.

Bardzo niechętnie usprawiedliwiał się tym, że go pobito, ale Oscar to na nim wymógł. W liście zabrzmiało to wiarygodnie. Będąc na dnie, musiał korzystać z wszelkich atutów, jakie mógł znaleźć.

Dlatego zwalniał każdego klienta z przyjętych zobowiązań i robił to na tyle wcześnie, by każdy mógł wynająć innego prawnika i skarżyć Goffmana. I nawet życzył im powodzenia.

Listy te miały wywołać burzę sprzecznych opinii.

– Poradzimy sobie z tym – powtarzał Oscar. – Przynajmniej pozbędziemy się tych

ludzi.

Clay mimowolnie myślał o Maksie, swoim dawnym kumplu, który wpakował go w sprawę maxatilu. Pace, występujący pod jednym z co najmniej pięciu fałszywych nazwisk, został oskarżony o oszustwo giełdowe, ale go nie znaleziono. Akt oskarżenia stwierdzał, że Pace skorzystał z poufnej informacji, by sprzedać niemal milion akcji Goffmana, zanim Clay złożył pozew. Potem odkupił sprzedane akcje i wymknął się z kraju z kolejnymi piętnastoma milionami dolarów. Uciekaj, Max, uciekaj. Gdyby go złapano i sprowadzono na proces, mógłby zdradzić wszystkie ich brudne tajemnice.

Na liście Oscara było jeszcze sto innych szczegółów, lecz Clay poczuł się znużony.

– Czy dziś wieczorem mam grać rolę twojej pielęgniarki? – zapytała Paulette szeptem w kuchni.

– Nie, jest u mnie Rebecca.

– Uwielbiasz kłopoty, prawda?

– Jutro składa pozew o rozwód. Bez orzekania o winie.

– A co z twoją lalunią?

– To już przeszłość, o ile w ogóle wróci z St. Barth. Przez następny tydzień Clay nie ruszał się z domu. Rebecca spakowała wszystkie rzeczy Ridley do dużych worków na śmieci i upchała je w suterenie. Chociaż Clay uprzedził ją, że niebawem i tak straci dom, sprowadziła część swoich rzeczy. Gotowała wspaniałe posiłki i pielęgnowała go, ilekroć tego potrzebował. Do północy oglądali stare filmy, a potem spali do południa. Woziła go na wizyty u lekarza.

Ridley dzwoniła codziennie z wyspy. Clay nie powiedział jej, że straciła lokum, wolał zrobić to osobiście, gdy wróci – o ile wróci. Remont posuwał się gładko, chociaż Clay poważnie zmniejszył przeznaczony na to budżet. Wydawało się, że Ridley nie jest świadoma jego problemów finansowych.

* * *

Ostatnim prawnikiem, który wkroczył w życie Claya, był Mark Munson, ekspert od upadłości, który wyspecjalizował się w dużych, dotkliwych bankructwach osób fizycznych. Znalazł go Crittle. Gdy Carter zaangażował Munsona, Crittle pokazał mu księgi, umowy najmu, kontrakty, aktywa i zobowiązania. Wszystko. Kiedy obaj przyszli do jego domu, Clay poprosił Rebeccę, by wyszła. Chciał oszczędzić jej przerażających szczegółów. W ciągu siedemnastu miesięcy od opuszczenia BOP-u zarobił sto dwadzieścia jeden milionów dolarów, trzydzieści milionów wypłacono Rodneyowi, Paulette i Jonahowi jako premie, dwadzieścia milionów poszło na wydatki biurowe i odrzutowiec, szesnaście milionów zmarnowano na ogłoszenia i badania w sprawie dyloftu, maxatilu i Chudego Bena. Trzydzieści cztery poszły na podatki zapłacone lub należne: cztery miliony na willę; trzy na zakup jachtu; milion tu i tam – dom, „pożyczka” dla

Maxa Pace’a oraz zwyczajowe i spodziewane ekstrawagancje nuworysza.

Ciekawą sprawę stanowił nowy luksusowy katamaran Jarretta. Clay zapłacił za niego, lecz bahamska spółka, która zachowała tytuł własności, była w całkowitym posiadaniu jachtu Cartera seniora. Munson uważał, że sąd upadłościowy może zająć jedno z dwóch stanowisk – albo jacht był darem, co wymagałoby od Claya zapłacenia podatku od darowizny, albo po prostu stanowi własność innej osoby, tak więc nie wchodzi w skład majątku Claya. Tak czy inaczej, łódź pozostała w posiadaniu Jarretta Cartera.

Clay zarobił też ponad siedem milionów na handlu akcjami Ackerman Labs i choć część tych pieniędzy była ukryta w rajach podatkowych, należało je przetransferować z powrotem.

– Jeżeli ukrywasz aktywa, idziesz do mamra – pouczył go Munson, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że nie toleruje takiego podejścia.

Bilans wykazał majątek wartości netto około dziewiętnastu milionów dolarów oraz niewielu wierzycieli. Jednak ewentualne zobowiązania były katastrofalnie wysokie. Dwudziestu sześciu dawnych klientów Claya skarżyło go teraz za fiasko w sprawie dyloftu. Można się było spodziewać, że ich liczba wzrośnie, i wprawdzie nie dało się określić dokładnie wartości każdego odszkodowania, uzasadnione prawnie roszczenia znacząco przekraczały jego majątek. Relacje z poszkodowanymi w sprawie cementowni Hanna zaogniały się, oni sami zaś zbierali siły. Skutki gwałtownej reakcji producentów maxatilu byłyby paskudne i długotrwałe. Tych wydatków też nie dało się przewidzieć.

– Niech się tym zajmie syndyk masy upadłości – zaproponował Munson. – Pan wprawdzie wyjdzie z tego bez centa, ale przynajmniej nie będzie pan miał długów.

– Dzięki Bogu! – rzekł Clay, wciąż myśląc o jachcie. Gdyby udało im się wyłączyć go z masy upadłościowej, Jarrett mógłby go sprzedać i kupić coś mniejszego, a on miałby trochę gotówki na przeżycie.

Po dwóch godzinach obecności Munsona i Crittle’a kuchenny stół był usłany arkuszami kalkulacyjnymi, wydrukami i zapiskami, smętnymi resztkami będącymi świadectwem siedemnastu miesięcy jego życia. Clay wstydził się swojej zachłanności i był zażenowany własną głupotą. To, co zrobiły z nim pieniądze, było odrażające.

Myśl o wyjeździe pomagała mu przetrwać każdy kolejny dzień.

* * *

Ridley zatelefonowała z St. Barth z alarmującą wieścią, że przed „ich” willą pojawiła się tablica z napisem NA SPRZEDAŻ.

– To dlatego, że teraz jest wystawiona na sprzedaż – odparł Clay.

– Nie rozumiem.

– Przyjedź do domu, a wyjaśnię ci to.

– Masz kłopoty?

– Można tak powiedzieć.

– Wolę zostać tutaj – powiedziała po długiej pauzie.

– Nie mogę cię zmusić do powrotu.

– Nie możesz.

– Nie ma sprawy. Zostań w willi, dopóki nie zostanie sprzedana. Mnie jest wszystko jedno.

– Czyli jak długo?

Wyobrażał sobie Ridley stającą na głowie, żeby storpedować ewentualną sprzedaż. W tym momencie jednak było mu to obojętne.

– Może miesiąc, może rok. Nie wiem.

– Zostanę.

– Nie ma sprawy.

* * *

Rodney zastał przyjaciela na schodach jego malowniczego domu. Siedział z kulami u boku i kocem chroniącym przed jesiennym chłodem na ramionach. Niesione wiatrem liście wirowały na Dumbarton Street.

– Potrzebuję trochę świeżego powietrza – wyjaśnił Clay. – Przez trzy tygodnie żyłem w zamknięciu.

– Jak twoje kości? – zapytał Rodney, gdy usiadł obok Claya i spojrzał na ulicę.

– Ładnie się zrastają.

Rodney opuścił już miasto i stał się prawdziwym mieszkańcem przedmieść. Ubranie khaki i adidasy, luksusowy SUV do wożenia dzieci.

– A głowa?

– Żadnych dodatkowych uszkodzeń mózgu.

– Co z duszą?

– Umęczona, delikatnie mówiąc. Ale przeżyję.

– Paulette twierdzi, że wyjeżdżasz.

– Na jakiś czas, w każdym razie. W przyszłym tygodniu złożę wniosek o ogłoszenie upadłości i wówczas już mnie tutaj nie będzie. Paulette ma w Londynie mieszkanie, z którego mogę korzystać przez kilka miesięcy. Tam się ukryjemy.

– Nie możesz uniknąć bankructwa?

– W żaden sposób. Roszczeń jest zbyt dużo, i to uzasadnionych. Pamiętasz naszego pierwszego klienta w sprawie dyloftu, Teda Worleya?

– Oczywiście.

– Zmarł wczoraj. Nie ja pociągnąłem za spust, ale z pewnością go nie ochroniłem. Jego sprawa przed ławą przysięgłych jest warta pięć milionów dolców. Wyjeżdżam do Londynu.

– Chcę ci pomóc.

– Nie wezmę od ciebie pieniędzy. Wiem, że właśnie dlatego tu przyjechałeś. Odbyłem taką rozmowę już dwa razy z Paulette i raz z Jonahem. Zarobiliście swoje pieniądze i mieliście dość oleju w głowie, by w porę się wycofać.

– Ale my nie pozwolimy ci zginąć, człowieku. Nie musiałeś nam dawać po dziesięć baniek. Ale dałeś. Część oddamy.

– Nie.

– Tak. Rozmawialiśmy o tym we trójkę. Poczekamy na zakończenie procesu upadłości, a potem każdy z nas zrobi przelew. W prezencie.

– Zarobiłeś tę forsę. Zatrzymaj ją.

– Nikt nie zarabia dziesięciu milionów dolarów w pół roku, Clay. Tyle można wygrać, ukraść lub otrzymać od niebios w darze, ale nikt nie zarabia pieniędzy w taki sposób. To absurdalne i nieprzyzwoite. Część oddam tobie. Paulette też tak zrobi. Co do Jonaha nie jestem pewny, ale w końcu przekona się do tego pomysłu.

– Jak twoje dzieci?

– Zmieniasz temat.

– Owszem.

Zaczęli więc rozmawiać o dzieciach i dawnych znajomych z BOP-u, o dawnych klientach i prowadzonych tam sprawach. Siedzieli na schodach aż do zmroku, gdy nadeszła pora kolacji i zjawiła się Rebecca.

Rozdział 42

Reporter „Washington Post”, młodzieniec, który dobrze znał Claya Cartera, ponieważ dokumentował jego zdumiewający wzlot i równie niezwykły upadek z dużą dbałością o szczegóły i umiarkowaną dozą uczciwości, nazywał się Art Mariani. Gdy przybył do domu Claya, został powitany przez Paulette i zaprowadzony wąskim korytarzem do kuchni, gdzie już wszyscy czekali. Kulejący Carter wstał i przedstawił najpierw siebie, a potem siedzących przy stole: Zacka Battle’a, swojego adwokata, Rebeccę Van Horn, swoją przyjaciółkę, oraz Oscara Mulrooneya, wspólnika. Podłączono magnetofony. Rebecca krążyła z dzbankiem kawy.

– To długa historia – rzekł Clay – ale mamy mnóstwo czasu.

– Nie mam wyznaczonego terminu publikacji – powiedział Mariani.

Clay upił łyk kawy, odetchnął głęboko i od razu przystąpił do rzeczy. Zaczął od zastrzelenia Ramóna „Dyni” Pumphreya przez Tequilę Watsona. Daty, godziny, miejsca, Clay miał wszystkie zapiski i wszystkie akta. Potem Washad Porter i popełnione przez niego dwa morderstwa. Później pozostałe cztery. Obóz Wyzwolenia, Clean Streets, zdumiewające skutki działania leku o nazwie tarvan. Chociaż nigdy nie wymieniłby nazwiska Pace, przedstawił ze szczegółami opisaną przez Maxa historię tarvanu – tajne próby kliniczne w Meksyku, Belgradzie i Singapurze, pragnienie wytwórcy, by wypróbować go na ludziach pochodzących z Afryki, najlepiej w Stanach Zjednoczonych. Pojawienie się leku w Waszyngtonie.

– Kto wyprodukował ten lek? – zapytał wstrząśnięty Mariani.

– Nie jestem stuprocentowo pewny, ale sądzę, że Philo – odparł Clay po długiej pauzie, gdy już wydawało się, że nie jest w stanie mówić.

– Philo Products?

– Tak. – Carter sięgnął po gruby dokument i podsunął go reporterowi. – To jedna z ugód. Jak pan zobaczy, w umowie wymienione są dwie zagraniczne firmy. Jeżeli może je pan spenetrować, niech pan podejmie ten trop. Przypuszczalnie doprowadzi on pana do jakiejś spółki wydmuszki w Luksemburgu, a później do Philo.

– W porządku, ale dlaczego podejrzewa pan właśnie ich?

– Mam źródło informacji. Więcej nie mogę panu powiedzieć.

To tajemnicze źródło wybrało Claya spośród wszystkich adwokatów w Dystrykcie Columbii i przekonało go, by sprzedał duszę za piętnaście milionów dolarów. Szybko odszedł z BOP-u i otworzył własną kancelarię. Mariani znał już wiele tych faktów. Clay podpisał umowy z rodzicami sześciorga ofiar, bez trudu przekonał ich do przyjęcia pię-

ciu milionów odszkodowania oraz zachowania dyskrecji i w ciągu niespełna trzydziestu dni sfinalizował sprawę. Carter sypał szczegółami, ujawniał też dokumenty i zawarte umowy.

– Co się stanie z pańskimi klientami i z rodzinami ofiar, gdy opublikuję ten artykuł? – zapytał Mariani.

– To pytanie nie dawało mi spokoju, ale myślę, że nic im nie będzie – odparł Clay. – Po pierwsze, mają te pieniądze już od roku, można więc założyć, że sporą część wydali. Po drugie, próba uchylenia tych rozstrzygnięć przez wytwórcę leku byłaby z jego strony szaleństwem.

– Rodziny ofiar mogłyby potem zaskarżyć go bezpośrednio – pospieszył z pomocą Zack. – I wydane wówczas wyroki mogłyby zniszczyć każdą dużą korporację. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wybuchowej mieszanki faktów.

– Spółka nie tknie zawartych umów – zapewnił Clay. – Będzie miała szczęście, wychodząc z tego z ugodą na pięćdziesiąt milionów.

– Czy rodziny ofiar mogą unieważnić umowy, gdy dowiedzą się prawdy? – zapytał dziennikarz.

– Byłoby to trudne.

– A pan? Zobowiązał się pan do zachowania tajemnicy?

– Ja się już nie liczę. Mam właśnie ogłosić bankructwo.

I zrzec się pozwolenia na prowadzenie kancelarii adwokackiej. Nie mogą mi nic zrobić. – Było to smutne wyznanie, które bolało przyjaciół Claya tak bardzo jak jego samego.

Mariani nagryzmolił coś w notesie i zmienił temat:

– Co się stanie z Tequilą Watsonem, Washadem Porterem i innymi ludźmi, których skazano za te morderstwa?

– Po pierwsze, prawdopodobnie mogą pozwać wytwórcę leku, co w więzieniu niewiele im da. Po drugie, jest szansa, że ich sprawy zostaną wszczęte ponownie, przynajmniej w aspekcie skazania.

Zack Battle chrząknął i wszyscy czekali, co powie.

– Do pańskiej prywatnej wiadomości: gdy już opublikuje pan to, co zdecyduje się pan opublikować, i gdy ucichnie burza, zamierzam doprowadzić do rewizji tych spraw. Złożę pozew w imieniu tych siedmiu oskarżonych, o ile zdołamy zidentyfikować tę firmę farmaceutyczną. Mógłbym wnieść do sądu kryminalnego o wznowienie procedury ich skazania.

– To bardzo wybuchowy materiał – rzekł Mariani, stwierdzając oczywistość. Długo studiował swoje zapiski.

– Co doprowadziło do sporu prawnego w sprawie dyloftu?

– To temat na kolejny dzień – odparł Clay. – Zresztą i tak udokumentował pan większość tej sprawy. Nie będę o tym mówił.

– W porządku. Czy to już koniec tej historii?
– Dla mnie tak – odparł Clay.

* * *

Paulette i Zack zawieźli ich na krajowe lotnisko Reagana, gdzie ukochany niegdyś gulfstream Claya stał niemal w tym samym miejscu, w którym ujrzał go po raz pierwszy. Ponieważ wyjeżdżali na co najmniej pół roku, mieli, szczególnie Rebecca, sporo bagażu. Clay, pozbywszy się w ostatnim miesiącu tylu rzeczy, podróżował z niewielką walizką. Bardzo sprawnie poruszał się o kulach, ale nie mógł dźwigać. Funkcję tragarza pełnił Zack.

Clay z dumą pokazał im swój samolot, chociaż wszyscy wiedzieli, że to ostatnia podróż odrzutowca. Potem uściskał Paulette i objął Zacka, podziękował im obojgu i obiecał, że zadzwoni za kilka dni. Gdy drugi pilot zamknął drzwi, Carter opuścił rolety w oknach, żeby podczas startu nie widzieć Waszyngtonu.

Dla Rebeki odrzutowiec był koszmarnym symbolem niszczącej siły chciwości. Marzyła o maleńkim mieszkaniu w Londynie, gdzie nikt ich nie zna i nikogo nie obchodzi, co mają na sobie, co kupują, jedzą, czym jeżdżą ani gdzie pracują, robią zakupy i spędzają wakacje. Nie miała zamiaru wracać do domu. Z rodzicami pokłóciła się po raz ostatni.

Clay marzył o dwóch zdrowych nogach i czystej hipotece. Wychodził cało z jednego z najbardziej niechlubnych upadków w dziejach amerykańskiego prawa i odsuwał go w coraz bardziej odległą przeszłość. Miał Rebeccę tylko dla siebie i nic innego się nie liczyło.

Gdzieś nad Nową Fundlandią rozłożyli kanapę i zasnęli.

Komentarz autora

Właśnie w tym miejscu autorzy książek często umieszczają długie sprostowania, próbując zabezpieczyć sobie tyły i – przy odrobinie szczęścia – uniknąć odpowiedzialności. Zawsze pojawia się pokusa, by po prostu stworzyć fikcyjne miejsce lub instytucję, zamiast szukać informacji o tych rzeczywiście istniejących, i przyznaję, że wolałbym robić cokolwiek, byle nie weryfikować szczegółów. Fikcja stanowi wspaniałą tarczę. Bardzo łatwo się za nią skryć. Kiedy jednak ośmiela się przybliżyć do prawdy, musi być dokładna. Inaczej bowiem pisarz musi napisać kilka zdań w tym miejscu.

Służba Obrońcy Publicznego w Waszyngtonie jest dumną i tętniącą życiem instytucją, która od lat zapamiętale chroni ludzi ubogich. Jej prawnicy są inteligentni, oddani sprawie i bardzo dyskretni, wręcz skryci. Jej wewnętrzne funkcjonowanie pozostaje zagadką, więc po prostu stworzyłem własne Biuro Obrońcy Publicznego. Wszelkie podobieństwa między tymi dwoma instytucjami są czysto przypadkowe.

Mark Twain napisał, że gdy trzeba pomóc swojej opowieści, często przenosi miasta, okręgi, a nawet całe stany. Mnie też nic w tym nie przeszkadza. Jeżeli nie mogę znaleźć jakiegoś budynku, natychmiast go wznoszę. Jeżeli jakaś ulica nie mieści się na mojej mapie, nie waham się jej przenieść w inne miejsce lub wykreślić nową mapę. Przypuszczam, że blisko połowa miejsc ukazanych w tej książce jest opisana w miarę dokładnie. Druga połowa albo nie istnieje, albo została tak gruntownie zmodyfikowana, że nikt by ich nie rozpoznał. Każdy, kto poszukuje dokładności, traci czas.

Nie znaczy to, że nie próbuję. Mój pomysł na zbieranie informacji to coraz bardziej gorączkowe telefony do różnych ekspertów w miarę zbliżania się terminu oddania tekstu. Tym razem polegałem na radach następujących osób: Fritza Chockleya, Bruce'a Browna, Gainesa Talbotta, Bobby'ego Moaka, Penny Pynkali oraz Jerome'a Davisa, i w tym miejscu składam im podziękowania.

Renee przeczytała wersję roboczą tej powieści i nie cisnęła nią we mnie – co zawsze dobrze wróży. David Gerner rozłożył ją na kawałki, po czym pomógł mi je poskładać. Will Denton i Pamela Creel Jenner przeczytali książkę i zaproponowali istotne zmiany. Kiedy napisałem tę powieść po raz czwarty i wszystko się zgadzało, przeczytała ją Estelle Laurence i znalazła setki błędów.

Wszyscy wspomniani wyżej bardzo chcieli pomóc. Błędy, jak zawsze, popełniłem ja.